

JANINA KOWALSKA

POGRANICZE

INSTYTUT
PARYZ



LITERACKI
1980

POGRANICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 321

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

JANINA KOWALSKA

POGRANICZE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1980

UNIVERSITY OF TORONTO

507148309

A PROPOS

Pionierski okres naszej emigracji w Anglii jest dziś dla wielu z nas na tej Wyspie tak zamierzchły jak prehistoria. Były to wczesne powojenne lata, gdy z wojennego uchodźstwa przedzierzgnęliśmy się w emigrantów politycznych nie wracających do kraju z własnego wyboru — okres obozów i hosteli, o których nasze cokolwiek młodsze pokolenia, urodzone i wychowane w Anglii, słuchają dziś jak o żelaznym wilku; od dawna jesteśmy tu zadomowieni i staliśmy się ogólnie zaakceptowaną częścią krajobrazu. Najbardziej nawet ksenofobicznemu Anglosasowi nie przyszłoby do głowy wykrzykiwać — jak było powszechne w tamtych latach — *Poles go home!*, a co dopiero grozić strajkiem, bo Polak został przyjęty do najgorszej wprawdzie, ale jednak pracy. Nasze ówczesne miejsce u dołu drabiny społecznej od dawna zajęli kolorowi i onże ksenofob, pamiętający dawne lata, a teraz zakneblowany ustawą o harmonijnym współżyciu ras, nie odważy się zalecać czarnym i brunatnym przybyszom, aby sobie poszli precz. Przypomnijmy mu, jak ongiś wzywał do tego nas, bądź co bądź na oko mało różniących się od tubylców, a westchnie smętnie, że dobre to były czasy i żeby tylko mogły wrócić...

Ogromna większość Polaków napłynęła do Anglii po zakończeniu wojny jako żołnierze i ich rodziny i pierwsze kroki na tej niegościnniej Wyspie stawiała w obozach, gdzie w ramach PKPR wojsko szykowało się do demobilizacji i gdzie Anglicy umieszczali rodziny napływające z Indii, Afryki, Środkowego Wschodu, Niemiec i dokąd tylko los je rzucił. U szczytu tej inwazji było na Wyspie ok. 500 obozów i hosteli częściowo lub całkowicie polskich. Angielskie władze traktowały je jako zjawisko przejściowe, które samo zaniknie, gdy ich mieszkańcy wrócą do Polski, wyemigrują za morza lub wejdą w miejscowe społeczeństwo. Ale

w tamtych latach Polakom nie było spieszo wsiąkać wśród tubylców: życie w obozach było tanie, żyło się wśród swoich (co do minimum ograniczało kontakty ze światem zewnętrznym i starszym uniemożliwiało naukę języka), a z chwilą znalezienia pracy można było uciulać trochę gotówki by wreszcie po ludzku się ubrać (charakterystyczny dla tamtych czasów kult ciuchów!) i zdobyć trochę domowych sprzętów „jak u ludzi”, a nawet — jeśli w rodzinie pracowało kilka osób — zebrać większą sumkę na wstępną ratę na kupno domu w mieście — szczyt ówczesnych marzeń. Można też było hodować kury i króliki oraz uprawiać splechetki ziemi koło baraków, co było rzeczą ważną wobec racjonowania żywności, które tu trwało jeszcze we wczesnych latach 1950-tych; jak na słowiański apetyt, racje były skąpe.

Nikt chyba z nielicznych piszących o tamtych czasach nie rozróżnia hosteli (*hostels*), obozów (*camp*s) i późniejszej formy wielu z nich, *housing estates* — osiedli mieszkaniowych. Wszystkie były obozami powojskowymi, których tyle wyrosło podczas wojny. Mieszkańcy hosteli mieli dach nad głową i skąpe a pasudne utrzymanie z kotła, nie posiadali więc książeczek żywnościowych, i z chwilą znalezienia pracy płacili za te świadczenia. W obozach natomiast płaciło się tylko niskie komorne, posiadało te cenne książeczki i prowadziło własną gospodarkę. Z upływem czasu obozy i hostele likwidowały się, w czym walenie dopomógł fakt, że wiele z nich przejęły władze lokalne jako *housing estates*, których mieszkańcy, o ile nie urządzili się na własną rękę, stopniowo otrzymywali magistrackie mieszkania i domki na równi z bezdomnymi tubylcami.

Takim typowym obozem był Crowley. Za PKPR stało w nim nasze wojsko i z demobilizacją napływały do niego z innych obozów rodziny tych wojskowych, którzy postanowili tu zostać jako cywile, a jednocześnie magistrat sąsiedniego miasta wydzierżawił go jako *housing estate*, z zamiarem przebudowania co lepszych baraków na mieszkania i osadzenia w nich również tubylców ze swej listy mieszkaniowej, na którą wciągnięto także Polaków.

Życie w tych gettach otoczonych dziwacznym i niechętnym światem wytworzyło swoiste formy. Jego ośrodkiem był proboszcz, od którego charakteru i upodobań wiele zależało w atmosferze współżycia mieszkańców. Skupiały się przy nim stowarzyszenia religijne, jak sodalicja czy kółko różańcowe („Żywe Róże”), przy sprzyjających warunkach sięgające po rząd dusz, którego rodzaj trudno dziś sobie wyobrazić. Nierzadko był on też organizatorem życia kulturalnego i często kierownikiem szkoły sobot-

niej (pierwsze powstały w 1948-1949, by chronić dzieci uczęszczające do szkół angielskich przed wynarodowieniem). Obok tych działały organizacje społeczne: komitet kościelny i zjednoczenie mieszkańców („gmina”) dla załatwiania wspólnych spraw wewnętrznoobozowych i z władzami angielskimi, a także lokalne koła SPK i Skarbu Narodowego, oraz nierzadko Ludowcy („Mikołajczyki” albo „Jałta”); członkowie tych grup wiedli niekończące się dysputy. Z chwilą rozłam w tzw. Obozie Niepodległościowym, gdy powstały dwa Skarby, a z SPK wyłamali się — jak sami siebie zwali, urągliwie wobec niedawnych kolegów — Żołnierze Wierni Przysiędze („Zamkowcy”), dysputy te straszliwie się rozjątrzyły, co stało się wkrótce po opisanym tu okresie obejmującym lata 1951-1952.

Z likwidacją obozu cały ten układ przenosił się do sąsiedniego miasta, gdzie jego mieszkańcy otrzymywali magistrackie lub nabywali własne domy; w ten sposób powstawało wiele dziś ludnych i zamożnych skupisk polskich na prowincji.

Dziwne, że ten znamieny w dziejach naszej emigracji okres tak słabo odcisnął się na literaturze, zwłaszcza w relacjach ludzi znających obozy z autopsji. Były one jedynym w swoim rodzaju zjawiskiem w emigracyjnej socjologii, a jego ślady tak doszczętnie znikły, że kilka lat temu TV miała duże trudności ze znalezieniem fotografii obozowych do programu o Polakach w Anglii. JK spędziła kilkanaście lat w hostelach i obozach w różnych częściach Wyspy i dotąd czuje w kościach ich klimat, który w miarę swych skromnych możliwości pragnie uchronić od zapomnienia. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób z krwi i kości jest sprawą czystego przypadku.

WĘDRÓWKI LUDÓW

W Crowleyu, jak na słowiańskiej wsi, za barakami śpiewają koguty, na progach wygrzewają się Mruczki i Burasy, pod oknami kwitną malwy, nasturcje i nagietki, dojrzewają zagony maku na słowiańskie ciasta, bokami maszerują wielkie armie kapusty (dębowe beczki na nią mokną pod barakami), a kartofliska rozlaży się szeroko aż po druty odgradzające obóz od farmerskich pastwisk.

W Crowleyu wyrasta najnowsza rasowa przymieszka do ludnościowej mozaiki Marchii i wiele wody upłynie, nim demografowie i historycy Pogranicza zwrócą na nią uwagę. Czy Pogranicze zdoła wchłonąć i przetworzyć, jak od zarania dziejów czyniło z innymi ludami, także i Słowian rzuconych tu kaprysem wojny? Chodzi mianowicie o 124 rodziny (te z błogosławieństwem Bożym, często podkreślonym mnogością drobnej dziatwy, zrodzonej — ledwo umilkła wojna — byle jak i prędko) oraz kilka dzikich stadeł o sytuacji skomplikowanej mężami zaginionymi wśród wojennego chaosu oraz żonami w ojczyźnie, z których pierwsi uchylają się od dostarczenia swym niewiastom świadectwa własnego zgonu, drugie zaś złośliwie przeżyły wszystkie kataklizmy i nadal cieszą się nad Wisłą końskim zdrowiem. Dla różności są tu jeszcze cztery Panny Na Wydaniu, wprawdzie bez matury, ale za to świetnie wyposażone na nową drogę życia: jedna pięknie wyszywa krzyżykami, druga celuje w haftowaniu róż „przed” i „za igłą”, trzecia nad podziw zręcznie wykonuje szydełkiem różne gwiazdki i dziury, i tylko Józia pani Antoszkowej ma ręce, jak powiadają świadome rzeczy matrony, jak łopaty. Co zaś się tyczy kawalerów, to jest ich sztuk aż sześć, w różnym kwiecie wieku, w tym dwu bardzo dojrzałych i nieruchawych, do urzędzenia się więc trudnych i stąd zażywających patriotycznej

famy Ofiar Wojny. No i wreszcie, żeby było jak u Noego po jednym z każdego rodzaju, jest tu jedna Stara Panna Z Powołań, nie cierpiąca mężczyzn, a jeszcze gorzej dzieci ze względu na ich pochodzenie, jeden Zatwardziały Stary Kawaler, jeden Słomiany Wdowiec wbrew ludziom i naturze wierny żonie na Wileńszczyźnie, no i wreszcie (*last but not least*, jak z upodobaniem powtarzają poza tym z angielszczyzną nieobznajomieni rodacy) jest tu Książd Magister Turkuć, który jest — jak wiadomo — stanem samym w sobie oraz żywym dowodem, że człowiek składa się nie tylko ze śmiertelnego ciała, ale i z nieśmiertelnej duszy.

Większość zjechała tu przez Sowiety z Indii, Afryki i Środkowego Wschodu, każdy z bagażem tamtejszych doświadczeń i nawyków, niedostrzegalnie wyrobionych w danym kraju, klimacie i środowisku. Mawiali z nostalgią: u nas w Indiach, w Ugandzie, w Libanie, w Palestynie, ho ho!, przy czym Liban i Palestyna miały się za coś odrobinę lepszego, bo to prawie jak Europa. W Crowleyu mieszały się z przybyłymi przez Niemcy, więc licytowali się kto gorzej ucierpiał: pod Hitlerem czy pod Stalinem? Na dowód niewiasty przytaczały ilość swych wymarłych dzieci: na tyfusy, głody, czerwonki i papadacze „u nas na Kazachach, na Uzbekach, w Irkuckiej obłasti”, a „u nas u bauera, we fabryce” na bardziej europejskie zarazy, choć końcowy wynik jednaki. A teraz w Crowleyu ma się z nich wytworzyć jedna masa (o ile zaraz nie wybuchnie trzecia światowa, jak obiecują nasze gazetki, by nas powrócić cudem na Ojczyzny łono) i wsiąknąć w ludy Pogranicza. Tylko dla tubylców są jednolita, uprzykrzoną gromadą: *bloody foreigners*, którzy dawno powinni byli wrócić do domu miast tu nadużywać gościny i odbierać naszym najgorsze co prawda, ale zawsze roboty, których tu nigdy nie ma za dużo.

Tak to z woli wojny i polityki spłynęli tu, gdzie od stuleci nikt nie spodziewał się więcej inwazji i strażnica na górze nad Crowleyem patrząca ku brodowi na rzece (którym tu niegdyś wpadała mordercza Walia) dawno obróciła się w ruinę, a obluźowane wielkie głązy zsuwają się po zboczu i utykają wśród pni wiekowych cisów. Antropologowie z dawna chwalą sobie ten kraj dla bogactwa jego cech rasowych, które łatwo rozezna biegłe oko, a w którym miesza się Południe z wielowładną Romą i Północ Wikingów, w środku zaś tkwi wielki wachlarz ludów germańskich i celtyckich. Aż tu nagle zjawia się nowy element, by zasilic z dawna tu osiadłą mieszanekę anglonormańską (która powinna być, i czasem rzeczywiście jest, smukłokoścista, jasna i długogłowa, z temperamentu zaś flegmatyczna) i siedzących

wśród niej — najliczniej w starożytnej krainie Ercing za rzeką — dawnych panów tej ziemi: krępych, ciemnych i krągłogłowych Walijczyków o cholerycznym usposobieniu. Do tego rasowego bogactwa crowleyscy przybysze wniosą już w drugim pokoleniu szerokie słowiańskie twarze o sterczących kościach policzkowych, które nadają oczom nieco skośności, kusą szyję nad rozległymi barami i nogi zbyt grube a krótkie pod szerokim (u niewiast) podwoziem, ale za to masywne niczem normańskie filary w longfordzkiej katedrze, no i nieobliczalny charakter, który zazwyczaj towarzyszy powyższym cechom fizycznym. Warto dodać jeszcze jedną osobliwość przybyszów, a mianowicie zęby, które, choć często obute w metal i nadzarte szkorbutem, zachowali nawet ludzie w sile wieku i ku zdumieniu longfordzkich dentystów bronią ich przed usunięciem jakby chodziło o życie. Darmo im perswadować, że najwyższa pora zaopatrzyć się w nowoczesne szczęki lekkie i higieniczne, które dzięki wszechogarniającej Służbie Zdrowia nic nie kosztują, a swych nosicieli obdarzą dożywnym komfortem — widomym znakiem awansu do świata ludzi cywilizowanych.

Słowianie ciągle jeszcze nie wiedzą co z nimi będzie, jakby nadal była wojna. Dla tubylców od dawna panuje pokój i gdyby nie prowiant na kartki, to już by o wojnie całkiem zapomnieli. A dla Słowian? Ledwo mającą kształty nijakiej przyszłości i co się z niej wyłoni? Czekać na nową wichurę, żeby ich znów wywiało we światy albo otwarło drogę do domu? Choć Ksiądz Magister na kazaniach ogłasza w ich imieniu „wierzymy mocno że”, to prawdę powiedziawszy mało komu spieszo do kresowych ubogich domków, zobaczyli już inne życie. Tu, *na* fabryce, w sezonie zarobisz swoje i różne dobro możesz za to kupić, po co się paprać w świętek i piątek na ojczystej roli, biegać za policjanta, listonosza albo gajowego? Tylko że znowuż zimą tutaj bezrobocie i gdyby nie ten nędzny zasiłek i beczki z kapustą oraz *kartofla* własnego chowu, to byś kłapał zębami jak wilk — i to źle, i tamto nie za dobrze. Czy mają zapuszczać korzenie wśród tych dziwnych, niechętnych ludzi, u których wszystko na odwrtkę, poczawszy od języka, w którym nawet słów nie rozróżnisz, skończywszy zaś na domach — zatarasowanych fortecach, w których tai się jakieś osobliwe życie. Nic więc dziwnego, że mieszkańcy crowleyskich baraków czują się samotni i niepewni. Życie nauczyło ich, że wszystko jest zmienne, nigdzie miejsca długo nie zagrzejesz, więc też nie warto wkładać dobrego grosza w rzeczy, które znów przyjdzie porzucić. Nawet te kapuściska, kartofliska i warzywniki, na które poryli puste dotąd części parku — i to niepewne. Kopiesz — bywa — pnie karczujesz, wyszar-

pujesz paprocie i jeżyny, aż tu cię raptem weźmie chandra, że na co? Zbierzesz to, nim wybuchnie nowa wojna i znów pogoni we światy? Ale znowuż jeśli nie wybuchnie, to zimową porą jak znalazł. To samo dotyczy kurników, których całe miasta nabudowali po peryferiach. Kura zeżre byle co, a jajek na kartki dają dwa tygodniowo, nawet jednej słowiańskiej jajecznicy z tego nie wykroisz. Ale z tych rzeczy korzyść jest szybka i nakład raz-dwa się zwraca. Co innego inwestycje luksusowe, na lata obliczone: kłące dalii, róże, bzy albo jabłonie, o których różni marzą. O tych wiadomo, że czysta strata gotówki. Jeden tylko dziwak, ten Sawicki, zdrajca, o którym mówią że się stara o ichnie obywatelstwo, wyzywająco zasadził sobie pod oknem aż trzy krzaki róż, każda zaś piękna jak Pan Bóg nakazał: jedna czerwona, druga żółta, trzecia rumiana, i pyszni się nimi jakby siedział na własnej zagrodzie. Jak zakwitną, to różni przechodzą tędy, niby tak sobie, żeby popatrzeć albo i powąchać, jak nikt nie widzi. Z zazdrością, ale i niechęcią, aż od tego patrzenia niewygodnie. Więc niby jak — czekać czort wie na co czy zapuszczać korzenie w czerwoną glebę Pogranicza? Niech przyszłość sama za nich postanowi.

POGRANICZE

A jakież są dane do trwałej kolonizacji słowiańskiej na Pograniczu, czy znajdzie tu przychylne warunki, by zapuścić korzenie? Dzieje tego kraju są zamknięte jak książka w niepojętym języku, pod którą napisano „finis”, choć zachował on dotąd świeżość regionów, gdzie diabeł mówi dobranoc, i kto wie, co mu jeszcze wmusi Postęp. Na razie jest czysty i zapomniany, niezbezczeszczony nadmiarem szos i samochodowych i fabrycznych smrodów. Za ten przywilej płaci co zimny masowym bezrobociem, najciężej porażającym słowiańskich przybłędów z obozu Crowley. W longfordzkich przedsiębiorstwach dostają jako ostatni najgorszą pracę, za to pierwsi ją tracą, ledwo na dobre zrobi się jesień i dłużej nie da się odłożyć zakupu węgla i butów dla dzieci.

Miasta tej krainy są podobne do przerosłych wiosek, a nawet stolica służy przede wszystkim rolnictwu, które kwitnie tu od wieków, ciesząc się urodzajną glebą i łaskawą aurą. Deszczu tu

mniej niż gdzie indziej, a to dzięki przylegającym od zachodu góróm Walii, które wchłaniają nadlatującą od Atlantyku wodę. Nabrzmiące wilgocią zachodnie wiatry zrzucają swój ładunek na szczyty i ulżywszy sobie lekko płyną dalej, by resztkami wody, białym oparem zasnąć wzgórze Marchii, dodać im tajemniczości i łagodnego zamyślenia.

Jest to kraj lesistych wzgórz, szerokich dolin, wysokich kwiecistych żywopłotów, w których szaleje dzika róża, srebrnobrody powojnik i głóg i wodzą się pozłociste bażanty. Kraj rozległych widoków i pięknych pejzaży, innych za każdym zboczem — nic tu nie znajdziesz z monotonią i nudy okolic od wieków poświęconych rolnictwu. Co zaś do gleb, to tłusta ziemia Marchii prócz zwykłych plonów rodzi piękny chmiel i winne jabłka. Pełno tu wszędzie chmielników z zieleńmi wysoko pełznącym po sznurach, aż do pułapów z drucianej siatki rozpiętej na mocnych żerdziach. Można zabłądzić w tych sklepionych korytarzach, których wyloty kryją wielkie żywopłoty chroniące od wiatru przyszłe piwo — podstawę żywotności narodu. A zaś jabłka dla nieoświeconego oka są nader podłe: stare, pokrzywione i znękane jemiółą drzewa sypią owoc drobny i cierpki, całkiem jak dziczki. Ale pozory mylą, bo drzewa te są skatalogowane, a ich owoc od wieków tryska jabłecznikiem uweselającym serca tego ludu. Bujną płodność tej ziemi i jej niesamowitą czerwoną barwę od stuleci przypisywano krwi, która obficie w nią wsiąkła, jak to na burzliwym pograniczu, ale później mędrkowie obdarli legendy z uroku i podali do wierzenia, że takie gleby lubią towarzyszyć fundamentom z czerwonego piaskowca, na jakich Marchie zostały uformowane przez Naturę.

Po jaskrawych łąkach przechadzają się dorodne owce i słynne w świecie ciężkie czerwone krowy z białą twarzą, po które hodowcy zjeżdżają tu z Kontynentu, obu Ameryk, a nawet Sowietckiego Sojuszu, gdzie wszystko i tak lepsze, i radzi płacą ceny tak wielkie, że w osobnym artykule obwieszcza je triumfalnie *Longfordzki biuletyn i obywatel*.

W dolinach nad strumieniami, wokół wiekowych kościołów z cmentarzami strzeżonymi przez ogromne cisy, symbole mocy i wieczności, rozsiadły się wioski, a na zboczach samotne farmy. Pełno tu starodawnych chat krytych słomą lub łupkiem, zamierzchłe wieki pamiętających domów o belkach wysmołowanych na czarno, co pięknie odbija od bielonych ścian. Tak budowali pierwsi Anglowie, którzy przybyli tu w VI wieku, i ich potomstwo. Widok czarnobiałych wiosek i miasteczek zwabia teraz turystów, wśród których nie brak bogatych Amerykanów goto-

wych każdej chwili kupić i przewieźć do Teksasu czy innego Illinois całe farmy, ulice, a nawet wsie — jak onegdaj główną uliczkę Madley, która omal nie wywędrowała w całości do jakiegoś Disneylandu.

Białe ściany i czarne belki stanowią wymarzone tło dla roślinności. Wokół nich kwiaty szaleją bujnie i dziko, a wśród nich królują sięgające dachów i łukowato rozbuchane na boki krzewy starodawnych róż o kwiatach białych, rumianych lub amarantowych, a wszystkie o oszałamiająco zawieszistej woni. Są tu kwiaty wielkie a puste, odsłaniające bogactwo złotych pręcików, i półpełne z zielonym oczkiem, i wreszcie wielkie, zbite kapusty z dziurką pośrodku krągłej zwichrzonej twarzy. Dotąd szaleje tu wśród zielska antyczna *rosa gallica, alba* o niebieskich liściach, wzięta w niewolę przez krzyżowców *damascena*, czerwona róża Lancasteru i biała Yorku, purpurowa róża aptekarska, dobra na pachnidła, kaprawe oczy i zgniłe gorączki, a także *centifolia* o stu płatkach, ordynarnie zwana kapuścianą, nie mówiąc już o młodkach sprzed półtora wieku: skromnej a upartej różyczce portlandzkiej i cyrklem wyrysowanej róży burbońskiej, dwakroć kwitnącej. Gdzie indziej dawno niemodne i wykarczowane, te szlachetne róże z antycznej porcelany bujają tu z zielskiem na wyścigi, nikt o nie nie dba, a spytany skąd je wziął dziwi się: zawsze tu były jak pokrzywa, biała marchew i czarny bez. W sezonie uwija się z nich staromodne równianki, które farmerki wiozą na targ do Longfordu, gdzie miejskie paniusie grymaszą na takie prostactwo; róże i goździki z Rivieri, to są kwiaty!

Ku zachodowi, gdzie kraj się podnosi ku górcom Walii, jego wygląd zmienia się nie do poznania. Ziemia tu marna, znikają lasy, pola i żywopty, coraz bardziej spadziste zbocza są puste, zarasta je paproć i wrzos. Owce wspinają się ku łysym szczytom skubiąc głodną trawę i tylko gdzieś tam chwytają się ziemi samotne drzewo skręcone głodem i wichurą. Ubogie farmy stoją samotnie na pustkowiach: długie kamienne budynki, w których mieszkania ludzkie i części gospodarcze mieszczą się pod jednym dachem a z drzwi wychodzi się wprost na dziki wygon; kwiatka ani jabłonki tu nie uświadczysz. Na dnie głębokich dolin przycupnęły senne i beznadziejne jak otaczający je krajobraz kamienne wioski i miasteczka z nadmiarem ponurych kaplic — fortec przeróżnych sekt. Droga wije się coraz wyżej, na drogowskazach miejsce angielskich nazw zajmują walijskie tasiemce, o wymówieniu których lepiej nie marzyć. Gdzieś po tych bezpłodnych, wyświstanych szczytach przebiega zapomniana granica Walijskich Marchii.

W Marchiach, gdzie od wieków ścierały się rasy i ich kultury,

legandy, herosi, królowie, święci i złodzieje bydła, historia osiadła gęsto i zawiesiście — nie porównać do tej cienkiej przędzy, która zasnęła okręgi śródładowe, gdzie, odkąd Normanie pokroili królestwo na feudalne włości i opisali dla królewskiego skarbu i przyszłych historyków w wielkich zwojach Księgi Przeznaczenia, życie płynęło szeroko a płytko, całe jednym korytem. Ale ten kraj od początku świata był dziki i wolny. Nawet Rzymianie zachodzili tu rzadko i nie zapuścili korzeni. Przez wzgórza przeciągnęli drogę prosto jak strzełił ku rzece rozlanej tu szeroko, ku temu właśnie brodowi, od którego miasto Longford czy Długi Bród wzięto potem swą nazwę. Po drugiej stronie wystawili nawet gródek, żeby pilnował przeprawy, i na tym skończyła się użyteczność tej i paru innych dróg w Marchiach. Były jak palce wyciągnięte na próbę ku Walii: da się wziąć, czy nie? Nie dała. Dopiero Sasi i Anglowie chwycili Celtów za pysk, wegnali w góry i sami rozsiedli się na urodzajnych ziemiach. Tylko w zakolu rzeki, u którego szczytu powstał wokół biskupstwa Longford, Celtowie żyli sobie po dawnemu, i to był kraj Ércing — kawałek Walii wciśnięty daleko w angielskie ziemie, burzliwy i pełen zasadzek, dokąd nawet szeryf Longfordu nie ważył się jeździć na roki sądowe bez tego uzbrojonej drużyny, a zwykłym ludziom z przeciwnego brzegu zapuszczać się było prawie tak niebezpiecznie, jak w zachodnie góry. Z tych gór spadali jak wicher walijscy królikowicze, księżęta i drobna hałastra, pustoszyli co się dało, bywało że Longford puszczały z dymem — raz nawet spalili katedrę z cudotwórczymi relikwiami św. Ethelberta. Ale najwięcej łakomili się na bydło — pognać w góry wszystko, co chadza na czterech nogach. Darmo król Offa kazał odgrodzić całą Walię potężnym wałem i fosą — Pogranicze płonęło dalej, tak że nie tylko thegnowie, ale chłop, mieszczanin, a nawet duchowny wołał nie rozstawać się z bronią, zaś wiejskie kościoły wyposażono w kwadratowe wielkie wieże obronne. Dopiero Normanie wzięli te ziemie żelazną łapą, a i im przyszło to niełatwo. Za ich pierwszych palatynów wyrosły w Marchiach wielkie rody, które gnębiły Walijszyków na codzien i od święta, i gdy wreszcie powaliły ich na kolana, to same się rozwiały: zabrakło synów, fortuny z córkami przeszły w obce ręce, zostały po nich tylko nazwy dziedzicznych wiosek i wyszczerbione zamki przydatne na więzienia. Teraz nazwiska pierwszych rodów Marchii, tych z bocznych linii, spotyka się wśród parobków, mleczarzy i wiejskich listonoszów, a także na starych nagrobkach przy wiejskich kościółkach, gdzie towarzyszą im na wieczność wielkie cisy, pamiętające z lat swej młodości ich sławnych przodków.

Ale Pogranicze buzowało dalej, choć słabiej, i aż do czasów

Cromwella wschód potykał się z zachodem na czerwonych ziemiach Marchii. Gdy wreszcie zapanował spokój, życie stało się jeszcze senniejsze niż gdzie indziej, bo pieniądź i przemysł omiły te zapadłe kąty. Przez stulecia nic się nie działo, wyjąwszy pamiętny rok 1763, gdy straszliwa wichura obaliła dotąd nie odbudowaną iglicę longfordzkiej katedry. Potem było cicho, aż nadeszła druga wojna światowa i w ślad za nią do obozów zwały się obce wojska, a za nimi Słowianie.

Obok walijskich książątek i drapieźnych baronów był tu od wieków urodzaj na świętych, a także na diabły, z którymi ci uprawili regularne harce. Wielu z nich przetrwało tylko jako imię z doczepionymi strzępkami legend z głębi Ciemnych Wieków: Cybi, Padern, Deinol, Beuno, Dubricius (który koronował króla Artura) i mnóstwo innych, nie mówiąc już o niewątpliwych wybrańcach Bożych jak wielki św. Dawid, patron Walii, Illtyd albo Cadoc — ojcowie mnichów. Ale tych pierwszych było tu zatrzęsienie, skoro do zdobycia tego tytułu starczyło ufundować kaplicę czy klasztor, do czego wcale żyć się cnotliwie nie musi, a nawet można świat zadziwić ilością bękartów. Kościoły Ercingu i zachodnich krańców Marchii do dziś noszą imiona tych podejrzanych patronów. Cóż z tego, że za jednego z wczesnych Henryków wszystkich ich zaćmił św. Tomasz biskup Longfordu, znany w hagiografiach jako Tomasz de Braose, choć po sprawiedliwości powinien być „z Crowleyu”. Tak się wyrodził ze swego zbójckiego rodu panów de Braose, że nigdy nie wykorzystał swego stanowiska dla interesów rodziny, a nawet wbrew nim zabiegał o dobro diecezji i zmarł *in odore sanctitatis* szybko zatwierdzonym przez Stolicę Apostolską. Nic dziwnego, skoro już za życia wślawił się cudami zarówno z gatunku nie naruszającego praw natury (jak wtedy, gdy ku zdumieniu całego kraju wydarł z gardła Gilbertowi, drapieżnemu księciu Gloucester, sześć przywłaszczonych dworów biskupich), jak i prawa te łamiącymi, gdy na przykład w loszku pod katedrą zamknął Złego, którego zaszedł był siedzącego w stallach i udającego kanonika. Wieść niesie, że był to ten sam starszy syn Belzebuba, który niedługo przedtem taszczył powietrzną drogą z Ercingu dwie góry, by zasypać nimi katedrę, co niechybnie by mu się udało, gdyby biskup nie przeczuł co się święci i nie kazał uderzyć w dzwony. Dla ścisłości należy odnotować, że bezbożnicy przypisywali cudowne ocalenie domu Bożego pewnemu kogutowi z Holme de Braose koło Crowleyu, który właśnie zapiał. W każdym razie dwie bliźniacze górki spadły z nieba na łąki chłopów z Holme de Braose i do dziś można je oglądać na łące koło szosy, którą Słowianie zwykli paradować z żonami i dziećmi

w świąteczne popołudnia, by pokazać światu swe wyjściowe stroje, a też oszacować bliźnich.

Co się tyczy biskupa, to i po śmierci pozostał czynny. Jego relikwie celowały w wyrzucaniu diabłów z opętanych oraz w cudownym uzdrawianiu zwierząt, tak że czasem aż z Londynu przyprowadzano do longfordzkiej katedry ulubione królewskie konie i sokoły, co do dziś można oglądać na mizerykordiach w kanoniczych stallach i na głowicach kolumniek w chórze.

Warto jeszcze dodać, że uczeni do dziś interesują się św. Tomaszem z Longfordu, a to dlatego, że był on przyjacielem mnichów z Glastonbury i miał ponoć kawałek czary św. Graala (stąd wiadomo, że nie była srebrna ani brylantowa, tylko zwykła drewniana) oraz relikwiarzyk z małym palcem prawej ręki króla Artura i garstką pyłu, w jaki rozsypały się złote włosy królowej Ginewry, gdy mnisi odkopali ich grób pod murem starego kościoła w Glastonbury. Co ważniejsze, biskup spisał co wiedział o tymże Arturze, a wiedział rzeczy ogromnie ważne i dziś nieznane, tak że wielu uczonych nie wiem co by dało za jedno spojrzenie na te zapiski. Ale relikwie jak i pergaminy nie wiadomo gdzie się zawieruszyły: od Czarnej Śmierci ślad po nich zaginął. Dlatego nie tylko lokalny Klub Historyczny ciągle tę sprawę pamięta i marzy o sławie, jaką by zyskał z ich znalezienia, ale i ze świata przyjeżdżają uczeni i wariaci, nachodzą katedralną bibliotekę i czepiają się kanoników, a każdy chce być tym wybranym. Ale darmo wertować starożytne pergaminy złożone w dębowej skrzyni, męczyć szacowne księgi od wieków przykute łańcuchami do pulpity w lodowatej komnacie nad krużgankiem katedry — biskupie zapiski przepadły i już. Możliwe, że gdzieś się kryją w zakamarkach wielkiej świątyni, których nie znają nawet robotnicy, wiecznie zajęci konserwacją. Może gdzieś kiedyś wypłyną, gdy najmniej będziesz się tego spodziewał, w jakimś zamurowanym przesmyku czy skrytce w murze, czemu nie? Ta nadzieja trzyma w napięciu wiele osób w Longfordzie, Oxfordzie i Cambridge, w Londynie, na Kontynencie i po tamtej stronie Atlantyku. Tylko Słowianie z Crowleyu nic o tym nie wiedzą i wiedzieć nie chcą, dość mają własnych zmartwień.

CROWLEY

Jednym z najpiękniejszych widoków w Marchii, jak od

dwustu z okładem lat twierdzą znawcy, jest crowlejski pałac oglądany wczesną jesienią o świcie. W tej porze roku słońce wschodzi za walijskim kopcem i jego pierwsze promienie rozpalają pałacowe okna wspaniałym ogniem, jakby wewnątrz odbywały się wielkie ucztę i bale. Na tle ściany czarnych chojarów, w oprawie wielkich cedrów i platanów, pałac wystrzela z mgły zalegającej dolinę u jego stóp. Na widok tych płonących okien farmerzy z Holme de Braose mówią, że to duchy balują wśród pustki i pajęczyn, zasnuwających salony. Mówią to niby żartem, ale każdy wie, że coś w tym jest.

O takiej porze resztki nocy, litościwe cienie wygładzają na pałacu popękane tynki i wypróchniałe okienne ramy, a roz hulane po jego murach pnące róże i kapryfolium dopełniają maskarady. Łatwo wtedy uwierzyć, że pałac znów przeżywa okres świetności, zwłaszcza że mgła, która cofa się od jego stóp i doliną spływa ku rzece, zakrywa rzędy baraków, które rozsiadły się w pałacowym parku od pastwiska aż po lesiste wzgórza, zamykające od wschodu dolinę. Jak ohydny liszaj podłazą pod pałacowe gazony i wspinają się do stóp kopca. Zbudowane są z czerwonych pustaków i połączone krytymi korytarzami w cztery ogromne stada, a po ich peryferiach ciągną się osiedla z małych baraczków. Przez to wszystko wije się na ukos kapryśna rzeczka, a środkiem, od pałacu ku bramie, biegnie szeroka droga, która dzieli park i obóz na dwie części: wyższą, od wzgórza i kopca, i niższą, od pastwiska, na którym pasie się bydło farmerów. W Holme de Braose obozowa droga łączy się z szosą, która leci 8 mil doliną prosto do Longfordu. To ospałe miasto, nad którym jak wielki galeon żegluje katedra, jest stolicą południowej Marchii; w niej zlewają się wszystkie drogi, by po przeciwnej stronie znów wytrysnąć na zachód, ku Walii.

Zapytać ludzi w dolinie jaki jest ten pałac, to nie bardzo potrafia powiedzieć. No, tam-tego, duży, kwadratowy i w ogóle. Tak się doń przyzwyczaili, że go nie zauważają, jest częścią krajobrazu. Od paru setek lat nazywają go Nowym Domem, bo w pierw był tu Stary Dom. Jest zaś wielki i zwarty w czworobok, z kolumnowym gankiem-podjazdem wypiętym na gazon, a od tyłu ma kuchnie, składy i piwnice aż po wysoki mur. Za murem rozciąga się ogród i oranżeria ogrodnika Osborne'a, który to urząd jest w jego rodzie dziedziczny.

Wracając do pałacu trzeba dodać, że jego dołem idzie rząd ogromnych okien i szklanych drzwi; tu były kiedyś paradne salony. Na piętrze znów rząd dużych okien: bawialnie dla państwa. Nad nimi mniejsze nieco okna: sypialnie dla państwa

i gości, a wyżej już tylko małe okienka: pokoiki dla służby, garderoby, bielizniarnie, rupieciarnie i Bóg wie co za ubicację. Zaś nad wszystkim jest dach płaski jak boisko i ogrodzony taką samą balustradą z kolumnienek jak gazony. Oto jaki on jest, ten pałac. Otynkowany niegdyś na biało, teraz osiwiwały, z pnączami rozpiętymi po murach i zaglądatającymi do okien na piętrze. Tynk z niego opada i pod nim widać czerwone mięso cegły. Ale żeby dostrzec całą tę nędzę trzeba podejść blisko, bo z doliny prezentuje się nader okazale, jak przystało na zabytek zarejestrowany w spisach Królewskiej Komisji Historycznych Monumentów oraz opisany w turystycznych przewodnikach i historiach Marchii jako „bardzo ciekawa budowla w stylu królowej Anny, ze wszech miar godna obejrzenia, choć niestety zamknięta dla publiczności”.

Tyle historie i przewodniki. O barakach i czemu pałac zamknięto dla publiczności oczywiście ani słowa, brzydkie to i kłopotliwe. A wspomnieć warto, jest to bowiem ostatni i jeszcze niezamknięty rozdział dziejów Crowleyu. W odróżnieniu od zmarłego pałacu baraki są ludne i gwarne, dźwięczą słowiańską mową zawleczoneą tu z egzotycznych regionów Europy, krzykami rozigranej dziatwy, sprzeczkami robotnych niewiast i politycznymi rozrachunkami mężów: rząd w Londynie, czy Mikołajczyk? Ta cała Słowiańszczyzna tak pasuje do szacownych tradycji jak chłopski kozuch do róży. I jeszcze gorzej: jest ona jak liszaj, co ten piękny zakątek do reszty obraca w zniszczenie i abominację.



Wkraczając na arenę dziejów Crowley był z dawna osiadłym dworem, a William, przewany Zdobywcą, świeżym królem; za jego sprawą ta zapadła dziura weszła do Historii. Nie starczyło bowiem zdobyć królestwa, trzeba je było jeszcze utrzymać, dość czyhało wrogów, a najgorsza tu pod bokiem Walia, skąd chude króliki i książątka spadały jak zły wiatr na urodzajne Pogranicze. Czasu nie tracąc pokroił je na marchie i osadził w nich palatynów, obdarzając ich władzą jakby królewską. Jednym z nich był jego krewniak William, palatyn Longfordu, i ten przywiódł w swej drużynie niejakiego Waltera, dla przymiotów umysłu zwanego Osłem. Onże Walter wywodził się z chudego rycerskiego rodu, osiadłego na dworze Braose pod Falaise i pobłogosławionego nadmiarem synów, których wszędzie było pełno, gdzie jeszcze można było coś mieczem wykroić. Walter Osioł zabłysnął pod Hastings tak wspaniałym męstwem, właściwym ludziom bez wyobraźni, że mimo znanej głupoty wyrósł w podbitym kraju, jak wielu chudopachołków, na znacznego człowieka.

Najpierw palatyn William dał mu dziesiątek wsi rzuconych szerokim łukiem przez środek Marchii (wśród nich była wieś Holme, przezwana później de Braose, z leśnymi przysiółkami Yarranton i Yatton i leżącym pośrodku dworem Crowley, skąd właśnie przepędzono babę z dziećmi dotychczasowego pana, padłego pod Hastings przy królu Haraldzie). Walter upodobał sobie to miejsce dla jego bliskości do dworu łaskawego suwerena w Longfordzie i dla starożytnego kopca, dającego strażnicy wgląd ku brodowi na rzece, którym zwykła wpadać walijska hołota. Wystawił tu sobie obronny gródek, otoczył go wodą i odtąd zaczął się pisać „Walterus de Crowleia”. Warto jeszcze dodać, że już wtedy (tak jak dziś) stały tu wielkie drzewa opanowane przez gawrony i stąd „Crowley” wykłada się „Wroni Gaj”.

Walter wyplynał wkrótce na szerokie wody jako jeden z tych, o których kronikarz napisał, że „różni Walijszyków jak barany, tłukli i żelazem obdzierali ze skóry”. Dlatego chyba na starość zaniepokoił się o ciepły kątek w Wieczności, a że miał dawną słabość do św. Piotra Kluczownika, to mu teraz ufundował godny kościół w Longfordzie, sam doglądał budowy, aż raz go poniosło na rusztowanie wieży, skąd spadłszy ku radości Walijszyków niezwłocznie wyzionął ducha. Ale jego dziedzic, Hugo, okazał się godnym następcą tych, co wdzierali się w serce południowej Walii i siekali ją sobie na włości; także Hugo przyswoił sobie znaczny ich kawał. Miał dwóch synów, z których młodszy, Tomasz, od dziecka rwał się do służby Bożej, uczył się u benedyktynów w przesławnym Glastonbury i wcześniej został biskupem Longfordu, później zaś świętym cudotwórcą i patronem Marchii. Ze zaś urodził się i dzieciństwo spędził w Crowleyu, to potem dwór ten został świętym miejscem, nie tak oczywiście sławnym jak longfordzka katedra z jego grobem, ale zawsze, i przywabiał dążących do Longfordu pielgrzymów. Dziś już nikt o tym nie pamięta, więc skąd miałby wiedzieć ksiądz Turkuć i Żywe Róże? Gdyby wiedzieli, to by zaraz urządzili modły o nawrócenie Anglii na tych starożytnych ruinach pośrodku sadzawki, pod którymi leżą fundamenty siedziby Waltera Osła — miejsca narodzin Świętego. A tak to tylko słowiańskie chłopaki brodzą na tę wysepkę, buszują wśród wierzbowych zarośli i toczą wrzaskliwe boje, przy czym często-gęsto skąpią się w bajorze i upaprzą po same oczy, aż zgorszzone matki walą obwiesiów czym popadnie.

W trzy pokolenia po biskupie wymarli panowie de Braose i dziś jedyną po nich pamiątką w Marchii jest wieś Holme de Braose w dolinie poniżej Crowleyu oraz kościół św. Piotra w Longfordzie. Co zaś się tyczy Crowleyu, to wcześniej wyfrunął im z drapieżnych łap i to znów przez dziedziczną przyjaźń do

Świętego Klucznika. Gdy Hugonowi, bratu biskupa, na stare lata wzięło się na pobożność, to z Crowleyu wraz z przysiołkami Yarnnton i Yatton zrobił wieczysty dar benedyktynom od św. Piotra w Gloucester, zwłaszcza że miejsce miało już *odor sanctitatis*, bo biskup Tomasz, aczkolwiek żyjący, chodził w glorii świętości. Odtąd we dworze mieszkało paru braci z kapelanem, by pilnować majątku Księcia Apostołów i obsługiwać kaplicę, którą wkrótce jeli nawiedzać pielgrzymi, rzecz jasna nie z pustymi rękami, więc Hugonowy dar był zaiste hojny.

Tak w dolinie panował spokój, aż Henrykowi tego imienia Ósmemu spodobało się przepędzić z Anglii papieską władzę. Wielu się wtedy obłowiło klasztorным dobrem, jedni dostali od króla wielkie opactwa, inni pomniejsze majątki, a wśród nich był Tomasz Welch, dworzanin, który otrzymał Crowley z przysiołkami. Dwór znalazł pięknie zagospodarowany, nawet stara fosa wielce się nadała do hodowli kaczek, tylko przyszło zburzyć kaplicę św. Tomasza dla wytępienia papieżnickiego zabobonu.

Ale nowi dziedzice do synów nie mieli szczęścia, więc też różni przyzniali się do córek i gdy w roku Pańskim 1678 zjawił się kolejny konkurent, była to już całkiem pańska fortuna. Konkurentem był niejaki Robert, wzięty adwokat z Londynu, dobrze widziany u dworu. Rodu był marnego, jego ojciec miał lichą farmę w głębi Walii i nosił pospolite nazwisko ap Rhys, które zangliczały syn przekreślił na Price. W Crowleyu ród nabrał na znaczeniu i bogactwie, rozsądnie gospodarzył, nabył Holme de Braose i inne dobra, żenił się z córkami trochę gorszej arystokracji i synów wychowywał po pańsku, zasilał nimi adwokaturę, kościół panujący i urzędy państwowe. Wnukowi Roberta, także Robertowi, już nie wystarczał starożytny dwór z fosą i kaczkami; upatrzawszy sobie piękne miejsce u szczytu doliny, jął budować sławny wkrótce pałac — ten sam, co teraz stoi spustoszony i zamknięty na głucho, tylko Słowianie z baraków rozplaszczają nosy o przepalone szyby, starając się zobaczyć co w środku.

Syn tego Roberta, Evelyn, w Oxfordzie błyszczał w najlepszym towarzystwie, w wolnych chwilach zgłębiał mowę Greków i Rzymian, zaczem przepisowo wyruszył na wielki wojaż do Italii. Przez dwa lata skupował obrazy mistrzów i przeżywał estetyczne wzruszenia w kraju Cezarów i Medyceuszy. Gdy jednak śmierć ojca ściągnęła go do Crowleyu i świeżym okiem ogarnął urodę Marchii, uznał nieoczekiwanie, że choć świat jest piękny i stoi otworem dla majątnych i dobrze urodzonych młodzieńców, to jednak w domu najlepiej. Stąd nawet do wód w Bath wyruszał

rzadko i na krótko, a także odmówił piastowania jakich bądź urzędów. Ożenił się z irlandzką hrabianką i rozpoczął żywot wiejskiego dzentelmena, wytwornego człowieka o rozległych zainteresowaniach i wyrafinowanym smaku. Dokończył zaczęty przez ojca pałac i z jego okien delektował się rozległym widokiem na wzgórze, pola i farmy, aż po nurkującą w nadrzecznych mgiełkach wieżę longfordzkiej katedry. Wnętrze urządził z wielkim smakiem i nakładem kosztów, by dać godną oprawę swej kolekcji dzieł Rubensa, Rembrandta, Poussina i wielu innych. Przyległe pasmo lasu obrócił w romantyczny gaj z grupami ozdobnych drzew i mauretańską wieżą, pocięty kapryśnie wijącymi się ścieżkami do polan z posagami i altankami i na szczyt walijskiego kopca. Krążył tu całymi dniami z piłą i siekierą, sam wycinał drzewa, które mu nie przypadły do gustu i sadił inne, bardziej malownicze. Ale najwięcej serca włożył w park ciągnący się doliną od pałacowych tarasów aż po żywopłoty dzierzawców z Holme de Braose. Wszystko w nim przeplanował, wprowadzając kunsztowny nieład, grupy barwnych krzewów, altanki, sarkofagi i świątynię dumania. Ledwo się z tym uporał, już musiał rozrastającym się drzewom przycinać gałęzie, które zaczynały mu psuć kompozycję i przysłaniać piękne dale, i wśród tych zatrudnień nie spostrzegł, że w świecie jest coraz dziwniej a w Paryżu spadły królewskie głowy. A przecież wcale nie zagrzebał się w wiejskim partykularzu: tłumaczył Homera i Pindara, korespondował z uczonymi klasycystami o tajnikach wymowy i wersyfikacji Greków i Rzymian, z malarzami o sztuce, a stołeczni księgarze nadsyłali mu nowości. Znalazł przy tym czas na napisanie swego *opus magnum*, wielkiego dzieła pełnego eleganckich cytatów i dygresji. W tym *Eseju o malowniczości porównanej ze wspaniałością, czyli o studiowaniu dzieł malarstwa w celu poprawiania żywych krajobrazów* zawarł całą swą wiedzę o urządzaniu ogrodów. Dzieło, wydane gdy świat pierwszy raz usłyszał imię Napoleona, zelektryzowało i podzieliło na zwalczające się obozy wytworny świat. Na polemiki wylano morze drukarskiej farby; gdy Korsykanin wyruszał na swą arabską awanturę, typografowie bili już trzeci nakład *Eseju o malowniczości*, a liczba wywołanych nim druków przekraczała setkę, nie mówiąc o ręcznie przepisywanych traktatach, krążących od salonu do salonu.

W jego czasach Crowley był przez kilkadziesiąt lat ozdobą Marchii. Choć do stolicy było daleko, zjeżdżała tu śmietanka intelektualno-artystyczna. Wordsworth pisał tu wiersze, Lawrence i Gainsborough malowali gospodarza z rodziną, Sheridan polował namiętnie a pudlarsko a jego żona śpiewała jak cherubin,

aż Sir Evelyn płakał z zachwytu, jak zwykle w obliczu Piękną. Zjeżdżali też cudzoziemcy, i to nawet z bardzo daleka, jak uroczą polską księżną Izabelą Czartoryską, zwabioną tu sławą ogrodów, ich twórcy i jego kolekcją dzieł sztuki. Jeździła konno po crowlejskim lesie, od strażnicy aż po Skaczącą Damę, skąd widać na niebie góry Walii, albo znów pogrążona w zadumie błądziła po parku, gdzie na gawronim drzewie wyrzyła cyfrę swoją i kawalera de Lauzun, a na innym swoją i księcia Repnina, bo właśnie była w rozterce. Czy mogła przewidzieć, że sto osiemdziesiąt lat później jej podle urodzeni rodacy wdepczą w ziemię, zamienią w kartofliska, kurniki i łany kapusty resztki tego piękna?

Ze śmiercią wiekowego Sir Evelyną w 1829 roku rozpoczął się zmierzch crowlejskiej świetności. Jego jedynak, Sir Robert, był człowiekiem całkiem innego pokroju: gustował w wesołym życiu i zgiełku stolicy, przy czym miał żyłkę do kart, konnych wyścigów i cudownych interesów, toteż wlaź w długi i na długo przed swą bezpotomną śmiercią wyprzedził najpierw konie i obrazy, później zaś po kawałku cały rozległy majątek. Crowley z przysiółkami nabyła bogata farmerska rodzina ze Staffordshire nazwiskiem Craven. Pańska rezydencja była jej potrzebna, by wejść w eleganckie towarzystwo, ale nie na wiele się to zdało, bo pańskość trzeba jednak mieć we krwi. W ich sprawnych rękach majątek profitował, ale Crowley szybko tracił swój blask. Przemysłne ogrodowe kompozycje Sir Evelyną dziczyły, gałęzie strzelały górą i na boki, przysłaniając rozległe pejzaże, którym miały być przecież oprawą, jak rama dla obrazu. Czas bez przeszkód kruszył nosy posągom, korzenie roślin rozsadały zwierzące urny, podwężały balustrady, a romantyczna ruina na wysypce stała się ruiną posępną. Były to wszystko rzeczy niedochodowe, więc Cravenowie nie przejmowali się nimi — najwyżej kazali usunąć, co już nazbyt było szpetne. Dość, że dbali o pałac, w którym się przecież mieszka, i o kwietniki na tarasach.

Tak przeminęło kilka pokoleń i przyszła druga wojna światowa. Rząd JKM zarekwirował pałac z parkiem na obóz wojskowy, a starszej pani Craven przyszło się wynieść na wielką farmę do Yatton, skąd pilnowała majątku dla synów-lotników. Nie wrócili z wojny i teraz nikt już się nie przejmował dziełem Sir Evelyną. Zdziczałe klomby drzew i krzewów wycięto bez litości, by na ich miejscu ustawić baraki, sam zaś pałac zmieniono w biura, świetlice i kasyno oficerskie. Najpierw stali tu Kanadyjczycy, po których — ku uciechu dziewcząt z okolicznych wiosek — przyszli Amerykanie, i ci dokończyli dewastacji. Gdy wreszcie nadeszła kolej na Polaków, nie było już czego niszczyć:

w pokojach dyndały ze ścian pasy dartych dla zabawy tapet, kominom poodbijano ozdoby, rozwłóczono meble, których pani Craven nie zdołała zabrać do mniejszego domu, i po barakach, a zwłaszcza na śmietnikach w chaszczach pod lasem można było oglądać resztki filigranowych, błękitną materią krytych krzesłek, pozłacanych stoliczków i serwantek i kawałki potrzaskanych, mętnych ze starości luster. Pałac był zbyt zniszczony, by stara pani bez wielkiego nakładu kosztów znów mogła w nim zamieszkać i przywołać park do jakiego-takiego porządku. Wcale się zresztą do tego nie spieszyła, skoro była sama na świecie, toteż chwilowo wyzbyła się kłopotu, gdy longfordzki magistrat zgłosił chęć wydzierżawienia obozu (ale bez pałacu) na osiedle dla uprzykrzonych eks-aliantów i ich rodzin, które teraz przeszły pod jego mieszkaniową opiekę i nie było ich gdzie podziąć.

Tak dokonało się dzieło postponowania Crowleyu, a to dzięki zapobiegliwości tych cudzoziemców, którzy teraz rozkopali każdy dotąd nietknięty kawałek ziemi by zasadzić kartofle i kapustę, a w ustronnych miejscach stawiali kurników, skąd trąbienie ogromnych kurów zagłusza tradycyjne gawrony. Przez te wszystkie lata nie upomniała się o szacowny zakątek ani stołeczna Komisja Opieki nad Zabytkami, ani profesorowie z Angielskiego Towarzystwa Historycznego, ani nawet Klub Historyczny czy Miejskie Muzeum w Longfordzie.

A jednak Sir Evelyn miał coś z proroczego ducha, gdy komponował artystyczną ruinę na wyspie, poszerzał zarośniętą fosę i obsadzał ją płaczącą wierzbą by stworzyć konieczne dla malarzkich efektów jeziorko. Gdy rzecz ukończył i ogarnął okiem estety, nad wodą u stóp ruiny kazał ustawić wielki gład i wykuć na nim *Non omnis moriar*. Później, wbrew muzeum i historykom, okazało się, że to święta prawda. W Holme de Braose, w przysiółkach i rozrzuconych farmach, a nawet we wsiach z tamtej strony lasu i za Skaczącą Damą dotąd go pamiętają. Nieraz z głębi lasu słychać łomot siekiery, całkiem przecież różny od kucia dzięcioła, który echo szeroko roznosi ze wzgórz, a wiadomo że gajowy czuwa i nikt nie ma prawa niczego tam rąbać bez zezwolenia. Stąd każdy wie, że to Sir Evelyn, wypłoszony z parku, który mu zmieniono w zgiełk i abominację, jak dawniej chodzi po lesie z piłą i siekierą i oddaje się swym ulubionym zajęciom. Różni go widzieli i jeszcze nieraz zobaczą: jest niewysoki, silny i zręczny, a ruchliwy przy tym jak seter, a jego ulubione wiewiórki kręcą się przy nim, siadają mu na głowie i na ramionach. Nikt go tu nie unika, bo bać się nie ma czego: jest ludziom życzliwy, w każdym razie nikogo nie skrzywdził. Milcząco skinie na powitanie, przyjrzy się bacznie napotkanemu,

jakby próbował zgadnąć do którego z jego dawnych dzierżawców jest podobny, uśmiechnie się i już go nie ma — jakby się zmienił w pień drzewa, tylko spłoszone wiewiórki śmigają po nim do góry. Jedynie Słowianie z obozu nic o tym sąsiedztwie nie wiedzą, a on sam też chyba nie ma chęci zawierać z nimi znajomości. Jest oczywiste, że nie lubi tych wulgarnych hodowców kur i pożeraczy kapusty — zanadto są różni od uroczej księżny Izabeli.

JESIEN

JAK CROWLEY ŚWIĘTUJE

Przez sześć dni Bóg stwarzał świat, oddzielał ciemności od światła i ziemię od wody, kazał zieleni i stworzeniu upiększyć ziemię i wydać nasienie wedle rodzaju swego. Na koniec ulepił z mułu Człowieka — koronę stworzenia i uczynił pomoc jemu podobną, choć służebną i nieco gorszą, i to była Niewiasta. Czego dokonawszy pobłogosławił dniowi siódmemu i uświęcił go, iż weń odpoczął od wszystkiego dzieła Swego. Wtedy właśnie Swoim przykładem nauczył Człowieka (ale nie Niewiastę) odpoczywać, i ten dzień zwie się niedzielą.

Gdy Bóg ukończył Swe dzieło i z kosmicznej przestrzeni ogarnął je wzrokiem, to uśmiechnął się doń, bo było dobre. A gdziekolwiek padł blask Jego uśmiechu, podwoiła się dobroć miejsca tego. Wśród wybranych zakątków były Marchie, gdzie cień Bożego wesela przydał rozległym dalom błękitnej zadumy, trawę uczynił zieleńszą, dęby potężniejszymi, bydło okazalszym, a szyszki chmielowe złotymi i pieniającymi się już w rękę zbieracza, bo zawczasu buzowało w nich piwo. Tylko z jabłkami nie całkiem wypadło, bo z Drzewem Wiadomości mało mieli wspólnego ci ubodzy krewni czyli *ciders*, ale był to tylko pozór, bo od wieków tryska z nich bladezłoty jabłecznik, uweselający ludzkie serca a zwany winem starej Anglii, który zbyt nachalnych czcicieli bez pardonu zbija z nóg.

Znów jest siódmy dzień tygodnia, jeden z tych, gdy niby w siódmy dzień Stworzenia niebo uśmiecha się do ziemi nieco melancholijnie, bo w złotym listowiu, pospiesznie dokwitających kwiatach i wilgotnych mgiełkach, których pasma snują się wśród czerwonych od głogu żywopłotów jest już zapowiedź zimy. Znad kopca ranne słońce patrzy leniwie w crowlejską dolinę, która tego dnia budzi się późno. Człowiek z Crowleyu i jego dzieci

rozkoszują się możliwością leżenia w wygrzanych betach, wolni dziś od tyranii budzika, a krzątają się tylko Niewiasty, stworzone ku pomocy Człowiekowi. On zaś przeciąga się leniwie, aż gnaty strzelają jak pistolet, i słucha jak szczury tańczą po dachu baraku. Dziś oddają się zabawie dłużej niż zwykle, bo ludzie późno wyjdą na dwór. Skaczą więc, tupią jak chłop w podkutyh buciorach, ciężko chlapią na ziemię, kwiczą jak prosięta i toczą się hucznie z krańca na kraniec dachu aż się trzęsie i pruszy do wnętrza wapiennym pyłem.

Niewiasty są zbyt zajęte, by przysłuchiwać się balom tego plugastwa, bo mają mnóstwo do zrobienia nim rodzina wyłuska się z betów. Bez ich krzątania nikt by nie zdążył do kościoła, drób trza nakarmić, ludzi też, a pranie i sprzątanie z całego tygodnia pchnąć na tyle, by do wieczora się z nich wygrzebać, żeby jutro na czysto zacząć tydzień na farmie albo w fabryce. Szczególnie ciężko z domową robotą w małych baraczkach na peryferiach obozu, tworzących osiedla Pod Lasem, Pod Kopcem, U Pałacu, Przy Dębie, Za Rzeczką i Pod Żywopłotem. Wodę trzeba tu dygać ze wspólnego kranu, pomyje wytaskiwać w krzaki, jedzenie gotować na wiecznie zepsutych i cuchnących prymusach i płytkach elektrycznych, a za potrzebą ganiać w każdą pogodę do specjalnego baraczku na końcu osiedla. Domki te budowano na czas wojny i dawno należałoby je zburzyć, są haniebnie mokre, wilgoć pełźnie po ścianach, przez dziury u fundamentów ulewy zalewają betonowe podłogi. Z dachu też leje się na łeb, zardzewiałe piecyki bekają żrącym dymem aż człowiek łzami płacze, a zetłate korki i kable trzaskają na potęgę i co rusz musisz siedzieć w ciemności. Za ten luksus longfordzki magistrat pobiera tygodniowo szylingów osiem i sześć pensów.

Ale w centrum obozu, gdzie komorne wynosi o cztery szylingi więcej, żyje się całkiem po pańsku. Mieszkańcy długich baraków połączonych krytymi korytarzami zażywają luksusów, o jakich większości w domu się nie śniło. Woda im w kuchni tryska z kranu, potrzeby załatwiają (co wielu żenuje) we własnym mieszkaniu, a do gotowania mają elektryczne kuchnie o dwu fajerkach, na których da się zagrzać nawet wiadro wody, żeby się umyć jak Pan Bóg z okazji dnia siódmego przykazał. Wszystkie te wspaniałości zawdzięczają magistratowi, który w zeszłym roku wziął się do przerabiania obozu na czynszowe osiedle. Długie baraki, w których niegdyś pokotem spało wojsko, kroi się w poprzek na mieszkania i zakłada kanalizację, a z wielkich hal wykrawa przytulne pokoiki. Szczęśliwcom, którzy już dostali te cuda, nowa pańskość uderza do głowy, aż niektórym zdaje

się, że zdolni są zdobyć wszystko, o czym zamarzą. A marzenia ich sięgają zawrotnych wyżyn, skoro główną w nich rolę gra własny dom pełen lokatorów, którzy go będą spłacać. Ten dom stoi w dużym mieście pełnym fabryk i nie znającym bezrobocia, tak że zręczny mężczyzna zarobi tam bajeczną stawkę dziesięciu albo (niech wierzy kto potrafi) dwunastu funtów na tydzień i żony nie będzie musiał niehonorowo posyłać do roboty. Takie sny trapią tylko młodszych, albo nawet tych starszych, ale z dużą i robotną rodziną. Ale póki co i marzyciele, i ci bez dalszych widoków wyzywają się w świeżo nabytych luksusach — że po tylu latach włóczęgi po świecie, podczas której nieraz śmierć i głód w oczy zaglądały i żyło się różnie, w *izbuszkach*, *kibitkach*, chlewach i namiotach, albo zwyczajnie pod płótem, pod matą podpartą kijem czy w słomianej budce mogą nareszcie zacząć żyć jak prawdziwi ludzie, a nawet sami zdecydować, jak te krzywe pokoiki na półtora okna sobie urządzą. Raz na zawsze wzgardzili wapnem i farbką do bielizny i taszcą z miasta rolki tapet — imitacji tłoczonych adamaszków (żeby było po pańsku jak w salonie) albo w wielkie róże, ptaki i chatki kryte słomą (żeby było swojsko i przytulnie), albo w różne złote błyskawice i zygzaki pod Pikasa (żeby było nowocześnie). A do tego sute koronkowe firany w róże i szlaki, linoleum także w róże, pikasy, parkiety i dziwa, a do salonu kwiecisty dywan, jeśli kogo stać. Jeszcze abażury wielkie i ozdobne: w róże, łabędzie, zwierzątka i ptaszki, o brzegach z jedwabną frędzlą, a jak kto bogaty, to funduje sobie ostateczny luksus: ogniami sypiące kandelabry od Woolwortha. Dopiero w tak wyporzadzonym wnętrzu staną godne go nowe meble, a to wojskowe paskudztwo porąbie się do pieca, a co się nie da spalić, wytaszczy w krzaki, za kurniki i kartoflika — niech się tam z nimi załatwi deszcz, śnieg, rdza i psotna dziatwa. Pozadłużali się w longfordzkich sklepach, ale za to pobrali na spłaty szafy jak domy, z lustrami od stóp do głów, krzesła i stoły na wysoki połysk, podwójne łoża wielkie jak galeony, które wraz z szafami wypełniają bez reszty małżeńskie (i te na dziko) sanktuaria. Na łożach leżą nowiutkie kapy od Hindusa, który co niedziela krąży od drzwi do drzwi i chętnie daje swe cud-towary na raty. Kapy te rodzą się w Italii i są godne królewskich sypialni: mają niezwykły połysk i w oczach zmieniają kolory, tak że każda jest pełna niespodzianek i starczy za kilka. Mienia się jak pierś rajskiego ptaka; patrzysz z tej strony: złocista. Od okna zajdziesz: modra z utajoną w głębi bordową łuną. Staniesz u drzwi: aż płonie cała nerwowym płomieniem, w fałdach zaś lśni zielono jak wnętrze szmaragdu. Ale to jeszcze nie wszystko, bo wśród tych barw i blasków roz-

kłada się w środku wspaniały wieniec róż a od niego kwietne sznury prowadzą ku rogom zapyony, do owalnych medalionów, z których wychylają się śliczne tłuste aniołki o bródkach w zadumie tłustą rączką podpartych. Cudneż bo cudne rzeczy robią w tej Italii; w longfordzkich sklepach ich nie znajdziesz. Dostać je można tylko u Hindusa, albo u eks-oficera Dywizjonu 303, który tu czasem zjeżdża z daleka. Ma powojсковą budę pełną towaru, ale (jak to Polak) za szybko chce się bogacić, głównym więc crowlejskim dostawcą cudów jest Hindus, zawsze przyjaźnie uśmiechnięty, który co niedziela taska od drzwi do drzwi nabite walizy i idzie naszym ludziom na rękę, jak się tylko da. Wie, że Polacy go nie zarwą, mogą więc płacić pół korony na tydzień, jeśli im tak wygodnie. Więc też i biorą u niego różności i tylko patrzą, kto urządzi się okazalej. Jedni zaopatrują się w przepiękne barwne portrety Ojca św. Piusa XII, na których ma takie gładkie różowe oblicze i każdą rzęsę odrobioną osobno bez pucu, okulary prawdziwie złote i tanecznie uniesioną prawicą błogosławi *urbi et orbi*, a całość osadzona niczem w poduszce we wspaniałej szerokiej ramie z bordowego aksamitu, inkrustowanej muszelkami, z napisem „Roma” — całkiem jakby się ją samemu przywiozło. Tak to ten poganin w turbanie dba o duchowe potrzeby naszego ludu i nawet jego duszpasterza, który na ostatnie imieniny otrzymał taki portret z fundacji Żywych Róż. I na tym jeszcze nie koniec, bo onże *pogan* dostarcza również lśniących jedwabście arrasów, po siedem funtów sztuka — okropnie drogo, tyle co mężowska tygodniówka, ale warto by dla nich żyć kartoflą, chlebem z dżamem i gorzką kawą, a przy praniu obywać się sodą po sześć pensów torba — ręce żre, ale dużo taniej od różnych mydeł i Persilów. Bo i pomyśleć: Persil spłynie do pomyj i tyle z niego pociechy, a dywanik świadczy o bogactwie domu. Każdy znajdzie coś dla siebie: jeden lubi tłuste amorki (zwłaszcza gdy są panny w domu), drugi po męsku — ryczące lwy, inny łanie u wodopoju albo kotki grające na mandolinie, zakwiecone chatki albo ruiny pogańskich świątyń — żeby było inteligentnie. A każdemu prawie przypadają do gustu sceny haremowe, które (zgodnie ze złośliwym pouczeniem profesora Koziewiczza, że to tematy biblijne) cieszą się w Crowleyu należnym szacunkiem jako przedmioty kultu. Prawie każdemu, ale nie wszystkim, bo wśród lokatorów nowych mieszkań jest paru zbłąkanych inteligentów: inżynier Jankowski, sędzia Hildebrand, gimnazjalny historyk Koziewicz i major Ostrowski. Ci, ledwo się wprowadzili do nowych pałaców, zaraz powyciągali z tobołów jakieś stare, niedożarte przez wojnę pasiaki, podlaskie płachty albo podebrane w świecie bawełniane narzuty z Persji czy Indii,

porozwieszali je na wybielonych ścianach i mówią, że ładnie. Nastawiali do tego bukietów z liści i innego śmiecia zatkniętego w gliniane dzbanki od Woolwortha i dalej żyją na wojskowych gratach. Wiadomo, że brak im forsy, skoro ich żony po wyjściu z fabryki czy innego pola po dawnemu rzną pranie, piorą mydłem i Persilem, a na obiad robią dwa dania i do chleba z dżemem jeszcze słodzą kawę. Ale to wszystko, to by jeszcze było nic, gdyby profesor (zatruty jęzor Crowleyu) nie powiedział kiedyś w nabitym autobusie, że skoro go nie stać na kulturalne meble i dywany, to woli wojskowe graty niż tę ohydną tandetę, jaką crowleyanie moszczą swe gniazda. Baby to oczywiście słyszały: Sitaczka, Burlejka i inne Żywe Róże, pyskate aż strach, i poniosły po obozie. Dużo to krwi napsuło na tych *jenteligentów*, że nawet teraz, kiedy każdy wraca z roboty jednakowo usmolony, nie chcą przyznać, że ichnie się skończyło, że teraz wszyscy równi, a równiejsi tylko ci, co łapy mają mocniejsze i lepiej potrafią zarobić. A do tych miłośników starzyzny trzeba jeszcze dodać wachmistrza Millera, który w dzień i od święta chodzi w mundurze i mieszka lada jak, urządzać się w Anglii nie ma zamiaru i żonie nie pozwala. Bo skoro jego Rząd go nie zwolnił, to jest żołnierzem na bezterminowym urlopie, ale zawsze gotowym na hasło do boju. No i jeszcze jest rotmistrz Wolniak, który po dawnemu śpi na żelaznym łóżku i siada na polowym krzeselku, ale nie z wojskowej wierności swemu Rządowi i Ojczyźnie, tylko dlatego, że ma postrzelane płuca i jest niezdolny do pracy, a na dodatek jako zatwardziałemu starymu kawalerowi brak mu niewieściej ręki.

Jedni w luksusowych mieszkankach w centrum, inni w paskudnych budach na peryferiach, szykują się do rozpoczęcia Dnia Pańskiego, a każdemu towarzyszą własne długi i kłopoty. W osiedlu *U Żywopłotu* pani Ciupkowa starsza wstała jeszcze za ciemna i wymknęła się do pralni. Płuca właśnie ogromne naręcza prześcieradeł i wyśpiewuje przy tym zawzięcie, a głos ma ostry i donośny, podskakujący na każdym rymie, by go przybić jak kijem. Uważa się za najlepszą śpiewaczkę w Crowleyu i w kaplicy przekrzykuje wszystkich wiernych, wedle uznania zwalnia i przyspiesza, wyprowadzając zgromadzenie na manowce, aż ksiądz Turkuć zgorszony odwraca się od ołtarza, a bywa że wyprowadzony z nerw sam grzmiącym basem na chwilę podejmie pieśń, by wszystkich zagłuszyć i wyprostować ścieżki Pańskie. A teraz słowa rzewnej pieśni zabarwiają głos pani Ciupkowej lirycznym drganiem i w porannej ciszy słychać go daleko, aż w trzecim baraku za pralnią, gdzie kapitan Górecki pali w łóżku fajkę samosiejki i ze złośliwym uśmiechem słucha wpada-

jącego przez lufcik koncertu. Tymczasem pani Ciupkowa napuszcza do zlewu farbkę i błaga:

*Ruoźwiń sja, ruoźwiń kwjateczku źtuoty,
Jutro uwjeńczysz me bujny spluoty,
Jutro ach jutro benda sja struoita
I benda swuoich goscjów bawiła...*

Przypominają się jej czasy młodości na wołyńskiej osadzie, gdzie przed laty miała takie wzięcie u kawalerki. Ot byliż czasy, Bożeczku tyż mój! Ani jej wtedy do głowy nie przyszło, że objedzie pół świata i wyląduje w tym oto Crowleyu. Tej pannie o bujnych *spluotach* też się nie śniło, co ją czeka, gdy stroiła się do ślubu. A na świecie, o Matko Boska, nigdy nie wiadomo. Pani Ciupkowej wzruszenie zatyka gardło, gdy wyzymając bieliznę kończy balladę:

*Gdy sja nazajutrz guoscje zjachali,
Zamiast wiesielja — w gruobje puochowali.
Nad jej muogito muzyka grała,
A matka, uojjec we łzach stuojała...*

Śpiewała to setki razy na wołyńskich polach i pod afrykańskim baobabem, i nawet pasąc byki w Kazachstanie, gdzie nikomu nie było do śpiewu, a za każdym razem na koniec musi popuścić parę łez, że jakaż to ludzka dola, ech Bożeczkuż ty mój!

Wcześniej też dziś wstała panna Zawisza-Kwiczół Maryla, a jest to jedyny dzień tygodnia, gdy ogląda wschód słońca. Robi to dlatego, by zdążyć na wczesną mszę o szóstej trzydzieści, wtedy gdy kaplica jest prawie pusta: cierpiąca na bezsenność babka Gąsowska i kilku jadących na *owertajmy*, po dobrą niedzielną zapłatę. Ksiądz Turkuć grzmi na takich przy każdej okazji i w niedzielnych kazaniach wraz z innymi okolicznościowymi gorszycielami zrzuca ich z ołtarza, przypominając pierwszych chrześcijan, którzy za swą wiarę szli ochoczo w płomień i lwia paszczę — a co dopiero wyrzec się niedzielnej mamony. Ale skutek tego żaden, odszczekują bezwstydnie, że ksiądz ich dzieci nie nakarmi, i opinia publiczna ich popiera. Wiadomo: jak mogą przed zimowym bezrobociem złapać forsy, to muszą korzystać, a może nawet gotowość na wezwanie szefa ocali ich przed zwolnieniem? No i zresztą gromić zanadto nie ma sensu, skoro bezrobotni płacą na księdza tylko pół składki, a na tacę kładą same miedziaki, jak dzieci.

Pustka w kaplicy — nawet jeśli dodać księdza i zaspanego

ministranta — sprowadza tu jeszcze za ciemna siwą, tęgą i czerwonicą pannę Marylkę przydomku Z Powołania Stara Panna. Bo na sumie o dziesiątej będzie tu pełno mężczyzn i dziatwy, a niektórzy przyprowadzą nawet po parę sztuk drobiazgu, choć nikt nie dorówna Śmidowiczom z dorodną ósemką i młodym Ciupkom z siódemką i ósmym ponoć w drodze. Ci parami jak wycieczka szkolna wchodzi do Domu Bożego, a Crowley z zainteresowaniem śledzi, kto kogo prześcignie. Tym razem chyba już będzie remis — wiadomo, że między dziećmi muszą być odstępy co najmniej dziewięciomiesięczne, chyba że Pan Bóg da komuś bliźnięta. I to błogosławieństwo Boże szalenie gra pannie Maryli na nerwach: nie cierpi widoku dzieci i trudno jej się powstrzymać od jadowitych uwag pod adresem ich właścicieli. A że złe nie śpi, mogą podsłuchać co tam sobie mamrocze i pod drzwiami świątyni wybuchnie pyskówka, niegodna miejsca i okazji. Lepiej oszczędzać nerwy i nie narażać się.

Od dawna krząta się również inżynierowa Jankowska. W nowym mieszkaniu życie ma szalenie ułatwione, jak nigdy od wybuchu wojny. Nie była wczoraj w fabryce i odwaliła pranie, tak że dziś może świętować. Starczy że sprzątnie, zrobi śniadanie i obiad, a zanim rodzina wstanie może zająć się winem, na które przez rok gromadziła kartkowy cukier i którego gąsiory od tygodni bulgocą na szafie. Ten winorodny mebel mimo świeżej politory „Ciemny Dąb” w latach swej chwały obsługiwał alianckich oficerów. Co wszelako nie ma wpływu na gatunek wina z jeżyn, czarnego bzu oraz paskudnych śliweczek zwanych damson. Pani Jankowska starannie odcedza płyn i owoc przeznaczają na śmietnik. Pośle później Kasię z miednicą tych śliwek i bzu, by je wywaliła w krzaki. Ale Kasia jest jak zwykle półprzytomna i zamiast skręcić na prawo w chaszczę i zwoje kolczastego drutu, idzie w lewo, na kryty korytarz, i dopiero sobie przypomina po co ją delegowano. Już ma zawrócić, gdy w kurniku za korytarzem wielki kogut państwa Kozickich trąbi jak syrena alarmowa. Dał radę wyłamać się z lokalu przemysłnie urządzonego w dziupli wielkiego cisu i wywiódł na świat swe damy. Teraz bierze go cholera, że dzień już na całego, a do żołądka nie ma czego wrzucić. Każdy wie, że Koziczcy śpią zajadlej niż inni, tak że ledwo zdążą na Podniesienie, i to jeszcze zapinają się po drodze, o swych stworzeniach mówią ufnie, że Pan Bóg opatrzy. Ale Bóg, jak każdy wie, nierychliwy, i Kasia żał się robi ptactwa. Wspina się na szaniec połamanych mebli i przez ogrodzenie wyspuje do kurnika zawartość miednicy. Kogucisko jest zaskoczony, dziwny z tego idzie zapach. Prze-

krzywia głowę, zrzedzi niezdecydowanie, raz i drugi grzebie pazurem, aż wreszcie skosztowawszy uznaje, że da się zjeść. Wzywa oblubienice do stołu, a Kasia rada wraca do domu.

Wkrótce dziesiąta, słońce wyszło nad kopiec i w pałacowych oknach zgasł ogień. Szczury znikły jak duchy, jakby ich nigdy nie było. Crowleyanie wstają i nakładają najlepsze szaty, przeznaczone do kościoła i na akademie, a zwłaszcza co kto ma nowego, by na sumie podać do wyceny publicznej i w zamian obejrzeć cudze nabytki. Ale na osiedlu *U Pałacu* pani Antoszkowa najmniej się przejmuje takimi pozorami. Nie raz publicznie ogłosiła, że „łachi to my mamy w nosje, my zjeść ljubim — dużo, tłuusto, kapustu, kartoflju z sosom”. Dawno już wróciła od kur i siedzi właśnie ze Stasjuczkiem nad wielką faską jajecznicy z wędzonką, a na rożku stołu jej niepozorny małżonek po cichutku zadawała się chlebem z dżemem, który dla chleba jest omastą, a dla kawy osłodą. Całkiem tu inny etos niż u pani Bielasowej *Pod Żywopłotem*. W piątek wzięła *wypłat* za trzy tygodnie chmielodarcia, a wzięła mnóstwo, bo to akord, a baba jak dynamo: łapska ma jak bochny i każdą robotę rozniesie w puch. W przeciwieństwie do Antoszkowej, Bielasowa z rodziną zjedzą byle co — znający się na kaloriach nie pojęliby, skąd w niej się bierze ta zajadła energia do roboty. Nade wszystko sobie ceni stroje i luksusowy wygląd mieszkania, a przy tym wie, że mimo dorosłych córek i wnuka jest jeszcze przystojną niewiastą. Więc jak wzięła ten *wypłat*, to całą noc doczekać się nie mogła wyprawy do Longfordu, od dawna bowiem marzyła o futrze, bo nic tak nie zdobi prawdziwej elegantki i nie gra tak na nerwach tym paniom, co by chciały uchodzić za najlepiej ubrane kobiety. Szczęście jej dopisało, bo u Jonesa właśnie tego ranka wystawiono dwa wspaniałe futra, które od paru lat zalegały sklepowy magazyn, i przypięto do nich kartkę „Specjalna Oferta”. Pewno że specjalna — takie bogactwo za funtów dziewięć i coś! Trudno powiedzieć, jakie stworzenia okupiły życiem ich istnienie: chyba uniwersalny *little king* (jak u rzeźnika Słowianie mówią o królikach), bo z niego można zrobić co zechcesz — lamparta, żrebaka, norki albo nawet (jak z diabelskim błyskiem w oku zapewnia profesor) gryfa, takiego właśnie jak zdobycz pani Bielasowej, rudawa w jasne pasy i orzechowe łapki, żeby było trudniej zgadnąć. Całość obszerna jak bojarska szuba — szeroko i długo do pół tydy, kołnierz jak peleryna i sterczy wyżej uszu: od razu widać, że projektowano nie dla dziadów. Więc oczywiście zakupu dokonała błyskawicznie, śmiech by się namyślać aż ktoś podłapie. Zaszła jeszcze do Peacocka po kapelusz, bordowy

aksamitny z woalem i bukietem kwiatów za uchem. Ledwo wróciwszy do domu, wpadła jak wicher do sąsiadki Góreckiej. Jest z nią w przyjaźni, co Crowley obserwuje ze zdumieniem — wiadomo że Bielasowa nie lubi inteligentów i zresztą piekielnica z niej pierwszej wody, nawet bić się gotowa — kobiety jej się boją, wołą ustąpić i w polu obejść bokiem. Ale kapitanowa co innego, na farmie robi jak każda i nie drze nosa jak choćby Ostrowska, która byle czego histeryzuje „szanuj mnie pani, bo jestem żoną majora!”. Ale ta nie cygani, uczciwie taszczy kubły i worki, na inne się nie ogląda. Dlatego na osiedlu *Pod Żywopłotem* jest jedyną, z którą Bielasowa nigdy się nie darła, choć byłoby łatwo po sąsiedztwie. Zresztą się opłaci, bo Górecka umie szyć i nieraz pomoże dopasować stroje. Więc też Bielasowa jest na nią łaskawa i nawet wybacza jej córkę, która niedawno poszła na studia, co jest niesłychanie irytujące jako próba zostania czymś lepszym oraz zły przykład dla przyzwoitych dziewcząt. Ba — nie tylko wybacza, ale nawet współczuje, bo sąsiadka chodzi jak dziadówka, w paletku wojennym z farbowanego koca, i tylko na niedzielę ma kupny płaszcz, ale bardzo zwyczajny (tak, tak: skończyło się *wasze!*) i nawet chętnie widziałyby ją jakoś lepiej ubraną, nie tak oczywiście jak ona sama, ale znów nie w tym kocu. Teraz wkracza do Góreckich jak królowa i od drzwi woła: — Patrz pani, co ja kupiła! Jakie śliczne, jaki szyk, no nie? — Obraca się wokół, zarzuca kołnierzem, tu szczyplnie, tam podciągnie, jak ptak co się iska. Przy każdym ruchu szuba szeleści jakby arkuszem blachy potrzasał, ale Górecka chwali, a jakże — podziwia: — Tak, pani Bielasowa! Piękne, pani Bielasowa! — a ta puchnie z dumy i rada by chwalącej nieba przychylić. Zapomina się do tyła, że woła: — Jedź pani, już, już! Czasu nie tracić! U Jonesa jest jeszcze drugie takutkie futerko, forsy zara pożyczę, żeby tylko kto nie poniósł! — Ledwo powiedziała, aż się przestraszyła, że jak ma drugie takie po Crowleyu chadzać? Ale zaraz się uspokaja, bo sąsiadka powiada: — Gdzie mi tak po pańsku się stroić, nawet nie marzę. Taki szyk, to na prawdziwą elegantkę. — Bielasowa przez moment wietrzy kpinę, ale zaraz się uspokaja — widać, jak jej zaimponowała. Więc z ulgą lituje się, że faktycznie ubiera się pani skromniutko. I dodaje życzliwie, że no nic, może i na was przyjdą lepsze czasy. Wreszcie majestatycznie odpływa do domu, by pół nocy rozmyślać, jak to jutro cały Crowley zblednie z zawiści, gdy wystrojona wkroczy do kaplicy.

Ale Crowley jeszcze nie wie, jaki szok go czeka. Słonko już stoi wysoko, złoto i ciepło jak na wiosnę. W taki dzień człowiek

wie, po co żyje, zwłaszcza jeśli wypadnie w niedzielę, dzień przeznaczony do oddawania Bogu czci, o czym niestrudzenie przypomina Ksiądz Turkuć. Czerwony na twarzy jakby krew miała trysnąć, pasjonat z urodzenia, szybki w czynach i szybszy w słowach, jest właśnie w złym humorze, jak zwykle gdy jest głodny. Od pierwszej mszy do drugiej musi czekać bite trzy godziny, a taki piękny dzień szczególnie zaostrza apetyt. Śledzi z napięciem ospały zegar, by wreszcie za dwadzieścia dziesiąta wybiec przed kaplicę i zawziętym targaniem za sznur od dzwonka rozładować nieco nerwy. Potem idzie prosto do zakrystii, dla ostatniego napomnienia sześciu ministrantów, którzy roją się w ciasnej bokówce. Opchały się gamonie świątecznym śniadaniem i widać jak ich roznosi, woleliby teraz siedzieć jak mały na drzewach, plądrować po krzakach i walić z procy, albo zakradać się w zakamarki pałacu — wszystko im w głowie, tylko nie Służba Boża. A najgorszy jest pierwszy ministrant, Heniek z czupryną jak kądziel i twarzą jak winne jabłko, najstarszy obwieś Śmidowiczów i filar artystyczny obozowych akademii. Zawsze myśli lichy wie o czym i ku zgorzeniu młodszych kolegów na zakończenie podaje swemu proboszczowi czarny ornat. — Co robisz, ośle, co?! Tylko mi spróbuj się zagapić przy ołtarzu!

Tymczasem crowleyanie ze wszystkich stron wyruszają do kościoła. Ci spod pałacu i od kopca muszą wyjść pierwsi, żeby być na czas. Od góry ziemia dudni pod panią Antoszkową, która sapie jak miech kowalski pchając wózek, w którym rozsiadł się Stasjuczek. Tłusty, wielki chłopak ledwo się w nim mieści, ale piechotą matka nie pozwala mu chodzić, bo by się zmęczył. Siedzi więc jak król, mimo letniej pogody przybrany w grube rajtuzy i obszerną króliczą szubkę, z kołnierzem podwiązanym chustą pod uszy — żeby się, broń Boże, nie przeziębził, i ssie smoka tak zawzięcie, że jego błękitne koło trzepie go po nosie. Co chwila go wypluwa, by skarcić rodzicielkę: — Jak leziesz, stara krowo? — Takie to mądre dziecko, samo z głowy wie jak stary. Za nimi drobi pan Antoszek w ciasnym demobilizacyjnym garniturku nakrytym jasnym gabardynowym płaszczem po kostki. Nie potrafi dotrzymać żonie kroku, bo nogi ma krótkie, tylko do kolan. A pani Antoszkowa sady długimi susami, jest zdenerwowana i poklina przez zęby: Szydlicha znów ją ubiegła, jej palto w czerwoną kratę miga daleko w dole, a przy nim wielkie, czarne grzywy jej chłopaków. Gna do Pana Boga niby do farmera po dniówkę, żeby chwycić najlepsze miejsca, na lewo przed ołtarzem. Jej mrukliwy, zwalisty małżonek wyruszy później, tak akurat żeby zdążyć na Credo, bo okrutnie nie lubi wysłuchiwać.

Od dębu kroczy pan Bieniarz z żoną i dwoma dorodnymi synalami. Żonę ma tęgą i sinolicą, z włosami opiętymi grubą siatą i w stroju niedbałym. W tej rodzinie on zadaje szyku i cały obóz zazdrości mu toczonej kibici jak u panienki, cienkiej w pasie, z foremnym biustem i ze ślicznymi małymi rączkami, co dziwnie pasuje do kwadratowej głowy ze lśniącą łysiną. Dbały o swój wygląd, pan Bieniarz każe żonie szyc sobie barwne, powiewne bluzeczki nisko rozpięte, a marynarki tak sobie dopasowuje do talii aż trzaskają w szwach. W świątyni trudno mu się skupić, tak go zajmują stroje obecnych pań i co z tego można zastosować do własnej garderoby.

Stroną ścieżką od kopca zstępują młode Ciupki, poganiając przed sobą urodziwą gromadę potomstwa. Starsza szóstka grzecznie kroczy parami trzymając się za rączki, a za nią postępują rodzice. Ojciec niesie swój najmłodszy skarb w błękitnym kocyku i pilnuje, żeby pary przystojnie się zachowywały, a młoda matka o potrójnym podbródku i piersi gruchającego gołębia jest nieobecna duchem. Uwagę jak zwykle skierowała do wnętrza i nadśłuchuje co się w niej dzieje: pewne poszlaki nasuwają przypuszczenie, że Pan Bóg znów ją pobłogosławił. U wejścia do korytarza ich stadko zlewa się z nadlatującą właśnie hurmą Śmidowiczaków, które daleko w tyle pozostawiły swych rodziców. Starsza Kryśka ciągnie jak worek małego Pawełka, który mało nóg nie pogubi i ryczy w bezsilnym proteście. Wybuch kotłowania, pan Ciupka zabiega z boku jak owczarek, rzuca komendy, rozdaje kuksańce, i przejdzie dobra chwila zanim wypłacze swe stadko i znów ustawi dwójkami według wzrostu, by już teraz bez żadnych zakłóceń ładnie wkroczyło do kaplicy i po porządku zajęło półtora rzędu krzesel po prawej stronie.

Temu zderzeniu dwu fal przygląda się z narożnego baraku panna Maryla. Odsunęła firankę i z obrzydzenia wywiesiła się za okno aż po pas. Mamrocze i spluwa do ogródka, i kto jej tego zabroni? Jej brat, Beno, jest już w kaplicy i aż tu słysząc basowe porykiwania, piski cienkie i grube, tak zawzięcie wypróbować fisharmonię. Jest on zdeklasowaną ofiarą wojny, więc zna się na muzyce, jak i innych sztukach wykwintnego życia, a nawet umie rozpocząć solo pienia religijne, bo w dobrych czasach zdobył był maturę u ojców jezuitów w Chyrowie.

Teraz już laikat sypie się licznie ze wszystkich stron. Poubierane w co mają najlepszego, rodziny z dziatwą kroczą od lasu, od kopca, pałacu, żywopłotu, spod lasu i zza rzeczki. Tylko tam, gdzie korytarz zakręca, by minąć starożytny cis z kurnikiem państwa Kozickich, nagle powstaje zator. Dzieją się tu rzeczy nigdy

niewidziane: kogucisko wali skrzydłami, pieje bez przerwy i chwije się na nogach, całkiem jak pijane, a kury zataczają się, jedną łapą przydeptują drugą i padają — zupełnie jak prezes Sitak, gdy się urznie na Nowy Rok. Na kurach tu się każdy zna, ale nikt czegoś takiego nie oglądał, toteż wybucha zajadła dyskusja, padają diagnozy i gdy wreszcie zebranych ogarnia popłoch, że zwali się nowa zaraza i na zimę zabraknie jajek, znużona dziatwa zaczyna wołać siusiu, co przywołuje wszystkich do rzeczywistości i każe szybko się oddalić we właściwym kierunku, gdzie Beno coraz rozgłośniej przygrywa na zapas i z taką determinacją dusi pedały, że skrzypienie starego instrumentu słychać aż na dworze.

W korytarzu przed kaplicą przysłuchują się temu poważni ojcowie rodzin i Ambroz Pocałujko; pozbywszy się kobiet i dzieci, będą tu stali przez następną godzinę ćmiać samosiejkę i dyskutując o polityce Rządu Londyńskiego oraz Prezesa Szczoteczki, aż grzmiące „amen” Księdza Magistra i łomot krzesel zrywającego się na Credo zgromadzenia każe im rozdeptać niedopałki i wkroczyć do świątyni, by zdążyć ważnie wysłuchać Mszy św. Gorszący to przykład dla dzieci i młodzieży, toteż ksiądz regularnie o to krzyczy i posyła Henia Śmidowicza w komeżce, by zaprosił zbłąkanych do wnętrza. Ale haniebny obyczaj nie daje się przełamać i nawet Heniowy ojciec nie raczy wyjąć z ust papierosa, gdy warczy: — Won smarkaczu, bo ci nogi z pleców powyrywam! — Ciężko być duszpasterzem w tak niedbałej parafii, strasznie się przez tę wojnę ludzie zepsuli. Nie to, co w domu ongiś, gdy cała wieś kapłana po rękach całowała i nikt się nie ważył sprzeciwić mówiącej przezeń woli Bożej, bo nie było tam fałszywej uczoności. A tutaj nigdy nie wiadomo, ludziom się w głowie poprzewracało jak ujrzeli kawał świata, i jeszcze ci inteligenci, którym się zdaje, że połknęli wszystkie rozumy.

We wnętrzu rozjaśnionym elektrycznymi świecami ze spływającym po nich sztucznym woskiem, które zdobią ołtarz z Matką Boską Ostrobramską, rozpoczyna się właśnie suma. Beno intonuje falsetem starodawną pieśń „Asperges me”, podchwytną ją ustawione w tym celu przy fisharmonii cztery Panny Na Wydaniu i dwie Młode Mężatki, a wierni wstają z miejsc. Ksiądz kroczy środkiem i zamazyście macha kropidłem, przy czym wcale się nie martwi możliwością uszkodzenia najelegantszych ubiorów, bo każdy wie, że w tym względzie woda święcona ma taki sam skutek jak zwykła. Nic dziwnego, że pani Grajdyłowa odwraca się w krytycznym momencie i siłuje się z lufcikiem, bo jej niby brak powietrza, co nie tylko chroni gors od zamoczenia, ale

też zwraca ogólną uwagę na nowy kapelusz z kogucim skrzydłem i wytworny wieczorowy płaszczyk haftowany na piersiach dżetami. O trzy rzędy dalej łagodna pani Bielińska (onaż Dubielowa) z rezygnacją przyjmuje wolę Bożą. Ma tylko dwa odwieczne kapelusze i na więcej ją nie stać, bo słabe płuca nie pozwalają jej na pracę w polu. Ten mniejszy, beżowy z brązowym fontaziem, który Koziewicz nazwał Rembrandtem, jest tu przyprowadzany na mniejsze święta. Duży biały, z rondem zadartym nad prawym uchem i przybitym wielką czerwoną kokardą zwie się Książę Bogusław i podobnie jak biały ornat Księdza Turkucia znamionuje święta o charakterze radosnym. Jest jednak wątpliwe, czy ta liturgiczność może podobać się Stwórcy, skoro pani Bielińska jest naprawdę panią Dubielową, bo pan Bieliński ma żonę w Krakowie, a pan Dubiel gdzieś się zawieruszył w Sowickim Sojuszu. Ale pomijając Rembrandta i przechodzone sukienki pań Koziewiczowej, Góreckiej i innych oraz antyczny *kościom* pani Ciupkowej starszej, jest tu dziś pełno nowonabytej elegancji, bo farmerzy wypłacili w piątek zaległe dniówki. I te nowości nieprzystojnie odrywają uwagę wiernych od celu, dla którego tu przybyli, tak że nawet nie bardzo rozumieją, co śpiewają pod ostrym, szusowatym przewodem pani Ciupkowej starszej, której fantazyjne sola przygłuszają Benona, cztery Panny Na Wydaniu, dwie Młode Mężatki i nawet rozstrojoną fisharmonię.

Zaraz ma się rozpocząć Ewangelia, gdy od drzwi narasta rozgłośny szelest, jakby kto włókł blachę po bruku, i ku niemu odwracają się wszystkie głowy. Oczekawszy aż ludzie się usadowią, rozpromieniona pani Bielasowa wkracza zwycięsko do kaplicy i sunie pod ołtarz, żeby wszyscy obejrzeliby jej futro i kapelusik. Zepsuje to krew wielu paniom, o co właśnie chodzi. Zająwszy miejsce, odwraca się i kiwa do znajomych, potem znów wstaje otworzyć lufcik i, wyczerpawszy możliwości, sadowi się na dobre. Ale ledwo zdążyła rozgładzić wszystkie zmarszczki pod siedzeniem, lud wstaje na Ewangelię, potem zaczyna się kazanie i teraz wiadomo, że przez trzy kwadransy nic się nie będzie działo, chyba że ktoś ma pod opieką drobną dziatwę, która zaraz zacznie wołać siusiu. Jest to jej dobre prawo, toteż matki bez protestu, choć ze zbolałą twarzą, wyprowadzają milusińskich w nadrzeczne chaszczki, a sprytniejszy drobiazg zdąży obrócić parę razy nim wreszcie padnie wymarzone „amen”. Nawet zdyscyplinowane małe Ciupki cieszą się tym przywilejem i pod opieką ojca, grzecznie trzymając się za rączki, wychodzą parami, osobno dziewczynki, osobno ich braciszki, po drodze łypiąc zazdrośnie na Śmidowiczaków, którzy swobodnie a hucznie kur-

sują w te i we wte. W ten sposób Ciupka-ojciec traci najważniejszą część kazania, która wiele by mu dała do myślenia. Księdzu Turkuciuowi od dawna zbierało się na poruszenie tego drażliwego a okropnie ważnego tematu, o którym pod wielkimi nagłówkami piszą angielskie brukowce. Wie co prawda, że wyjąwszy Wolniaka jego dorosłe owieczki nie mówią tym językiem, ale profesor i jeszcze paru przegląda tubylczą prasę, a prócz nich gazety kupują liczni wypełniacze kuponów do zakładów footballowych, więc o zgorszenie nietrudno. Rzecz jasna, że ksiądz musi przestrzec wiernych, by nie znalazła się parszywa owca — tu, w naszym Crowleyu, w tej maleńkiej Polsce na wygnaniu, i żeby ta owca nie złąkomiła się na obietnice fałszywych mędrców, którzy proponują — wstyd powiedzieć — dzieci z próbówki. Wprawdzie dziatwy u nas nadmiar, ale nigdy nie wiadomo. Jakiś tak zwany „uczony” właśnie zrobił zarodek w próbówce i mniema się być Bogu równy! Zdemoralizowane gazety zachłystują się z rozkoszy i każdemu obiecują na zawołanie próbówkowe potomstwo, i to — żeby było ohydniej — od nieznanych „ojców”. A to gorsze niż cudzołóstwo, ruja i poróbstwo! Na samą myśl o takim monstrum głos kaznodziei przechodzi w rozpaczliwy krzyk, który słyhać aż w osiedlu *U Żywopłotu*: — Zaklinam was, najmilsi bracia i siostry, byście zakryli uszy wasze na pokusę szatańską i z obrzydzeniem precz ją od siebie odegnali! Bramy piekielne są szeroko otwarte dla gorszycieli!!!

Żywe Róże potakują ze zgorszeniem i odwracają się do zgromadzonych, wypatrując ukrytych bezecników. Nawet dziatwa zamilkła i strzyże uszami — kwestia pochodzenia gatunku niezmiernie ją interesuje. Tylko Mrs Mitchell z Holme de Braose uśmiecha się promiennie do swych dzieci, bo nie wie o co chodzi. Kaznodzieja zamilkł właśnie dla nabrania tchu, gdy poważny Kaziu Próchnicki, od dawna przeznaczony na księdza, wrywa się tubalnie:

— Mamuszu, czo to są dzieci z próbówki?

Spowita w liliowe aksamity pani Próchnicka podskakuje nerwowo:

— Milcz, milcz świntuchu! Jak ci ojciec wlepi pasem, to...

Ale reszty nie słyhać, bo powiedziawszy to najdrastyczniejsze, kaznodzieja przechodzi do rozważań teoretycznych. Otóż takie zarodki przechowuje się w lodówkach, gdzie czekają na zaszczerpienie w łono matki, aż zmaterializowane, użycia żadne kobiety zaspokoją swe grzeszne namiętności i pomyślą wreszcie o dziecku. A czy ci fałszywi prorocy zastanowili się, co się będzie działo z nieśmiertelną duszą takiej istotki, gdy będzie ona marznąć w

lodowce? Czy duszę można zamrozić, jak na przykład rybę i groszek? Pytanie to, najmilszy bracia i siostry, nie wymaga chyba odpowiedzi. Toteż w imię naszego Crowleyu — a wiem, że wszyscy jesteście ze mną — odpowiadam gorszyicielom: złe ziele będzie wycięte i rzucone w ogień wieczny, amen!

Ludzie wstają, ale ledwo Beno zaintonował Credo, drzwi pękają z hukiem na obie połowy i tłum ojców rodzin wpada do świątyni, kończąc pospiesznie zwykłą dysputę płatników Skarbu Narodowego z Mikołajczykami. Od żywopłotu sady wielkimi krokami kapitan Górecki, który dotąd pił w mieszkaniu kawę i czytał gazetę, nadśluchując w otwartych drzwiach, kiedy umilknie kazanie. Zdażył właśnie w momencie, gdy laikat zaśpiewał „upadnij na kolana, ludu czcigodny” i posłusznie to wykonał. Potem rozległ się pierwszy dzwonek i w tym momencie do wnętrza wpadli ostatni brakujący parafianie: czworo Kozickich, zdyszanych, głodnych, złych i w krzywo zapiętej odzieży. Zdażyli, choć można wątpić czy księgi niebieskie zapiszą im to na kredyt.

Teraz już wszyscy są w komplecie i nabożeństwo idzie szybko, tylko na lewo od okna gruba pani Sawicka tłumi się jak kura w kojcu. Wyszła za męża w wieku, gdy na ogół już się nie spodziewa dzieci, ale Bóg robi cuda bez żadnych próbek, więc ciągle jeszcze nie dowierza swemu szczęściu i co chwila mlaskając obcałowuje mamusine skarby, małego Rysia w różowym beciku z wstęgami i haftami. Przed chwilą zatkała mu uszka, by nie słuchał o tych fałszywych prorokach, a teraz tłumaczy mu głośno co ksiądz robi przy ołtarzu i dopytuje, czy mamusine skarby aby nie chcą siusiu. Że niemowlęta nie odpowiadają, wreszcie wychodzi z nim triumfalnie: niech każdy widzi, jaki to słuszny chłopak, który ma wszystko w porządku, nie gorzej niż inne dzieci! Później niektórzy rozniosą, że wyszła naumyślnie, by uchylić się od końcowych modłów za Ojczyznę i jej Legalny Rząd, a to dlatego, że Sawicki podobno stara się o angielskie obywatelstwo. Może być, ale faktem jest, że pani Sawicka i Rysio nie biorą udziału w chóralnych modłach nie tylko o Wolną Polskę, ale też za parafian, zmarłych i duszpasterza, o nawrócenie Anglii oraz gorszycieli, tych z próbkami i różnych innych, których pełno Szatan rozsiewa po świecie.

Wszyscy zgodnie odmawiają Zdrowaśki, tylko rotmistrz Wolniak dodaje w myśli (co wszelako wystarcza, by zarejestrowano w niebie), że w modlitwie o Legalne Władze chodzi mu o prawowitego monarchę, króla Feliksa I, obecnie panującego nam ze swej dalekiej pustelni, i o królową Teresę Marię — dziedziców tronu Piastów i Jagiellonów w myśl Konstytucji Trzeciego Maja

— jedynej legalnej, której żaden sejm nie odwołał i która ma przeto moc obowiązującą. W tym też duchu dołącza się do ogólnego „Boże coś Polskę”, które Beno gra tak potężnie, że się aż przypodnosi by wyprzeć ostatni dech z instrumentu. Książd Turkuć, popychając przed sobą trzy pary ministrantów, wychodzi spiesźnie do zakrystii i nareszcie może pomyśleć o śniadaniu, tak jak jego wierni o obiedzie. To znaczy niewiasty, bo panowie otaczają inżyniera Jankowskiego, kwestarza lokalnej komórki Skarbu Narodowego i członka aż trzech komisji rewizyjnych, i podejmują przerwana dyskusję na tematy zasadnicze: o konstytucji marcowej i kwietniowej i właściwej procedurze wyznaczania Głowy Państwa w trybie niezwykłym. Z boku obserwuje to szydlowie garść Mikołajczyków, skupiona przy swej tablicy ogłoszeń z zieloną koniczynką, oraz samotny Wolniak, jedyny przedstawiciel myśli monarchicznej na tym terenie. A tymczasem Nasze Panie, życząc sobie smacznego wprowadzają dziatwę i nawet elegantki wiedzą, że stać pod kościołem nie ma co, skoro wszystkie mody da się wygodnie oszacować na popołudniowej promenadzie, a dziś będzie szczególnie warto iść. Że Bielasowa zadała szyku i krwi napsuła — zaprzeczyć się nie da. A że dzień jest ciepły jak latem, tym rozkoszniej będzie obserwować jak się promiennie uśmiecha do męża (a każdy wie, że go trzyma za mordę!) i toczy wokół wzrokiem zwycięzcy, a w duchu okropnie klnie, bo pot zalewa jej oczy i chyba ciurka po nogach, tak cierpi we swym wspaniałym futrze zapiętym pod brodę, by tym piękniej pokazać niezwykły krój kołnierza.

KRÓLOWA CROWLEYU

Pani Antoszkowa idzie do kur.

O biodro oparła miednicę z żarciem, drugą ręką odgarnia pokrzywę i inne zielsko bujne a złośliwe, które tylko czyha, żeby jej spuścić za kołnierz zimną rosę albo ukąsić, zaplątać się pod spódnicę albo gdzie, bo pani Antoszkowa zwyczajem przodków gardzi spodnią bielizną, że to i niewygodnie i dla zdrowia niedobrze. Bujające pędy jeżyn z góry wychylają się na ścieżkę i patrzą, jak by jej zerwać z głowy grubą siatkę, która strzeże zarazem i siwego koka przebitego na krzyż dwiema wielkimi

szpilami, i uszu, i tkwiących w nich złotych kół, żeby broń Boże nie wypadły jak się schyli.

Nogi ma potężne, wbiła je boso w gumowe buciska i stawia szeroko — chlap! chlap!, a jak mocno przydepcie, to dźwięk się rozlega taki całkiem-całkiem... Ześlizgują się po mokrych wertepach, po czerwonej glinie, więc sapie jak miech, bo tuszę dźwiga znaczną, i przez zaciśnięte złote zęby poklina, że żeb cjebja, kab cjebja, i cholera mi rżęsiście okrasza, aż jej się żal robi, że Stasjuczek jeszcze śpi, a to by wszystko za nią powtarzał nad podziw udalnie. Mądre dziecko, choć jeszcze małeńkie i co też z takiego wyrośnie! Inne w jego wieku ledwo umieją wypaplać jakieś durne wierszyki, a ten wszystko sam rozumie jak stary — aż dziw ogarnia, że taki się jej przydarzył mądrała na stare lata.

Bo już myślała pani Antoszkowa, że tylko wnuki zostało jej bawić, co ich po starszej córce doczekała. Ale córka i zięć zwinęli manatki i aż ich za morze wyniosło, że to będzie dalej od mamusi. Tylko młodsza, Józia, została przy niej, kawalerowie zaglądali, a co który myślał o ożenku, to pani Antoszkowa wychodziła z nerw i nie czekając aż sobie pójdzie urządzała burdę z sąsiadami i konkurentów strach oblatywał, że gdzie tam taką teściową, co ze wszystkimi bierze się za łby. Więc kawaler zaraz wychodził w pole, niby za potrzebą, i tyle go widzieli. Bo i fakt, że ludzie się jej boją, i tylko najbardziej bojowe panie czasem się z nią mierzą na jęczory, a przede wszystkim ta koścista i jak pies gończy zajadła Szydlicha, żona wielkiego, ponurego Jakuba, co w magazynie Sajdera kpi sobie z dźwigni i równi pochyłych i ku podziwowi całej fabryki sam podnosi beczutki z jabłeczniakiem. Ale inni wolą omijać panią Antoszkową bokiem, schodzić z drogi, żeby sobie środkiem szła jak jaka królowa. Stąd profesor Koziewicz, sam z ostrego jęczora znany (ale inaczej), nazwał ją królową Crowleyu i tak się przyjęło, że potem inaczej nie mówiono. Poza tym słyneła i z tego, że jak była w Indiach, to małpy jej nie lubiły i ganiały za nią po gałęziach drzew starając się jej nasiusiać na głowę. I warto jeszcze dodać, że nawet kilkuletnia przynależność do Pierwszej Żywej Róży Pań w najmniejszym nawet stopniu nie potrafiła złagodzić jej burzliwego temperamentu.

Więc z tego wszystkiego pracowita, łagodna Józia rutkę siała, a tymczasem jej matka wydała się za mąż. Bo i czemu nie, skoro prawdziwa wdowa, męża policjanta Ruskie zastrzelili, co jeszcze za wojska świadkowie pod przysięgą zeznali. A teraz na tę nową żeniaczkę ludzie się śmieli, ale cicho i z daleka: że baba jak

nosorożec, gruba i bez bielizny, aż się wszystko na niej trzęsie, łapy jak u *miszki*, gęba niewyparzona, a jak siędzie jeść to najmocniejszy chłop by nie dorównał — co zarobi, to i zje. Aż tu raptem, jakby w jakiej komedii, przyplątał się ten Antoszek, maleńki taki i cherlawy, i taki dobry — cichutki. Jeszcze w wojsku koleżkowie się z niego śmieli, że tak się w kawalerstwie uchował i niewiast, stary chłop, boi się jak zarazy — oczywiście nie tych pestek, co jak wściekłe leciały na gwiazdki i bez kija nie podchodź, ale przydrożnych okazji w karawanserajach Teheranów i innych Bagdadów. Koleżkowie przynosili stamtąd zdumiewające wrażenia, od słuchania których robiło się dziwnie i musowo się z tego spowiadać. Ale on tak już wołał, jeszcze od młodych lat w domu, gdy brat ożenił się z taką dziewczynką delikatną i cichą jak myszka, co mu tylko w oczy patrzyła jakby się przypodobać. A ledwo wyszli z kościoła, to szatan w nią wstąpił i wiedźma się zrobiła na całą okolicę sławna, aż ludzie mówili, że gorszej cholery ze świecą by nie znalazł. Z rodziną i sąsiadami migiem go skłóciła i samego by chyba na śmierć zażarła, gdyby nie wojna. To pan Antoszek oglądał braterskie szczęście i było mu markotno, żeby tak samo nie popaść, więc sobie postanowił trwać w kawalerskim stanie, bo po babie nie poznasz, aż będzie za późno. A potem, jak go wojna nosiła światami, to nawet był rad, że o żonę i dzieci nie musi się gryźć jak inni.

To były dobre czasy — oczywiście nie na Workucie, tylko potem w wojsku. Siły wyższe same go rzucały to tu, to tam, odziewały, karmiły i nawet potrzeby religijne zaspakajały do tego stopnia, że udostępniły mu Grób Święty i Złobek w Betlejem, i tę górę, gdzie się Pan Jezus przemienił, i jezioro, po którym chodził i inne cudowne miejsca, a za to wszystko żądano od niego tylko trochę pracy w obozowych warsztatach. Ale po wojnie, jak zaczął myśleć co dalej i że to dom rodzinny mu się wściekł razem z Wołyniem, jak się urządzić w tym dziwnym świecie, gdzie język i wszystko inaczej niż u ludzi, to wydało mu się, że z kobitą byłoby zręczniej, zwłaszcza że człowiek już niemłody i tym bardziej potrzebuje drugiego człowieka. Więc jak jechał na Boże Narodzenie do Crowleyu, do kamrata z wojska, to wystroił się godnie, bo nigdy nie wiadomo dnia ani godziny. Garnitur nałożył granatowy w jasne paski i trochę na wyrost, koszulę doń modrą jak niebo, krawatkę bordową, buty zaś żółte i solidne, co przy każdym kroku grają jak zepsute organy. A na to wszystko płaszcz, co go od Króla dostał — bardzo długi a szeroki, z jasnej gabardyny i przepisowo rozpięty żeby pokazać szal biały, jed-

wabny a powłóczysty z misternie wiązaną frędzlą. Na głowie, ma się rozumieć, brunatny pilśniowy kapelusz z rondem rozległym jak u kowboja. I rzeczywiście całe to oporządzenie mu się przydało, bo zaraz na pastercie zobaczył swoje szczęście. Nie-wiasta postawna jak lubił wpadła mu w oko, a jak się dowiedział że wdowa i wnuki ma we świecie, to pomyślał że chyba sam Pan Jezus mu ją pokazuje — nawet jak i była cholera, to już się przecież zdążyła ustatkować. A ona znów kombinowała: czemu by nie? Życ jakoś trzeba, przyda się chłop żeby robił, a przy tym jej podpadł, że taki szykowny i delikatny, łatwo sobie da z nim radę. Więc przycichła na ten czas co tu był i potem znów, jak przyjechał w niedzielę dawać na zapowiedzi. Koleżka się przestraszył jak zmiarkował co się święci, próbował go ostrzec, ale on nie chciał potwarzy słuchać — wiadomo co złe jęzory potrafią. I tak na Gromniczną zjechał do Crowleyu z workiem i skrzynką, ożenił się i został na dobre. Robotę sobie w mieście znalazł, bo wiadomo że dobry cieśla nigdzie nie zginie, chyba na Workucie. Tylko że tu wcale nie potrzebowali dobrego. Więc teraz chodził po budowach, fabryczne drzwi i okna dopasowywał, a takie wszystko drańcie, że wstyd mu było ręki do tego przykładać — swemu psu i to na budę dałby lepsze, niż ta mokra sosna, z której drzwi już po dwu miesiącach nie będą pasowały, a okna zaczną się krzywić, że ani zamknąć, ani otworzyć. W domu też zadowolenia nie znalazł, bo ledwo swój stan odmienił jak pojął, że bratowa złej pamięci, to jeszcze jakby jagnię przy jego jedynej. I straszno mu się zrobiło, że tak oto dopadło go to wszystko, czego unikał przez tyle lat. Zaczął nawet przemyślać o ucieczce, aż tu się okazało, że Stasjuczek w drodze. Sam w to nie mógł uwierzyć, ale jak już musiał, to się okropnie cieszył, bo dzieci bardzo lubił, a myślał że swoich już się nie dochowa. No i kobiety mówiły, że jak się dzieciuk urodzi, to się matka odmieni. Więc został i czekał na tę odmianę, a jak Stasjuczce minęły trzy latka, to już na pewno wiedział, że się nie doczeka. Ale przywiązał się do dziecka, choć jak matka za nic go miało, a na dodatek smutno było patrzeć, że ledwo odrosło od ziemi, a już ruga się jak stary żulik. Od matki ponauczało się różnych słów. Ale cóż mógł poradzić: chłopak cały czas z matką, a on przy robocie, jeździ po całej Marchii gdzie firma co buduje — no to jak go ma po swojemu wychować?

Ale to wszystko na boku, żeby niewieście przydać właściwą oprawę. Teraz właśnie jest ranna godzina, w dolinie leży mgła i jak koraliki osiada na zielsku, krzakach i pajęczynach, kapie na ziemię i słonko przez nią ledwo przecieka, a pani Antoszkowa idzie sobie do kur. Miskę z żarciem na biodrze niesie, nogi jej

chlapią po glinie i ziemia dudni, a jeżyny nic tylko patrzą, żeby jej zerwać z głowy siatkę i ukraść z uszu złote koła. Ścieżka wije się przez chaszczę, omija co większe kępy i wznosi się w górę, po drodze rozwidlając się na mniejsze tunele, u końca których na wykarczowanych polankach rozsiadły się kurniki. Za kurnikami żywiół szaleje na dobre, ziemia zasłana milionami zardzewiałych puszek z wojskowej kuchni, pnącza oplotły brzoźki i grabinę, pokrzywa i oset bujają niby drzewa, a wszystko przeciąga wierzбина i wata z góry sypie. Gąszcz to nieprzebyty, zasięki spojone żelaznymi łózkami i innym *barackiem*, które nie nadaje się nawet na opał, drańskimi materacami w czarne paski, z których wybebesza się brudna wata i jakieś złowieszcze kłaki, że lepiej się z bliska nie przyglądać. Cały ten kram przypomina niedawne dziadowskie czasy, które ludzie z obozu wołają na zawsze zapomnieć, odciąć się od nich koronkową firanką i innym luksusem. Więc te wojskowe graty wywalają precz w krzaki, w pokrzywy jak największe, za kurniki gdzie nikt nie chodzi i tylko koty albo dzieci potrafią prześliznąć się do lasu na lewo i do pałacowego ogrodu w górze. W tych ostępach również kury wybierają wolność i przeprowadzają się do cudzych kurników. Nie ma ich jak tu chwycić i zmusić do posłuszeństwa prawowitej władzy, zwłaszcza jeśli władza jest rozmiarów pani Antoszkowej i nie da się rady tędy precisnąć. Więc jej piękne kury, pstre i czerwone, i kogut z grzebieniem na bakier nad obłąkanym okiem, z piersią mieniącą się jak włoska kapa na łóżko, zły jak szatan, który tylko patrzy jak człowiekowi skoczyć na plecy, skrzydłami ogłuszyć i kuć po głowie, znikają bezkarnie w tym żywiolu, złażą z rodzinnej górki i mkną jak w dym prosto do kurnika tej przekłetej Cyganki-Uzbekzki, znaczy się Szydlichy. Wszystkie są na schwał wypasione i nośne, bo pani Antoszkowa nie tylko sama najwięcej ze wszystkiego lubi jeść, ale rozumie, że stworzeniu też trzeba. Więc też krzywda się jej ptactwu nie dzieje i czort nie pojmie, co je ciągnie za siatką. No, ale tak już jest: zielonymi tunelami spuszcza się z górki i prosto do Szydlichy. A chuda i skąpa Szydlichy przyhołubi je jakby nigdy nic i nawet jeśli odda, przyciśnięta do muru, to wyzwisk przy tym nasyczy aż hej! Będzie się upierać, że Antoszkowa wszystko ładuje do własnego kałduna, a ptactwu nie da, aż przychodzi cudze obżerać. I jeszcze: że Antoszek haruje, a na autobus nie ma i piechty musi dymać, zaś w święto do kościoła chodzi w wyświechtanym garniturze co jeszcze król mu dał, bo co zarobi, to baba i dzieciak mu zeżrą. We dwójkę — żeb tak zdrowa byłam! — dwadzieścia jaj na śniadanie wpakują i patrzą co by jeszcze. I że nic dziwnego, że dzieciak ledwo się rusza,

gruby jak stary Siemieniuk i ludzie mówią o nim „Faruk”. Tak opowiada i że też kary Bożej nie ma na taką zarazę! A kab cjebja zjemja zeżarła, pokrako, k..., makutro tyż jedna! Tyż nam żreć dajesz, że swoim dziećjom żałujesz? Jak wczoraj na kopaniu farmerskiej kartofli Szydlicha znów zaczęła takie gadki kobietom opowiadać, to pani Antoszkowa kubeł cisnęła, kija Stasjuczkowi wyrwała i puściła się z nią przez pole, że aż Fred traktor zatrzymał i tylko z siodełka pokrzykiwał jak na pieskowych wyścigach. Szydlicha uszła w żywopłoty, aż bażanty z nich z wrzaskiem wyfrunęły, bo chuda i zwinna jak lisica — gdzie tam Antoszkowej ją ścigać! Stamtąd wołała, żeby ją pocałować — uch, bezwstydnica! — ale Fred zapuścił motor i krzyknął „work!”. To pani Antoszkowa nic więcej na ten raz nie mogła zrobić.

Zresztą i Szydlicha nie bardzo da się lubić, plotkara zawołana, a nos ma długi i z ruchomym końcem, z dała wywęszy to, co zwykły człowiek musi sam zobaczyć, żeby wiedzieć. Na robotę i zarobek zażarta jak pijawka i, aż dziw powiedzieć, zdaje się pracować na kilku farmach naraz: tu akordowo chmiel drze aż furczy, ówdzie kartofle za traktorem podnosi, a jednocześnie widziano ją w sadzie za rzeką, jak do Sajderowego worka zsypywała jabłka. A przy tym ile razy pójdziesz po jeżyny na peryferie Crowleyu, to ją tam spotkasz jak taszczy pełne kubły i sprzedaje do dzemiarni Gloria Longfordu. A przy tym wszystkim głosem mówi cichym i zbołałym jakby ją stale brzuchobolało, a jak wpadnie w złość, to jeszcze ciszej i syczy przy tym jak gadzina, a te czarne oczka robią się jej wąskie i ostre jak noże. Już ja ci te ślepja — pani Antoszkowa po raz któryś zaciska pięść i lży w przestrzeń, gdzie najwyżej drób może ją usłyszeć. I tą pięścią jak trzecią nogą się podpierając włazi na stromy kopiec, który sterczy z tego morza zarośli jak samotna wyspa. Roztacza się stąd widok na inne kurniki, a z tyłu przesmyk spada na drugą stronę, by mimo władztwa Szydliczy znów pobiec w górę, aż do niskiej szkarpy ze zdziczałym cisowym szpalerem, za którym rozpościerają się pałacowe tarasy. Na rabatach, wśród rozchełstanych cisów uformowanych ręką dawnego ogrodnika w koguty i piramidy, z których teraz gałęzie strzelają niechlujnie na wszystkie strony, wśród zdziczałych krzewów, starożytnych róż i bukszpanowych płotków po których skaczą węzowiska jeżyn, dogorywają ozdobne urny o wyszczerbionych brzegach, które jeszcze stoją na słupkach spowitych w bluszcze i barwinki. Na zaśmieconym basenie, na którego dnie widać w słońcu zwały pordzewiałych puszek, dziczeją różowe lilie, a w środku dotąd uchował się ślepy amorek z odbitym nosem i plecami w żółte liszaje

porostów. Amorek mocuje się z wielką rybą o rozdziawionej paszczy, z której niegdyś buchała woda, i kokieteryjnie wypina tłustą pupę w stronę opuszczonego jak on pałacu.

Takie więc malownicze tło ma kurnik pani Antoszkowej. A po prawej stronie widnokrąg zamyka pasmo lesistych wzgórz, co od walijskich gór, mimo pałacu i lasu, Crowleyu, pastwisk i Holme de Braose biegnie w głąb Marchii aż do wielkiej rzeki, gdzie się wygładza na nadbrzeżnych łąkach. Ale nad rzeką lubią się włóczyć opary, więc z kurzego kopca trudno zgadnąć co dzieje się w miejscu, gdzie niebo styka się z ziemią. Tylko w pogodny dzień bystre oczy potrafią tam wypatrzeć wielką, kwadratową wieżę longfordzkiej katedry i towarzyszące jej iglice: Świętego Piotra w Okowach i Matki Boskiej w Polu.

Między wzgórzami a obozem ciągnie się reszta pałacowego parku, usiana wielkimi drzewami. Tu dzierzawcy pani Craven wypasają swe krowy, a crowlejscy Słowianie zbierają wstrętne trujące grzyby, na które zawziął się śmiertelnie dr Lloyd. Klnie je szczególnie wtedy, gdy nocny telefon ściąga go aż z Madley po tamtej stronie wzgórz do łoża nagłej boleści tej cudzoziemskiej hołoty, której baraki cuchną ohydnie gotowaną kapustą i dymiącymi obrzynkami od bekonu, kupowanymi w mieście na stoiskach „dla twego psa”. Na samą myśl o tych cudzoziemskich obrzydlistwach burzy się choleryczny celtycki temperament doktora Lloyda. Dawno już zapowiedział, i przez Wolniaka nasobaczył, że jeśli w cywilizowanym kraju nie chcą się nauczyć jadać jak ludzie, to niech mu po nocach nie kradną zasłużonego odpoczynku. A i przyszłość nie zapowiada się lepiej, skoro dzieci od maleńkiego napychają tym paskudztwem, jak choćby uprzykrzona Mrs Antosheek.

Ale mniejsza o doktora — napatoczył się przy tych grzybach, które rosną na pastwisku koło obozu: sitaki, siniaki z czerwonym spodem, bedłki sine, czerwone i szare, a zdarzają się nawet prawdziwki. Więc taka jest prawa strona Crowleyu, gdzie lęgną się zatrucia i nocne telefony po doktora Lloyda.

Ale pejzaże, choćby i piękne, nie mają znaczenia dla pani Antoszkowej i tu pojawiły się tylko po to, żeby kurniki nie wisały w próżni i (jak wszystko w łańcuchu wszechrzeczy) miały swą oprawę: ledwo z obozu wyszło wojsko i ściągnęły niewiasty i dziatwa, wzięto się ciąć chaszczce i budować te budy i zagrody. Bo to jajka na kartki, tygodniowo dwa na twarz, zaś kura byle co zje, no i kukurykanie brzmi tak swojsko aż lżej się robi na sercu. Te kogucie chóry w nocy i o świcie, gdy w dolinie taka wielka cisza, echo niesie aż do wioski i przysiółków, gdzie far-

merzy, ich żony, dzieci i parobcy zdumiewają się: po co tym cudzoziemcom koguty, z których każdy żre za kilka kur, obrzydliwie hałasuje i rwie się do bicia? Kura, wiadomo, sama swoje zrobi, a że nic się z tego nie ulęgnie, no to co? Po to jest cywilizacja, żeby były fabryki kurcząt, które ładnie w pudełku zapakowane kupuje się co środę na farmerskim targu w Longfloodzie i kurom powierza na wychowanie. Kiedyś na kartoflach Fred spytał jedną polską kobietę po co są koguty, to ona najpierw nie rozumiała, a jak zakukurykał i wreszcie pojęła, to aż poczerwieniała, ale mu wyjaśniła jak umiała, troszkę słowami, więcej na migi, że kogut jest mężem kury i że każde stworzenie potrzebuje się żenić i wychodzić za mąż. A przecież nie od dziś wiadomo, że cywilizacja ulepszyła te rzeczy, ustanawiając, że nie tylko bydło i konie, ale nawet drobny żywiół jak psy i koty ma być dla komfortu własnego i właściciela wykastrowane i — co więcej — że one to nawet lubią. Ale koniec końców każdy został przy swoim.

Więc jak ci cudzoziemcy wzięli się budować kurniki, to cięli krzaki i wdzierali się coraz głębiej, aż przyszedli tu na górkę. Powitał ich widok niezwykły, a mianowicie coś na kształt kamiennej skrzyni na szerokiej podstawie, z wiekiem po dwu stronach poddartym do góry, a stało to między dwoma żałobnymi cisami. Na boku skrzyni były jakieś napisy przez żywioly i porosty nadgryzione i, choć krzyża nigdzie ani śladu, wyglądało to na grób. Każdy kto tu wlaź stawał oko w oko z tym grobem, żegnał się, odmawiał „wieczne odpoczywanie” i co prędzej zląził budować się w krzakach na dole. Donieśli oczywiście księdzu Turkuciuwi i nawet pytali, czy by nie przyszedł poświęcić, bo to pewno jaka chrześcijańska dusza, ale on nie wykazał żadnego zainteresowania — sam nie wiedział co to jest. Wreszcie Wolniak wdrapał się na górkę, rzecz oglądnął i nazwał uczenie „sarkofag”, a nawet odcyfrował niektóre słowa i orzekł, że to łacina i pewno greka. Potem nikt tu nie zachodził, bo po co ruszać umarłych, aż dopiero Antoszkowa umrzyków się nie zlekła. Wlaźła na kopiec i miejsce od razu jej podpadło, że takie ustronne i warowne, a zarazem daje wgląd w obejścia sąsiadów. I czy ma być lepsza od władzy duchownej? Ten kamień niby sarkofag i przy nim cisy w sam raz jej się nadały do podparcia dwu wielkich wojskowych szaf, które teraz przedzierzgnęły się w kurnik. Przy takim zapleczu stały jak mur, na kamieniu kury siadały grać się w słońcu, a cisy chroniły od deszczu i wiatru. I tak drób obrobił ten kamień, że aż zaczął wyglądać jak te różne bloki cementu i inne rupiecie porzucone przez wojsko. Ludzie najpierw się gorszyli, ale skoro w niedzielę Ksiądz Magister za świętokradztwo

Antoszkowej z ambony nie zrzucił, zapomnieli o całej sprawie. Najwyżej ten i ów pożałował, że sam nie zajął takiego dobrego miejsca.

Wstąpiwszy na szczyt, pani Antoszkowa odsuwa osiatkowaną ramę z alianckiego łóżka i wchodzi do środka. Zawartość miski rzuca na ziemię, drób tłoczy się wokół, poirytywany kogut próbuje zaprowadzić porządek w tym rozgardiaszu i namiętnie klnie. A gospodyni krzyżuje ręce na żołądku, staje opodal i patrzy z wielkim upodobaniem jak stworzenie żre.

JAK CROWLEY PRACUJE

Rzekł Bóg do Adama:

— Iżeś usłuchał głosu żony twojej i jadłeś z drzewa, z którego ci kazał abyś nie jadł, przeklęta będzie ziemia dla czynu twojego. Ciernie i osty rodzić ci będzie, a ziele będziesz jadł ziemi. W pocie oblicza twego będziesz pożywał chleba.

Z powyższego jasno wynika, że ukarany ma przy pracy cierpieć i nienawidzić jej, bo gdyby znalazł w niej upodobanie, przestałaby być karą — tak właśnie, jak mija się ze swym pokutnym celem pokarm z ziela ziemi, przez sybarytów zmieniany w wymyślne sałatki, jarzynki i przystawki z oliwą, śmietaną, majonezykiem.

Ale Człowiek z Crowley sprzeniewierzył się przeznaczeniu synów Adama. Choć w przeważającej większości wyszedł z roli, to znaczy ze wsi i osad Wileńszczyzny, Podlasia, Wołynia i Małopolski Wschodniej, to po przybyciu do Marchii poczuł nagle nieprzewyżniony wstręt do przeznaczonej Adamowi ziemi. Farmerzy z Holme de Braose, okolic Longfordu i Madley, a także z Ercingu za rzeką szybko się do przybyszów rozczarowali. Bo gdy wyszło wojsko i rozniosło się, że Crowley będzie odtąd osiedlem uprzykrzonych eks-sprzymierzeńców, to nawet byli radzi: rąk do pracy na farmach strasznie brak i maszyny całkiem ich nie zastąpią. Angielski i walijski parobek ucieka do miasta, woli w fabryce pod dachem odrobić krótkie godziny i potem mieć czas na weekendy i miejskie rozrywki — nie to co na roli, gdzie byłoby żąda obsługi w świętek i piątek, deszcz i upał, a jak przyjdzie sezon na robotę w polu, to już w ogóle nie ma święta

ni odpoczynku. Spodziewali się więc farmerzy, że teraz Crowley da im pod dostatkiem parobków do wyboru, bo czy nie warto zamienić ohydneho baraku na domek z ogrodem, jaki robotnik rolny dostaje jako uposażenie, nie mówiąc już o pieniądzach i wynagrodzeniu w naturze, jak mleko, kartofle i drzewo na opał? Ale srodze się zawiedli, bo Człowiek z Crowleyu, tak jak ich własni ludzie, o roli słyszeć nie chciał i tylko stary Siemieniuk (Słomiany Wdowiec) ugodził się na farmę Mr Collinsa w Holme de Braose, głównie po to, żeby mieć miejsce na swą pasiekę, bo do pszczół miał smykałkę od dziecka. A co do innych, to okazało się, że mierzi ich sama myśl o ziemi i sto razy woła byle jaką fabrykę czy inną budowę, nawet z przywiązaniem do nich zimowym bezrobociem. Więc koniec końców to, co Bóg rozkazał czynić Adamowi, wzięła na siebie Ewa, której wyznaczono przecież całkiem inne cele: w boleści rodzenie dzieci i bycie pod mocą mężową.

I przez to sprzeniewierzenie się przeznaczeniu Adama w Crowleyu, tak jak wszędzie, gdzie na pamiątkę odpoczynku Bożego święci się niedzielę, najgorszy dla pracujących jest poniedziałek, a wśród nich najmocniej poraża maleńkiego pana Antoszka. Bo choć żona robi po farmach i on też w sezonie ładnie zarabia, to jednak to wszystko nie wystarcza żeby Stasjuczek i jego matka nie byli głodni: mógłby coś o tym powiedzieć doktor Lloyd, który ma w obozie przychodnię. Jeszcze gdy Stasjuczek był niemowlątkiem, Mrs Antosheek co rusz doń przybiegała i tkąła pod oczy spotrzebowane pieluchy: a to zielone, a to tęczone, a to konsystencja nie ta, a on ani rusz nie wiedział co jest: chłopak nad wiek tłusty a duży, istny okaz, to skąd te kolory? Aż raz wezwał Mr Wolniaka, żeby spytał niewiastę, czym dziecko karmi. A ona aż się zdziwiła — takie pytanie! — i powiedziała, że nu, nic specjalno, to co my: kapustu, kartoflju z sosom, ze skwarami, jajecznicu ze słonino, pirożku z mjen-som, z kapustu, i w ogóle. Więc jak Mr Wolniak wyłożył doktorowi złowrogą naturę tych specyfików, to tego aż zatkało, nic mądrego nie mógł powiedzieć, tylko gapił się ośłupiały na dzieciaka jakby mu rogi wyrosły i powtarzał: to niemożliwe, *can't be true*, jakby to była prawda, to on by już dawno nie żył! Potem, jak już przyszedł do siebie, to nakazał Mrs Antosheek poinformować, że nie wolno jej dziecka opychać i że odtąd ma je karmić higienicznymi jedzonkami z tych specjalnych puszczek z bobaskiem, których wybór jest jeszcze większy, niż potraw dla psów i kotów. Dodał, jak zwykle, coś o cywilizacji; że skoro już się miała szczęście tu popaść... Ale baba zamazyście splunęła w otwarte okno, niby że na samą myśl tak jej obrzy-

dliwie, i długo coś burmotała w swym prymitywnym języku. I jak tu lekarz ma wykonywać swą misję krzewienia higienicznej oświaty? Potem, jak doktor Lloyd już się uspokoił, to nawet do lekarskiego *Lanceta* chciał napisać artykuł o tym cudownym dziecku, które wbrew wszystkiemu nie tylko żyje, ale nawet rozwija się na schwał, i w ogóle o straszliwych dietetycznych zwyczajach tych cudzoziemców, ale czasu mu zbrakło i zresztą się rozmyślił: pełno ich w tym kraju jak po inwazji i podobno są wśród nich lekarze (szkoda, że żaden tu się nie pokwapi użerać się ze swymi dzikusami, tylko woli w mieście wygodnie siedzieć). Mogliby przeczytać artykuł i byłyby przykrości o obrażeniu grup mniejszościowych.

Tak Stasjuczek nie trafił do prasy i rósł sobie zdrowo na krzepkiej diecie, a matka oświadczyła doktorowi, że mu nie będzie żałować jak sam się prosi. Teraz, gdy ma już cztery latka, je więcej niż ojciec marnej postaci, nogi ma takie prawie grube jak dorosły i podbródek jak kiszka podgardlana. Pani Antoszko-wa nie posiada się z dumy: cóż to za wspaniały rośnie chłopak! Od pana Wiewióra i z przyjezdnych kiełbasianych bud taszczy słoniny i kiełbasy i we dwójkę sobie dogadzają, pan Antoszek nic z tego nie ma, słonina mu się męcząco odbija i w ogóle je jak wróbelek. Choć robotnik z niego kwalifikowany i chętny do nadgodzin, to ledwo może nastarczyć gotówki, nic więc dziwnego, że do pracy wstaje o czwartej w nocy i spać ledwo zdąża o północy, i w każdą pogodę wędruje do i od tego krzyża na przedmieściu, wzniesionego przez starodawnych longfordczan w podzięce Opatrzności, że Czarna Śmierć zabrała ich tylko połowę, a mogła przecież wszystkich.

Tak więc pan Antoszek pierwszy z całego Crowleyu rusza do pracy i zimą i latem, siedem mil do krzyża i siedem z powrotem. Ma na sobie wojskowy szynel do ziemi i wyświechtany kaszkiet daszkiem na plecy, a w przewieszanej przez ramię sakwie chlupie butelka z kawą gorzką jak jego dola. Najpierw mija uśpione Holme de Braose, potem jabłkowe sady o pokrzywionych, jemiolą znękanym drzewach i pastwiska ze śpiącym pod żywoplotem bydłem. W żywoplotach szosa biegnie jak w tunelu, w którym jest bardzo ciemno i trzeba uważać, żeby nie rozdeptać jeża albo żaby. Na tym odcinku pielgrzym przeżywa często moment samotności, nawet depresji. Nie tak sobie życie wyobrażał, gdy tu przyjechał się żenić, i teraz nawiedzają go czasem buntownicze myśli żeby tak wziąć i uciec, i znów żyć spokojnie jak w wojsku za kawalerskich czasów. Ale dokąd? Pojedzie do koleżków do Szkocji: baba za nim poleci. Do Irlandii: i tam go dopadnie. A nawet jeśli zgubi się w wielkim Londynie, to i tam go niechybnie

spod ziemi wykopie — chyba żeby prysnął do kamrata w Australii, tylko że to drogo kosztuje. Ale zaraz zawstydzą się tych myśli niegodnych katolika i ojca rodziny, zwłaszcza że zaczynają się pola i kończy tunel. Wychodzi z niego wprost na wschodnie niebo, które od horyzontu zaczyna nabrzmiewać zapowiedzią światła. W miejscu, gdzie schodzą się dwie szosy, na najdalszej rubieży ziem pani Craven, stoi gotycka rezydencja z czerwonej cegły, w której mieszka Mr Bishop, w jednej osobie miejscowy listonosz i hodowca świń. Z narożnego okna pada światło — to Mr Bishop szykuje się do wyruszenia na pocztę, a przedtem musi nakarmić trzy tuziny wiecznie głodnych ryjów. Pan Antoszek spogląda przyjaźnie w to okno — obaj są jak pliszka, matka kukułczych piskląt, i w jakiś sposób odczuwa pokrewieństwo z tym świńskim farmerem. Może i dlatego, że jego zagroda jest jedynym miejscem, gdzie można zobaczyć bardzo rzadkie ptaki, a mianowicie sroki, od których czarnobiałej gracji cieplej się robi na sercu. Czasem śmignie samochód, jasność na niebie sięga coraz wyżej i z żywoplotów odzywają się próbne ćwierkania i świsty. Gdy pielgrzym mija Badonhill, w tej porze roku (jeśli nie leje deszcz) jest już dość jasno i pięć mil za jego plecami Crowley nieochoczo gramoli się z betów, by rozpocząć roboczy dzień. Dziesięć po siódmej pan Antoszek staje wreszcie przy krzyżu na okrągłaku i teraz ma parę minut dla siebie, żeby trochę odsapnąć i zmówić Zdrowaśkę do krzyża, pod którym heretycy się nie modlą, choć magistrat o niego dba, czyści go i konserwuje wraz z jego wysokim gotyckim postumentem z czerwonego piaskowca. Jest to zabytek, nie zaś przedmiot kultu.

W tymże czasie pani Antoszkowa zdążyła już nakarmić kury, podnieść Stasjuczka i odziać go w wiele warstw odzieży spodniej i wierzchniej, od przeziębienia. Siedzą nad wielką faską jajecznicy, z której skwary sterczą jak wyspy, czerpią ją łyżkami i chleb maczają w tłuszczu aż im po brodzie i palcach ciurka. Obozowe koguty skończyły właśnie ogłaszać nowy dzień i tylko jeszcze wyrывa się czasem ni w pięć ni w dziewięć spóźniony młokos, po czym wali skrzydłami by ukryć zażenowanie. Okna pałacu płoną wielkim światłem i Sir Evelyn błądzi jak co rana po spostponowanych salonach. Na plac autobusowy wjeżdża właśnie zielony piętrowy autobus i tak przy tym skrzypi i trzeszczy, że się chyba lada chwila rozsypie. Wjeżdża po to, by wygarnąć do pracy przednią straż Crowleyu i jego przybycie przecina coraz gorętszą debatę skarbowców z mikołajczykami. I to ani chwilę za wcześniej, bo potężniejsze głosy zwiastują mocno napiętą sytuację. Rozgrywka się urywa i pospiesznie zajmują miejsca — nareszcie można wyciągnąć puszki z samosiejką i wygodnie skrócić

papieroska. Wkrótce przez uchylone lufciki buchają kłęby smrodliwego dymu, jakby we wnętrzu wybuchł pożar, i na tyle koją rozhuśtane temperamenty, że niektórzy mogą sobie dospać skradzione resztki nocy. W obszarganych wojskowych chlebakach chlupią termosy z kawą, w zatłuszczonych papierach rozpierają się skrawki wędzonki i góry chleba z dżemem — zaopatrzenie na cały długi dzień roboczy. Ubranie na nich biedne, pełno wojskowych szyneli, gdzie ciemniejsze plamy na rękawach wspominają naszywki „Poland”, czarnych beretów z dziurami po orzełkach oraz tandetnych kapeluszy z piórkiem otrzymanych w posagu od Króla Jegomości na nową drogę pokojowego żywota. Na tym niechlujnym tle chwalebnie wyróżnia się wachmistrz Miller; nie tylko ogolony jest na glanc, nie zaś jak inni poprzedniego wieczora, ale przede wszystkim świeci ubraniem. Mundur na nim wprawdzie przechodzony, ale wypucowany jak na defiladę, „Poland” na właściwym miejscu, białe naszywki na naramiennikach ogłaszają światu jego rangę, na kołnierzu proporczyki bławatko-wo-wiśniowe, a orzełek na berecie lśni jak żywe srebro. Wolałby umrzeć niż zhańbić się strojem cywilnym — oznaką pogodzenia z tragicznym stanem Sprawy Polskiej, toteż królewskie ubranko co prędzej sprzedał, a obecnie sprawia sobie nowe mundury, wojskowe buty i spinacze w longfordzkim demobowym sklepie, gdzie robotnicy i farmerscy parobcy zaopatrują się tanio w roboczy przyodziewek. Onegdaj sprawił sobie nowy hełm bojowy, bo ten spod Cassino był już bardzo obdrapany i na ciemieniu wygięty odłamkiem. Musi mieć porządny, gotów do akcji, i co go obchodzi, że sprzedawca patrzy ze zdumieniem, jak dobiera i mierzy przed lustrem — takie rzeczy kupują tu chłopczki za szylinga do zabawy w wojsko, do strzelania z palca „bang-bang-you are dead!”, a ostatnio także gospodynie domowe, bo poszła moda malować te hełmy na żywe kolory, napełniać kompostem i sadzić w nich lobelię z pelargoniami. Potem się to wieszka za pasek nad wejściem do domu albo na balkonie i wypada dużo taniej, niż te ogrodnicze wiszące kosze.

Na przodzie pod oknem siedzi Beno Kwiczół. Twarz ma czerwoną ze sterzcącym nosem, nad nią łysinę, a że grubiej w pasie, trudno mu siedzieć na tych wąskich siedzeniach. Rozmyśla właśnie o pasztecikach, które Marylka obiecała zrobić z resztek wczorajszego gulaszu, i jaka to łaska Boża, że ma taką siostrę. Dużo od niego starsza, opiekuje się nim jak matka, dba o wygodę, a na kuchni zna się jak mało kto. W tych czasach zdeklasowania, gdy człowiek skonany wraca z roboty i zgrubiałe palce nie potrafią jak dawniej wydobyć ze skrzypiec odpowiednich tonów, tylko drobne uciechy stołu pozwolą zapomnieć na

chwilę o ciężkiej doli Ofiary Wojny, w której rodowym majątku urzęduje teraz kołchoz. Czerpie więc pocieszenie z ciekawych potraw i ładnie nakrytego stołu, z mnogości sztuczków, deserowych nożyków i widelczyków z herbami na trzonkach, które Marylka przewiozła przez Kazachstany i Afryki, a teraz co wieczór wkłada do obiadu, choć tylko w niedzielę jest naprawdę do czego. A do tego świeca w lichtarzu i śnieżny obrus, gdy tu wszyscy jadają na ceracie, z blaszanych talerzy, albo nawet wprost z garnka czy *patelki*. Wśród jakich to ludzi przyszło nam żyć — tatko nieboszczyk obróciłby się w swym kazachstańskim grobie, gdyby mógł to oglądać. A jeszcze i inne rzeczy przypominają Benonowi kim jest i trzymają z dala od tłumy: rodowy sygnet, który nakłada w niedziele i święta oraz do stołu, sygnet, który tatko umierając powierzył Marylce dla doręczenia jedynekowi, jeśli da się go znaleźć w tej zawierusze, i ten duży miedziany ryngraf, który wisi na kilimku nad łóżkiem. U góry, pod dziewięciopalkową koroną, barwi się na nim herb Sulima (tarcza podzielona wszerek na dwie części, na wierzchniej dzielnicy poł Orła Czarnego w żółtym polu, z Skrzydłami rozciągniętymi, z pyskiem w lewo tarczy obroconym, w spodniej zaś trzy kamienie granowite złote w czerwonym Polu) — klejnot starodawnego w Polsce rodu Kwiczółów z hrabiowską koneksją. Pod herbem rozpościera płodne konary Drzewo Rodowe z imionami przodków, rosnącymi na gałęziach jak owoce. Tkwi ono korzeniami w praszczurze rodu, Zawiszy Czarnym z Garbowa, i stąd pełne nazwisko jego ostatniego potomka brzmi Zawisza-Kwiczół. Drzewo to przypomina mu ustawicznie, że *noblesse oblige* i chroni od pospolitowania tak prawie skutecznie, jak panna Maryla, która trzyma brata żelazną ręką i nie da mu się zapomnieć na tyle, by miał zdradzić zainteresowanie crowlejskimi Pannami Na Wydaniu. A zresztą po co miałyby w ogóle — strach pomyśleć — wstępować w związek małżeński? Czyż nie zapewnia mu wszelkich wygod, nie opiekuje się jak matka, odkąd przyjechała z Afryki, a on się zdemobilizował? Od tej pory nie spuszcza chłopca z oka, bo to nigdy nie wiadomo co mu strzeli do głowy jeśliby go puścić samopas. Gdy parę lat temu kolega z wojska namawiał go na studia w Dublinie, to go ledwo odwiodła od tego szaleńczego zamiaru. Że w PKPR nauczył się łątać antyki, to mu nawet przez Wolniaka pracę wynalazła, nobliwą jak się tylko da w tych opłakanych warunkach: w warsztaciku pod katedralnym murem, który się zajmuje reperacją i fabrykacją antyków. Chłopak pojętny, szybko się nauczył w pudłach potrzaskanych figurek dobierać części, które niezbyt rażąco się ze sobą kłóć, i z nich montować nowe zabytki przeszłości, a także

nadawać patynę połamany gratom pościągany ze strychów. Odtąd codziennie obcuje ze Sztuką, nawet swe mieszkanko w Crowleyu zaludnił meblami *à la reine Victoria*, posągami szalejących koni z gipsowego brązu i myśliwskimi sztychami w pozłaczanych ramach. Jest to najszlachetniejsze wnętrze w całym Crowleyu.

W autobusie Beno siada jak najdalej od profesora Koziewicza i jego przyjaciela, sędziego Hildebranda, i to nie dlatego, że sędzia jest ponoć wychrzczoneym Izraelitą (co, jak wiadomo, na sto mil trąci żydomasonerią), i nie dlatego nawet, że obaj panowie brzydko pachną. Pracują w miejskiej gazowni i chętnie znoszą jej wstrętne wonie, którymi przesiąkło ich ubranie, skóra, a nawet pożyczki na łysinach, skoro zawsze mają zapewnioną pracę i bezrobocie ich nie dotyczy — jak każdy wie, gazu używa się cały rok, a zimą jeszcze więcej, nie mówiąc już o tym, że pracownik kupi sobie koks po niższej cenie. Ale Beno unika jak może tych panów, znanych z jadowitego języka, a zwłaszcza profesora, którego bystre oczka tylko żeglują i wiercą, co by wypatrzeć i podać na pośmiewisko. Stary belfer nie bierze go bowiem poważnie, ma czelność traktować go jak uczniaka, prawem kaduka mówi mu „ty” i pokpiwa z jego drzewa genealogicznego. Kiedyś nawet ogłosił swym tubalnym głosem na cały autobus, że synowie Zawiszy zginęli bezpotomnie, co rzekłszy zwrócił się wprost do Benona (co rodacy śledzili z lubością, sądząc że chodzi o jego dziadka), czy aby nie uląkł się z lewego łoża. I jeszcze: że z rozkoszą dałby mu dwóję z historii. Najlepiej unikać takiego gburą jak morowego powietrza, skoro nie sposób wyzwać go na pojedynek. Jedynym człowiekiem w Crowleyu, z którym można porozmawiać, jest Wolniak, który — choć pono chłopski synek — wie co to herb i ród, i może mu się nawet uda nawrócić Benona na monarchizm.

Cały autobus dosypia przez te dwadzieścia pięć minut drogi do Longfordu. Dopiero pod krzyżem (tym, co dziękuje za łaskawość Czarnej Śmierci) runą do wyjścia i skręcą w odchodzącą na prawo szosę. Stąd już tylko mila marszu do cegielni, gdzie płynie ich pracowity żywot. Reszta rozpierzchnie się na następnych przystankach: kilku odmaszeruje na dalsze przedmieście, gdzie magistrat buduje nowe osiedle, bracia Macioszkowie podążą do piekarni, Beno do antyków, Górecki z Bielasem do wytwórni beczek na piwo, jabłecznik i dżem, młody Ciupka do garażu przy wylocie tej szosy, co na Walię, a inżynier Jankowski na stację kolejową, gdzie zużywa swe fachowe kwalifikacje na obstukiwanie szyn i kół specjalnym młotkiem na długim trzonku.

Tymczasem w ślad za nimi drugi trzeszczący autobus uwozi

z Crowleyu nową gromadę roboczego ludu: grupkę pań nie posiadających drobnej dziatwy, mogących się zatem oddać na usługi fabryki znanego w całym kraju niskogatunkowego dżemu i jarzynowych konserw Gloria Longfordu, oraz pluton panów zatrudnionych w wielkiej fabryce jabłecznika zwanej przez Crowley Sajderem. Teraz już w pojeździe jest trochę wolnego miejsca, toteż pan Dekier może kilka razy przesiąść się podczas drogi, bo wszędzie ma coś do powiedzenia a szczególnie do usłyszenia. Przed wojną spełniał tajemnicze funkcje przy policji, a mianowicie był tym, co lud nazywa łapsem, i jest to jedyny zawód, do którego ma prawdziwe zamiłowanie. W Crowleyu i w fabryce, w kaplicy i w autobusie roznosi go wieczna, nienasycona ciekawość: usłyszeć, szepnąć, rozpracować i ponieść dalej, podjudzić jednych na drugich i dopieroż jest co słuchać! Głos ma cichy, łagodny, i wyraża się wykwintnie, tak że mógłby uchodzić za co lepszego, gdyby nie był taki śliski i zatłuszczony, że lepiej nie dotykać. Teraz przysiadł się do Ostrowskiego, wyleniałe wąsiki aż mu drgają z podniecenia, a bezbarwne oczka wiercą i wiercą, choć mówi o rzeczy tak neutralnej jak kapusta, która nadspodziewanie obrodziła, i co to wart kurzy nawóz, i że całą niedzielę z żoną do beczi szatkowali. Tak, starczy na całą zimę. A czy przypadkiem pan major o Wolniaku nie słyszał? No, że ciągle lata do Anglików. Tak, że jest sekretarzem osiedla i z magistratem sporo ma do czynienia, to każdy wie, nie o to chodzi. Tylko czemu on ciągle do nich lata, co? Nie tylko do magistratu, ale i do takich różnych, nawet do tego pastora za rzeką. Pewnie ichnią religię chce przyjąć, żeby się lepiej podlizać, nie? Eh, już my czujemy — kręci on jakiś interes. Sprzedał nas wszystkim Anglikom, mówię panu: sprzedał! — Ale Ostrowski nie jest rozmowny, puszcza rozmówcy w nos chmurę samosiejki i burczy: — Pana może sprzedał, bo mnie to nie. — Szkoda z takim czas tracić, pan Dekier przysiadł się do Kozickiego. Jurek Kozicki ma tej zimy zdawać do gimnazjum, więc łatwo go będzie wziąć pod włos. Dostać się jest okropnie trudno, a w Crowleyu prawie każdy chce, żeby się jego dziecko uczyło i wyrosło na co lepszego. Więc z miejsca: — Szanowanko, panie Kozicki! Co słychać? Jak tam kochany Jureczek? Zdawał już próbne testy? Nie? A czy go dopuszczają? O, ja tak tylko pytam, wcale nie chcę pana martwić. Ale ja to się na tym znam, przecież w zeszłym roku moja Lalunia nie zdała, choć była najlepsza z całej klasy, nauczycielka mówiła, że pierwszy raz widzi takie mądre dziecko. To wszystko przez księdza. Że co? Przecież mówię: przez naszego księdza! Już on sobie na mnie zagiął. O co? Oho, ma on swoje wyrachowanko! W te pędy pogonił

do *edukejszyna** i szepnęła komu trzeba, że Lalunia nie ma zdać, a resztę to sam pan wiesz. On cały czas z Anglikami na nas knuje — tak, tak, my wszystko wiemy. Co pan mówi? Że ksiądz ani słowa po angielsku? Ale tam, już on potrafi jak zechce — JA to mówię! Więc żeby kochany Jureczek... — I już płynie dalej, szuka nowej ofiary. — Serwus, panie Śmidowicz, jak dzieci? A o Sawickim pan słyszał? No, że się sprzedaje Anglikom. Tak, właśnie mówię! O obywatelstwo się stara, zdrajca jeden, i tego psiego języka się uczy. Bo ja to tu siedzę od czterdziestego roku i ani słowa nie umiem, słowo honoru! Nie doczekają się, takie syny! A Sawicki, to pan wie: po pracy zostaje w mieście i idzie do *kolidżu**, z takimi kozami, co się uczą na sekretarki. Tfu, jak mu nie wstyd! Chce się im przyglądać, he he! Dobrze mu Anglicy za to płacą, wiem co mówię! — A tymczasem Kozicki pograża się w rozterce: wie, że ten gad zawsze judzi i najlepiej go nie słuchać, i że ksiądz Turkuć *spik inglisz* ani w ząb, ale... Przecież niedawno podpadli mu całą rodziną. W piątek po pracy jedli właśnie gorący boczek z musztardą, a duży kawał smakowicie parował na misce, i w tym momencie wszedł ksiądz, a wszedł tak cichutko, że pukania nie słyszeli, bo drzwi na dwór były otwarte. Stracili głowę, pani Kozicka złapała miskę, ale już było za późno. I wtedy on sam wystrzelił ni w pięć ni w dziewięć, że bardzo prosimy, może Ksiądz Magister z nami zje? A ten okropnie poczerwieniał, błyskawice z oczu puścił i wyskoczył za drzwi. I zaraz w niedzielę zrzucił ich z ambony: że znacie, najmilsi bracia i siostry, taką tu jedną rzekomo katolicką rodzinę, która zawsze się spóźnia na Mszę św. Pomódlmy się za nich wszyscy, bo jak ich dzieci mogą wyrosnąć na porządnych ludzi, kiedy w postny dzień nie tylko jedzą mięso, ale ich ojciec z całym cynizmem, na pośmiewisko (a głos mu rósł i przeszedł w dramatyczny krzyk), bezczelnie — mówię — zaprasza swego proboszcza, żeby jadał razem — najmilsi moi — gorącą wędzonkę z musztardą! — Żywe Róże okropnie się zgorszyły i każdy zgadł o kim mowa. A sami Koziczcy przyszli jak zwykle na Podniesienie, i jak przed „Boże coś Polskę” ksiądz Turkuć podał dodatkową intencję wspólnej modlitwy: za takich, co w piątek swego proboszcza częstują boczkiem z musztardą — to i oni ze wszystkimi odmawiali tę Zdrowaśkę i purpura ich zalewała, a Róże jak na komendę się do nich odwróciły i świdrowały ślepiami. A teraz, gdy Jurka czeka

* *Education office* — biuro oświatowe.

* *Ang. college*.

taka ciężka próba — o Jezus Maryjo! Może ten gad Dekier nie całkiem nabrechał?

Tymczasem za Holme de Braose autobus staje, cała szosa przed nim zapchana krowami. Ciężkie, czerwone longfordy i filigranowe jerseye z dziewczęcymi twarzyczkami o wielkich słodkich oczach zajęły całą przestrzeń między żywopłotami i leniwie kroczą na pastwisko. Za stadem maszeruje z kijem w ręku stary Siemieniuk, a pochodź otwiera rudy Fred na rowerze. Kiwiają do jadących i spędzają stado na bok — dobrze temu Słomianemu Wdowcowi. Pracuje na miejscu, przy chałupie ma pasiekę, obsiał ją sprowadzoną z Polski gryką i na miodzie zbija ciężką forszę. Jego gryczany miód słynie w Marchiach, a nawet, odkąd wziął medal na wystawie pszczelarskiej, zainteresowały się nim londyńskie sklepy. Siedzi na gotówce, spryciarz! Ale właściwie to nikt z jadących nie chce robić na farmie, więc...

Tak rozmyślając mijają żywopłoty Mr Bishopa, potem idą łąki i pola aż do Badonhill, za nim obóz wojskowy, szkółka różana, jakieś sady i domki, i wreszcie ten okrągłak z krzyżem oznaczający początek miasta. Zaraz za nim ogarnia ich potężny fetor fermentującego owocu, a gdy osiągnie niebywałe natężenie, autobus wysadzi ich u bramy Sajdera. Teraz tu huk roboty, jak zawsze jesienią: ciężarówki cały czas zwożą jabłka i robotnicy zwijają się jak szatany, żeby zdążyć wyładować, przepchać przez wagi i młyny i wreszcie z miazgi zbudować wielkie „sery”, z których będzie się potem tłoczyć sok. Ale do Bożego Narodzenia Sajder przerobi wszystkie jabłka i odprawi połowę ludzi, żeby broń Boże nie płacić za święta. Odtąd wystarczą mu stali majstrowie, będą przerabiać i doskonalić jabłkową krew, doglądać kadzi otchłannych jak studnie, w których fermentuje cenny płyn, i pilnować butelkowania. Wtedy ty, przybłądo słowiański, żyj jak chcesz, bo na zasiłku wyciągnąłbyś kopyta, gdybyś wpierw nie uciułał i żona nie zarobiła w polu na spłacenie rat Hindusowi i longfordzkim meblarniom. A tymczasem Sajder zajmie się spokojnie szykowaniem swych wyrobów na wielką wystawę Stowarzyszenia Wytwórców Trunków, i z twej pracy znów złapie jakieś medale i puchary, rozszerzy eksport na dalsze Kuwaity, Bombaje i Złote Wybrzeża, a czym dalej od Longfordu, tym wytworniej-szy będzie stawać się ten napój z rumianym jabłkiem Marchii na etykietce. Będą go smakować biali, kolorowi i cętkowani, obracać na języku, rozprowadzać po podniebieniu i snobować się przemądrzale niezrównanym longfordzkim bukietem. I nikomu nie przyjdzie do głowy trapić się o Słowian w Crowleyu, co przez zimę cienko przędą w wiatrem podszytych barakach i dla oszczędzenia węgla całe dnie leżą w betach.

Ale teraz nie tylko Sajder szaleje, żeby nadażyć z robotą, bo to samo czyni Gloria Longfordu — fabryka podłego dżemu i jarzynowych konserw, zavalona owocami i warzywem. Jabłka cuchną z daleka, miazdzone przez maszyny i zalewane w kadziach jakąś żrącą chemią, żeby nie zgniły do reszty, zanim zaczniesz się nimi fałszować dżem z lepszego owocu. Wtedy zleją się w jedną masę z robaczywą maliną i obłoconymi, zgniłymi truskawkami, co od lata pływają w chemikaliach, zleją się tak dokładnie, że najlepsze oko nie dostrzeże robactwa i zgnilizny, i nawet błoto nie będzie chrzęścić w zębach. Jednocześnie przez taśmy przejdzie marchew i groch, wymalowany na jędrną zieleń, i różne inne warzywo, i wreszcie okaże się, że nie tylko dla tych z Crowleyu nie ma roboty, ale nawet dla wielu tutejszych niewiast. Zostaną tylko stare robotnice, które przez całą zimę będą w lodowatej wodzie siekać buraki, aż reumatyzm tak im pokręci ręce i stopy cały dzień stojące na mokrym betonie, że przyjdzie im się pożegnać z jaką bądź pracą. Nie trzeba zresztą czekać aż buraków żeby popaść w biedę, bo po dwu tylko sezonach pani Grajdyłowa dochrapała się tajemniczego schorzenia kości ogonowej i, co dziwniejsza, jest z tego rada, bo choroba dodaje jej ważności. Ubóstwia tematy zdrowotne i przez całe długie fabryczne dni opowiada wszystkim wokół o swych ekskluzywnych objawach, a nawet proponuje oględziny schorzałego miejsca. Tylko że nikt nie ma ochoty jej słuchać prócz Laury, grubej Włoszki, żony pana Byczuka. Laura od lat marzy o *bambino* i parę razy już je nawet miała mieć, ale nigdy nie wyszło. Mówi po polsku i swym śmiesznym akcentem każdemu różnie prawdę w oczy, co jest jej uznanym prawem, tak że nawet najzjadlejsze Róże nie obrażają się o impertynencje. Co do spraw zdrowotnych, to oczywiście pochłaniają ją porody i hodowla niemowląt, toteż próbuje skłaniać Grajdyłową do opowiadania własnych wspomnień z tego zakresu, a przy tej kości cmoka: — oj oj, taka duzia i głupia! — Więc tak naprawdę to pasjonuje się sprawą ogona tylko rumiana pani Michalakowa, której mąż nie rozumie i która koniecznie chce mieć, a nawet jest pewna że ma galopujące suchoty, i to już od ładnych paru lat. Co chwila ogłasza, że znów biją na nią poty, wyjmuje z kieszonki lusterko i szuka na policzkach ceglastych wypieków. Czasem je nawet dostrzeżę, co nie jest łatwo przy rumianej z przyrodzenia cerze. W każdym razie pani Grajdyłowa zapewnia ją życzliwie, że stają się coraz wyraźniejsze i że ten podejrzany kaszel to na pewno suchotniczy, a nie jak u innych od mokrego betonu. Obie panie doskonale się rozumieją, są postrachem doktora Lloyda, i nie tylko jego. Znają je

wszyscy longfordzcy lekarze i oba szpitale, i wszyscy już dawno powiedzieli Wolniakowi, żeby ich tu (jako tłumacz) nie przyprowadzał. Jednym słowem zmówili się złośliwie, żeby im wmówić, że są wyjątkowo zdrowe, istne okazy, a szpitale to nawet fałszują rentgenowskie klisze. To wszystko czynią wskutek intryg pana Michalaka, wyrodnego męża, którego widziano jak z Wolniakiem trąbi piwo w pubie Zielony Smok naprzeciw katedry. Co do doktora Lloyda, to nie są dla niego jedynym dopustem Bożym, bo ma również wiernie mu towarzyszącą gromadkę historycznych matek z panią Antoszkową i Sawicką na czele, i na dodatek obie Żywe Róże Pań ciągną za doktorem tak prawie skwapliwie jak za księdzem Turkuciem, co roku bowiem trapi je zbiorowo coraz inna przypadłość. W tym sezonie wszystkie domagają się zastrzyków, obojętnie jakich, bo to jest jeszcze bardziej prestiżowe niż plaga otłuszczenia serca, która ostatniej zimy szalała w Crowleyu i aż do wiosennego owijania chmielu powaliła najzjadlejsze na robotę, a przy tym najbardziej zwaliste i pyskate niewiasty.

I oto znów jest ósma rano. Pani Michalakowa sadowi się właśnie obok przyjaciółki przy długim marchwianym stole, którego środkiem na taśmie suną puszkki z tą apetyczną jarzyną. Przekrzykując łomot maszyn dzielą się swymi najświeższymi objawami, a w tym samym czasie osiem mil za nimi Crowley opróżnia się z ostatniej, tylnej straży swego roboczego ludu. Są to panie obarczone bardzo drobną dziatwą i niektóre inne, z różnych względów ceniące sobie pracę na świeżym powietrzu. Jedne pchają swe skarby w wózekkach na farmę pana Collinsa do Holme de Braose, gdzie cały dzień będą za traktorem zbierać kartofle, a dziatwa będzie się tłumiła i darła w żywopłotach. Traktorzysta, piegowaty Willie o króliczych zębach, w południe ogłosi przerwę, ale sam wcale nie pójdzie do żony na obiad, tylko pogoni pod las za chrustem i sam rozpali wielkie ognisko, takie jak na każdym szanującym się kartoflisku nad Wisłą. Tak mu spieszo do tego słowiańskiego frykasu: pieczonych kartofli, na które dawniej krzywił się obrzydliwie, że brudne i niecywilizowane.

Reszta chętnych do roboty niewiast zbierze się przy obozowej bramie wraz z wielkim asortymentem dziatwy, spacerowych wózekków, tobołów z żywnością, czystymi majtkami i pieluchami. Stoją sobie pod gawronim drzewem, na którego korze już dawno zarosła cyfra księżnej Izabeli, ptactwo wrzeszczy nad nimi jak za czasów biskupa Tomasza, a one czekają na dymiącą ciężarówkę od farmera Williamsa, która przewiezie cały ten tabor

na wielkie kartofliska i buraczane pola z tamtej strony Madley. Skupiły się wokół dwu niezaprzeznaczonych królowych pól i chmielników: Bielasowej i Antoszkowej, którym nawet pani Ciupkowa starsza nie dorówna w akordzie, choć zęby zjadła na roli, a za to dorównuje — wstyd powiedzieć — mała i chuda Koziewiczowa, która jako inteligentka nie ma do tego żadnego prawa. Bielasowa holuje za sobą wnuka, cichutkiego Zenka, którego podrzuciła jej córka zbiegła od męża pijaka, by móc bez przeszkód brylować w Londynie w poszukiwaniu lepszego materiału na dozgonnego towarzysza. A Antoszkowa ma oczywiście Stasjuczka, którego co chwila trzeba odżywiać gorącymi barszczami i bigosami z ogromnych termosów i uzupełniać kanapkami z kiełbasą wielkimi jak cegły. Jest wcześniej i wyrwana z łóżek dziatwa marudzi na potęgę, tylko jeden Stasjuczek jest pełen wigoru i pohukuje jak puhacz: chuljerra tfu! chuljerra tfu!, choć matka daremnie usiłuje zatkać go smoczkiem i strofuje: — Cicho synka, cicho, nie mów tak, małe dzieci słuchają! — A on swoje: — chuljerra tfu! — więc ona próbuje mocniejszych argumentów: — Nje mów tak dzjetka, Pan Jezus beńdzje płakał. Ale zaraz okazuje się, że mądre dziecko pluje wcale nie dla płochy zabawy. Oczka ma nad podziw bystre, a teraz w zbrocze kopca utkwione, i pokazuje paluszkami, kogo tak wyklina. Pani Antoszkowa przysłania oczy, oslepia ją słońce, które właśnie wychodzi zza walijskiej strażnicy — i zamiera ze zgrozy. Przez łąkę nad barakami gna Szydlicha ze swym młodszym chłopakiem i przyjaciółką Baranową, a lecą że mało nóg nie pogubią i nic tylko się oglądają na zgromadzone w dole niewiasty: śledzą czy nie? Bramą nie mogli wyjść, bo każdy by widział i jeszcze by inne za nimi poleciały — nie darmo w sobotę Szydlicha *chłastatał* w pralni i pytała słodko, ile ich farmer płaci. Co, *łanansewen** za godzinę? Tfy — prychała wyniośle — ja nie durna, znalazła jednego za rzeką, co przy zbieraniu jabłek daje *łananejt**. Oho, już ja wiem com warta i mniej nie wezmę, choćby mnie na kolanach błagano! A jak jeszcze Bolesia do szkoły nie pošle, to dopiero razem forsy nałapiem, trzeba na karku nosić głowę, nie zaś d-ę. — Więc oczywiście niewiasty pożera ciekawość: gdzie jest ta farma? Warto by tę cholereę wytropić i samym skorzystać. Nic więc dziwnego, że na widok jej czerwonego kabata pani Antoszkowa wydaje bojowy okrzyk i puszcza się w pogoń ciągnąc wózek z uwiązany doń tobołami i ze Stasjuczkiem, bo przecie dziecka nie rzuci. Zresztą jest pasem przypięty, więc się nie zabije, nie wypadnie. A on tym razem wcale się nie oburza na tę kawalerską

* Ang. *one and seven, one and eight* — szyling siedem, szyling osiem.

jazdę. Czuje w powietrzu drakę i pasjami to kocha, a przy tym uczy się słów.

Tymczasem na dole zajeżdża ciężarówka, szofer ustawia drabinę i pomaga ładować się niewiastom, wózkom, termosom i rozkapryszonej dziatwie. Przykro im odjeżdżać nie wiedząc jak się skończy pościg przez kopiec, ale co poradzisz? Anglik nie zaczeka. Za to pani Antoszkowej ani w głowie się trapić, co się dzieje przy bramie. Sadzi aż jej oddech świszcze jak para z lokomotywy i w uszach złote koła telepią się jakby się chciały urwać, a Stasjuczek pogania. Skończyła się ścieżka i baraki, zjechali na łąkę i prują dalej, choć o wiele ciężiej. A tymczasem kabat Szydlichy już wsiąkł w modrzewie na zboczu i pogoń coraz trudniejsza. Pani Antoszkowa aż rzeźi, ale nic — przeciągnęła się przez łąkę, wyboje i kępy ostrej trawy, by wreszcie ugrzać z wózkiem w oplątanych jeżynami modrzewiach. W górze, całkiem niedaleko, widzi między drzewami Szydlicę. Wie, że już jest bezpieczna i pogoń z całym balastem nie przejdzie, więc stanęła i czyni urągłiwy gest spódnicą, zaś jej chłopak wywala jezor czerwony i długi po pępek. Antoszkowa z synem wiedzą, że są pobici. Na łące pod nimi widać rozsypane torby i termosy, górę kanapek, którą wiatr odwija z gazety. Trzeba zawrócić, pozbierać i przysiadłszy na pniaku podjąć sobie i wypić, żeby się dary Boże nie zmarnowały. Pokrzepiwszy się, składają torby i puste termosy i wracają do domu. W ten sposób Crowley będzie dziś gęściej zaludniony niż zwykle w dzień roboczy sezonu, gdy jest tu pusto i cicho, choć teraz mniej niż zwykle, skoro za dębem gromada robotników krząta się przy przebudowie baraków. Jest wśród nich pan Bieniarz ubrany w wypłowiałą kwiecistą bluzeczkę rozpiętą aż po brzucho. Stoi w rozpapranej glinie, w swych ślicznych rączkach trzyma ordynarną łopatę i kopie rów do kanalizacji. A oprócz nich tu i ówdzie matka siedzi w domu z niemowlęciem. I jeszcze babka Gąsowska, latem i zimą ubrana w bury płaszcz po kostki i chustę z długą frędzlą, postukuje kijaszkiem patrolując niestrudzenie ścieżki i korytarze. Odmawia przy tym różaniec, a wzrok ma tak bystry, że zawstydziłaby niejednego policjanta. Gdyby nie ona, można by bezkarnie splądrować cały Crowley.

Z najwyższego baraku pod kopcem spogląda na obóz babka Macioszkowa, spowita w dziesięć chust. Na nogi jest słaba i nawet do kur wyjść jej trudno, więc całe dni tkwi w oknie albo na ławce pod barakiem i tak, z lotu ptaka, jest w samym środku tutejszych spraw, nadzoruje moralność publiczną i wie doskonale kto, co i kiedy, bo ma jak na dłoni główną drogę od bramy

do pałacu i te boczne, co od niej idą ku osiedlom, i nawet ścieżki, które od tamtych biegną do kurników i na kartofliska, by wreszcie irytująco zniknąć w żywopłotach.

Prócz babek dyżurują jeszcze koguty, których hejnały znaczą przepływanie dnia, a także senny pan Wiewiór w obozowym sklepiku. Pani Ciupkowa młodsza odprowadziła najstarszą parkę do szkolnego autobusu i teraz dąży do pana Wiewióra, prowadząc przed sobą dwie młodsze parki spięte rączkami i wózek z najmłodszym skarbem, który wkrótce odziedziczy szykujący się następcę. Z satysfakcją spogląda za tą wzorową rodziną ksiądz Turkuć, który wysoko zakasał nogawki i na zagonku za kaplicą wykopuje resztę swych kartofli, bo sobotni deszcz przeszkodził Różom zakończyć zbożne dzieło. Otrząsając z wiedeł czerwoną ziemię rozmyśla ze smętnym zadowoleniem, że tak oto spełnia wolę Stwórcy, który nakazał Adamowi spożywać chleb w pocie czoła. A tymczasem słońko wstąpi na środek nieba i panna Maryla uzna, że nadeszła pora, o której dobrze urodzone osoby zwykły opuszczać łoża, a także że trzeba uprać naręcz kościelnej i duszpasterskiej bielizny, który to trud w niczym jej nie ubliża, a gra na nerwach Różom, które zwykły go uważać za swą prerogatywę. Co uczyniwszy weźmie się do szykowania pasztecików na wieczorny posiłek, myślą o których Beno będzie się krzepił przez cały dzień.

Tymczasem rotmistrz Wolniak, wyciągnięty na połowym łożku, na wyboistym materacu o kłakach ubitych na grudę przez oficerów Wojsk Sprzymierzonych, wykurzy szóstą rurę samosiejki, zamknie wymiętoszoną walijską gramatykę i zdecyduje się wstać na powitanie nowego dnia. Spojrzy z niesmakiem na patelnię z zakrzepłym sadłem, na menażki z przypalonymi resztkami, odsunie przybrudzoną firankę (ach te kawalerskie porządki!) i jeszcze raz zlustruje znany pejzaż. Upewniwszy się, że przez noc nic się nie zmieniło, uzna że warto się ogolić i korzystając z pięknego dnia pójść za rzekę, do Ercingu, gdzie Wielebny Powell pasie heretyckie owieczki Pańskie.

O MARCHII PO RAZ WTÓRY

Tak oto żyje sobie Crowley, a codzienne troski wiernie mu towarzyszą. Ludzie dość mają na głowie i stąd nikt nie wie,

ani nie chce wiedzieć, że żyje w sercu zaczarowanego kraju, gdzie perspektywa i ostrość kształtów są przyćmione mitem, tą samą mgiełką, która spowija błękitne dale, nadając krajobrazowi nastrój pogodnego zamyślenia i zasłuchania w coś, czego nie chwyci wulgarne ucho. Zresztą darmo sobie tymi rzeczami łamać głowę, skoro nawet uczeni nie roztrzygną co tu jest mitem, co echem historii, wspomnieniem mesjanistycznych snów starej celtyckiej rasy, a co zwykłą bujdą nie wiadomo kiedy spłodzoną w wioskowej karczmie Herb Królowej czy inna Świnia i Gwizdek i od pokoleń powtarzaną przez czcicieli bujnego chmielu i fermentującego jabłuszka Marchii. Przedziwne czar-ziele o zmiennym listowiu i urocznym, migotliwym kwiecie, co nocą świeci jak bagienne ogniki, wszędzie tu się pleni: w lasach i dolinach, na polach i wśród żywopłotów. A czym ziemia głodniejsza, wzgórza wyższe i wiatrem gorzej schlastane, tym bujniej się po nich płoży: widłak nie widłak, tylko że gałązki ma wietrzne i zwiewne, a owoc na nich świecący jak kwiat paproci. Raz igłą jak miękkie futro pokryte, raz listkiem drobnym jak bukszpan, to znów niczem bluszcz rozrzuca wokół lśniące zielone strzałki, albo wąsy mu rosną jak u wina i listowie nie z tego świata, takie jak na głowicach kolumnienek w kaplicy Naszej Pani za wielkim ołtarzem longfordzkiej katedry — bo nawet i jagódki są jak koraliki między nie powprawiane. Spojrzysz: wije się wszędzie drobno i gęsto, aż strach że się zapłaczesz i nie wyjdiesz. A schylisz się żeby go dotknąć, obejrzeć z bliska — znika, nawet śladu nie widać. Tak mamy i zwodzi, więc nic dziwnego, że uczeni nie powiedzieli dotąd ostatniego słowa i nie wiadomo, czy je kiedykolwiek powiedzą.

Ale Słowianie z Crowleyu, którzy na roślinach znają się niegorzej, w ogóle go nie dostrzegają, bo żeby je ujrzeć nie wystarczy umieć w lot odróżnić nagietek czy nasturcję od malwy, albo kartofel i marchew od kapusty. To znaczy nikt nic o tym nie wie prócz rotmistrza Wolniaka, który dzięki znajomości z Wielebnym Powellem nieco się w tych rzeczach wyznaje, a nawet bardzo go z różnych względów zajmują.

Więc najpierw o Wielebnym Powellu. Na brzegach Ercingu, a szczególnie w parafii Bishopstone, jego przodkowie siedzieli od niepamiętnych czasów i bogobojnie orali tłustą ziemię. Do niczego się nie mieszały, od spraw publicznych trzymali się z daleka, toteż wszystko przeżyli i po Wojnie Róż wypłynęli jako drobna szlachta, do czego rzeź baronów w pomienionej wojnie otwierała im drogę. Potem Reformacja odmieniła charakter rodu, bo od czasów Elżbiety piastują tu godność proboszczów, która jest jakby

dziedziczna, skoro od trzech i pół setki lat przechodzi z ojca na syna albo wnuka, a w najgorszym razie bliźszego krewniaka. Więc gdy po Restauracji Robert Price wżenił się w Crowley, to oni już tu siedzieli od Bóg wie kiedy, mieli wielki mir w okolicy i byli zapraszani do najlepszych domów Marchii. Na artystycznych wieczorkach u Sir Evelynna poznawali różne wybitne osobistości krajowe i zagraniczne, czytywali uczone dzieła i wiedzieli, co w świecie słyshać. Tak sobie cenili urwisty brzeg Ercingu, że nigdy żadnemu nie przyszło do głowy szukać dygnitarstw, do których ich predestynowało wykształcenie. Z Cambridge nieodmiennie wracali do domu, by tu przeżyć życie — w każdym razie z tego porządku rzeczy nigdy się nie wyłamali synowie z wykształceniem teologicznym; z innymi różnie bywało. Dość ich służyło w wojsku, flocie, dyplomacji i w różnych zakątkach Imperium, a także w błogi ruch wprawiało finanse i handel. Teraz też najstarszy syn Wielebnego siedzi na parafii aż pod Snowdonem, zanim naturalną kolejną rzeczy obejmie rodową farmę i przysadzisty, obronny kościół w Bishopstone. I trzeba jeszcze dodać, że Powellom (w każdym razie z linii duchownej) ani w głowie było angliczeć jak Price'owie z Crowley, i stąd od pokoleń podlegają czarowi ojczystej Walii, jej język, dzieje i folklor mają za największy skarb i znają na wylot, a sprawa ich propagowania leży im na sercu tak chyba mocno jak zbawianie dusz. Nic więc dziwnego, że Wielebnemu tak przypadł do gustu *Captain Wolniak*, ten osobliwy słowiański amator starożytnej mowy Celtów, w której układano pieśni i sagi już wtedy, gdy samym nawet Rzymianom się nie śniło, że istnieją na świecie jacyś Anglowie i Sasi. Stąd pastor bardzo go lubi, w opanowaniu walijskiej mowy z radością pomaga i pożycza książki o starożytnościach swego narodu, a w zamian coś ciekawego może od niego usłyszeć, zwłaszcza odkąd upartym wypytывaniem natchnął go ciekawością pradziejów jego własnej rasy, gdy Celtowie i Słowianie byli sobie o wiele bliźsi niż dziś, czego echa przetrwały stulecia. W ten sposób skłonił rotmistrza do ściągania aż z Londynu książek rzucających światło na te sprawy. Razem nad nimi siedzą i gość na poczekaniu tłumaczy kawałki z tych polskich dzieł, które nasuwają zdumiewające podobieństwa między mitologią Celtów i Słowian, wskazując na mroczne, w ciemnościach dziejów zaginione pokrewieństwo obu ludów. Z tych różnych powodów rotmistrz jest na plebanii całkiem zadowolony i raz na zawsze otrzymał zaproszenie na domowy jabłecznik i *a nice cup of tea* — nie takie sztywne i zdawkowe jak u Anglików, bez podania czasu, o którym zaproszony wie, że

byliby ogromnie zdziwieni jakby się kiedy stawił w porze herbaty. Wcale nie, bo Wielebny takich ceremoniałów nie uprawia. Gardzi pustym słowem i nieraz z lubością powtarza: niech mowa wasza będzie prosta — tak — tak, nie — nie. Więc skoro zaprosił, znaczy że gościa mile widzi i dom mu stawia otworem.

Otóż właśnie Wielebny Powell jest jednym z tych wybranych, co wyraźnie widzą czar-ziele, które tu się wszędzie wije, a nawet postronnym umieją niekiedy pokazać jaki listek, gałązkę czy wąż chwytny a misternie skręcony, co się wokół czegoś przyjaznego mu owija. I dzięki niemu rotmistrz też czasem coś spostrzega. Legenda przeplata się tu z rzeczywistością, nie rozróżnisz co jest co, i stąd dociekania Wielebnego próbują rzecz spenetrować do dna: do tych najstarszych fundamentów prawdy, które przez wieki obrastało zdradliwe ziele. Choć legendą i folklorem nie gardzi, skoro i z nich można wyłuskać prawdziwe ziarno — tak właśnie, jak osiemset lat temu brał się do rzeczy Tomasz de Braose.

Jak się rzekło, biskup był zaprzyjaźniony z mnichami z Glastonbury i co ważniejsze spisał wszystko, co o tych sprawach wiedział. Żył w czasie, gdy *Res Britanniae* na dobre zawładnęła wyobraźnią uczonych kronikarzy i romansopisarzy, a także miniaturzystów, rzeźbiarzy i złotników. Wędrowni bazarze ponieśli ją w świat: na pańskie dwory, do klasztorów, na targowiska i do karczm gdzie zbiera się pospólstwo — tak właśnie, jak między Niemców i Francuzów roznieśli Sprawę Francji: Karola Wielkiego i jego paladynów. Ale Sprawa Brytanii mocniej zawładnęła tęsknotami ludzi i stąd o wiele szerzej rozeszła się po chrześcijańskim świecie. Przez paręset lat pochłaniała wyobraźnię nie tylko macierzy, ale też Francji, Niemiec, Hiszpanii i Włoch, a nawet sięgnęła dalej — do dworów Artusa w Gdańsku i Toruniu, a także na Wschód krzyżowców.

Co do biskupa Tomasza, to choć z krwi i nazwiska Norman, uległ jednak magii swych rodzinnych stron, do czego walenie przyczynił się świat zadomowiony tu właśnie, w Ercingu, z tej strony rzeki, świat celtyckiej pieśni i legendy. Życie biskupa przypadło na czasy, gdy Sprawą zajęli się właśnie uczeni i pieśniarze w Anglii i Francji, mową zwykłą i wiązaną spisywali co rusz nowe wersje, coraz dłuższe i niezwykłejsze, z przyłączeniem wciąż nowych wątków: Tristan i Erec, Lancelot, Gawain i Percival, no i oczywiście Graal z Józefem z Arymatei. W tym wszystkim coraz bardziej zatracił się sam Artur, ten znany biskupowi od dziecka, od nianiek i służby, a jak dorósł, to i od

walijskich bazarzy z harfą w sakwie na plecach, których nieraz kazał sobie sprowadzać, rad słuchał i godnie wynagradzał. Przepłytywał też o te rzeczy podczas swych pasterskich podróży, zbierał stare rękopisy i wywiadywał się po klasztorach Marchii, z których sporo było już starych, gdy William Zdobywca koronował się w Westminsterze, a ich pamięć sięgała jeszcze dalej. No i po walijsku mówił jakby się urodził Celtem. Z powyższego można wnioskować, że, choć jako człowiek swoich czasów pewnie wierzył w te różne na uczoność pozujące *Gesta* i *Historiae*, a może nawet trochę w dworskie bajdy przez romansopisarzy kunsztownie rozbudowane, to jednak przeczuł ważność Artura prawdziwego — takiego, o jakim opowiadali jego rodacy w Bretanii, Kornwalii, w samej Walii i na Pograniczu, i na którego powrót czekali, by pomścić ich krzywdy i przywrócić brytyjską rasę do dawnej świetności. I ta najbardziej go obchodząca wersja z pewnością była tą, którą własną ręką obszernie spisał i która potem zaginęła. Cóż w tym zatraceniu dziwnego, skoro na koniec same nawet cudotwórcze relikwie św. Tomasza pogrzażyły się w niebyt? Wyrzucone z grobowca przez ludzi Cromwella, tego co się wysługiwał Henrykowi Sinobrodemu, w tajemniczy sposób ocalone zostały od spalenia i z ukrycia nadal działały cuda. Tak było aż do wielkiej zarazy w 1610 roku, gdy zdesperowani heretycy uciekli się zwyczajem przodków o ratunek do tego wielkiego patrona Marchii. W bardzo ciemną noc przez Longford przemknęła procesja ze świętymi kośćmi i mór natychmiast ustąpił. Był to ostatni cud św. Tomasza, bo od tej pory relikwie znikły bez śladu, choć nieraz by się przydały, szczególnie w naszych czasach, gdy napływ Słowian do Crowleyu wzmocnił stan posiadania rzymskiej wiary w ojczyźnie biskupa, tak że czcicieli by mu nie zabrakło.

Wspomniano o powyższym nie tylko po to, by naświetlić zainteresowanie Wielebnego Powella Tomaszem de Braose, ale także by podkreślić duchowe pokrewieństwo oparte o Sprawę Brytanii między tym o osiemset lat odległym Normanem, rzymskim biskupem i świętym, a w naszych czasach żyjącym Celtem, który jest na dodatek heretyckim pastorem. Zwłaszcza że ów pastor z kolei wciąga w Sprawę Słowianina, polskiego patriotę i monarchistę. I nic w tym dziwnego, bo czy rasowy monarchista potrafi oprzeć się fascynacji króla Artura (jeśli go w ogóle zna), tego pierwowzoru prawdziwego monarchy? I to, *nota bene*, monarchy, który gdzieś pod górą, w jaskini czy przedhistorycznym grodzisku albo innym kurhanie (jak różni w różnych częściach zachodniej Brytanii opowiadają) śpi ze swymi rycerzami, aż się

kiedys ocknie by pomścić krzywdy swego ludu? A znów co ma sądzić Wielebny Powell, który od rotmistrza dowiedział się o królu i rycerzach śpiących pod Giewontem i także czekających na hasło? Obaj wiedzą, bo dziećmi przecież nie są, że to mit i bajka, ale kto potrafi wyjaśnić do końca, czemu jednak wśród Celtów i Słowian wyrosła?

A więc Wielebnego najbardziej obchodzi najstarsza warstwa Sprawy, sam jej fundament, czyli to, co jeszcze w Ciemnych Wiekach zapamiętała sobie Walia i pokrewne jej ludy — to jest w czasach, u których początku wypadło żyć i działać wielkiemu królowi. Bo kwestionować samą historyczność Sprawy nigdy mu nie przyszło do głowy, tak jak nigdy by nie zaprzeczył, przy zdrowych będąc zmysłach, historyczności Jezusa Chrystusa albo św. Tomasza z Longfordu. Bo i nikt przytomny, z największymi uczonymi włącznie, nie wątpi, że u jej podłoża leży fakty nie mniej prawdziwe niż te, na które teraz sami patrzymy, tylko że bujnie obrosłe zwodniczym ziele. W przeciwieństwie do oficjalnych uczonych Wielebny jest pewien, że sceną, na której rozegrała się znaczna część Sprawy, były Marchie z longfordzką na czele, i właśnie tutaj, tuż za własnym żywopłotem, jeśli nie na progu i nie przed samym kominkiem widzi rosnące czar-ziele właściwe krajowi Artura. Trudno zaprzeczyć, że do tego przesłanki ma równie dobre jak ci, co śladów Sprawy szukają gdzie indziej: w sercu Walii, w Kornwalii, Devonie i na bagniskach Somersetu, w Bretanii, a nawet na szkockim pograniczu. Czynią to przy pomocy filologicznych rozważań nad tajemniczymi nazwami miejsc, których antyczną wersję podają najstarsze zapiski. Przy tym ślęczą mozolnie nad wielkimi mapami topograficznymi, nim wreszcie dostojną osobą zjadą w interesujący ich teren, by się naocznie przekonać, czy jego kształt, układ dróg, strumieni i wzgórz, ślady przedhistorycznych grodzisk i kurhanów zgadzają się z wzmiankami o dwunastu bitwach u Gildasa i znanym kierunkiem barbarzyńskiej ekspansji, z mętnymi zapiskami Nenniusza i z obrazem podboju Brytanii przez Jutów, Angłów i Sasów, jakiego dostarcza Anglosaska Kronika, Czcigodny Beda i nowoczesna archeologia, a także (to ogromnie ważne) z ich własnymi w tych sprawach marzeniami. Przy okazji przepytują ludność od wieków po wioskach i farmach osiadłą, jakie zna gadki, bajdy i legendy. Tu właśnie Wielebny Powell, który wszystkie możliwe źródła gruntownie przebadął i zna nie gorzej od uznanych w tych sprawach autorytetów, zupełnie się z nimi nie zgadza i granice kraju króla Artura rozciąga na wschód, tak by objęły całe Marchie.

W tych rozważaniach kluczowe znaczenie ma ostatnia, największa bitwa, którą Artur stoczył przy Mons Badonicus (jak zwą ją najstarsze źródła) i która dała znękanym Brytanom kilkadziesiąt lat pokoju. Najstarsze i wypadkom najbliższe źródła głoszą, że w tej bitwie z ręki samego Artura padło 960 mężów, że było to w roku Pańskim 518 i że ta straszna rzeź trwała trzy dni. Obok tych zapisków Wielebny przypisuje wielką wagę podaniom ludowym, które w dawnych wiekach zawodowi opowiadacze, *cyfarwyddiaid*, roznosili po Walii. Ta o wiele później spisana literatura jest niezwykle cenna, nie skaziła jej bowiem łacińska uczość. Nie tylko szuka się w niej źródeł św. Graala, ale też codziennego, nieodszywanego oblicza wielkiego króla, czy — jak niektórzy twierdzą — wodza Walii przeciw Sasom i Anglom. Tak właśnie występuje w opowieściach *Mabinogionu*: jako jeden z tych walijskich królów, co od zamierzonych czasów spadali na Marchie. Rozchełstany na deszczu i wichurze wojuje, poluje, na pustkowiach grzeje się przy ognisku, śpi na własnej przemokniętej opończy i z towarzyszymi szuka przygód. Gdzie mu tam do zaczarowanych kaszteli, okrągłego stołu, dworskiej galanterii i rycerskich turniejów! Takie jest jego najstarsze, przez lud zapamiętane oblicze, które tak urzekło biskupa Tomasza, a teraz pochłania Wielebnego Powella. Zwłaszcza że z tych przeróżnych poszlak wynika, choć oficjalni uczeni tego nie przyznają, że Artorius czyli Niedźwiedź był człowiekiem Marchii, a szczególnie longfordzka nie była mu obca. Nic dziwnego: leży pod Walią, jest otwarta na południe i wschód (skąd szli barbarzyńcy) i przy tym mało oddalona od Kornwalii. Była więc naturalnym polem bitew i stąd nasz Badonhill ma więcej danych by uznać go za Mons Badonicus niż te wszystkie miejsca, gdzie się go szuka. Dziecko by spostrzegło, a panowie z uniwersytetów zamykają oczy i dalej gonią swe chimery: śmiech bierze, gdy pomyśleć ile nieprawdopodobnych miejsc w całym kraju ogłosili Badońską Górą! Tymczasem tu właśnie, przy drodze z Crowleyu i Holme de Braose do Longfordu, leży wieś Badonhill, której topografia dokładnie się zgadza z zapiskami o bitwie. Mimo wsi mianowicie przebiega łańcuch lesistych wzgórz i w miejscu gdzie ją mija wystrzela nagle stromym szczytem otoczonym wałem — jeszcze jedno starożytne grodzisko, na którym Longfordzki Klub Historyczny nigdy nie próbował rozkopek — mało to grodów na Pograniczu? Ten musi być jednak bardzo stary, skoro u jego stóp biegnie legionowa droga ku Walii, ta do longfordzkiego brodu. Jest więc oczywiste, że wielka bitwa musiała toczyć się przy ważnej drodze i oczywiście grodzisku,

broniącym dostępu do brodu wrogom, idącym jak zwykle ze wschodu. Grodzisko musiało więc być bazą ciężko — na wzór rzymski — zbrojnej jazdy Artura, która ze zbrocza z tym większym wpadała impetem na zaskoczonego wroga. Z tego też zbrocza Artur dowodził, niosąc — jak pisze kronikarz — na ramionach wizerunek Bogarodzicy; odłożywszy go później, wpadł z mieczem między walczących, by własną ręką rozciągnąć 960 angielskich barbarzyńców. Echa stoczonego tu wielkiego boju pokutują w okolicy i nie tylko włóczęga nawykły do nocy pod gwiazdami przyświadczy, ale też solidny farmer i jego żona, że dzieją się tu przedziwne rzeczy. W pełnię księżycy Artur z drużyną objeżdża wały, a w noc wigilijną spuszcza ją się w dolinę poić konie u przykościelnej studni. A znów w zimowe noce, gdy wichura szaleje jakby się piekło żeniło, słychać wielki orszak duchów goniący przez powietrze: ryczą rogi, dudnią podkowy i psiarnia jazgoce. Nikt wprawdzie sam tego nie oglądał, ale różni słyszeli — lepiej siedzieć pod dachem i nie patrzeć, bo uniosą. A jakby w noc świętojańską kto się odważył wejść na grodzisko, to zobaczy coś zaurozonego i popsuje mu się w głowie. Mało kto dziś w to wierzy (tak przynajmniej zaznacza), ale zaraz doda, że on sam albo jego ojciec znał w dzieciństwie jakiegoś dziadka czy babkę co to wszystko widzieli. Ale za to każdy w okolicy przyświadczy, że w noc św. Swithina (tego co rządzi deszczem) na łąkach pod górą toczy się straszna bitwa, słychać okropne krzyki, grzmot kopyt i młócenie mieczów o tarcze. Dawniej takie sprawki przypisywano elfom, ale dziś najprędzej wyrwie się kto z tym w karczmie, nadużywszy piwa czy jabłecznika. A jednak, gdy parę lat temu zjechali tu aż z Londynu jacyś spirytyści i łazili po grodzisku, łąkach i wzdłuż żywopłotów u longfordzkiej szosy, to na koniec orzekli, że jest to miejsce nawiedzone i aurę ma nadzwyczaj gęstą.

Warto odnotować, że Crowley nigdy niczego nie zauważył i nawet pan Antoszek, który z racji osobliwego trybu swego roboczego żywota co dzień drogą pod grodziskiem dwukrotnie przechodzi, a zimą to przecież noc, nigdy nic nie spostrzegł. Bo jak wyje wichura, drzewa miotają się jak oszalałe, a deszcz rżnie jak brzytwa i ciemno choć wał po zębach, to wiadomo, co uczyni rozsądny człowiek: kołnierz podciągnie do uszu i kaszkiet naciśnie tak głęboko, że daszek mu się oprze na karku, sakwę z termosem mocniej do boku przyciśnie i doda gazu. Ani mu w głowie nadśłuchiwać dzikiej pogoni duchów i ujadania widmowej psiarni.

Wracając do Wielebnego, to jest on miłośnikiem i znawcą

folkloru, a Sprawy Brytanii w szczególności, toteż swym przedpotopowym samochodzikiem objechał całą Marchię, zapadłe wioski, samotne farmy i przydrożne karczmy. Rzadko wraca z tych wypraw z niczym, z przepytywania ludzi zgromadził obszerną kartotekę i ciągle jeszcze uzupełnia swą mapę arturiańskich śladów na twarzy Marchii. Przy jej pomocy przekona kiedyś uczonych niedowiarków, że tutaj właśnie, na przedpolu Walii, jest właściwe miejsce działalności Artura. Nikt wprawdzie dziś nie pamięta czemu jakiś kurhan, studnia, bród albo kamień noszą królewskie imię, ale niepamięć nie przekreśla poszlak. A już szczególnie gęsto od tych śladów w Ercingu — nawet tu nieopodal Wał Offy przebiega do brodu zwanego Przejściem Artura, a na łące za plebanią stoi Kamień Artura — przedhistoryczny dolmen. Tak zaczarowane ziele wije się pod samym bokiem domostwa, wspina się zewsząd na jego czarno belkowane ściany i wciska się do wnętrza — nawet Słowianin Wolniak czasem je dostrzeżga, zwłaszcza gdy o żelaznym zimowym zmierzchu lub w czerwonych łunach jesiennych zachodów wraca polną drogą do Crowleyu, niosąc pod pachą jedną z historycznych książek od Wielebnego i rozmyślając o tych różnych rzeczach, które słyszał na plebanii. O takiej porze puszyste gałązki jeszcze gęściej płożą się po rowach, włożą na żywopłoty i nawet na drogę wysuwają chwytlive wąsy, aż zdaje się, że oplączą człowiekowi nogi i nie wypuszczą. Tak go odprowadzają aż pod bramę Crowleyu, skąd cofną się zalęknione od miejsca, gdzie pada światło z gotyckiego domku odźwiernego, teraz siedziby ryżego Freda z farmy Mr Collinsa. Za tą bramą nie ujrysz już ani listeczka, choć sto i siedemdziesiąt lat temu pełno ich się wodziło po ogrodach Sir Evelyne, którego ukochaną książką było Malory'ego *La mort d'Arthur*. Uwiędło dopiero gdy rozgościł się tu praktyczny ród Cravenów, a odkąd zawitali Słowianie, to już w ogóle nie ma mowy, żeby choć jeden pozłocisty wąż czy zielono lakierowany listeczek mógł się pokazać.

JAK CROWLEY STUDIUJE

Na złe wyszło Adamowi zjedzenie jabłka z Drzewa Wiadomości, bo nie tylko wiadomości nie zyskał, ale umysł ludzki tak

osłabił, że jego dziatki odsiadują długie lata w zakładach naukowych, by choć częściowo odrobić skutek kary Pierwszych Rodziców. A już dziatkom z Crowleyu szczególnie trudno, przynajmniej na początku, gdy mowy tubylców nie pojmują. Gdy ją wreszcie pojmą, ich droga nadal jeży się cierniem, a najgroźniej dla jedenastolatków, bo w tym wieku raz na zawsze rozstrzygają się ich losy, gdy pedagogiczne ciała oceniają kategoriycznie ich przyszłe talenta, możliwości i inteligencję. Najpierw więc jest choroba próbnych testów, które zdecydują o dopuszczeniu do egzaminów gimnazjalnych. Potem je zda jedno na dziesięcioro albo jeszcze mniej, i to nawet niekoniecznie że reszta matołów w matoła, tylko że longfordzka Marchia cierpi na ostry niedostatek średnich akademii nauk.

W odróżnieniu od anglosaskiego ludu z farm i fabryk, który gwizdże sobie na te rzeczy, ma w pogardzie uczonych ludzi i ledwo się może doczekać żeby młodzieży gruchnęła piętnastka by ją pognać do roboty, Słowianie z Crowleyu, podobnie jak Celtowie z Ercingu i samej Walii, nie wiem co by dali żeby ich dzieci uczyły się i wyrosły na coś lepszego. Toteż w lutym obchodząc w soboty wyrывa się z apatii bezrobocia i z zapartym tchem śledzi zmagania swego młodego narybku, który na salach egzaminacyjnych toczy właśnie zacięty bój o dobre imię swej rodziny, Crowleyu i Narodu Polskiego, a czyni to przy pomocy arytmetyki, tubylczej mowy i najzdradliwszej gałęzi wiedzy zwanej inteligencją. Trzeba przyznać, że obozowa dziatwa spisuje się niezgorzej i nawet częściej niż przeciętna u tubylców łapie te okropnie cenne miejsca w gimnazjach Longfordu i dalekiego Kingsbere, które leży na samej granicy Marchii, gdzie zaczynają się góry Walii. Bo też Słowianie, nawet mało piśmienni, nie żałują swych lichych zarobków na cele naukowe — rzecz jasna angielskie, bo polską szkółkę sobotnią niech pies zakicha. Przy pomocy Wolniaka nękają irlandzkie zakonnice ze szkoły św. Józefa w Longfordzie o spisy pomocniczej literatury do rachunków i inteligencji, skwapliwie je kupują i mają oko żeby dziatwa czytała z nich i pisała *na zeszyte*. A gdy na koniec okresu uczniactwo przywozi do domu szkolne *raporty* o swych postępkach i cechach charakteru, zasłużeni podejmują twardą walutę z profilem Króla Jegomości na rozpustę kina i lodów, a czarne owce dowiadują się, czemu ojcowskie spodnie nie spadają, nie mówiąc już o matczynych ścierkach. Niektórzy crowleyanie z tym kształceniem nawet popadają w przesadę: na przykład Kaziu Próchnicki dostał globus wielki jak dynia i wewnątrz pięknie oświetlony żarówką, którym elektryka obraca jak prawdziwym światłem

tem, a Jurek i Basia Koziccy kosztowną encyklopedię, na której tak zmyślili, że już na drugi dzień w drodze do Longfordu wyjaśnili dokładnie całemu szkolnemu autobusowi, a w nim trzem narodowościom, skąd się biorą dzieci. Wyjaśniali dalej i w klasie, aż blade ze zgrozy zakonnice zagroziły im ciężkim grzechem, a Żywe Róże obsztorcowały panią Kozicką przy pracy w dziemiarni, że przez nią tak się deprawują aniołeczki.

Ale pomijając ten niesmaczny epizod troska rodziców nieraz daje pomyślne skutki, tym bardziej że zagrzewają milusińskich do podwojenia wysiłków ekstrawaganckimi obietnicami kupna patefonu lub roweru, lub też groźbą lania że Jezus Maryjo. Tylko jeden Sitak, któremu dzieci wymarły w Sowietach i który z rozpaczy pije jak gąbka, choć po Sowietach dochował się jeszcze jednego chłopaka, wszystkim opowiada że naukową karierę Heniutka ma gdzieś — niech bęcwał tylko dojdzie piętnastki i zacnie na siebie zarabiać, ojciec ma inne potrzeby. Cóż to — ma psia mać być lepszy ode mnie?! Nic więc dziwnego, że onegdaj walne zebranie Koła Rodzicielskiego szkółki sobotniej im. Trzech Wieszczów wybrało pana Sitaka swym prezesem, a ksiądz Turkuć urządził mu uroczyste srebrne gody małżeńskie. Toteż Heniutek, który skończył dopiero 9 lat, kpi ze szkoły i nauczycieli. Choć tubylczym zwyczajem co rok przechodzi do wyższej klasy, dotąd nie umie czytać, a co dopiero pisać, i lepsze rzeczy mu w głowie. W przerwie obiadowej wymyka się od św. Józefa do Woolwortha na drobne złodziejstwa, a poza tym pali jak komin i w tajemnicy dawane przez matkę kieszonkowe zamienia w podejrzanym gazeciarniach na takie kawalerskie gazetki, gdzie pełno rozmamłanych bab w bezecnych pozach. To by jeszcze nie było takie straszne, gdyby ich nie pokazywał chłopakom, a nawet kiedyś nie wsunął między książki niczego nie podejrzewającej siostry Agaty, kierowniczkę uczelni św. Józefa, która daremnie próbuje wyprowadzić go na ludzi. On również uzupełnił edukację Jurka Kozickiego, i to w sposób szczególnie denerwujący dla pani Kozickiej. Gdy niedawno wietrzyła łóżka, spod Jurkowego materaca wyłoniły się nagle te gazetki, aż osłupiała jak na widok zmił, one zaś bezczelnie wypinały ku niej zadki, przedsięwzięcia i co tylko. Jak już trochę zebrała myśli, to je wyłożyła na stole koło radia, po czym starannie wyszorowała ręce i czekała na powrót smarkacza. Ten się strasznie zmieształ, aż odruchowo złapał się za tyłek, który bezsensownie płaci za to, co zbroi jęzor albo ręce, ale ona tym razem w ogóle nie sięgała po pasek. Spytała całkiem spokojnie czemu tak gniecie te gazetki pod siennikiem zamiast je trzymać na stoliku

z książkami. To on do reszty zgłupiał, a ona mówi, że jej smutno, nie mieli z ojcem pojęcia co go naprawdę interesuje i tyle pieniędzy zmarnowali na encyklopedię, przez pół roku będą za nią bulić raty. Ale dobrze, że już wie i więcej nie wyrzuci ciężko zarobionej gotówki. Nawet bardzo jest rada, że on woli te pisemka, bo to o wiele taniej. Jak w sobotę pójdzie płacić we wiosce za gazety, to zaprenumeruje mu jego ulubione wydawnictwo i chłopak będzie mu je przynosił do domu razem z *Daily Mirrorem* i *Dziennikiem Żołnierza*.

Jurek okropnie poczerwieniał i zaczął się jąkać: że, mamusiu, ja tego nie chcę, to okropnie nudne i w ogóle... — To skądś je, wstrętny osłe, wziął? — To nie moje, to Sitaka. On mi to pchał, a ja nie chciałem, to on mówił, że ma *baby*. To co miałem zrobić? — Na to pani Kozicka znacznie się uspokoiła, przyznała w duchu, że chłopak faktycznie nie miał wyjścia. Zgarnęła świństwo i pobiegła do Sitaczki, żeby jej do własnych rąk oddać zbiory jej syna. Sitaczka wzięła całkiem obojętnie, więc Kozicka pyta, czy uważa, że to w porządku, że jej syn takie coś kupuje i daje innym dzieciom. Na to Opinia Publiczna się zdziwiła: czemu nie, wiadomo, że chłopak ma kawalerskie zainteresowania. Jeśli kto ma się wstydzić, to Koziccy o tę bezbożną *encyklopedzie*, którą ich dzieci zgorszyły całą szkołę i sama siostra Agata była oburzona.

Ale na św. Józefie nie kończy się wykształcenie młodzieży, która wraz z resztą społeczności stoi właśnie w punkcie zwrotnym swego żywota: przekroczy granicę, czy nie? Różne grupy wieku różnie to odczuwają, ale pytanie dotyczy każdego. Wokół nich są Marchie, a za nimi ojczyzna; o powrocie ciągle się mówi na akademiach i kazaniach, nieodmiennie podniosłych. Ale mało kto bierze to na serio, prócz księdza Turkucia, stęsknionego za swą plebanią, Słomianego Wdowca, wachmistrza Millera i tych inteligentów od brudnej roboty (tak, tak — skończyło się wasze, ech Bożeczku ty mój sprawiedliwy!). Bo jakby przyszło wybierać, to poza nimi cały Crowley wolałby tu zostać na zawsze, skoro nawet z zimowym bezrobociem powodzi im się o tyle lepiej niż w domu; niech Bóg uchowa przed zgryzotami, jakich by napędziła możliwość powrotu. Wprawdzie niektóre panie, jak się zejda w pralni albo na chmielu, kadzą wzajem jakie to miały w Polsce majątki, służbę i *awtomaszyny*, ale to tylko gadanie, żeby innym zepsuć krew. Więc czy kto chce czy nie, wszyscy przechodzą teraz okres przejściowy: za nimi ojczyzna, którą dziatwie zatruwa się życie w szkole im. Trzech Wieszców, a wokół nich dziwaczny świat Marchii z ich ludami i językiem,

który dla starszych jest krzyżem Pańskim i już nim pozostanie, a dla dzieci staje się coraz bardziej zwykły i własny. O wiele więcej potrafią w nim wyrazić niż w ubożuchnej mowie rodziców, a z chwilą wyjścia poza obóz, między tubylców, Marchie stają się ich domem, gdzie wszystko jest oczywiste i gdzie myszy nie pożerają królów, a jeśli Wandy skaczą do rzeki, to dla sportu.

Będzie ze dwa lata jak Ksiądz Magister i profesor Koziewicz zauważyli, że ledwo dzieci pójdą do szkoły, to zaraz zaczynają mówić między sobą tylko po angielsku, wołają się John, George i Cathy i po naszymu mówią coraz paskudniej, bo od kogo mają się nauczyć? Od rodziców, z których mało kto *czytały*, co najwyżej niedzielne gazetki, a już rzadziej *Narodowca* albo *Dziennik*, a *pysaty* jeszcze mniej? Zaraz więc zwołali zebranie, wybrali komitet rodzicielski z zawsze chętnym Sitakiem na czele i uchwalili, że trzeba stworzyć szkółkę sobotnią i oddać ją pod opiekę Trzem Wieszczom. Walne zebranie zatwierdziło na to składkę, szylinga tygodniowo od rodziny, bo i czemu nie? Ksiądz by się rozgniewał, a wtedy jest straszny, a zresztą duża z tego korzyść: na pół soboty wyzbyć się bachorni z domu, wiedząc, że siedzi bezpiecznie zamknięta i nie polezie w szkodę, a przy tym oszczędność na autobusie i kinie, bo to napierają się jechać na sobotnie poranki dla dzieci w Odeonie. O ten Odeon głównie rozbijają się patriotyczne wysiłki księdza Turkucia, profesora i pani Góreckiej, którzy rezygnując z własnego odpoczynku wzięli się kształcić nasz młody las i w tym celu sprowadzili aż z Londynu różne pisemka i programy. Trudno im idzie, bo Koziewicz nigdy nie uczył drobiazgu, Górecka w ogóle nikogo nie uczyła, a Ksiądz Magister wiadomo: święcenia dały mu moc kapłańską, nie pedagogiczną. Teraz więc wszyscy troje znoszą pretensje wychowanków o Odeon, bo przez te lekcje dzieci nie mają pojęcia, o czym cała szkoła zawzięcie dyskutuje w poniedziałek rano. Ksiądz jeszcze najlepiej sobie radzi, bo obwiesie go się boją: spurpurowieje i huknie „ustatkuj się, ośle patentowany!”, capnie za ucho — lepiej mu nie włączyć w drogę. Zresztą wiedzą z domu i od zakonnic, że religia rzecz serio, bez niej idzie się do piekła i o dowcipasach nie może być mowy, ojciec-matka pasy by z nich darli. Więc odbijają sobie za wszystko na Góreckiej i Koziewicz, kpią otwarcie i wcale nie kryją, że polszczyzna jest *nuisance* i mają ją gdzieś; przykład idzie z góry — czy rodzice nie mówią „głupia twoja pani, co ona tam wie” i „nie będziesz jadł z tego chleba”, a profesor na dodatek podejrzany o bezbożność?

Stąd na lekcjach dziatwa wcale się nie kryje, że siedzi tylko z dopustu Bożego. Tylko do akademii są chętni, a okazja wypada co chwila i rodzice pilnują, by broń Boże nikogo nie pominąć i żeby się ładnie prezentowały na scenie. Biada londyńskiej gazecie, jeśli w opisie tych wzniosłości pomyli się czy zapomni czyjś nazwiska. Wtedy najmniej nawet wprawne ręce chwytają dziecinną obsadkę i gryzmolą takie sprostowania, że redaktorom idzie w piętę. Bardziej oblatani myślą tu nie tylko o sobie, ale i o ułatwieniu pracy przyszłym historykom, wszyscy zaś chcą, by znajomych z innych obozów i innych crowleyan krew z zawiści zalała — patrzcie jakie to mądre dziecko, aż stoi w gazecie! Więc też na każdego Trzeciego Maja, Święto Żołnierza, Jedenastego Listopada, imieniny Marszałka, początek i koniec roku szkolnego, a także na Boże Narodzenie i Chrystusa Króla z kościuszkowską egzaltacją i coraz gorszym akcentem deklamują znane utwory: „Do kraju tego tęskno mi Panie”, „Kto ty jesteś? Polak mały” oraz utwór księdza Turkucia „Kiedy Ojczyzna wstanie na nogi powiedz mi Boże drogi”. Robią przy tym krakowiaków, matki Polki, ułanów i legionistów żywych oraz poległych, konające Orłęta i tego syna, co jak pies położył się na sztandarze. Przy tych epizodach niektóre panie płaczą, bo nie trzeba wiele wyobraźni, by się postawić w sytuacji takiej matki. A znów z okazji religijnych występują z pieśniami okolicznościowymi, deklamują poematy do Matki Boskiej i Świętych Pańskich i przemawiają do ich obrazów, nakładają nocne koszule i bibułkowe skrzydła, a w rękę noszą także palmy i lelije. Więc też ciało pedagogiczne, a zwłaszcza główny reżyser Książd Magister, mają ciągle dodatkową robotę. Ale to się polskości opłaca, bo przez tę sobotnią przechowalnię dzieci i akademie są pełne trzy klasy, a bez tego byłoby tylko z pięcioro.

Można jeszcze dodać, że rodzicielska hojność, która nabywa angielskie pomoce naukowe i elektryczne globusy, nie dotyczy ojczystych ksiąg, o czym już dawno przekonały się literackie budy z Londynu i przestały tu zajeżdzać. Czy warto nakładać taki szmat drogi, by sprzedać dwie-trzy książeczki? Ludowi szkoda uczciwych pieniędzy, cóż dziecko będzie z tego miało? To nie angielska szkoła, ta serio, a jak taki z tej budy zastukał do drzwi i mówił „kup pan polską książkę”, to go odwalali, że już jedna jest. Więc jak jaka babcia z Polski przyśle książeczkę, to się wala nierozpakowana, aż ją wchłonie chaos niepotrzebnych gratów. To samo jest z biblioteczką, która tu została po wojsku: tych kilkoro inteligentów nie pójdzie, bo po co — po *Potopy* i *Wallenrodów*? — zaś trzon społeczności nigdy o nich nie

słyszał, a teraz tym bardziej nie pragnie. Policzysz więc klientelę na palcach jednej ręki, a najgorliwszy jest pan Śmidowicz, ojciec ośmiorga dzieci, który dotąd żałuje, że we właściwym czasie, jako wiejski pastuch-sierota, nie mógł się uczyć, choć ciągnęło go do książki że Boże święty! Dlatego teraz, w odróżnieniu od swej głupiej a pyskatej żony, żarłocznie pragnie, by jego dzieci uczyły się wszystkiego i zaszły jak najdalej, a dotyczy to nawet szkółki sobotniej. Sam by do niej chętnie poszedł, gdyby się nie wstydził bachorni, no i tak ciężko nie harował, także w *weekend'y*, gdy usmolony jak jaki piekielnik rozwozi węgiel po Marchii, bo bez tego nie wykarmiłby swej czeredy. W tym wszystkim cały czas mu towarzyszy Kraszewski czy Orzeszkowa, a z Trylogii całe kawały umie na pamięć. Z tej żądzy wiedzy biorą się różne kłopoty: przez dzieci chciałby sobie wynagrodzić własne straty, a im się nie chce, obwieś w obwiesia, tylko jedna Krysia przykłada się do nauki, a najstarszy, Heniek, pierwszy ministrant, jest zdolny, ale tylko niekiedy — gdy nie rozmyśla o niebieskich migdałach.

Dla pełnego obrazu ojczystej edukacji należy jeszcze wspomnieć o dwu panienkach i jednym młodzieńcu z Crowley, którzy z angielszczyzną są na bakier, nauki pobierają bowiem w dogorywających polskich gimnazjach Komitetu Oświaty. Może czynią to dlatego, że wkrótce wrócimy do Polski, może z lenistwa — by nie stanąć z życiem twarzą w twarz, a może z miłości do *Pana Tadeusza*. Zresztą Zośka Kudła i Romcia Bajwoluk nie zdradzają zainteresowań i wiadomo o czym marzą. Ale z dwumetrowym Adziem Bezdrożnym całkiem inna sprawa. Jego mama dawno ogłosiła w miejscach publicznych, że syn zamiaruje studiować telewizję. Ale złośliwi twierdzą, że Adzia pochłania tylko jedna rzecz i gdy na święta nie zjeżdża do Crowleyu, to dlatego że odbywa w szkole koszarniaka za nałogowe kartograjstwo, a nie — jak rozgłasza pani Bezdrożna — że się tak okropnie zakuwa. Jest to, *nota bene*, kartograjstwo na gotówkę, którą mamusia hojnie posyła ukochanemu jedynekowi. Mężowi kategorycznie zabroniła się wtrącać, bo przecie nie rodził, i tak go wytresowała, że boi się co bądź powiedzieć, bo dostałaby takiego ataku serca, że hałas byłby na całe osiedle.

Powyższa trójka wychowuje się poza obozowym polem widzenia i w Crowleyu widzi się ją tylko od święta. Od codnia zaś, przez pięć dni w tygodniu, dziatwa przemienia się w obywateli Marchii, co czyni przy pomocy niższego zakładu naukowego św. Józefa, dokąd Crowley wysyła niezliczoną hurmę. Irlandzkie zakonnice są mu wdzięczne za tak wybitne wzmocnienie sprawy

katolickiej wśród pogan i kacerzy, a ksiądz Turkuć pilnuje, by nikt się nie wymknął do innej szkoły. Zezwala na to, z braku czegoś lepszego, dopiero tym co obleli egzamin do gimnazjum oraz tym co zdali. Pierwsi udają się do *Secondary Modern* w Madley i to są nieudacznicy: Antek Bielas, Henio Śmidowicz, Lalunia Dekier i Bolesł Szydło. Drudzy, gimnazjaliści, stanowią śmietankę Crowleyu: Halinka Ostrowska od Lady Watkins w Kingsbere i Stasiak Wiewiór z wielkiej fabryki mózgow przy longfordzkiej katedrze. Ci oczywiście patrzą z góry na kłębiący się wokół drobiazg, gdy co rano czekają pod kościołem w Holme de Braose na szkolne autobusy, które ich rozwiozą gdzie należy: wielki hurt do św. Józefa w Longfordzie, a resztki do Madley i Kingsbere. Józefowych nie zliczyć ani spamiętać, to masowa powojenna produkcja i ich starszyzna, czekająca na bitwę o gimnazjum, jest jeszcze nieliczna: pięcioro z chudych wojennych roczników. Ich gwiazdą jest naturalnie Kryśka Dyderko i tak być musi, skoro pierwszym zadaniem tej szkoły jest pobożność. Znana jako Christine, jest radością zakonnicy i co roku otrzymuje nagrody za postępy w religii: dewocyjne dzieła w ciemnych okładkach. Sprawiedliwie jej się należą, bo nawet zerwana w nocy wydałaby bez namysłu Dary Ducha św., uczynki miłosierne co do ciała i duszy oraz siedem grzechów głównych. Pani Dyderkowa jest okropnie dumna, już w niej widzi przyszlą zakonnicy i kiedyś nawet śmiała powiedzieć Różom, że sam Ksiądz Magister w wieku Krysi lepiej się nie znał na tych rzeczach. Prócz tego Kryśka wyróżnia się w palancie i gimnastyce, i to jest drugi powód do dumy u tej niedużej, mocno zbudowanej dziewczynki o pucułowatej twarzy i burych oczach ledwo widocznych spod grzywy sztywnych jak u konia włosów. Wygląda tak zdrowo, że nawet szkolny mundur nie potrafi jej całkiem oszpecić, gdy większość dzieci przypomina zmory w tych workowatych marynarch i beretach w odcieniu koszmarnej zieleni, która wedle zakonnicy jest barwą nadziei, a złośliwym kojarzy się ze zgnilizną. A że dzieci wyrosną prędzej niż zedrą, to praktyczny Crowley nabywa te uniformy w tandeciarni Peacocka i stąd milusińscy wyglądają jeszcze obrzydliwiej, takie to wyrudziałe i flakowate. A już chyba żadne crowlejskie dziecko nie wygląda tak żałośnie, jak Kasia inżyniera Jankowskiego, na której najlepsze nawet ubranie wisi jak na strachu. Jest chuda i blada, z cienkich warkoczyków gubi przepisowe zielone kokardy, a taka przy tym ślamazarna i zagapiona, że uchodzi za pomyloną. Czytać wprawdzie nauczyła się nie wiedzieć kiedy, ale szkolne raporty niezmiennie podkreślają jej niską inteligencję i umieszczają na samym

dole klasy wśród matołków, więc trzeba mieć źle w głowie by oczekiwać, że przepchnie się do gimnazjum. Na dodatek ciągle podpada zakonnicom, jakby im chciała robić na złość: nie tylko na wszelkie sposoby wykręca się od palanta, który przecież kształci charakter, ale przede wszystkim jest doktrynalnie podejrzana: a to przy modlitwie miała otwarte oczy, a to wyrwa się z gorszącymi pytaniami, a to znów opowiada niesłychane historie, choć wiadomo, że Szatan jest ojcem kłamstwa. Nic dziwnego, że często obrywa trzcina po łapach i choć sama nie wie za co, to w domu nic nie mówi, bo byłby hałas i może awantura w szkole i wstyd przed dziećmi. Więc rodzice nic nie rozumieją: dziecko zdaje się niegłupie, czyta chętnie po polsku i po angielsku, a w szkole ciągle osioł i niska inteligencja. Ma też dziwne zachcianki: to zostanie zakonnicą, to pojedzie nawracać Murzynków, a przed spaniem bez końca odprawia wszystkie Akty i Mocne Postanowienia w dwu językach. A przy tym ślamazarna, że ręce swędzą mocno nią potrząsnąć, żeby oprzytomniała. Tylko nikt się nie domyśla, że Kasia żyje w ciągłej grozie: że pójdzie do piekła, co jej zresztą siostra Agata nieraz przyrzeka, i tam zawsze a zawsze będą ją torturować jak heretycy męczenników. Ogląda to nieraz ze szczegółami na obrazie, który siostry na przestrożę pokazują obwiesiom, i na tym drugim, gdzie dusze i diabły w ogniu wyrabiają okropne rzeczy i jest wśród nich dziewczynka całkiem do niej podobna, tyle że goła. A siostra Catherine opowiada dokładnie, co i jak heretycy wyprawiali ze świętymi: przypiekali, obdzierali, polewali wrzątkiem i przeróżnie. I jeszcze ta ręka longfordzkiego męczennika w szklanym pudełku na ołtarzu w miejskim kościele, dokąd siostry prowadzą szkołę: Kasia wolałaby umrzeć, niż na nią spojrzeć, a tu jeszcze w jego rocznicę dają ją do całowania i siostra Catherine pilnuje, żeby dzieci podchodziły po kolei. Potem Kasia nie może jeść, mdli ją okropnie i chce płakać, a najgorzej jak się obudzi w nocy i jest tak przeraźliwie cicho i ciemno, tatuś chrapie jak smok, może umiera i wszyscy już umarli? Jak się ocalić od piekła???

Jeszcze dwa lata temu nie była taka niesamowita, a teraz coraz gorzej — czemu ludzie mówią „durny wiek”? Jak dawniej chodziła z resztą crowleyaków do szkoły w Holme de Braose, to wprawdzie ryczała jak każdy, że nie bo nic nie rozumie, ale szybko nauczyła się po angielsku, znalazła przyjaciółki i szła chętnie, bo zawsze tam było coś ciekawego, a nauczycielka, pogodna Mrs Jones, była z niej rada i pisała tylko dobre raporty. Ale potem ksiądz Turkuć zwołał rodziców i spytał czy wiedzą,

że ta szkółka heretycka i czy pamiętają o odpowiedzialności za dusze dzieci, a zresztą to zła szkoła i nikt z niej nigdy nie zdał do gimnazjum. Szkoda, że Kasi nikt nie spytał, bo ona sama znała takich, co zdali w zeszłym roku. Więc crowleyanie, a już szczególnie Róże, struchleli i tym byli wdzięczniejsi że Ksiądz Magister już o wszystkim pomyślał: pojechał z Wolniakem do biur *edukejszyna* i załatwił, że szkolny autobus będzie dowoził naszą dziatwę do uczelni św. Józefa. Od tej pory z Kasią zaczęły się korowody. Co rano ryczała, że nie chce tam jechać i chce do Mrs Jones. Potem to samo, gdy autobus mijał wioskową szkółkę i rozpędzał się do Longfordu. Z tym zresztą wkrótce przestała, bo dzieci się z niej nabijały. Teraz już jeździ bez gadania, tylko rozpaczliwie myśli, że może jej się śni i obudzi się u Mrs Jones. O to wszystko rozbija się jej przyszłość, bo jak ma zdawać do gimnazjum? Zakonnice umieściły ją z matołkami w grupie B i rodzice się martwią, bo jak im się ma to jedno dziecko zmarnować? Ale nic nie poradzą, nie ma pieniędzy na prywatną szkołę, a po angielsku nie umieją na tyle, żeby się zakrzętnąć na własną rękę.

Z Jankowskimi przez ścianę sąsiadują Koziczcy i ci też się trapią, że Jurek obleje. Nie żeby był jak Kasia nieprzytomny, tylko że za dużo w nim wigoru i źle to wpływa na naukowe postępy. Jego tatuś w swoim czasie też się nie chciał uczyć, ciągle go wylewali ze szkół i tak zwiedził pół Polski, bo rodzice chcieli go wyprowadzić na ludzi. Nic nie wyszło i teraz pan Kozicki ma żal do ojca nieboszczyka, że nie łał pasem, no i okropnie się boi o Jurka, który tak wdał się w niego jak Basia w matkę. Z tej zgryzoty wyszła *Oksfordzka Encyklopedia dla Dzieci*, która wstrząsnęła akademią św. Józefa i Żywymi Różami, a szczególnie Sitaczką. Licho wie, czy ten wielki wydatek, bo raty będą bulić przez pół roku, na co się zda, może by lepiej po staropolsku zaufać paskowi?

W taki sposób Kryśka czyli Christine, Kasia czyli Cathy i Jurek alias George sposobią się do ogniowej próby egzaminów, a dotąd nie wiadomo czy ich w ogóle dopuszczą, prócz naturalnie Kryśki. Rozstrzygną to testy po Nowym Roku, by nikt nie mówił, że jego dziecko niesprawiedliwie pominięto. Prócz tej trójki do kandydatów należy jeszcze dwu naszych, co to uczą się ani dobrze ani źle: gruby i sepleniący Kaziu Próchnicki, którego matka przeznaczyła na księdza, więc sama dyrektorka, siostra Agata, jest nań łaskawa i daje święte obrazki, oraz Janek Michalak, którego matka od pięciu lat chce mieć galopujące suchoty, więc dzieci nie całuje i trzyma z daleka.

Tak oto każde z dzieci co dzień uwozi ze sobą swe kłopoty: kto do Longfordu, kto do Madley albo Kingsbere, bo tak decydują szkolne autobusy przystające na chwilę pod obrosłą cisami cmentarną skarpią w Holme de Braose. Gdy tylko wsiądą w swych brzydkich mundurach i pomieszają się z małymi Angliczętami i Walijczykami, to z miejsca spada z nich cała egzotyka Crowleyu i mało czym się różnią od tamtych. Nawet ich nie kompromitują dziwaczne imiona, bo przedzierzgują się w Johnów, Christiny i Henrych, a przy tym cywilizuje się imiona nieludzkie: ze Zbyszka robi się Bysh, z Kazika — Kas, ze Staśka — Stan, z Bolesia — Bill. A ich dzikich, niewymownych nazwisk i tak się nie używa, wszyscy mają jedno: Polish John i Polish Barbara. Narodowe różnice rzadko rzucają się w oczy: u dziewcząt tylko zimą, gdy Angielki noszą odmrożone nogi w skarpetkach, a Polski w dorosłych, ohydnie pofałdowanych pończochach, bo dzieciennych ani na lekarstwo — ich matki nie chcą, by miały skancerowane „angielskie” nogi, u chłopców zaś teraz, jesienią, gdy poznasz na rzut oka z której której nacji.

Że właśnie wszystko dojrzewa, to tubylcy cały czas, nawet w zatłoczonym autobusie, uprawiają narodową grę w *conkers*, czyli kasztany przepisowo nadziane na skórzane sznurowadła. Niewtajemniczeni sądzą, że cały dowcip polega na takim manipulowaniu szpagatem by roztrzaskać kasztan przeciwnika, ale naprawdę to okropnie trudna gra, wywiązują się całe mecze i turnieje, eliminacje, półfinały i wreszcie *grand finale* zwycięskiej pary. Ma to osobny ceremoniał, z wyzwaniem do walki specjalnym wierszykiem i oględzinami sprzętu adwersarza, a przy tym każdy zawodnik ma własne sekrety wzmacniania i konserwowania kasztanów przez specjalne kąpiele i maści o magicznych recepturach, które dałby sobie wyrwać chyba z życiem. Starsi chłopcy mają prawdziwie morderczy oręż: zahartowane na żelazo kasztany zeszłoroczne, niepozorne i pomarszczone i stąd takie zdradzieckie, walą jak bomba i wszystko zmiatają w pył. Ale i te świeże młodszej gawiedzi wiele potrafią w ćwiczonej ręce. Stąd turnieje jak cricket wloką się bez końca, zakłócane przez spanie, szkołę i posiłki, co ogromnie szarpie nerwy zawodników.

Tu warto odnotować rzecz szczególną: choć młodzi Słowianie całkiem przesiąkli tutejszością i chcą być „jak wszyscy”, to jednak konkersami gardzą i, jak przodkowie, pozostają wierni słowiańskiej procy. Początkujące smarkacze broń mają słabą i taką lichą, że ledwo niesie, ponoć to guma z babskich podwiązek, ale prawdziwi zapaśnicy jak Bielas i Smidowicz z Madley Secondary Modern, czy choćby Heniutek Sitak od św. Józefa

montują prawdziwe armaty o mocnym drzewcu ręką wygładzonym na brąz i z gumą długą po łokieć, a w niej łąta prawdziwa skórzana na odpowiednio groźny pocisk, który niesie na dużą odległość, by brzęk zhańbionej szyby nie zdradził dalekiego strzelca. Tylko nie można przedobrać, bo ludzie się nie znają na żartach, jak choćby wczoraj w drodze ze szkoły. Autobus był jak zwykle nabity i Anglicy daremnie próbowali się tłumić ze swymi konkersami, choć o rozmachu nie było mowy i przyszło zaprzestać na hałaśliwym omawianiu ich zalet i próbach wymiany zapasowej amunicji. Na tym tle crowleyskie junaki mogły tym okazalej wystąpić, więc otworzyli okno i skóry swych katapult załadowali drobnym żwirem, co tnie ostro jak śrut. Jak tylko mijali jaką wieś czy farmę, to prali po domach i przechodniach, ci wrzeszczeli i wygrażali, ale autobus unosił ich w dal. Ostrzeliwali też mijane samochody, a strumień żwiru trzaskał po nich i skakał, skonać ze śmiechu! Aż jakiś samochodziarz dodał gazu, zatkał autobusowi drogę i objaśnił szofera co się dzieje. Ten bez ceregieli wywalił ich z autobusu, a było to blisko Madley, ni grosza w kieszeni i do domu 8 mil. Poszli lasem na skrót, koło Skaczącej Damy, a do Crowleyu dotarli już za ciemna, głodni i po uszy w błocie. Daremny trud, bo pani Bielasowa tak Johna sprąła, a pan Śmidowicz Henry'ego, proce im w żywym ogniu spalili, i na drugi dzień autobus poznał co się stało: bezbronni byli jak niemowlaki i mówili, że wolą postać, a specjaliści od głupekowatych konkersów szydzili z ich zniszczonej broni — że kasztany, to dopiero sport. Ale nikt nikogo nie nawrócił.



Aspiracje naukowe Crowleyu nie kończą się jednak nawet na gimnazjach w Longfordzie i Kingsbere. Wrastając w ciało Marchii, Crowley już toczy pożądlivym okiem poza nią, ku instytucjom przyuczającym do czystej roboty. Wziąć takie rodzeństwo Jabłkowskich: panna Tosia jest przeznaczona do kariery pedagogicznej, szykuje się do matury w klasztornym gimnazjum w Kiddeminster i tutaj zjeżdża tylko na święta. Jej brat Ludwik, Ofiara Wojny, pracuje w longfordzkiej wytwórni beczek, a w wolnym czasie zakuwa do teźże matury, co jest trudne, bo z angielskim jest na bakier i kto go nauczy, pokaże właściwe podręczniki i programy? Nie śmie wyjechać na kursa maturalne dla pracujących do Londynu czy innego Birminghamu, bo mamusia mu wyjaśniła, że to dla samotnego chłopca nieprzystojnie, zadbać o siebie nie potrafi i popadnie między bezecne niewiasty

i kartołupów. Starsi państwo marzą bowiem o kamienicy z lokatorami w dużym mieście i choć pan Jabłkowski wiernie służy Sajderowi, a pani zna wszystkie okoliczne pola, sady i chmielniki, to marzenie odwlokłoby się straszliwie, gdyby Ludwiś zdezerterował. Perswadują mu więc, że jest ofiarą wojny poświęconą dla Ojczyzny. Co innego Tosia: to oczko w głowie, niech się uczy i zostanie panią. Warto zabiegać dla niej o stypendia w Komitecie Oświaty Polaków i nawet sięgać do własnej pończochy. A dla tego domu warto żyć byle czym, nawet jajka od własnych kur oddawać na skup na pocztę, oraz chodzić w resztkach mundurów, a jak się rozsypią, to choć guziki z orzełkiem przenieść na kacabajki zmajstrowane z byle czego.

Otóż Ludwik jest filarem tego układu rzeczy i dlatego pani Jabłkowska nie spuszcza go z oka, bo młodzieńcowi nawet w Crowleyu grożą pokusy w postaci czterech Panien na Wydaniu, które co niedziela całkiem niechcący tędy spacerują. Patrzą łaskawie na jego szerokie bary, śniadą twarz, falistą czuprynę i iskrzące oczy, które przez wybryk natury obiecują niestworzone rzeczy, od czego nie tylko pannom, ale i matronom robi się dziwnie. Stąd w czasie wolnym od robót pani Jabłkowska zachęca: — Ucz się, synek, i na głuptactwa nie marnuj czasu! — Zapewnia mu domowe wygody i panny goni precz. Wychodzi groźna i cedzi przez nos: — Dziewczynki tu do kogo? Syn nie ma czasu, syn musi się uczyć! — Prócz panien czyha jeszcze profesor Koziewicz, który prawem kaduka włązi w cudze sprawy, własne dzieci mu wymarły na Uzbekach i teraz rad by przyswoić cudze. Przez dłuższy czas judził Ludwika: — Jesteś pan, do cholery, polskim kapralem i stać cię było na Krzyż Walecznych, to czemu odstawiasz Ofiarę Wojny jak ten półgłówek Kwiczół? Kto i po co wynalazł wam tę durną nazwę? Pakuj manatki i wal do Londynu! — Ale czas szedł i wreszcie profesor pojął, że nic z tego, więc jął go zachęcać, żeby choć w Longfordzie poszedł do *kolidżu* na elektryka albo mechanika, przecież dobry fach, siedziałby w domu i zarobek oddawał do pończochy. Ale na to Ludwik się obruszył, że gdzie mu do rzemiosła. Jedyłą gałęzią wiedzy, której może się poświęcić, jest Czysta Filozofia. Do tego musowa angielska matura, musi więc kuć, co i czyni. Tak ta kołomyjka trwa już parę lat, a końca nie widać, tylko nimb Ofiary coraz mocniej do Ludwika przylega.

Co innego Leon Dyderko, brat Krysi od św. Józefa i Peli, sposobiącej się na sekretarkę. Ten od kilku lat siedzi w Londynie, chodzi na polskie kursa i onegdaj zdał ojczyzną maturę. Państwo Dyderkowie solidnie ten tryumf objęli, skoro ich nie stać na

oblanie, i teraz głoszą w miejscach publicznych, że na przyszły rok Leosł będzie się uczył w Dublinie na dentystę. Nic dziwnego, że co dzień dziękują Bogu za dzieci, które szalenie podnoszą prestiż pani Dyderkowej wśród Żywych Róż, w którego cieniu pędzi niepozorny żywot jej zawsze uśmiechnięty małżonek. Jak nie być dumnym, gdy Krysia ciągle bierze nagrody za katechizm, Leon zostanie ważnym człowiekiem, a Pela ukończyła Madley Secondary i rozpoczęła właśnie te studia, które tak ją wywyższą w stosunku do czarnoroboczego Crowleyu? Czysta praca w ciepłym biurze, trzeba się ładnie ubrać i cały dzień robić w pisanym, puk-puk lakierowanymi pazurkami po klawiszach. Taka ta Pela ładniutka, jędrna i zadbana, że nie tylko obozowa kawalerka, ale i poważni mężowie Róż lubią na nią popatrzeć bezinteresownie, i tylko ten mamut Koziewicz chrząka, że głupio jej z oczu patrzy. Z zamążpójściem może więc mierzyć całkiem-całkiem, choć w międzyczasie nie kwapi się do domowych robót, nawet kartoflanki nie ugotuje, ale za to robi gwiazdki na szydełku, a wolny czas spędza głównie przed lustrem. Obraca się w te i we wte i stroi doń różne miny, to z podniesioną głową patrzy nań dumnie, jak królowa, to znów wabnie z ukosa, z melancholijnym uśmiechem, to z wyniosłym, wypróbowuje szminki koloru „cyklamen” i „czereśnia”, kremy do zamazania twarzy „morel” albo „słoniowa kość”, konstruuje przedziwne fryzury i wpada w rozterkę nie mogąc zdecydować, który profil ma lepszy, by się nim wystawiać do upatrzonego. Wyczynom tym przyklaskują ze ściany tłuste amorki na arrasach i zadumane cherubinki wychylające się z rogów pawiej kapy kryjącej panięskie łóżeczko. W tych ćwiczeniach nie chodzi oczywiście o crowlejskich młodzieńców (z ewentualnym wyjątkiem Ludwika), choć oczywiście powinni ją adorować. Interesują ją lepsi, jak ostatnio ten strasznie bogaty farmer z Dunwell — leci na nią staruszek jak szafa bez nogi, woli ją od Angielek! Tak mu wlała pod pazury ledwo ją ujrzał w swym sadzie. Właśnie kończyło się lato i zaraz miała iść do *kolidżu*, a tu nadeszła pora zbioru wczesnych jabłek dla Sajdera i co więksi farmerzy ogłosili, jak zwykle, ile im trzeba kobiet. Ten zaś Mr Lacy ma swe plantacje z tamtej strony Longfordu i co roku bierze nasze panie, posyła po nie ciężarówkę. Jego chmielniki ciągną się bez końca, w sezonie robi w nich połowa Marchii. Obok chmielników — sady, i to nie takie zdziczałe jak w Holme de Braose, a młode i zadbane, drzewa w szeregach jak wojsko, wspinają się na pagórki i spływają po zboczach. Pod nimi murawa, chodzą po niej owce i krowy, nawożą te drzewa i zjadają co spadnie, więc korzyść podwójna.

Otóż pani Dyderkowa wybrała się, jak co roku, na te jabłka i ledwo rano wstała, to wzięła zrzędzić, że Pela tylko ziewa i w lustro spogląda, mogłaby raz ubrudzić te rączki i zarobić kilka szylingów. Tak ją zabrała do Dunwell, a później zobaczyła, że był w tym Palec Boży. Bo w obiad Mr Lacy wyszedł do sadu spojrzeć jak jego parobcy dyrygują robotą, strącając żerdziami te jabłka i pilnując zsypywania do worków, wszędzie zaś pełno niewiast anglosaskich, celtyckich i słowiańskich i przy nich tłumi się chmara dziatwy. Poznał nawet z zeszłego roku kilka pań z Crowleyu i coś zagadał, a one ani w ząb, tylko się nijako uśmiechają. Przywołały do pomocy Pełę, aż się ucieszył że przecie można się dogadać i zagadnął: widzi ją tu pierwszy raz i czym się zajmuje? Chce być sekretarką? To piękny fach, i pogoda dziś ładna, nieprawda? I dalej w ten deseń, aż pani Dyderkowa puchła z dumy i po wszystkich toczyła wzrokiem czy też widzą jak taki pan gawędzi z jej córką, a ona rezolutnie odpowiada jak we własnym języku. Później nie bez kozery przechodził po sadach i ku naszym spoglądał, mówił że piękna pogoda, nieprawdaż?, a Pela sumiennie im tłumaczyła. Gdy zaczął się *kolidż*, to przypadkiem spotkał Pełę jak wychodziła na obiad oglądać mody na wystawach na High Street. Teraz koło tych mód widuje ją przypadkiem, aż jej śmiesznie że co on sobie myśli. Pewno starszy od tatusia, większy od niej dwa razy i chudy jak strach, twarz po farmersku w sine żyłki od wiatru, a wąsy siwe jak u kocura. Ale przyjemnie, że taki bogacz za nią patrzy, nie jak te crowleyskie gołodupce. Stąd Pela z zainteresowaniem jeździ do *kolidżu*: będzie dziś pod wystawą Greenwooda czy też nie? Dodaje to pieprzyku przenudnym ćwiczeniom z ortografii i stenografii, które ją wywyższą nad czarnoroboczy świat Crowleyu.

Ale Pela to jeszcze nie szczyt słowiańskich ambicji, bo z tych 124 rodzin aż dwie osoby już zdołały spenetrować uniwersytety i Leon będzie trzeci. To całkiem dobra proporcja, skoro młode pokolenie to głównie dziatwa z powojennego miotu. Jedną z tych osób Crowley bierze nader serio, a jest to pan Sewer Świtalski z osiedla Pod Lasem, który dwa lata temu zdał polską maturę. Porobiwszy potem u Sajdera przekonał się, że w tym nie ma kariery i zakrzętnął się jak należy, zaczem tej jesieni wyjechał na studia do zamorskiego miasta Cork. Nadrabiał miną i mówił crowleyanom, że to dla niego mucha, ale naprawdę to się gryzł jak da sobie radę skoro, Bogiem a prawdą, z tubylczym językiem jest na bakier: czytać może, ale z pisaniem i mówionym... Przyszłość pokaże, ale na razie autorytet pani Świtalskiej wśród Żywych Róż dognał panią Dyderkową: jej syn uczy

się na doktora, i to w katolickiej instytucji, nie od heretyków! Czemu to Koziewicz zakpił, że heretycy noszą w brzuchach takie same flaki, to co za różnica — uch, bezwstydnik! Teraz w sklepie, autobusie i na chmielu pani Świtalska opowiada czy kto chce czy nie: syn właśnie pisał, że pozdawał okropnie trudne egzamina, został prymusem i sam profesor się z nim liczy, a także dostał złoty medal — może taki mały i tani, ale zawsze. Nie każdy jednak słuca z należnym szacunkiem: wczoraj nawet ta charcica Koziewiczowa powiedziała publicznie: — Co się pani zgrywa, toż on ledwo tam zajechał! — Takie to nasze ludzie są zazdrosne. Żałuje cudzym dzieciom, bo swoje potraciła. Musi się wiedzieć, komu tu o sukcesach opowiadać. W każdym razie Crowley zaaprobował wyprawę Sewera, naturalnie prócz matek kawalerki, która nie wychyla się poza obóz, a pani Jabłkowska powiedziała wprost, że co z niej za matka co syna wysłała na pokusy i zatracenie. Koziewicz od razu to wyniuchał i wynalazł dziwaczną nazwę: „zazdrość bezinteresowna”.

Ale Sewera można jeszcze znieść, przecież to mężczyzna. Co innego Danka Góreckich, która też niedawno wyjechała, i to żeby choć do katolików, ale gdzie! Siedzi w Manchester i uważa się za coś lepszego, bo niby heretycy lepiej uczą i na dodatek wymagają angielskiej matury, a nie polskiej zdanej pokątnie. Któż widział, żeby dziewczyna brała się do męskich spraw i samopas buszowała po świecie, z przewróconym łbem i gębą jak spod latarni? Dziewczęta powinny być jak nasze Panny Na Wydaniu: siedzieć pod okiem matki, wyszywać dla rozrywki i szybko wychodzić za męża, nie zaś żyć w tych gniazdach rozpusty i studiować takie coś, że nawet nazwy nie spamiętasz. Od dwu lat widać, jakie z Danki ladaco. Jak zdawała polską maturę, to jeszcze nikt nic nie mówił, wróci do domu i pójdzie do fabryki nim mąż podleci, albo już niechby się nawet uczyła jak Pela, to całkiem przyzwoite. Ale ona w te pędy do Londynu, znalazła robotę i wieczorowe kursa, ichniej matury jej się zachciało. Crowleyeyskie panie zgorszyły się — wiadomo po co głupie kozy ciągną do miasta, a rozpusta smutno się kończy. Pani Jabłkowska ostrzegła nawet panią Górecką, bo potem nie chce czuć się winna: jak ona się boi syna puścić samopas, to co dopiero matka córki! A ta powiada, że jak Danka chce, to musi sama zdobyć, nikt jej nie da gotowego, i że po co by miała mieć do rodziców pretensję, że jej świat zatkali, w domu uwięzili? Więc jak Danka zjawiła się we święta wymalowana jak lafirynda — niech Crowley widzi co stolica! — to Żywe Róże już były pewne i w kościele tylko naglądały czy jej aby figura nie puchnie. Tak było ile razy przyjechała, i aż dziw: nie tylko nie puchła, ale

wychudła jak szczapa, że już i te szminki nie oszukały nikogo że się jej dobrze powodzi. Czas szedł i już myśleli, że jej te głupstwa przeszły, aż raptem gruchnęło, że ma tę maturę. Bożeczku-ż, co to było po barakach zgrzyoty! I zaraz słychać, że od jesieni idzie na studia i stypendium jej dali, a każdy wie, że tu bez pleców nie ma mowy. Na babskiej giełdzie w pralni powstały dwie partie: jedna mówi, że Góreckie specjalnie tak mówią, żeby grać na nerwach, bo dziewucha będzie po dawnemu pracować w Londynie i kto się prawdy dowie. A druga: może i zdała, ale studia co innego, obleje pierwszy egzamin i won, co jej wreszcie utrże nosa. Tylko nie wiadomo co było myśleć, bo winowajczyni ostatnie wakacje siedziała w Crowleyu, pracowała w Glorii Longfordu i przy zbieraniu śliwek, a matka kupiła jej kapotę i szyła sukienki, że niby na tych studiach nie może być taka szmaciana jak dotąd. To pokazało, że rzecz jest serio, a we wrześniu faktycznie wyjechała do Manchesteru. Wiele osób widziało to w rannym autobusie: ojciec jej niósł walizkę i jakby tańczył, taki rad, co dopełniło zgorszenia — taki to ojciec, że nie boi się sideł zastawionych na głupie dziewczęta!



W ten sposób przemienia się co dzień crowleyska rzeczywistość, udowadniając, że zaprawdę wszystko płynie — jak ta wielka rzeka, co w górach Walii zbiera deszcze i śniegi, niesie je i podmywa skarpe longfordzkiej katedry. Ponoć w końcu stulecia, jak kto czego nie wymyśli, ma zagrozić katedralnym krużgankom, bo już teraz nadgryza ogrody przy pałacu biskupa i ostatniej wiosny grzęda zdobnych krzewów runęła w wezbraną fałę.

A więc:

Od wybuchu wojny do najazdu na Crowley polskich wojaków, co po wariacku rwali się do bitki, choć Miłujące Pokój Narody zakończyły te rzeczy raz na zawsze w czterdziestym piątym — siedem lat.

Do zniknięcia tych wojaków, przebrania ich przez Rząd JKM w kapelutka z piórkiem, tweedowe marynarki za wąskie w barach i szare spodnie za szerokie w pupie — lat trzy.

Od napłynięcia niewiast i dzieci tychże i powstania osiedla pod opieką longfordzkiego magistratu — znowuż trzy.

A spojrzeć jak się wszystko zmienia, jak ta napływowa rasa rozpycha się i porasta pierzem, mebluje się i tapetuje, prznosi do mieszkań z bieżącą wodą, kuchnią o dwu fajerkach i zmechanizowaną wygódką, o jakiej nie śnili rodzimi tych rzeczy ideolo-

dzy, a najzuchwalsi marzą już o własnych kamienicach i lokatorach. I, jakby tego było mało, pcha się Crowley na wyżyny intelektu i kto wie o co się jeszcze pokusi w przyszłości. A na dodatek piękna córka Crowleyu zakłóca spokój statecznego, majątnego farmera, którego ród siedzi tu od Williama Zdobywcy — czy już nie wystarczą rodzone Angielki, że interesują go przybłędy z gorszej rasy? Czym się to wszystko skończy jak tak pójdzie dalej, na jakie jeszcze wyżyny wepchnie się Crowley nim rzeka na dobre rozprawi się ze skarpą i przystąpi do wygrzania starożytnych kości spod krużganków katedry?

TU ZAMYKAJĄ SIĘ CROWLEYU
KSIĘGI PIERWSZE,
JESIENNE.

Z I M A

JAK CROWLEY ZAPADA W GNUŚNY SEN ZIMOWY

Jak powiedziano, Marchie są małe jeszcze skażone przez wiek XX-ty z jego oceanami śmieci, zatrutą wodą i powietrzem i szosami pełnymi śmierdzących samochodów. Ich miasta, ze stolicami włącznie, służą rolnictwu i przerobowi jego produktów. Ten stan zawdzięczają Marchie swemu oddaleniu od kopalń, fabryk i wielkich węzłów komunikacyjnych, to jest swemu wypchnięciu na zachód, aż w ciało Walii. Dzięki temu Rewolucja Przemysłowa i jej następstwa minęły je bokiem, bo od zarania dziejów wielkie drogi Wyspy biegną wzdłuż — z północy na południe i wschód, a nie w poprzek, ze wschodu na zachód, ku zapomnianej Walii. Nawet w początkach drugiej połowy XX wieku wielki przemysł omija te ziemie, bo i surowców brak i wszędzie daleko, którego to stanu nie odmienił nawet kataklizm drugiej światowej. Nie znaczy to, by Marchie nie przyłożyły się wydatnie do pognębienia Tysiącletniej Rzeszy, ale ten wkład był bardzo nieefektywny, wyraził się bowiem nie w narzędziach śmierci, a zwyczajnie w ziarnie, kartoflach, nabiale i mięsie, a także w chmielu, którego spieniona dusza rozweselała serca wielojęzycznych armii, co zewsząd napłynęły na Wyspę. Cóż wreszcie decyduje o wynikach wojen, jak nie morale wojowników, które na dobrze umebLOWANYM żołądku zasada się tak przynajmniej jak na ideologiach i innych pukawkach? Należy dodać, że przez te groźne lata farmerzy Marchii robili cuda, mimo braku męskich rąk produkując więcej niż w najśmielszych marzeniach można było oczekiwać. Zaorano wszelkie pustki i nieużytki i na tej dotąd leżącej odłogiem ziemi plony rosły nadzwyczaj szumnie. Ale był to wysiłek tak prozaiczny, że po wojnie, gdy różni dygnitarze rzucali wokół kwieciste pochwały, to

wśród Birminghamów, Sheffieldów i innych Manchesterów o Marchiach całkiem zapomniano. Było to tym niesprawiedliwsze, że wojna wcale nie oszczędziła tych stron. W miastach i wsiach wyrosły nowe pomniki poległych z miejscami bitew w jakichś przeklętych zamorskich językach.

Marchie nie tylko karmiły Sprzymierzonych, ale też udzieliły im hojnie gościny, czego rasowo-ludnościowe skutki okazały się dalekosiężne, jak zwykle gdy na małym terenie miesza się różne ludy. Od wieków było tu sielsko a przestronnie i stąd rozsiadły się tu wielkie majątki ziemskie, a w nich dwory z okazałymi parkami, jak na przykład w Crowley. Więc jak przyszło do wojny, to Rząd JKM w tych parkach pozakładał wojskowe obozy, a w nich obok krajowców trzymano Amerykańców, Kanadę, Nową Zelandię, a także Polaków i inną hołotę, czyli — jak wówczas sądzono — bohaterskich aliantów. Z tych pierwsi palili się przede wszystkim do figli i łowili dziewczęta na nowomodne pończochy zwane najlonami, a ostatni palili się do zeniaczki i szybko łapali co im lazło w łapy, a wiadomo, że dobry towar sam pcha się raczej rzadko. Trzaskali kopytami i całowali rączki, co było nowe i zachwycające, a także pokazywali pocztówki z Wawelem i Wilanowem, że takie rodowe splendory czekają na wybranki w męzowskich posesjach — od zamierzchłych czasów Polak lubił się bowiem prezentować wyspiarzom za hrabiego. Nic dziwnego, że dziewczęta leciały na nich, bo który Kopciuszek nie chce zostać królową? Tak sprzymierzonym wysiłkiem alianci przebrali dziewczęta w promieniu wielu mil od Crowleyu, to jest aż do ziem leżących w strefie wpływu najbliższego obozu, a niektórzy obdarzyli je również niewymownymi nazwiskami, w których chrząszcz brzmi w trzcinie. Ale po generalnym rachunku sumienia, który przyniósł koniec wojny, wśród nowożeńców nie zabrakło i takich, co wzajemnie mówili jeden o drugim, że gdzie on takie coś wygrzebał jak pies łapą. Każdy wie, że kobieta ma się znać na barszczach i pierożkach, praniu, sprzątaniu i dzieciach, a także jak rozsądnie wydać męzowski zarobek by się zdawało, że jest większy niż jest. A te tutejsze cały dzień ćmią papierosy i w papilotach stoją na dworze pytlując z przyjaciółkami i tylko patrzą by w garść złapać jaką forszę i gnać do pubu w Badonhill albo do Longfordu po świecidełka, do kina i na tańcówkę z kim popadnie, albo choć poszwendać się po ulicy i posiedzieć w podejrzanych kafejkach, wpierw nakazawszy przybyłemu z pracy męzowi by zagrzał puszkę fasolki, nakarmił i pognał spać dzieci, a chce czystą koszulę, to niech upierze, jeśli naturalnie postarał się o mydło. Trzeba przyznać, że one też słusznie czuły się oszukane, gdy okazało się, że z Wila-

nowa nici przez jakieś coś zwane Jałta i co najwyżej można liczyć na Australię, Argentynę czy inne Chicago, a prędzej osiąść w jednym z tych obozów pozostałych po wojsku, na pociechę z małżonkiem przedzierzgniętym z bohaterskiego księcia w robociarza. Sam Crowley ma aż sześć pań z wojennej zdobyczy, z czego tylko Lichutkowa Pamela podobna do ludzi, dba o męża i dzieci i czasem w niedzielę prowadzi je do kaplicy, choć sama heretyk. Zaś tamte inne to latawice niechlujne, wyczupirzają się tylko do pubu i miasta, i to tylko po wierzchu, bo bielizny nigdy nikt u nich na sznurku nie oglądał i noszą ją aż sama spadnie. Nawet w kościele ci od zdobycznych żon się nie pokazują, bo ich panie heretyczki albo poganki i dzieci po naszymu ani słowa. Tylko ten mordaty Ukrainiec co ma Sheilę, Hołówko się nazywa, zachodzi do wojskowych kamratów popatrzeć na czysty barak, na pełne garnki i popłakać: — żyjecieź wy jak w niebie, a ja biednenkij i moje dzieciuki z tą latawicą...

Obok gospodarczego i ludnościowego aspektu jest jeszcze trzecia rzecz związana z wojną, która nie ominęła Marchii, a mianowicie okropności, bo bomby ta kraina też odczuła na własnej skórze, czego ślady Crowley do dziś ogląda. Na lewo od parku Sir Evelyn, za pastwiskami i linią starodawnych buków, biegnie długi wał wzgórz porośłych gęstym lasem, w którym rodzą się trujące grzyby odpowiedzialne za nocne telefony do doktora Lloyda. Ale przy samym Crowleyu ten las znika jak ucięty i wysokie zbocze świeci łąsiną, też zresztą Słowianom użyteczną, bo tylko tu można znaleźć poziomki. Jest to pamiątka po szwabskiej latającej bombie, co w tę okropną noc w okamgnieniu osmaliła całą górę, a jakby jeszcze troszkę, to by trzasnęła w sam Crowley pełen wówczas Amerykanów. Po wojnie pani Craven kazała to zbocze zasadzić świerkiem, który jest jeszcze mały i korzystają zeń tylko Słowianie. Dzieje się to w mrocznym okresie adwentowym, gdy ludzkość czeka narodzin Mesjasza, a bardziej przedsiębiorczy crowleyanie wyprawiają się tu o zmroku po choinki. Tylko głupcy kupują je w Longfordzie, a większość społeczności nie uważa za grzech ścinania ich na łysej górze i obraża się śmiertelnie, gdy kto to nazywa złodziejstwem. Choinek się przecież nie *kradnie*, a zwyczajnie *bierze*, bo las jest Boży i jak wszystko na świecie stworzony do służby człowiekowi. Stąd nawet najgorliwsze Róże wysyłają swych mężów wieczorową porą po choinki i przykazują pamiętać też o kaplicy. Dobrze, że ksiądz nie patrzy im na ręce, tak całkowicie ufa artystycznym talentom swej żelaznej gwardii.

O ekonomicznej specyfice Marchii, której nie przeorała nawet wielka wojna, wspomniano po to, by naświetlić coroczny katak-

lizm zwiastujący święta Narodzenia Pańskiego, który poraża Crowley jeszcze gorzej niż inne wioski z miastami tej krainy. Gdy nadchodzi okres zmniejszania roboczej siły longfordzkich przedsiębiorstw, co dzieje się na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem, by nie płacić za wolne dni, to najpierwsi i najliczniej jadą na bruk słowiańskie przybłądy. Masowo rozpущa ich Sajder, który już uporał się z najgorszą robotą, i cegielnia, i różne budowy, i wytwórnia beczek do dżemu i jabłeczniaka, a także Gloria Longfordu, która bez ceremonii wylewa Nasze Panie i przez resztę zimy zadawała się tubylczą załogą do wykonywania konserw z kartofli i malowanego groszku, które są tak paskudne, że w całości zjada je wojsko, szkoły i szpitale. Zresztą w tych zwalnianiach trudno znaleźć jakiś sens: taka na przykład cegielnia zwolniła dwudziestu dwóch zwyczajnie, a pana Dekiera wskutek intryg Wolniaka, co nas sprzedał Anglikom. Inni też pozwalniali bez rozróżnienia: zarówno prezesa Sitaka, który jest pijus i leń, jak i majora Ostrowskiego, który zaprzecza że Wolniak nas sprzedał, wachmistrza Millera, którego mundur z odznakami co dzień przypomina naszą Sprawę zdradzieckim sprzymierzeńcom, jak i pana Dyderkę, który uśmiecha się życzliwie do całego świata, a nawet zdrajcę Sawickiego, który się im sprzedaje i wieczorem w *kolidżu* uczy się tej niechętniej Słowianom mowy.

Przez te rzeczy zaraz po świętach z hucznym balem i wyborem Miss Polonii obóz zapadnie w gnuśny sen zimowy i aż do wiosny będą pracować tylko nieliczni szczęściarze. A więc na przykład ceniony fachowiec pan Antoszek nie straci pracy, bo by się obraził i poszedł do innej firmy. W nagrodę za swe zalety przejdzie zimę ciężej niż inni — przemoknięty, skostniały i kaszlący jak owca, a do tego przy skróconych godzinach zarobi mniej niż zwykle i gdy w nocy sponiewierany dobieje do domu, żona mu będzie sarkać, że dziecko chodzi głodne, w co trudno uwierzyć skoro Stasiuczek zaczął właśnie zapuszczać trzeci podbródek. Teraz pan Antoszek nie ma nawet radości ze srok przy zagrodzie Mr Bishopa, które witają go radosnym krakaniem. By im ułatwić przeżycie zimy, po ciemku kładzie im oberchapki wędzonki w umówionym miejscu, a w niedzielę idzie sprawdzić czy wzięły. Nie ma oczywiście śladu, więc najpierw się cieszy, że te zalotnice dobrze się mają, a potem smuci, że co innego zeżarło jego dary, choćby te ohydne szczury, które wpadają pod samochody jak króliki. Takie są zimowe przyjemności pana Antoszka.

Za pracę dziękują Bogu i inni crowleyanie. A więc młody Ciupka, ojciec siedmiorga i ósmego w drodze, wdzięczny jest Stwórcy, że samochody jeżdżą cały rok i stąd garaż zawsze ma co do roboty. Wdzięczny jest też stary Siemieniuk od pana Col-

linsa. Choć mieszka w czarnobiałej chatce, duchowo należy do Crowleyu i rad jest zimie: roboty w polu zakończone i tyle zajęcia co przy bydłe, można zająć się narządzeniem pszczelarskiego sprzętu i rozsprzedażą miodu sławnego dzięki polskiej gryce, którą obsiewa wokół ule.

Można za to wątpić, czy zwalisty i ponury pan Szydło odczuwa wdzięczność wobec Opatrzności za to, że Sajder zatrzymał go na sezon zimowy w magazynie. Nic dziwnego: wszystkich zadziwia rozległością swych Herkulesowych barów i mocą niedźwiedzich łap, którymi podrzuca beczułki jak inni piłki. Pracuje również pan Bieniarz w swych ślicznych bluzeczkach stłamszonych pod battledresseem: całą zimę na deszczu i błocie działa w ekipie, która paskudne crowlejskie baraki przebudowuje na mieszkanka z wygodami. Beno Kwiczół zimą także artystycznie fałszuje antyki w zakładzie pod katedralnym murem, a inżynier Jankowski przez cały rok obstukuje szyny kolejowe. Bracia Macioszkowie przez sześć nocy w tygodniu pieką chleb i niewymawialnymi świństwami lukrują ciastka, bo ludzie rano zażądają świeżego pieczywa. Profesor Koziewicz i sędzia Hildebrand raz jeszcze się przekonują jak im się opłaca brzydko wonieć przez cały rok, bo gazownia na zimę nikogo nie zwalnia, a nawet bierze dodatkowych, bo gazu idzie więcej niż zwykle. Panny Na Wydaniu też zajęte: jedna w kantynie u Sajdera, a dwie w najszybkim longfordzkim hotelu Mitra Biskupia, gdzie najwięcej roboty w okresie Bożego Narodzenia. Wtedy z całej Marchii zjeżdżają goście, by świętować z dala od domu, w papierowej błazeńskiej czapce zjeść świąteczny obiad i resztę czasu rozdzielić między hotelowy bar i foyer, gdzie można spać przed telewizją lub gapić się na ludzi, a na odjeźdźnym zostawić pokojówkom ładny napiwek — niech panny Zosia i Krysia coś sobie kupią. Ale z całego Crowleyu najlepiej powodzi się teraz panu Śmidowiczowi, ojcu ośmiorga dzieci. Jak przyjdą chłody i deszcze, zapotrzebowanie na węgiel astronomicznie wzrasta i trza się związać jak na patelni, nawet w niedzielę. Pan Śmidowicz wygląda wtedy po diabelsku z tą czarną twarzą, w której białe błyskają oczy i zęby, a za pazuchą ma w ceracie Kraszewskiego albo Rodziewiczówną, czuje ich tam i o nich marzy. Czyta ich w każdej wolnej chwili, nawet w szoferce czekając hasła odjazdu i im chyba zawdzięcza pogodę ducha, z którą znosi tę straszną harowę. Im i dobrze nabitym torebkom z tygodniówką, a także gęsto lecącym napiwkom od wdzięcznych klientów. Dzieci może niezgorzej ubrać i obuć, a zimą bardziej jeszcze są zarte niż latem.

Pory roku nie dotyczą także pana Wiewióra, bo ludzie muszą jeść nawet na bezrobotnym zasiłku, a także księdza Turkucia,

bo dusza nieśmiertelna żąda swego nawet w zimowe bezrobocie, za co crowleyanie mu płacą sześć funtów z hakiem — lepsza tygodniówka niż u wielu żonatych i dzieciatych. Gmina osiedla Crowley płaci też jakiś ochłap rotmistrzowi Wolniakowi za załatwianie swych spraw wszędzie gdzie trzeba szwargotać z Anglikami, więc też Wolniak użera się za wszystkich w magistracie, elektrowni, *lejniku* czyli pośrednictwie pracy, u doktora Lloyda (jeśli panie się nie wstydzą) i w ogóle wszędzie, gdzie bez tłumacza ani rusz. A zimą ma szczególne utrapienie, bo z nadejściem bezrobocia Nasze Panie zaczynają masowo chorować, co jest ich najmilszą rozrywką i zmorą Narodowej Służby Zdrowia. Wydierają doktorowi skierowania na prześwietlenia i do specjalistów, bo nic tak nie podkreśla ważności choroby i nie budzi zawiści sąsiadek jak te wizyty u lekarzy wyższego rzędu. Ale na szczęście Wolniaka niewiasty spragnione tych rzeczy woła posługiwać się panną Pełą albo Tosią Jabłkowską i Danką Góreczką, gdy zjadą do domu, z tym że u tamtych należy szanować dziewczęcą skromność, a nieskromności zostawić dla Danki, bo tej już wszystko jedno.

Gmina więc płaci ten ochłap Wolniakowi i ma się za jego dobrodzieja. Dorzuciwszy do tego inwalidzką rentę, a także kartofle i tytoń z własnej hodowli rotmistrz wiąże końce i jakoś nie widać by opływał w luksusy. Aż pan Dekier się trapi co on tam robi z tymi srebrnikami, za które nas sprzedał Anglikom, a teraz sprzedaje własną katolicką duszę.

Tak smutno wyglądają crowlejskie sprawy w tę smutną porę roku i byłoby jeszcze gorzej, gdyby Crowley nie wkraczał w nią zaopatrzony we wszelkie dobro. Bez tego chyba by duszy w ciebie nie utrzymał, bo te zasiłki ledwo starczą na karmę dla przyzwoitego kota, a to stąd, że kot odzież ma od Stwórcy i cały rok chodzi boso. Aż do wiosny Crowley konsumuje owoce swej zapobiegliwości, przede wszystkim plony wyhodowane własną ręką, owoce ogródków pod barakami i pół wykarczowanych w burzanach, ogrodzonych przemyślnie łożkami, gratami i strzępami linoleum w różę. Nie starczy oczyścić teren i wynawozić kurzyńcem, bo aż do zbiorów trzeba bronić jarzyny przed wrogiem chytrym a zawziętym: ostem i wierzbina, wielkimi stadami pokrzyw i paproci, a także żmijowiskami jeżyn co przeskakują przez te barykady i chytrze podłazą dołem, by wśród wschodzących kartofli i pięknie zapowiadającej się kapusty raptem wystrzeżić z ziemi, podważyć korzenie i ogłodzić plony. Wroga zielskowego posiłkują sprzymierzone z nim wrogi zwierzęce: drutowce, ślimaki, muszki, robaki i wszelakie plugastwo fruujące i pełzające, co niszczy złośliwie ludzką pracę — czy kto w domu

o czymś takim słyshał? Na początku nie mieli pojęcia, czemu im tak uprawy w oczach kapieją, aż ich oświecił pałacowy ogrodnik i zalecił odpowiednie trucizny. A do tych utrapień dodaj te obrobione kamienie, resztki jakichś kolumn czy fundamentów, co tu i ówdzie wychodzą z ziemi, tępią kilofy i łamią łopaty — resztki po parkowych ozdobach Sir Evelyny. Te jego czarowne wizje crowleyanie klną takimi słowami aż strach, że dzieci usłyszą. Ale wartość tej całej mitręgi docenisz dopiero z zimowym chłodem i bezrobociem. Kiedy ulewa zabębni w dach baraku i najrobotniejsze baby do południa leżą w betach, nawiedza człowieka miłe poczucie bezpieczeństwa, które wieje z tych koślawych bud i szopek, co każdy pobudował z wojskowych odpadków na schronienie kartofli, pudeł marchwi i buraków, a przede wszystkim przepaścistej beki ze słowiańską kapustą i jej mniejszej siostry z ogórkami. Cóż z tego, że *marchwia* wydrażona przez ślimaki, a cebula gnije na potęgę jak przepowiedział ogrodnik? Starczy tego dobra aż się urodzi nowe.

Do tych darów Bożych crowleyskie kury dorzucają jajka i własne ciała niosą w ofierze, szczególnie licznie płacąc życiem bo się narodził Pan Jezus, bo Wesoły Nam Dziś Dzień Nastał, ktoś obchodzi imieniny albo ma po prostu dobry apetyt. A takie są obłaskawione, że ich panie czule o nich mówią „moje kochane gosposie”, z zaufaniem biegną do człowieka i ani myślą, że ma w zanadrzu ukryty nóż. Ale i to jeszcze nie wszystko, z czym Crowley wita zimę, bo gdzie spojrzysz okna obsiadły słoje z jeżynowym sokiem, a na niektórych szafach dojrzewa w mroku jeżynowe wino. Do tego grzybki suszone i marynowane, na widok których doktor Lloyd wymyśla od barbarzyńców i spluwa na widok resztek potraw — winowajców.

Drzewa do pieców też naściągano przez lato — pani Craven chętnie widzi, jak Słowianie las jej czyszczą z chrustu i karczują stare pnie pozostałe po ulubieńcach Sir Evelyny. Jak się to wszystko dorzuci do zasiłku i doda co niewiasty przez sezon zarobiły w dzemiarni i na farmach, to nie tylko do wiosny przeżyjesz, ale starczy i na raty za *mebelę*, dywany i portrety Piusa XII-go z muszelkami, a także na świąteczne stroje, którymi na pasterce zagra się ludziom na nerwach.

Zaś nad tym wszystkim dmie wiatr, co crowleyską gardzielą między wzgórzami gna na oślepi i gra jak diabelska trąba. Od walijskich gór przechodzą bałamutne deszcze i śniegi, rozlewają się oceany mgły. W starych barakach ciurka na łeb, ledwo zatkasz jedną dziurę, już druga leje wilgocią i przez szpary nad podłogą woda wlewa się do środka, przepalone piecyki wykasują do wnętrza kłęby dymu. Nawet w nowych mieszkaniach wilgoć

zaczernia kąty, pnie się po ścianach rujnując nowe tapety, a ubranie w szafach zakwita pleśnią. Crowleyński strumień, tak zwykle niepozorny, biesi się, występuje z brzegów i zalewa mostek, tak że osiedla Pod Dębem, Za Rzeką i U Żywopłotu są odcięte od świata i nawet chłopu trudno przepawić się przez rwącą wodę. Ziemia namaka jak gąbka — woda podchodzi pod progi, chlupie pod nogami, leci z nieba, ronią ją szczerniałe drzewa aż wilgoć włazi Słowianom w kości i płuca, kręci, wierci i powala na twarde poalianckie wyra i na lśniące łoża-korable. Wszystko kiśnie w mroku, południe ledwo odróżnisz od wieczoru, dnia ubywa i poczekasz do lutego by się przekonać że rośnie. W tę chorobliwą, zgniłą porę Crowley odrywa się od fundamentów i żegluje między ziemią a niebem na dnie wielkiej misy uwieszanej pod brzuszyskami chmur, co szczelnie spowiły walijski kopiec i łąsą górę. Darmo wtedy wstępować na najwyższe miejsca i szukać swego miejsca w przestworzu.

I tak, w z dnia na dzień gęstniejących ciemnościach, we mgle i zgniłej wilgoci mieszają się trzy żywioły: ziemia, woda i powietrze, a wśród nich dogorywa stary rok. Albowiem, jak roztropnie zauważył mędrzec i zapisał w łacińskim języku by nikt nie śmiał wątpić, nic razem nie wzrasta i kwitnie, a pory biegną jedna za drugą.

ZGROMADZIĆ JE JAK KOKOSZ KURCZĘTA

Na całym świecie młodzież znają z tego, że nie wystarcza jej co dostała po przodkach, i to nie tylko duchowo. Przede wszystkim chce mieć i konsumować lepiej, szybciej i więcej, a ideologie — rzecz wtórna, dostrojona do konsumpcji. Szczególnie w Crowleyu, gdzie nic nie ma do dziedziczenia, no bo co? Może te baraki i kartofliska, które longfordzki magistrat dzierżawi od pani Craven, a Słowianie od magistratu? Młodzi i ruchliwi, nie żadne Ofiary Wojny, a przy tym nie obwieszani rodziną, co ciągnie na dno jak młyński kamień i z braku forsy trzymają w Crowleyu, opuszczają obóz i ciągną do miast, gdzie fabryki i złoto na ulicy, i do ośrodków wiedzy, bo dla jednych lepsza przyszłość przyjdzie przez zakłady naukowe, a dla drugich przez zarobek. Fabryki mają tę wyższość, że od razu dają zarobić na

lokatorskie komorne i szykowną przyodziewę na tańcówki, do kościoła i przede wszystkim na świąteczne wypady do Crowleyu. Od codnia oczywiście żyje się jak najtaniej, skoro Słowianie szacują człowieka według tego, co nosi na grzbiecie, a nie w głosie albo żołądku. Bywali we świecie pouczają tych co z Crowleyu rwą się do miast, żeby szukając kwatery unikali Polaków jak jasnej cholery, bo mało jest takich co człowieka nie obedną ze skóry za lada jaką ciemną norę z obdrapanymi gratami i sfałszowanymi licznikami do elektryki i gazu. Stąd wychodzą z Crowleyu unikają rzeczy rodackich: organizacji, podniosłych akademii i tradycyjnych opłatków, a ich jedyny kontakt ze sprawą polską ogranicza się do mszy, gdzie idzie się oglądać ludzi i zadawać szyku, oraz potańcówek, by popatrzeć na panny i kawalerów: kupić — nie kupić. Jak mają patrzeć na rzeczy patriotyczne, skoro to ze szkoły spłynęło jak po psie woda, a ideologia Crowleyu nie warta funta kłaków? Co ich obchodzi rozgrywki skarbowników z mikołajczykami albo rodzicielskie wspomnienia o domkach i gospodarkach utraconych na rozległych terenach Rzeczypospolitej między Niemnem a Dniestrem? Może mają śnić o ich odzyskaniu, skoro sami rodzice za nic by do nich nie chcieli wracać, paprać się w ziemi lub biegać za drobnymi funkcjonariuszami po beznadziejnych miasteczkach. Sto razy lepszy Crowley z jego barakami i bezrobociem, a także z elektryką, radiem, tapetami w różę i lśniącą *mebelą*, a także tymi urządzeniami, dzięki którym człowiek nie musi w każdą pogodę latać za stodołę. Pani Kudłowa, jedna z niewielu, którzy teraz nie pozują na przedwojenne jaśniepaństwo, wcale nie ukrywa, że mąż ledwo wiązał koniec z końcem na wołyńskiej osadzie, i jak raz sklepowa buda stanęła pod jej bramką by wyładować nowiutką szafę z lustrem i czerwony dywan, to powiedziała do przechodzącej właśnie pani Jankowskiej, a oczy miała wilgotne i głos jej się łamał: — Czy to ja dawniej myślała, że będę się cała oglądać w lustrach, stąpać po dywanach i grać na radiu muzyki?

Wśród takich mętnych światopoglądów i rosnących majątków przebiega ten pionierski okres Słowian na Pograniczu i takie jest ideowe oblicze Crowleyu. Każdy będzie miał co sam wyrobi, więc młode pokolenie rozprasza się po Wyspie i każdy łowi swą przyszłość. Dopiero na święta i urlopy ciągną do Crowleyu jak kurczęta do kwoki. Tu mają najwdzięczniejsze tło, na którym pokażą innym i sami zobaczą jaki osiągnęli sukces, bo w miastach najszykowniejsze stroje giną w tłumie i nikt się za nimi nie ogląda. Tu odsypia się zaległe nadgodziny i na zapas, odbija zaległości na świątecznych wyżerkach, a także prezentuje się rodzinie i społeczności w kaplicy nowych konkurentów, sympa-

tie i narzeczonych. Ale na stałe nie wraca się tu prawie nigdy i śmieje szyderczo, gdy kto spyta, czy aby nie ma się takich zamiarów. Bo powrót byłby publicznym wyznaniem klęski i życiowego niedołęstwa.

Tak co roku, gdy zimowe bezrobocie wali się na Crowley i wbrew niemu wybuchają przygotowania do najmilszych świąt roku: panie latają z torbami do Longfordu i pichcą jak na wielką wojnę, a panowie pod osłoną nocy wykradają się po choinki na łysą górę — wtedy przylatują jaskółki zwiastujące Boże Narodzenie: rozproszona młodzież dążąca do domowych ognisk. Najpierw pojawia się ucząca się młodź, która rozpoczęła właśnie ferie i niektórzy mają ją za nierobów. We wczesnym zmroku rozklekotane autobusy wyrzucają na placu najpierw pannę Tosię z klasztorного gimnazjum pod Worcester — i od tej pory u państwa Jabłkowskich zaczynają się prawdziwe święta. Przybyła chluba rodziny, ta co po maturze zostanie panią i świetnie wyjdzie za mąż, a studia oczywiście odbędzie w nauczycielskim *kolidżu*, co pannom całkiem przystoi.

Zaraz po Tosi do Crowleyu sływa młodzież wierna ojczystemu wykształceniu, która w polskim gimnazjum zgłębia tajniki Czterdziestu-i-Czterech, wyjaśnia profesorom i sobie nawzajem co autor chciał powiedzieć (ale nie powiedział) i ze zdumiewającym tupetem wyrokuje czy cel swój osiągnął, przy czym odpowiedź musi wypaść „tak”, choć dopuszczalna jest odrobina oryginalności w formułowaniu przesłanek. Spoglądając na miłe buziaki Romci Bajwoluk i Zośki Kudły, co tak swojsko wyglądają w fatalnie skrojonych mundurkach, można wątpić czy je nawiedzają mistyczne niepokoje, a tym bardziej zaduma nad trudnymi sprawami współczesności, o których Wieszczenie nic nie mieli do powiedzenia.

Grupkę młodzieży z dożywających kresu szkół Komitetu Oświaty Polaków uzupełnia Adzio Bezdrożny, wielki biały dryblas, cienkonogi i wybujały nad miarę, z czego mamusia jest dumna, bo są to cechy arystokratyczne. Gusta Adzio ma też hrabiowskie: krawaty uznaje tylko jedwabne i jedzenie z kotła tak go mierzi, że ciągle trzeba posyłać paczki, no i hojne kieszonkowe, bo przy kartach ma gest prawdziwie pański, czego ciało pedagogiczne za nic nie chce zrozumieć. Toteż na widok Zośki i Romci pani Bezdrożna wpada w straszny niepokój, nigdzie nie może znaleźć sobie miejsca i każdemu spotkaniem na drodze wyjaśnia niepytana, że syn został dłużej w szkole, bo tak się zamęcza przygotowaniem do matury, po której będzie studiował telewizję. Brzmi to imponująco, ale zdenerwowanie jej nie opusz-

cza, wszystko leci z rąk, a gdy wreszcie o zmroku pan Bezdrożny ściągnie do domu wlokąc aż od pałacu wykarczowany pień, żona rzuci się nań, by natychmiast jechał do szkoły na drugi kraniec Wyspy i wyjaśnił co się dzieje z Adziem. On odmachuje się mrukliwie, głodny i uszargany, aż wreszcie podjadłszy co nieco oświadcza, że wyruszy o świcie, by wreszcie na oczach całej szkoły zerznąć cymbałowi dupę, co go może przywoła do porządku. Więc pani Bezdrożna wpada w panikę, już widzi delikatnego jedynaka w wielkich łapach tego gbura, który jej zmarnował życie, i serce staje w niej dęba. Oskarża go o chamstwo i zastanawia się, jaki to obłęd skłonił ją do poślubienia go, choć tyłu miała oficerów i inżynierów, a sam pułkownik całował jej dłoń aż po łokieć. Awantura jest poniekąd publiczna, bo w sąsiednich barakach rodacy radośnie strzygą uszami, a pani Bielasowa otwiera swe drzwi, by broń Boże czego nie stracić. Zaraz rozlegnie się krzyk „umieram!” i nieszczęsna matka dostanie hałaśliwego ataku serca. Ktoś poleci po Wolniaka, Wolniak do telefonu i za godzinę przyjedzie wściekły doktor Lloyd, by wszystkich wokół zmieszać z błotem. Zna tę pacjentkę jak zły szeląg, ale przyjechać musi, bo a nuż tym razem jest serio i potem włóczyliby go po sądach.

W tym samym czasie sływa do Crowleyu jego intelektualna śmietanka z uniwersytetów. Najpierw zjawia się Danka z wojskowym workiem na rzeczy w jednej i przesadnie wypchaną teką książek w drugiej ręce. Jest bardzo podniecona, przecież to jej pierwsze studenckie ferie. Na przewiewne szare paltko zarzuciła pasiasty szal w barwach swej uczelni, który jest dla niej symbolem dostąpionej łaski i nigdy się z nim nie rozłącza. Nawet do łóżka niechętnie go zdejmuje, zwłaszcza że trapi ją pewność, że go wkrótce utraci na zawsze, bo niechybnie obleje egzaminy. Ale póki co Crowley musi ją w tym szalu obejrzeć i zapamiętać, bo nawet teraz pocieszają się, że wcale nie wyjechała na studia, tylko do roboty. W rozklekotanym autobusie wymienia pozdrowienia z niechętną jej grupką Róż wracających z miasta ze świątecznego *zakupu*, a w Crowleyu nie wysiada na mostku, skąd bliżej do domu, tylko jedzie aż na plac, gdzie więcej oczu zobaczy ją w jej wspaniałym szalu — niech drani krew zaleje! Mimo ciężkiego worka idzie na swe osiedle Pod Żywopłotem okrężną drogą, środkiem osiedli Za Rzeką i Pod Dębem. Wreszcie widać domowy żywopłot z kaskadą czerwonych głógów i pod nimi zmurszałe baraczkę, z których narożny jest jej rodzinnym gniazdem. Podniecenie dosięga szczytu — zaraz, za chwilę! Tylko czemu nie dymi z komina, drzwi zamknięte na głucho? W dziurze pod progiem znajduje klucz, otwiera i radość zmienia się

w rozpacz. Wita ją pustka, wilgotne zimno, stół z resztkami śniadania i obrzydliwe kocie wonie, a pośrodku stoi kałuża po niedawnej ulewie. Wśród rozsypanej po podłodze ziemi leżą pobite doniczki z potrzaskanymi pelargoniami, a po tym wszystkim miota się jej ukochany pasiasty Kocic. Jest tak pochłonięty łowami, że mu żołądek nie wytrzymał, ale nie zwraca uwagi. Skacze po stole, szafkach i oknach, po których tłuką się dwie przerażone sikorki i ze strachu nie mogą trafić do uchylonego lufcika, którym weszły zwabione widokiem śniadania. Za nimi cudem wcisnął się Kocic i Bóg jeden wie ile już godzin trwa ta rozkoszna sarabanda, skoro łowca ulżył sobie pod łóżkiem by nie tracić czasu. Danka ogarnia wzrokiem pobojuwisko, zrywa swój wspaniały szal, zdiera kapotę i rzuca się ptakom z odsieczą. Przy okazji wywraca stół i szafkę z książkami, ale ptaki ma w garści. Kocic obskakuje ją i wrzeszczy „daj!”, zadziera paszczkę pełną białych zębów i oblizuje się na widok dziczyzny. Ale zaraz ogarnia go zgroza, bo jego pani wychodzi na próg, otwiera ręce i puszcza oszalałe ptaki, po czym chwyta go za kołnierz i ryczy: — Coś ty, podły bydlaku, narozrabiał?! — Rzuca się z furią do likwidowania kałuży, włazi pod łóżko po kocie placki, zbiera pobite kubki, wśród których znajduje nagryzoloną kartkę, że rodzice zaczynają bezrobocie dopiero w piątek i żeby coś zjadła. Akurat to jej w głowie! Gdy wreszcie piec dymi i trzaska, i wywietrzone mieszkanie wygląda jak nora dla ludzi, Danka wali się na łóżko i wybucha rozpaczliwym płaczem nad tym strasznym barakiem, Kocicem i sikorkami, rodzicami i sobą — że to tak, właśnie tak musiał wyglądać jej pierwszy triumfalny powrót do domu i że takie ma zaplute życie, w którym co najlepsze obraca się w smród, na koniec zawsze musi być śmieszna i wstydzić się samej siebie.

Zaraz po Dance, która ze względu na swą babskość i niestworzony przedmiot studiów jest zgryzotą Crowleyu, zjeżdża jego chluba — pan Sewer Świtalski, który zakończył właśnie pierwsze trzy miesiące medycyny na irlandzkim uniwersytecie. Całą noc płynie i jedzie z tej Irlandii i wreszcie, wymęczony morską sła-
bością, po południu dociera do Longfordu. W ręku ma szykowną walizkę, na szyi wielki szal w barwach swej uczelni i pod czarną grzywą oczy czerwone z niewyspania. Na przystanku schodzi się z gromadką panów z Crowleyu, wracających właśnie od zarejestrowania u *lejbike* jako bezrobotni, i natychmiast nawiązuje kontakt z niedawnymi towarzyszami pracy. To znaczy, kontakt jest teraz nieco inny niż w czasach, gdy wszyscy byli jednako upaprani Sajderowym brudem. Jest w nim pewien dystans człowieka, któremu się powiodło, choć wyraźnie pokazuje, że mimo

tego swój chłop. Pani Świstalska już przygotowała w Crowleyu grunt, rozgłosiwszy w sklepiku, na przystanku i pod kościołem o jego sukcesach, złotych medalach i zażyłości z profesorami, aż Koziewicz publicznie pokpiwał, że niby skąd, jak Sewer ledwo studia rozpoczął. Ale wszyscy znają ten paskudny jezor, więc wygadywanie tylko zaostrzyło ciekawość. Teraz na widok Sewera kilka naszych pań wytrzeszcza oczy i uszy, panowie Sitak, Bydełko, Pawlak, Kozicki i inni ciasno go otaczają, a od przodu kolejki dołącza naturalnie pan Dekier, bo może usłyszy coś użytecznego, a także podsuwa się stary rozpustnik Pocałujko, co już nigdy nie nabierze rozumu. W tym momencie z wielkim klekotem zajeżdża stary autobus, więc kupą panowie i na górę gdzie nikt nie przeszkodzi, zwłaszcza że niewiasty wołają na dole. Zaraz buchają stamtąd eksplozje zdrowego śmiechu i kłęby dymu, bo Sewer zapomniał o zmęczeniu i opowiada hece że boki zrywać: o swej szkole i szpitalu, gdzie tak już się zadomowił że profesor całkowicie mu ufa i polega na jego diagnozie, a nieboszczyków co dzień sieka na rozgrzewkę i uciechy ma z tego co niemiarą. Na górze coraz huczniej i gdy autobus zwalnia w obozowej bramie, to nawet siedzące na dole niewiasty czują jak drży sufit i trzęsą się ściany, tak się rozchukali nasi wesołkowie. Na placu staczają się po wąskich schodach i wycierając zażawione oczy pokrzykują za Sewerem, że do zobaczyska pod kościołem. Przez te dwadzieścia minut jego prestiż został ugruntowany, tylko pan Kozicki, choć rżał z innymi, teraz popluwa z niesmakiem idąc korytarzem. W domu zdaje żonie sprawozdanie z tej wspólnej podróży i nim go pochłonie rondel wonnego kapuśniaku, rzecz podsumowuje: błazen! Pani Kozicka na to: — A ty stary dureń, co błaznów słucha. — Przez ścianę z pustaków pani Wiśniewska odpowiednio ocenia tę rozmowę i wyciąga wnioski. Wieczorkiem je poniesie do Żywych Róż.

Ale Crowley kompletuje się dopiero w dzień wigilijny, gdy ściągnie młodzież pracująca w oddalonych miastach. Zresztą słowo to obejmuje głównie osoby płci brzydkiej do czterdziestki i panie o połowę młodsze. Takie mniej więcej jak pani Rozalia (obecnie Róża) Zajac, starsza córka państwa Bielasów spod żywo-płotu. Pani Róża przed rokiem rzuciła męża tyrana i pijanicę, i zbiegłszy do Crowleyu aż z Leeds zostawiła rodzicom na pamiątkę maleńkiego Zenka, sama zaś, nie nauczona smutnym doświadczeniem, wyjechała do Londynu, gdzie sami najlepsi kawalerowie. Że w Londynie dość jest polskich potańcówek i właścicieli nieruchomości wzdychających do damskiej ręki zbrojnej w ścierki, zaś pani Róża jest po matce przystojną niewiastą, bez trudu znalazła chętnych, a ostatnio dokonała wyboru i zjeżdża na święta z na-

rzeczonem, czy raczej *korespondentem**, bo najpierw przecie rozwód.

Docierają do Crowleyu po południu, gdy czerwone słońce nurkuje w mroźnym oparze. Z kominów biją słupy dymu i przesterzeń między walijskim kopcem, pałacem i oskałpowaną górą wypełnia aromat kwaszonej kapusty, która się wszędzie gotuje, smaży, dusi i *gestuje* z grzybami. Że starszych mieszkańców pochłaniają przygotowania do narodzin Dzieciątka, przyjazd ten przechodzi prawie niezauważony, bo tłumiąca się wszędzie dziatwa ledwo spojrzy na wspaniałe królicze karakuły i platynowe francuskie loki pani Róży, na twarz grubo pociągniętą morelowym mazidłem i złociste sandałki, w których całkiem jej zgrabiły nogi, ale za to są wymarzone do podkreślenia stołecznych szyków, o jakich Crowley nie ma wyobrażenia. Pani Róża rozgląda się, zawiedziona, że nikt nie patrzy, i nagle ogarnia ją pretensja do całego świata, że po co męczyła się tyle godzin zamiast nałożyć futrzane buciska. Zły humor wyładowuje na potulnie obok kroczącym panu Franciszku, choć on też czuje się nie najlepiej w swym prążkowanym garniturze i ogromnym płaszczu z jasnej gabardyny, którego moda nie pozwala zapiać, i rozmyśla o dwuznacznym raczej spotkaniu ze swymi — jakby ich? — teściami. Przeżywa to jednak milcząco i dźwiga pełną damskich strojów walizę, jakby mu było mało metalem obłożonej harmonii, co na szerokiej szlei zwisa mu z ramienia, świadcząc o artystycznych gustach swego właściciela. Całkowicie zignorowani docierają na osiedle U Żywopłotu, by na powitanie dostać złą wiadomość. Ledwo wymieniono wstępne uprzejmości, pani Bielasowa odciąga córkę za firanę i szepce w kolczyk, że z samego rana zjechał do Crowleyu Zając i już tu był szukać draki, Zenka chciał uprowadzić, ale że go nie puściła przez próg, zapadł na kwaterę u swej krajanki, Pocałujkowej Zuzy, gdzie ani chybi będzie chlał całe święta i tu przylatywał, urządzał awantury o zwrot żony i dziecka. Tymczasem pan Bielas już nalewa trunku, mówi do gościa „zięciu” i bierze się do całowania, próbując przy tym ocenić ważną w bijatyce szerokość barów i masywność nóg pana Franciszka. On sam jest wzrostu żadnego i misternej budowy, a przy tym tresurą od swej wspaniałej małżonki całkiem wyprany z męskiej zadziorności. Tak — wygląda na to, że u państwa Bielasów święta dalekie będą od ducha pokoju i wzajemnego miłowania, strasznie uradują i zgorszą Żywe Róże,

* Z angielskiego: współwinny.

całemu zaś Crowleyowi dostarczą rozrywki w te dwa ociężałe z przejedzenia dni. Tematu starczy do Wielkiejnocy.

Takie komplikacje nie grożą za to Józii Oleksiuk, córce pani Antoszkowej, która także przywozi ze stolicy nowego konkurenta, i to jakiego — literata! Komplikacje mogą być inne i Józia jedzie z duszą na ramieniu, że burzliwy temperament mamusi znów jej wypłoszy narzeczonego, co już kilkakrotnie miało miejsce i ostatniej jesieni wyгнаło ją wreszcie z Crowleyu, gdy już było jasne, że przez matkę grozi jej staropanieństwo. Bo to różni się przy niej kręcili, oczywiście nie tutejsi, tylko z gazety. Ale zorientowawszy się jak jest, mówili, że jaka matka, taka córka (co było krzywdzące, bo Józia jest ciepłe kluski) i tyle ich widziano. Wreszcie przyszedł jeden co jej się najwięcej podobał, grzeczny i uczony, *przy* wojsku był za porucznika, i chciał się żenić. Przyjechał jednej soboty uzgodnić szczegóły, a Józia szczęśliwa chodziła że aż, i wtedy mamusia nie wytrzymała. Bo też lichy skusiło pana Bielińskiego zza ściany rąbać drzewo, oczywiście na własnym podwórku, i nie wiedzieć czemu panią Antoszkową to wyprowadziło z nerw. Wyleciała na dwór i dalej rugać, wypomniała mu żonę w Polsce i *matpu* w Crowleyu, i Stasiucz-kowi przykazała brzydko nań wołać. Ale on — człowiek łagodny i chory — udawał, że nie słyszy, i to rozdrażniało ją coraz okrutniej, a na Józję poty biły, odmawiała w duchu Zdrowaśki i radio nastawiła na cały regulator — może jednak pan Stefan nie usłyszy? Kto wie, czy by się dobrze nie skończyło, gdyby wreszcie z nerw całkiem wyprowadzona pani Antoszkowa nie uciekła się do starożytnego zwyczaju wspólnego słowiańskim rasom, a postroнным całkiem niepojętego. Zarzuciwszy na głowę spódnicę (a każdy wie, że zwyczajem przodków chodzi bez bielizny), wystawiła się na wroga i wielkim głosem zaprosiła do całowania. Na ten widok w cichutkiego człowieczka walnął grom i, jak stał, puścił się z siekierą za niewiastą, że ledwo zdążyła wpaść do mieszkania i trzasnąć drzwi, wzywając na pomoc Wszystkich Świętych. Z tego pośpiechu spódnicę miała cały czas na głowie i od nagłego wrażenia pan Stefan zbladł okropnie, bo też widok nie był piękny. Jak ścigany wypadł na pole i tyle go widziano: wiadomo gdzie pada jabłko i Bogu niech będą dzięki za cudowne ocalenie od tej żeniaczki. Panna Józia popłakała sobie i więcej nie tracąc czasu wyjechała na wielką giełdę matrymonialną do Londynu. No i zły urok z miejsca prysnął, bo na pierwszym balu u Białego Konia zakręcił się przy niej pan Gabriel Rokito. Od pierwszej chwili zapadła jej w serce ta czarna grzywa i oczy jak noc — wypisz wymaluj jak znany literat Słowacki, i taki

przy tym uczony a delikatny — wiadomo, sam też pisarz, właśnie jak ów Słowacki. Londyńska gazeta drukuje jego piękne opisy zebrań, akademii i opłatków i czytają go Rodacy na całej wyspie. Nie ma wprawdzie kamienicy ani oszczędności, ale co tam. Koleżankom oko zbieleje, gdy usłyszą że idzie za redaktora. O Matko Najświętsza — żeby choć mamusia wytrzymała przez te święta! Roztropna Józia wcale go nie chciała wieźć do domu, ale sam się napał, że chce poznać przyszlą teściową, jej męża i maleńkiego szwagierka.

Weselne wieści przywozi też rodzicom pan Władziu Pomykało, przystojny kawaler w sile wieku, który robi karierę w fabryce samochodów w Birmingham. W wojsku był za kierowcę, więc zna się na tych rzeczach i nazywa siebie tubylczą modą inżynierem, co bardzo Crowleyowi imponuje. Jest też zawziętym kopaczem piłki i ma na tym polu piękne osiągnięcia, czego świadkiem „Kronika sportowa” w londyńskiej gazecie. Jednym słowem chłop jak dąb z tą żółtą czupryną, czerwoną twarzą i barami jak stodoła, więc rodzice od dawna się trapią, że czas mu się żenić, a tu nic i nic, taki wybredny że sam nie wie czego chce. W obozie przebrał wszystkie Panny Na Wydaniu i już jakby się miał ku Wałoszkównej Stasi, ale zaraz pomyślał, że lepsza mu sądzona doła i zbiegł do Birminghamu. Odtąd, kiedy zjeżdża do domu, to matka już na progu pyta, kiedy jej wreszcie przyprowadzi synową. A on się chytrze uśmiecha i tak ładnie droczy, że jego żona jeszcze się nie narodziła — czyste utrapienie ma pani Pomykałowa. Jest jedną z czołowych Żywych Róż i strasznie by chciała, żeby jej dzieci świeciły przykładem. A tu i Krysia, panna jak na pokaz, też nie ma kawalera i skąd go wziąć jak siedzi w Crowleyu i pracuje w hotelu Mitra Biskupia, dokąd niebiedni staruszkowie uciekają z domu na święta a co lepsi farmerzy ściągają jesienią z daleka na słynną giełdę chmielową; naszych oczywiście ani na lekarstwo.

Ale teraz, ledwo wszedł, pan Władziu puszcza bombę, że się żeni i przejdzie dobra chwila nim matka odzyska dech i upewni się, że to nie żarty. Jest okropnie podniecona, szturmuje o szczegóły, a jemu właśnie się nie spieszy. Zwodzi ją, cedzi od niechcienia, że owszem ładna, blondyna i strojna jak lalka — sam szyk, i strasznie na niego leci. Sierota, wychowana przez złą ciotkę i tęskni za życiem rodzinnym. A jaka wykształcona, w *ofisie* u nich pisze na maszynie! Więc pani Pomykałowa nie może strzymać o to najważniejsze i dowiaduje się z przerażeniem, że Angielka. Ale nie taka plucha i potorocze, jak te tutaj, co je nasi pobrali, niech mamusia nie myśli! A ona właśnie myśli,

że pewno też heretyczka, o Jezu! — Żeby mamusia wiedziała! — Oczy wyciera w fartuch, już by go wołała kawalerem, ale on mówi, że Sheila bardzo interesuje się prawdziwą wiarą i nie może wytrzymać tak jej pilno się wychrzczyć, co też uczyni od razu po ślubie. Nie, wpierv nie zdąży, tyle kłopotu z przygotowaniem do ślubu, no i musi się nauczyć pacierzy, a oni chcą zdążyć przed Wielkim Postem. Po polsku uczy się od niego, a po ślubie pójdzie na lekcje dla żon Polaków — mówi, że jej obowiązek poznać język męża i żeby jej dzieci mówiły po polsku, no i z teściami chce rozmawiać jak córka. I taka zakochana, na głowie by stanęła, żeby się tylko żenił. Przywiezie ją za parę tygodni, to sami zobaczą: palce lizać.

Tymczasem na polu zmierzcha, czerwone słońce siada za łysą górą i wilgotny ziąb wstaje z ziemi, lezie po ścianach i przez tandetne okna pcha się do baraków. W zamglonym powietrzu dymy idą gnuśnie, wkrótce pokaże się pierwsza gwiazda, o ile da się wypatrzyć. A pani Pomykałowa zgubiła się: cieszyć się czy płakać? Ręce pełne roboty, w mieszkaniu wigilijne wonie, na kuchni i piecyku gary pyrkają i kipią, coś się przypala. W paradnym pokoju Sajderowe jabłuszka czerwienią się na drzewku, które pan Pomykało przyniósł ostatniego wieczora ze szkółki pani Craven, ledwo uszedłszy z rąk gajowemu. Cukierki mieniają się kolorowym srebrem wśród gałązek, a na czubku pyszni się skrzydlaty elf od Woolwortha. W ręku ma kijek z gwiazdką, żółte loki i błękitną krynolinę rozpostartą za plecami w płaskie koło. To pogańska dobra wróżka, ale pani Pomykało nabyła ją jako niebieskiego gońca z ubogiej szopki i wcale jej nie zraża ta głupia Włoszka, Byczukowa Laura. Pokazała jej zdobycz w autobusie, a ta prycha: — Tfy, anioła z dupa do góry! — To wszystko teraz nieważne. Pani Pomykało wyłącza kuchnię, przykazuje mężowi pilnować kapusty na piecyku i z wielkim pośpiechem, w fartuchu i domowych szturpakach wypada na świąteczny Crowley. Gna na osiedle Przy Dębie, by omówić sprawę z przyjaciółką i duchową opiekunką, panią Dyderkową, prezeską Drugiej Żywej Rózy Pań.

U państwa Dyderków przygotowania wigilijne też w całej pełni. Gustowny salonik wygląda odświętnie w tradycyjnych (jak pisze *Dziennik*) dekoracjach z baloników i bibułkowych łańcuchów od Woolwortha. W kuchni rozsiadł się przybyły właśnie z Londynu Leon Dyderko i lekko posila się przed wigilią, a familia śledzi to z uwielbieniem i nawet panna Pela na chwilę odeszła od lustra, by dotrzymać bratu towarzystwa. Wiadomo: z Leona będą ludzie — niedawno zdał w Londynie polską maturę i po

wakacjach zacznie w Irlandii sposobić się na dentystę. Teraz zaś, choć właśnie przybył ze stolicy, nic nie ma do powiedzenia, tylko się uśmiecha jak ojciec.

Pani Dyderkowa prowadzi panią Pomykało do sypialni i zamyka drzwi, by spokojnie rozeznac sprawę. Bez zastrzeżeń aprobuje plany pana Władzia, skoro przezeń nawróci się heretycka dusza i zasługa spadnie na dom Pomykałów, a poniekąd i na Drugą Żywą Różę Pań, której filarem jest przyszła teściowa. A że ta panna Angielka, no to co? Pełno tu wszędzie Anglików i trzeba z nimi żyć, dawać dobry przykład. Tym lepiej, że sierota, prędzej do nas przystanie, ot co.

Tak matka Władzia odchodzi pogodzona z losem i nie podejrzewa, że do tej wyrozumiałości pani Dyderkowa ma dobre powody. Dopiero przedwczoraj ze zdumieniem usłyszała od Peli, że ten stary, forsiasty farmer z Dunwell uchadza za naszą Pelunią. Co środa spotyka ją na mieście z okazji farmerskich targów, kupił jej broszkę w kształcie kotka z piłeczką nabijaną czerwonymi kamykami i pytał co by jeszcze chciała, a ostatnio zagadnął (niby żartem), czy by nie miała ochoty zostać panią tych chmielików i buraków, jabłkowych sadów, trzech dochodowych kamienic w Bristolu, placów w Cardiffie, akcji i ubezpieczeń, wszystko czyste jak łąka, bez długów i dziedziców. Pella, jak zawsze w tych rzeczach przytomna, najpierw zaśmiała się, by pokazać, że zna się na żartach, a potem powiedziała filuternie, że pomyśli, i wtedy Mr Lacy zaprosił całą rodzinę Dyderków do swego domu na uroczystą herbatę w drugi dzień świąt. Na takie widoki pani Dyderkowa zarządziła, że cicho sza, zaczekać aż się wyklaruje.

Niebo dogasa nad łąką górą i pora siadać do wigilii, ale Crowley jest zdezorientowany oparami, których nie przebije pierwsza gwiazdka. Pani Pomykałowa przyspiesza kroku, w pustym korytarzu echo ją ściga, nieprzyjemnie. Nawet dwa echa, i to drugie chrypi zdyszane, by zaczekała. Dogania ją pani Bieniarzowa, okrążyła a maleńka, istna piłka. Tchu nie może chwycić, dyszy i wywija jakąś garderobą przewieszoną przez rękę. Przejdzie chwila nim pani Pomykało pozna w mroku dwie pary czarnych spodni osobliwego kroju, nogawki u nich tak wąskie, że nie do wiary by mogła je sforsować męska noga. Bieniarzowa tka jej to pod oczy i pyta, czy posiada kawałek takiej materii, obleciała już pół Crowleyu i nie znalazła. Czasu nie ma, pora siadać do wili, a ona musi przed pasterką poszerzyć to paskudztwo, wstawić kliny do nogawek, żeby były podobne do ludzi. Nie, bez tego nie puści Wicusia z Tolkiem do kościoła, niech już będzie na nią tak okropny grzech. Zaprawdę, zmartwienia tej

matki nie mają końca. Nie dość, że ją Bóg obdarzył mężem dumnym ze swej krągłej piersi i toczonych rączek, to jeszcze z synami wieczne zmartwienie. Dryblasy na schwał, blondyny niebieskookie, nie wiadomo skąd tacy postawni od kurduplowych rodziców. Bliźniaki identyczne i nierozłączne, w szkole jechali na dwójkach, a były wspólne, bo nauczyciele nie mogli ich rozróżnić, toteż z radością rzucili naukę przy pierwszej okazji. Przez dwa lata chodzili z Crowleyu po różnych robotach, aż ostatniej jesieni ruszyli we światy, do Leicester, gdzie zarobki przystojne, dużo ludzi i wesoło. Bóg jeden wie co znaczy „wesoło”, skoro dziewczęta ich nie obchodzą, bo i jak — z jedną obaj nie będą chodzić, a identycznych bliźniaczek dotąd nie wiedzieli. Urządzili się w mieście, zarabiają Bogu dzięki, i teraz właśnie, godzinkę temu, zjechali na święta. Matka od tygodnia radowała się i pichciła, ale jak stanęli na progu, to jej w oczach poczerniało: wystrojeni jak cudaki w ciasne portki jak w rajtuzy, buty do tego na okropnie grubych gumach przy każdym kroku kwiczą jak prosię, i marynary także czarne, ale strasznie szerokie i długie po kolana, z kołnierzem aksamitnym. A o tych różowych bluzeczkach z hafcikiem i czarnym stryczkiem w miejscu krawata, i o fryzurach nahodowanych po ramiona, ze stromą nad czołem falą w tłuszczu misternie wyrzeźbioną i mówić nie warto. Jednym słowem: pierwsi słowiańscy *teddy boy*'e w Crowleyu i żeby choć jeden, ale dwu jednakowych... Więc się nie przywitała, z miejsca zaczęła krzyczeć i popłakała się: jaki wstyd takie małpy w porządnym domu, co ludzie powiedzą. Nie puści ich w tym rynsztunku na pasterkę Pana Boga obrażać — bo płaszczów naturalnie nie przywieźli, kto widział zakrywać takie piękne stroje. Kazała im szybko z nich wyskakiwać, siłą nieomal by zdarła, choć odpruć te aksamitne kołnierze i poszerzyć nogawy, ale w domu nie ma takiej materii i, co gorsza, stary już się zainteresował takutki garnitur chce sobie kupić, chłopaki zaś pyskują, że matka nie ma pojęcia o modzie i że w ojcowych spodniach nie pójda do kaplicy, bo szerokie ohydnie i ledwo im do pół łyd, a co matka poszerzy, to i tak wyprują choćby potem mieli zeszyć białą nicią na okrętkę. A te łby to by im zaraz tępymi nożycami obskubała, ale nie dają. Poczekaj jak zasną i wtedy jak hapienie po ciemieniu, Jezus Maria!

I tak, gdy w oparach nurkuje wigilijna gwiazdka, a ludzkość ogarnia wzajemne miłowanie, u państwa Bieniarzów kwasy a ujadanie, do stołu nienakryte, kapusta z grzybkami podeszła dymem, barszcz wygotował na brudno i lichy wie po co człowiek żyje.

Tak jest oto z tą młodzieżą, która wyfrunęła z maleńkiej Polski pod Walią. Czy z poklaskiem starszyzny, czy częściej bez, jest ona mostem między słowiańską tradycją a krajem, w którym leży Crowley, między minionymi laty a współczesnością, która co dzień wokół się wylęga, płynie i odmienia. Przez te wszystkie rzeczy śmiało mierzące w przyszłość crowlejskie matki tyle mają w ten święty wieczór utrapienia. Zaprawdę, jak rzekł mędrzec, łzy matczyne mogą napełnić morze, a co dopiero w tym dziwnym nowym świecie.

SŁOWIAŃSKIE GODY

Święta Narodzenia Pańskiego wypadają w najbrzydszej porze roku, gdy wszystko gnije i kiśnie w błocie, a ludziom, kurom i kotom wilgoć wierci w płucach i kościach. Ogródki są teraz rozgrzebanymi wykopami, na których leżą mętne oka wody i kupy ośliżęgo zielska i sterczą kapuściane głąby. Pod barakami wgryza się w ściany i z blaszanych kominów zionie na smętny krajobraz, miesza się z mgłą i z nią razem spada na wszystko, co leży na dnie crowlejskiej doliny. Późne wschody są chore i nie budzą echa w pałacowych oknach, bo słońce wschodzi teraz za lasem, nie za kopcem.

W tym beznadziejnym czasie Mr Osborne, dziedziczny ogrodnik pani Craven, który uprawia dla niej obmurowany ogród z oranżeriami na tyłach pałacu, lubi sobie podumać przy kominu (i opowiedzieć tym, co lubią posłuchać, jak na przykład Danką albo Kasia), że Sir Evelyn mądrze uczynił, gdy zmarł sto i dwadzieścia trzy lata temu i nie musi oglądać upodlenia swego ukochanego gniazda. A zresztą kto wie? Podobno duchy widzą podwójnie: jak było za ich życia i jak jest teraz. Bo za starego pana było zimą też pięknie, choć naturalnie inaczej niż latem. Przemyślnie uformowane laski i klomby, altanki i piękne planty przysłane aż z Londynu przez stołeczne firmy zimą w Crowleyu czyniły barwną nie tylko w oranżeriach. Te wyborowe rośliny pokrywały się jagodami, przedziwnym owocem, listowiem przybierającym niezwykle barwy i niespadającym aż do wiosny, a niektóre, u podnóża murów zwróconych na południe lub pod osłoną wielkich drzew w środku zimy wypuszczały kwiecie winne i

zwiewne jak mgła. Przechadzając się wśród tych Drzew, Plant y Klombów, y pięknem tym się lubiącą księżną Izabelę nawiedzały tu obficie Myśli Różne o Zakładaniu Ogrodów, które rada by żywcem do swej ojczyzny przeszczepić, a zwłaszcza Drzewa, te naywspanialsze ze wszystkich Ozdób, którymi Ziemia jest pokryta. A więc crowleyskie Klony o liściach iesionowych i pietruszkowych, i *Aesculus* różniący się od swojskiego *flore pleno*, *rubro* lub *luteo*, i *Rosa sempervivens* co zimną stoi zielona jak latem, i *Fraxinus pendula*, którego gałązki spadają w dół i bardzo piękny skutek czynią, albo choć *Quercus*, po naszymu dąb, tyle że *rubra* lub *nigra*.

Tak było dawno, a dziś przy odrobinie imaginacji łatwo sobie wyobrazić, jaki był Crowley za tych zim, co nad nim przeszły za korsykańskich awantur i w czasach, co po nich nadeszły. Najlepiej to widać na sztucznej górze u stóp pałacowej balustrady, nieopodal baraku państwa Dekierów. Ogrodzili ją, jak zwykle, kawałkami mebli, zmajstrowali budę z barakowych płyt i urządzili w niej kurnik. Oparli go o wysoki postument z obkruszonym tynkiem, z którego kamienna waza stoczyła się i ugrzęzła nieopodal, czyniąc wspaniałą wodopój dla drobiu. Wokół postumentu tkwią proste jak strzała drzewka zza siedmiu mórz, o listkach jak dłoń z rozczapierzonymi palcami. Cały rok nikt na nie nie zwraca uwagi, aż raptem jesienią wybuchają ognistym złotem, jarzącą żółtością i buzującym amarantem i tak stoją do wiosny, więc państwo Dekier są radzi, że kurnik ma dobrą osłonę. Wśród nagich drzew te klony świecą jak pochodnie, jakby wzgórze ogarnął pożar i rwał w chmurne niebo. Przy byle powiewie listki drżą i dzwonią jakby je uczyniono z najcieńszego kryształu, aż muzyczne wzgórze gra jak harfa z wiatrem w strunach. Można słuchać i słuchać, jeśli rudy kogut nie zagłuszy wszystkiego swym ochrypłym wrzaskiem. Tak malowniczo wyglądał niegdyś cały Crowley, a teraz ten koguci wzgórek jest tu jedyną miłą dla oka rzeczą, która wita Boże Narodzenie.

Okres świąteczny zaczyna się wcześniej i najpierw oczywiście daje o sobie znać w kaplicy, gdzie pod minorowy akompaniament Zawiszy-Kwiczoła płynie tęskna pieśń o rosie, którą niebiosa mają spuścić na ziemskie niwy. Nawet pani Ciupkowa starsza nie wyskakuje teraz ze swym przeraźliwym solo, a pani Bielińska (onaż Dubielowa) od codnia ma na głowie chustkę z portretem wyła z kuropatwą w zębach, w niedziele zaś występuje w skromnym Rembrandcie z fontaziem brąz: białoczerwony Książę Bogusław, odświeżony domowym sposobem, na szafie czeka na Pasterkę. Niewiele jej pomoże ścisła obserwacja liturgicznych

kolorów, skoro Dubiel zawieruszył się na Workucie, jego dzieci zakopano w krasnojarskiej *obłasti*, ona zaś „żyje” z panem Bielińskim i ma z nim Kaziuczka, zaś prawowita pani Bielińska tkwi jakby nigdy nic nad brzegami ojczystej Narwi. Ale pani Dubielowa jest taka łagodna, a jej partner cichutki i chorowity, że Crowley nie ma jej za złe tej nieregularności i nawet Żywe Róże nie gorszą się nadmiernie jej przestrzeganiem wszelkich praktyk religijnych możliwych w tak wątpliwym stanie, a Kaziuczek bawi się z porządnymi dziećmi na równych prawach. Co innego Zuza. Jest to dzika żona pana Pocałujko, ojca dorosłych dzieci i męża pani Pocałujkowej (obecnie we Wrocławiu). Zuza jest pyskata, łąpska ma jak niedźwiedź i lubi ich używać, a jej przystojny syn Michał jest pożeraczem serc i w Pannach Na Wyznaniu przebiera jak w ulęgałkach, aż lud sarka że co taki znajda sobie myśli. Zwłaszcza że i Zuza tupet ma niepowszedni, w kaplicy pcha się wyzywająco pod sam ołtarz jakby prezeska Żywej Róży Pań. Stąd Crowley nie zapomina jej występków, a najjadowitsze Róże z byle okazji wzywają ją do pokuty póki czas i twierdzą, że Ksiądz Magister powinien TAKĄ publicznie napędzić z Bożego domu. W jej cieniu giną z oczu inne dzikie żony: wdowa Emilia od Śliwy, co ma żonę pod Rzeszowem oraz kołtuniasta Olga, której mąż prosto z wojny zwiął na Antypody, a ona się zeszała z zezowatym Kobylakiem i z nim pożywa w Crowleyu. Tyle o paniach, bo wobec ich oblubieńców Crowley, z Różami włącznie, jest zdumiewająco pobłażliwy: wiadomo — chłop ma swoje prawa, a babska rzecz się upilnować.

W tym smętnym czasie, gdy przybranie głowy pani Bielińskiej nie budzi żadnej nadziei, a niebiosy nie spuszczały rosy, pewnego piątku masa crowleyan dostaje wymówienie pracy i ciągnie do *lejbika* rejestrować się za bezrobotnych, od czego okres świąteczny zaczyna się na dobre. Bezrobotni panowie przystępują do karczowania pni na opał, taskania chrustu z lasu, umacniania zasieków przy kurnikach i ogacania wiatrem podszytych szopek, gdzie mieszczą się zimowe dary crowleyskich ogrodów. Teraz od codnia osada jest ludna i babka Gąsowska ledwo nadąża z dozorowaniem jej mieszkańców, ich zajęć i aktualnych miejsc przebywania, a babka Macioszkowa całe dni tkwi w oknie i tasuje karty, to je rozkłada w wachlarz na co go czeka, co być musi i co serce zaspokoi, to w cztery szeregi i liczy po siedem, by się choć trochę rozeznac co tu kto knuje. Łaska Boska że choć żywopłoty potraciły liście i odrobinę widać co się dzieje po drugiej stronie, tam gdzie przenikają ścieżki i lichy wie po co znikają ludzie. Ale zaraz-że pękają wszelkie tamy

i życie w Crowleyu robi się całkiem niemożliwe, bo z nastaniem ferii wszędzie wybuchają tabuny dziatwy i wrzaskliwą masą wypełniają każdą wolną przestrzeń. Tak będzie aż do gwiazdki, gdy w cudowny sposób babka odzyska kontrolę nad otoczeniem: wnuki, złośliwi bracia Macioszkowie, w którejś z longfordzkich tołkuczek kupią jej pod drzewko olbrzymią, zabytkową lornetę w aksamitnym pudle ze szleją do zawieszania na szyi. W czasach swej młodości instrument ten odwiedzał najważniejsze końskie wyścigi i teraz nie traci użyteczności, choć najpierw babka nie zdoła pojąć co się z nim robi, a jak nauczą, to znów wpadnie w rozterkę czy też Pan Jezus pochwała używanie takich sztuczek.

Dziatwa jest teraz nieznośniejsza niż zazwyczaj, jak te komary, co tną dotkliwiej przy złej pogodzie. Wszędzie wlezie, kury powypuszcza żeby potem nasze panie kłóciły się która czyja, wrzeszczy po angielsku i nawet w deszcz tłumi się po korytarzach kopiąc piłkę, aż dudni i straszno przejść. Panna Maryla stara się jak najmniej wychodzić z domu i nawet w mieszkaniu zatyka uszy, a Pocałujkowa Zuza miota się wśród sportowców na korytarzu jak pies w kręgielni i wybucha wielkim wrzaskiem, że to szkoły — psia krew — na was nie ma. W sam dzień Bożego Narodzenia rozbewstwienie sięga szczytu, gdy bez większych opadów atmosferycznych crowlejski strumień występuje z brzegów i w świąteczny poranek nisko leżące baraki budzą się przy plusku wody, która podchodzi pod próg. Wtedy dopiero ktoś sobie przypomni, że w wigilijne popołudnie, tuż przed pierwszą gwiazdką, gdy starsi byli zajęci, widział jak dziatwa szkolna pod przywództwem tego zbrodnia Heniutka Sitaków zwłoczyła z krzaków wojskowe materace i chciała na nich płynąć na pych do wielkiej rzeki. Ale materace szły na dno jak głazy i robiło się ciemno, więc zbudowali z nich wielką tamę by pogłębić strumień. Woda, ma się rozumieć, wzbierała przez noc, czego nikt nie zauważył idąc na pasterkę. Doprawdy człowiek nieraz żałuje, że na to tałatajstwo nie ma szkoły, odry albo świnki. Nawet najmłodsze mamusine aniołki są teraz natrętne i nic, tylko co im przyniesie Mikołaj. Oczywiście nie ten fundowany przez Gminę Osiedla Crowley, co rozdaje torebki z piernikiem i pomarańczą — pies by się uśmieł na taką nędzę, i jeszcze każe deklamować głupawe wierszyki, gładzi Heniutka po główce i pyta, czy będzie grzeczny żeby Bozia nie płakała. A Stasiuczek państwa Antoszków, tkwiący jak zwykle w swej bramce i wygłaszający monologi, denerwuje przechodzącą dziatwę przechwałkami, że na święta sam jeden zje wielkiego indyka. Zrobi to z całą pewnością, od czego wołają go Faruk?

Wyzerka szykuje się w Crowleyu niepowszednia, jakże inaczej uczcić maleńkiego Jezuska? Panie holują wielkie torby: bezrobocie bezrobociem, a one całe lato i jesień tyrały po farmach i w dzemiarni i nikt nie chce być brany za dziada. Taskają z Longfordu, tłoczą się u pana Wiewióra i godzinami czekają na placu na przybycie kiełbasianej budy z Manchesteru, ugwarzając jakie smakołyki i jakie ich masy każda szykuje. Stać nas, jeszcze by nie?

Obozowe choinki, kupione i Jałtą nadane, otwierają zaczarowane wrota świąt. Najpóźniej u państwa Koziwiczów, bo chytry profesor nabywa drzewko w wigilijne popołudnie, gdy sklepikarze oddają najlepsze okazy za byle co. Ledwo je zdążą z żoną ubrać do pierwszej gwiazdki, choć nie mają dla kogo i w ten święty, pusty wieczór siedzą milcząco patrząc na gałązki, bombki, sreberka i świece. Opuszcza ich zwykły humor, tępieją ostre jęzory. Wyszorowany i odświętnie ubrany profesor cuchnie jednak gazownią a profesorowa dyskretnie ociera oczy. Pod choinką nawiedzają ich wspomnienia o dzieciach zagrzebanych na Kazachach w słonym stepie, płytko a bezimiennie, bo sił nie było, i kto je odnajdzie? Dwu chłopców i dziewczynka, dziś już by byli dorośli i może by wcale nie chcieli tej dziecinnej choinki, którą co roku rodzice ubierają specjalnie dla nich, w nadziei że ich w tę noc ułowią na nią i ściągną z kosmicznych przestrzeni, do siebie przybliżą. Któż ich zapewni, że tak właśnie nie jest, skoro nawet ksiądz Turkuć woli się ściśle nie wypowiadać? Będą przez ten nieskończony wieczór siedzieć przy choince i słuchać jak wiatr przebiega osiedle, gra wokół baraku i dym wdmuchuje do wnętrza, aż przed północą rozlegnie się nerwowy dzwon od kaplicy szarpany przez Henia Śmidowicza. Wtedy otworzą lufciki, wypuszczą dym, wpuszczą kota, na drzwiach zawieszą kłódkę i pogrążą się w zewnętrzne ciemności. Wśród szumiących drzew, gdzie brnie się po omacku, wyda im się przez chwilę że na pasterkę nie idą sami, we dwoje, tylko wszyscy razem, w pięcioro. Mogliby się nawet dotknąć po ciemku, ale wolą tego nie robić, nie płoszyć przybyszów. Będzie ich pięcioro aż do korytarza, gdzie zlewają się strumyki crowleyan dążących do kaplicy z górnego regionu od pałacu. Ludzie suną jak cienie, ociążali z przejedzenia, i dopiero za drzwiami świątyni rozbudzi ich nadmiar światła i dźwięku. Beno Kwiczół wypróbouje fisharmonię, która pod jego ręką buczy, piszczy i wzdycha nim wreszcie ulegnie jego woli i wybuchnie triumfalnym do-re-mi. W tym momencie rozlegnie się dzwonek i z zakrytii wyłoni się dwie i pół pary zaspanych ministrantów, dryblasowaty Henio

w za krótkiej komeźce i wreszcie ksiądz Turkuć w radosnym białym ornacie. Wtedy jak zwykle wszystkie oczy skierują się na panią Bielińską w środkowych krzesłach i upewnią, że wszystko w porządku: na jej głowie tkwi odświętny Książę Bogusław.

Kaplica jest dziś nabita, tak licznie spłynęli miejscowi i przyjezdni, nawet od drzwi wypełnia ją tłum panów, bo w świętą noc tylko najzagorzalsi skarbowcy tkwią po ciemku za progiem i jak zwykle wypominają mikołajczykom Jajtę oraz szczoteczkę. Ale wewnątrz jej przytulnie, kadzidło, kolędy i świece stwarzają nastrój. W prezbiterium wyrósł las młodziutkich choinek, które tak licznie zstąpiły ze swego zbocza, że księdzu Turkuciowi i ministrantom trudno przecisnąć się do ołtarza. Po prawej stronie u balustrady Żywe Róże ustawiły piękną szopkę ze sklepowych pudełek, wśród skał przemyślnie uformowanych z paczkowego papieru. Na sianku leży Dzieciątko i uśmiecha się do crowleyan, a otaczają je święte postacie i tłum pasterzy. Wprawdzie św. Józef i inne osoby niewiele większe od Dzieciątka, ale kto by na to zwracał uwagę — zawinił Woolworth, który dostarcza takich plastikowych bobasków o głupich twarzach, a reszta uzupełniają Róże: dolepiają im brody z bielutkiej waty, sporządzają biblijną przyrodziwę i wyznaczają role. Na dachu szopki płonie gwiazda i stoją Gońcy Niebiescy z zaczarowaną różdżką w rękę i spódnicami krynolin nieprzyzwoicie zadartymi na plecach w płaski krąg, a pod spodem nic. To pogańskie dobre wróżki, o których tak się brzydtko wyraża Byczukowa Laura. Wszystko to nieważne, szopka bardzo się Crowleyowi podoba i obie Żywe Róże słusznie mogą być dumne, szczególnie gdy przed kazaniem Ksiądz Magister złoży im publiczne podziękowanie. Zaś dziatwa doceni ją dopiero jutro, bo teraz śpi syta chwały w barakach pozamykana na kłódki i aż dziwnie się robi że nikt nie żąda pisiu ani soczku. Nie byłoby zresztą na te rzeczy czasu, bo kazanie trwa dziś tylko pół godziny i sprowadza się do życzeń dla parafian oraz zapewnienia, że wszyscy wierzymy mocno iż następne święta spędzimy w Wolnej i Niepodległej. Robi się coraz senniejsze i rzewniejsze, mało kto ogląda bliźnich i stroje — rozpatrzy się je należycie jutro za dnia, na sumie i popołudniowej promenadzie. Na chwilę ich ożywia dzwonek na Podniesienie i znów zapadają w senną kontemplację, a pod oknem ktoś chrapie całkiem otwarcie. Bezwiednie śpiewają kolędy i nawet znużona pani Ciupkowa starsza nie wykonuje swych zdumiewających solo. Daje to okazję pani Bezdrożnej zabłysnąć swym wspaniałym drugim głosem, który niegdyś podziwiali oficerowie w mieście garnizonowym. Idzie jej tak dobrze, że aż ludzie trącają się

i oglądają, a pan Bezdrożny budzi się z drzemki i ku uciesze wiernych powiada bardzo głośno, jak to głośni: — Mania, przestań! — Tak Msza św. Pasterska dobiega końca w osiedlu Crowley zagubionym na bezdrożach walijskiego pogranicza. Następuje chwila ciszy i wierni napełniają płuca jak miechy w oczekiwaniu na to najmilsze. Beno daje grzmiącą przygrywkę do „Lulajże Jezuniu”, Panny Na Wydaniu wybuchają śpiewem i tłoczący się u drzwi panowie huknęli jak piorun, powtarzają to lulaj jeszcze potężniej — zaprawdę musi to być Boska Dziecina co by zasnęła na taką zachętę, bo zwykła ludzka chyba by skończyła. Jeszcze wspólna modlitwa za duszpasterza, parafian, czyściciele dusze i nawrócenie Anglii oraz grzeszników, a także o strącenie do piekieł Szatana, i zaraz wszyscy dopędzają Benona pieśnią błagającą Dzieciątka o błogosławienie Ojczyźnie miłej. Teraz już każdemu śpieszno do domu, do ciepłych betów i pieca, który może jeszcze nie wygaś, toteż nie czekając na oddalenie się księdza do zakrystii rzucają się do wyjścia — aby szybciej.



I zaprawdę Boża Dziecina przynosi radość, bo nazajutrz Crowley budzi się w słońcu, co ukośnie spogląda nań zza lasu i niebo zabarwia rumieńcem. Pora wymarzona, toteż po sumie i obfitym obiedzie wszystko co żyje rusza na promenadę. Główny szlak wiedzie przez Holme de Braose ku rzece. Skompletowane rodziny z drobiazgiem w wózkach i na barana, wystrojone jak najokazalej, kroczą statecznie przez wymarłą wioskę. Za szczerze zasłoniętymi oknami tubylcy w błazeńskich czapkach z bibułki siedzą właśnie nad swą heretycką wilią, spożywają indyki z bruksejką pomalowaną na zielono i puddingi twarde jak armatnia kula i jak ona niestrawne, i wcale nie zwracają uwagi na Crowley ciągnący mimo ku rzece. Ich strata, bo jest na co popatrzeć. Oto trzy pokolenia Ciupków: dziadkowie i rodzice postępują za trzema parkami drobiazgu maszerującego karnie jak szkolna wycieczka, najmłodsze jak król w wózekczku, a na najnowszym mamusia ledwo zdołała zapiąć swe palto w szkocką kratę, więc będzie gotowe przed Wielkanocą. Śliczne te dzieci jak malowanki i różnice wieku minimalne, tyle tylko, co wymaga natura. Za to moda podziwiać się nie da: dorośli w przenoszonej garderobie, a młodsza dziatwa wszystko dziedziczy po starszej, jak inaczej, skoro zarobki ojca i dziadków idą na przekarmienie wzorowej rodziny? Na mody — jak głosi ksiądz Turkuć — stać dziś tylko zmateralizowanych egoistów i puste kobiety ograniczające się do

trojga dzieci, i to zwykle niechcianych, jak u pani Gradyłowej, którą stać na wspaniałe palto koloru krwi. Inne też nie lepsze: Sitaczka w tartanach królewskiego klanu Stuartów i toczku z kwieciami jabłoni, Kudłowa w czarnym aksamicie na piersiach haftowanym dżetami, Michalakowa na bżowo z potrzebami z białego futerka i malutka pani Dyderkowa w kłoszowej szacie koloru szmaragdów i budce z białej słomki z bukietem fiołków nad uchem. Gdzie to wszystko zresztą spamiętać — nikt nie chce być gorszy, toteż nie wiadomo gdzie wprawdzie patrzeć. Królową promenady jest jak zwykle pani Bielasowa we wspaniałym futrze z gryfa. Słowianie oglądają się, panie lustrują ją z zazdrosnym podziwem, przecież to pierwsze w Crowleyu futro. Bo to drugie, które szumi tak samo rozgłośnie, przybyło z Londynu i zdobi panią Różę. Tyły kryje pan Bielas z panem Franciszkiem, obaj w szeroko rozpiętych płaszczach z jasnej gabardyny, przepiślowo za dużych o trzy numery i odstaniających także za duże granatowe garnitury w prążki i w przesadnie długich i szerokich spodniach. Co rusz oglądają się dyskretnie czy aby nie leci za nimi wzgardzony przez panią Różę jej ślubny Zając, co w nadziei pojednania zjechał tu na święta i ku uciezce osiedla U Żywopłotu urzędują pod barakiem państwa Bielasów awantury o zwrot żony i dziecka. Teraz więc, na generalnej paradzie, panie krocą non-szalancko w swych wspaniałych futrach i złocistych sandałkach, zgrabnie wymijają kałuże, a panowie kryją tyły i dyskretnie obserwują drogę za sobą oraz przydrożne żywopłoty wymarzone na zasadzkę. Wychodzą za wieś, zaczynają się pola i tu nagle pani Bielasowa ostro żąda natychmiast wracać. Jej rozkazy nie podlegają dyskusji, toteż towarzystwo robi w tył zwrot, choć nie ma pojęcia co się stało. Nie dostrzegli daleko przed sobą tej *kalikatury*, Malczykowej Katarzyny, którą wypatrzyły bystre oczy pani Bielasowej. Irytująca jest ta Malczykowa: mała a gruba i na twarzy czerwona, a chce być najlepiej ubraną panią w Crowleyu. Teraz akurat niesie na sobie bliźniacze gryfy, całkiem jakby przedrzeźniała, zwłaszcza że leżą na niej haniebnie: puste rękawy wiszą po kolana, wielki kołnierz sięga pasa, a dół objaja się wokół kostek — wiadomo: szkoda skracać taką bogatą rzecz. Nic dziwnego, że panią Bielasową aż zemdliło i ledwo weszła do domu zrzuca z obrzydzeniem swój niedawny skarb. Jako szanująca się kobieta woli odtąd paść trupem niż być w nim oglądana.

Ciekawsze rzeczy dzieją się na drodze, która leci przez Crowley mimo pałacu, przecina pastwiska i pod lasem rozszczeplia się: jedna do przysiółka Yarnnton, druga do Yatton. Jest tu ustronnie, zarośla przysłaniają widok, toteż ucześcza tu mło-

dziez flirtująca i niedorośła kawalerka, która tłumi się na rowcach i płoszy parki. Ale dziś nie ma kogo płoszyć, bo wieczorny bal nie zezwala na dłuższe spacerki. Pierwsza staje w szranki Stasia Wałoszkówna z Krystyną Pomykało, panny całkiem-całkiem, a w Crowleyu pozbawione odpowiednich konkurentów. Wyszedłszy z domu decydują poderwać Ludwika Jabłkowskiego, w nadziei, że przy wielkim święcie otrzyma zezwolenie na zdrową przechadzkę. Śledzone przez babkę Macioszkową drepczą obcasikami stuk-puk na osiedle Pod Kopcem i z daleka robi im się dziwnie na widok jego pięknej twarzy w oknie, przy którym zwykł się oddawać swym czczym zajęciom naukowym. Na ich widok pan Ludwik się ożywia i już ma wyjść na spotkanie, gdy czujna mamusia każe mu siadać, sama staje w drzwiach i cedzi: — A panny tu czego? Ludwisia zabrać na spacer? Syn nie ma czasu na spacerki, syn musi studiować! — Drzwi się zatrząskują, dziewczęta spływają niepysźnie, a zwycięzca spod Bolonii tęsknie za nimi spogląda i wcale mu nie w głowie nauka. Zrezygnowane suną ku pałacowi, ale los jest dziś łaskawy i postanawia je obdarzyć drugą Ofiarą Wojny. Spod swego baraku Beno Zawisza Kwiczół ciekawie je obserwuje, z kierunku miarkuje intencje i zerka ukradkiem czy go aby nie śledzi Marylka. Pochylony, na palcach, puszcza się chyłkiem-boczkciem za nimi. Skradając się jak łowny kocur znika za rogiem baraku, skacze w opiekuńczy mrok korytarza chroniący go przed orlim wzrokiem siostry, i tu dopiero rozpuszcza nogi. Korytarz przerzuca go aż pod pałac, gdzie wszystko widać jak na scenie. Bucha w żywopłot i gna za jego osłoną, aż rozsapany i czerwony jak gil zastąpi pannom drogę koło domku ogrodnika, gdzie wielkie kasztany całkiem kryją Crowley i jego sprawy. Trudno uwierzyć, że tak niechłubnie wyrwał, bo teraz tryska humorem i pewnością siebie, gdy ze zwykłą pobłażliwością zagaduje co samotnie porabiają piękne kobiety. Jego konwersacja z pannami jest zawsze wesoła i pobłażliwa, niewiasty intelektualnie stoją od mężczyzn o wiele niżej i przy tym kochają flirt oraz odważne dowcipy. Często co prawda mówią mu impertynencje, ale są to tylko kaprysy małych kobietek i zachęta — chcą być zdobywane. Teraz też obsypuje je komplementami: że wszystkie kobiety są anielskie i piękne, lepsze od nas — obrzydliwych męskich brutalów; wpycha się między nie i zabiera się do mokrego całowania rączek. Ożywia nastrój swym niewyczerpanym zasobem zagadek i anegdotek przeznaczonych do bawienia dam i wcale go nie peszy ich niechętnie milczenie. Jaka jest różnica między piękną kamienicą i piękną kobietą? Co, nie wiedzą? No bo kamienicę się nie rozbiera,

a kobiety — hi hi! Tak wesoło dochodzą do skrzyżowania i skręcają ku Yarnton, tylko brutal ogląda się dyskretnie czy aby Marylka za nim nie podąży, by go (jak to ona potrafi) żenująco przywołać do porządku.

Głęboka jak wąwóz droga wchodzi w las, przebiega pod łukowym mostkiem, którym Sir Evelyn przeprowadził się konno do alei wiodącej ku Skaczącej Damie. Za mostkiem stromo droga leci w dół, ku gotyckiemu kościołowi projektu Sir Evelyn. Ten mostek łączący dwie wysokie szkarpy ma przedziwne właściwości akustyczne, bo pod jego sklepieniem zbiegają się echa z całej okolicy, by z nową siłą wybuchnąć jak z wnętrza trąby. Teraz niosą rozgłosny rechot, po którym z daleka poznaje się Sewera Świtalskiego. Sewer specjalizuje się w dowcipach zawodowych, szczególnie z dziedziny wenerologii i ginekologii, i pasjami kocha opowiadać je niedorośłym dziewczętom, wywoływać rumieńce na dziecięcych jeszcze twarzyczkach, co zresztą napawa je podziwem dla tak światowego kawalera. Zaraz po obiedzie po sąsiedzku zwrócił uwagę na Zosię Kudłę i Romcię Bajwoluk i szarmancko zaproponował im spacer. Przyjęły z zachwytem tak pochlebną ofertę — przecież prawdziwy student uniwersytetu!, a teraz krztuszą się i nie wiedzą gdzie oczy podziąć. Bardzo im niewygodnie: czują, że powinny zatkać uszy i oddalić się od gorszyciela, ale jest on tak interesujący, opowiada zakazane rzeczy i jeszcze więcej daje do zrozumienia. Tak obie trójki mijają się pod tym grającym mostem: dwie niezadowolone panny na wydaniu, dwie zarumienione siksy i dwu wytwornych kawalerów, a tymczasem słońca schodzi nad łyse zbocze i Crowley zaczyna szykować się na serio do wieczornego balu.

W tymże czasie odbywa się doroczne najwytworniejsze przyjęcie. Zawołana gospodyni, pani Bezdrożna, gustuje w wykształconym towarzystwie, toteż zaprasza Góreckich, Koziewiczów, rotmistrza Wolniaka oraz księdza Turkucia, który jednak — poinformowany o składzie towarzystwa — stwierdza z żalem, że nie może przybyć. Nie bez kozery na kazaniach przytacza przykłady o różnych prostych kobietach i chłopach ze wsi, którzy często nawet nie umieli pisać, a jednak byli o tyle mądrzejsi od tych, którym się zdawało, iż zjedli wszystkie rozумы. Wzmianki te dedykowane są temu złemu zielu, które pleni się także w Crowleyu i czasem ściąga swą ohydną maskę, jak niedawno na walnym zebraniu parafialnym: Górecki z Jabłkowskim gardłowali, że stary chodnik w kaplicy jest jeszcze całkiem dobry i po co wydawać społeczne pieniądze na nowy, a wierny lecz prosty lud, zwiedziony ich wężowym językiem, skłonny był przytaknąć.

Tak od słowa do słowa ksiądz bardzo się zirytował, trzasnął pięścią w stół i wybuchnął: — Czy w tym osiedlu ma być kościół?! — Ale straszliwe to pytanie bynajmniej ich nie poraziło i cyniczny profesor wykrzyknął ku ogólnemu zgorszeniu, że Bóg i Kościół owszem, ale Ksiądz Magister być tu wcale nie musi. Oto jak grasuje wśród nas komunistyczno-masońska zaraza! Nic więc dziwnego, że w to wielkie święto ksiądz rezygnuje z zaproszenia pani Bezdrożnej i woli spędzić czas w kojącym nerwy towarzystwie Żywych Róż.

Przyjęcie jest bardzo nobliwe, choć legł na nim cień: rodzina gospodarzy jest zdekompletowana przez brak Adziusia, który pokutuje w szkole za uporczywe kartografstwo. Gospodyni zabawia towarzystwo opowieściami jak to syn zamęcza się nauką przez tę telewizję, którą ma zamiar studiować, i nalewa im cienkiego rosołku z wyjaśnieniem, że kurkę z niego wystąpiła Adziowi, by mu uprzyjemnić te samotne święta. Po rosołku idzie płomienna galaretka z solonych nówek o posmaku starej skóry, ale za to można je nabyć bez kartek i goście na pewno nie zechcą repety, więc od razu będzie można podać domową bułeczkę i bakaliowe wino po jeden-dziewięć od Woolwortha. Przy deserze milczący dotąd pan Bezdrożny rozrusza się i zacznie opowiadać swe wspomnienia z kampanii wrześniowej, z której wyniósł szramę przez ciemną, przytępiony słuch, sztywne kolano i Krzyż Walecznych. Bił się do ostatka i ranny uszedł ze szwabskich łap, po to tylko by znaleźć się na Litwie, a stamtąd w Kozielsku. Jakie tam były wszędzie ślady po tych, co to w Katyniu... Opowiadanie jest ciekawe i goście chętnie by posłuchali, gdyby nie uroczą gospodyni, która co chwila woła: — Przestań, ja to opowiem lepiej! — i opowiada z wielką swadą, choć cały ten groźny czas przesiedziała u tatusia w Wilnie. Nic dziwnego, że goście wcześniej zaczynają się żegnać, dziękują za mile spędzony czas i rozchodzą się do domu. Księżyc stoi nad Crowleyem i z górki nad placem, gdzie jest sklep ze świetlicą, dobiegają różne tony „Lili Marlene”, świadczące o rozpoczętym balu. Państwo Górecy wychodzą na główną drogę i tutaj kapitan nagle proponuje by przejść się po świeżym powietrzu, bo wredna galaretka ciąży mu w dołku jak kamień i z pewnością będzie go trapić do Nowego Roku.

Przy wesolutkiej Lili bal rozkręca się na dobre. W wielkiej sali za sklepem dziurawy piec odświeżenie dymi i trzaska jak kulomiot, a sufit obsiadły bibułkowe wstęgi od Woolwortha i pęki baloników, w które wepchnięto gałązki jemioly, tubylczym zwyczajem zachęcającej do kradzionych całusów — bardzo się ten

zwyczaj Słowianom podoba. U szczytu sali w pobliżu bufetowego okienka rozsiadła się orkiestra: Beno rąbie w rozstrojone poaliancek pianino i podnieca go radość, że Marylka zezwoliła mu przyjść dla zarobienia funta. Obok pan Dekier dzielnie wtóruje na mandolinie, bracia Macioszkowie dmuchają w organki, a Heniutek Sitaków maltretuje bęben i w przerwach korzysta z podsuwanych mu przez rodziców napojów wysokowych. Dziś muzyka jest jeszcze okazalsza, bo pan Franciszek, „korespondent” pani Róży, przyniósł harmonię i od czasu do czasu wspiera grających jej wspaniałym rykiem — wtedy mianowicie gdy Kazik, narzeczony Wandzi Bielasówny, prosi w tany jej starszą siostrę. Przyszli gromadą, w liczbie jest bowiem siła, a wieczór zapowiada się burzliwie skoro Zając również stawiał się w towarzystwie Zuzy i Ambroża Pocałujków. Pocałujkowie oczywiście nie zamierzają angażować się w bijatykę, do której rwie się Zając, i wszystkim kończy się na gestach. Zając jest zalany w kłodę, strasznie się giba na nogach, więc Zuza usadza go przy sobie i wtyka w rękę butelkę jak dziecku. Bezwładnie rozpięty na dwu krzesłach Zając śledzi spode łba, jak małżonka spowita w złotogłowie i lśniącą jak nowiutka puszką od konserw szaleje w rumbach i sambach i demonstracyjnie go nie dostrzega. A on patrzy na to bezsilnie, widzi jaka to apetyczna kobieta i zalewa go fala żalości, więc powarkuje cichutko: — K...a, k...a! — i koi ból *łiskaczem**. Wkrótce zawładnie nim litościowy śpik i z twarzą wtuloną w bujny biust Zuzy przez sen będzie pojękiwał k...a.

Rozsiadłe pod ścianami towarzystwo raczy się z przyniesionych butelek, ale na longfordzkie piwo i jabłecznik, wprost z beczek toczone przez państwa Wiewiór, też nie brak konsumentów, tak że robi się coraz głośniejsze i weselej, zwłaszcza gdy patefon zluzuje panów z orkiestry. A nad tym wszystkim, nad drzewami i dachami, szybuje ogromny księżyc, przez okna leje światło i wywabia ludzi na świeże powietrze, pod to jasne, romantyczne niebo. Londyński literat, redaktor Gabriel Rokito, wyprowadza na przechadkę Józję, a Sewer Świstalski spłonione Zosię z Romcią, w czym można mu spokojnie zaufać, bo dziewczęta są nierozdzielne, a on najmocniejszy w gębie. Zresztą na szerokiej crowleskiej drodze widać ich jak na dłoni, a babka Gąsowska nie spuszcza ich z oka. Mieszkanie ma świetnie usytuowane, na rogu pierwszego baraku za świetlicą, od której dzieli ją tylko ogródek. W tę łagodną noc siedzi sobie opatulona w ciepłe

* Whisky.

chusty na ganeczku, który syn jej wybudował, i jak zwykle odmawia różaniec, co jej bynajmniej nie przeszkadza słuchać muzyki i śledzić wymykających się z sali. Nie mają pojęcia, że są nadzorowani i poczynają sobie nader swobodnie, świetlica nie ma bowiem toalet. Samotni tancerze dają nura w cień za rogiem świetlicy, pod badyle sterzące z babcinego ogródka, i tu czeka ich szok. Ledwo się rozgoszczą, aż tu z mroku rozlega się skrzekliwy głos: — Ej, panoczku, ty kwiatki już byli podlewany! — więc trzeba niezdrowo przerywać i uchodzić dla uniknięcia głośniejszego skandalu — z babką nie ma żartów.

Sfrustrowani wracają pod bibułkowe girlandy, pod kołyszące się łągodnie baloniki i jemioty, z których nikt nie skorzysta, bo od Róż aż gęsto i strasznie czujne. Pod ich nadzorem odchodzą Modre Dunaje i La Palomy, oberki i boogie-woogie. Człowiek światowy, redaktor Rokito, wybił się na wodzireja, aranżuje białe walce, panie wybierają i do śródeczka, a promiennej Józi ani na krok nie puszcza. Inżynier Władziu obtańcowuje Stasię Wołoszkównę i rozmyśla o Sheilli, a bracia Bieniarzowie budzą zdumienie swymi *teddy-boys*'kimi garniturami o przedziwnie rozszerzonych nogawkach i obaj razem emablują Krystynę Pomykało. Pan Kozicki pełen młodego ognia podśpiewuje głośno i fałszywie i gania wokół siebie panią Kozicką, panowie Kazik i Franciszek ledwo dadzą odetchnąć siostron Bielasównym, a uśmiechnięty i milczący Leon Dyderko zachęcony przez matkę sumiennie obtańcowuje co młodsze Róże. Obija się o inne pary, myli krok i rytm, ale za to jest pełen dobrych chęci. Ogólne zgorzenie budzi Michał Pocałujkowej Zuzy, który przyprowadził jakąś wymalowaną jak pisanka Angielkę i urządza z nią takie eksperymenty, że Róże niespokojnie poglądają ku pani Dyderkowej, czy aby nie da hasła opuszczenia sali.

Wśród tańczących kłusuje na dziko Zawisza-Kwiczół, gdy tylko urwie się na chwilę od orkiestry. Porywa cudze panny i młode mężatki, krągło zawija nóżką i łokciem kosi wokół jak wiatrak. Prawi partnerkom strzeliste komplementy, jak należy pięknym kobietom, o tyle lepszym od nas brutalów, i na zakończenie żarłocznie a przeciągle całuje rączkę od wnętrza dłoni aż po łokieć, i przy tym łypie na czarne okna czy aby Marylka nie stoi za nimi, bo to lubi sprawdzić czy wszystko w porządku. Przy Benonie rzuca się w oczy nieobecność drugiej Ofiary Wojny czyli Jabłkowskiego Ludwika i jego siostry Tosi. Ani im w głowie bratać się z crowlejskim towarzystwem — to znaczy Ludwik nie byłby od tego, ale z mamusią woli nie zaczynać. Teraz właśnie niby śpi jak Bóg przykazał, a naprawdę to wierci się

na wyrku i wzdycha, tak rozbiera go to boogie-woogie zalatujące aż tu wśród nocnej ciszy. Przy tej muzyce największe — jak zwykle — powodzenie ma Pela Dyderko, śliczna i zarumieniona od tych nieustających galopad. Ani na chwilę nie siądzie przy mamusi, tak ją rozrywają wielbiciele: stateczni ojcowie rodzin i małżonkowie Żywych Róż, a czynią to oczywiście jak najbardziej platonicznie, całkiem po ojcowsku, toteż nikt im nie bierze za złe. Tak bal coraz huczniej się rozkręca i gdy osiągnie szczytu, prezes Sitak chwiejnie wkaraska się na podium dla orkiestry, uciszy patefon i ogłosi rozpoczęcie — panie tego — wyborów królowej balu. Bileciki u niego, cały dochód na szkółkę sobotnią im. Trzech Wieszców. Ale daremnie pan Franciszek ryzykuje splukanie się do nitki by pani Róży zapewnić koronę, bo ojcowie rodzin, skarbowcy wyjątkowo ramię w ramię z mikołajczykami, ruszają do szturmów jak na bagnety i jak zawsze królową czynią pannę Pełę. Ledwo prezes — a język płacze mu się że aż — zdoła ogłosić wynik, już niosą tron nakryty czerwonym kocem i ojciec osiedla niepewną ręką nakłada jej wspaniałą koronę ze złotej tektury, zamocowuje przez biust błękitną szarfę i wręcza pudełko czekoladek Kocie Łapki. W tym momencie zebranych przebiega dreszcz od nagłego suchego trzasku i niesamowicie błękitnej błyskawicy, ale zaraz widzą, że nie stało się nic strasznego: to pan Gabriel uwiecznił Pełę w całej jej monarszej glorii. Teraz wszyscy panowie chcą z nią tańczyć. Bal sięga zenitu i tak będą hulać do północy, gdy twarze tańczących zaczną szarzeć, światła zrobią się brudne i z kątów coraz głośniej rozlegać się będzie chrapanie starszych osób. Wtedy prezes Sitak, całą postacią wparty w bufet, zająkliwie ogłosi koniec balu i podziękuje obecnym za łaskawe przybycie. Odśpiewają gnuśnym chórem „Wszystkie rybki śpią w jeziorze” i przy burzliwej fanfarze Benona zaczną się wysypywać na uśpiony Crowley, nad którym niespiesznie księżyc przetacza się ku łysej górze i jest tak jasno, że z górki widać każdy barak osobno, a w głębi pałac tkwi jak dekoracja, każdą szybę na nim policzysz, i koguty z kurników pod lasem, pałacem i od pastwiska ogłaszają bardzo późną porę.

Kilka tygodni potem świat usłyszy ze zdumieniem o istnieniu osiedla Crowley i sami crowleyanie przetrzą oczy z niedowierzania, że oto stoi o nich jak byk w londyńskiej gazecie. Mało stoi, bo opisowi balu towarzyszy fotka panny Peli w koronie i szarfie przez biust, a na szarfie okropnymi kulasami stoi „Miss Crowley”. I przeczytają jak to u nich było wystawnie a odświętnie: przygotowania do tej niezwykle udanej imprezy trwały dwa tygodnie,

panie umyły włosy oraz naszykowały toalety godne stołecznych salonów Orła Białego. A także: że wszystkie panny były piękne, panie urocze, a panowie dystyngowani i że jednomyślnie wybrali prześliczną królową, pannę Pelagię Dyderko, która w mieście Longfordzie studiuje sekretarstwo i interesuje się filmem, tańcem, malarstwem, podróżami, modą oraz muzyką poważną. Cały ten opis kończy się apelem by Miss Crowley przybyła do Londynu i swym cudnym buziakiem zechciała uświetnić imprezy w najwytworniejszych polskich lokalach. Pod spodem stoją tajemnicze literki Gie Er, więc Crowley gubi się w dociekaniach kto to może być, aż wreszcie wpada na trop literata z Londynu. Szczególnie dociekliwi są ci, których nazwisk nie wymieniono, chyba przez złośliwość i dla wprowadzenia w błąd, z czego wyniknie sporo korespondencji od osób niezwyčajnych pióra by wszystko należycie wyprostować.

To zaszczytne wyłonienie się Crowleyu z mroków Pogranicza na łamy stołecznej prasy weźmie się stąd, że przez całe święta pani Antoszkowa zachowywała się wzorowo. Więc na odjeźdźnym pan Gabriel zadeklarował swe względem Józii chęci, zaraz po powrocie do stolicy dali na zapowiedzi i w ten sposób ubyla pierwsza panna na wydaniu. Zaś pan Gabriel prawdziwie po królewsku zapłacił Crowleyowi za swe szczęście, albowiem obdarzył go nieśmiertelnością. Odtąd z żoną nawiedzał go w każde święta i stał się nieodzownym królem balów. Za jego sprawą obóz zaczął pojawiać się regularnie, a przy tym barwnie i dowcipnie, na łamach stołecznej prasy i więcej świat o nim czytał, niż o masach rodaków w niektórych wielkich miastach, które wszelako nie potrafiły zdobyć się na własnych ludzi pióra.

JAK ŚNIEG POTRAFI SKOŁOWAĆ LUDZKIE SPRAWY

Wkrótce po Nowym Roku zima chwyciła mocną garścią. Dla Crowleyu było przykrą niespodzianką, gdy pewnego ranka zbudził się późno i dostrzegł na sufitach martwe białe światło zwiastujące co się stało w nocy. Tylko pan Antoszek w drodze z pracy widział jak lęgnie się złe, bo poprzedniego wieczoru inni szczęściarze, korzystający z usług Longfordzkiej Kompanii Transpor-

towej, w czas dotarli do domu i szczelnie zatrzasnęli drzwi na noc, wiatr i ciężkie chmurzyska wlokące swe kałduny prawie po czubach drzew. Zaraz też zwalili się spać, bo elektryka i węgiel kosztują, a zresztą po co siedzieć po nocy? Co się jednak tyczy pana Antoszka, to tego wieczoru dobił do domu jeszcze później, bo ciężarówka nawaliła ledwo wyjechali z budowy i nim ją rozruszali i dotarli do miasta, było już dobrze po ósmej a pan Antoszek miał jak zwykle odmaszerować 7 mil od okrągłaka do Crowleyu.

Zostawszy sam w ciemnościach (a były gorsze niż zwykle przez te chmury) przeżegnał się uroczyście i poleciał Panu Jezusowi, Maryi i św. Krzysztofowi Opiekunowi podróżnych, a że zimno było surowe, głębiej nacisnął kaszkiet, odwracając go daszkiem na plecy, kołnierz podciągnął i odwróciwszy się od przytulnych świateł Longfordu pogрузzył się w noc. Nie minął kwadrans jak coś przedziwnie zwiewnego siadło mu na nos, potem zapłatało się w rzęsy i w oślepiającym blasku samochodu ujrzął tańczące płatki. Szły coraz gęściej i wkrótce nawet w ciemnościach było widać jak osiadają na szosie, żywopłotach, na jego własnym szynelu i pustej sakwie z termosem. A gdy mijał Badonhill, przez falującą zasłonę ledwo dostrzegł światła z okien i na rozstaju, u wielkiego kasztana, dobrze musiał się skupić by wybrać właściwą z pięciu dróg. Wszedł w ruchomy żywioł z uczuciem topielca i otoczyła go biel tak gęsta i zimna, że niechcący wspomniał Workutę. Tak brnął na oślep, a śnieg go chłastał że oczy trudno było trzymać otwarte. Czasem przekopywały się mimo spóźnione samochody i tylko im i przydrożnym żywopłotom zawdzięczał, że nie zbladził. Stracił poczucie czasu i wydało mu się, że zmylił drogę — dawno już powinien był minąć dom Mr Bishopa i wejść między sady otaczające Holme de Braose. Ale tak mu się tylko dłużyło, śnieg wszystko zasypał i zgłuszył i nienaturalna cisza zmyliła go do reszty. Gdy wreszcie dotarł do domu, wyglądał jak bałwan śniegowy, na brwiach nawet miał zasy, i przy wejściu długo się oporządzał aż zbudzona pani Antoszkowa skarciła go, że tłucze się nocami jak *brodiaga* i innych budzi.

Ale Crowley, jak się rzekło, spostrzegł to wszystko dopiero nazajutrz, gdy pan Antoszek zdołał już na powrót przekopać się do Longfordu i odmawiając na palcach różaniec długo czekał na nie mogącą się przebić ciężarówkę. Śnieg był tak obfity, że drogi i ścieżki przyszło odkopywać. Drzewa były strojne jak nigdy, rozgrzebane kapuściska zmieniły się w zaczarowane dale, a niskie niebo nadal pruszyło bielą, ale teraz już lekko i zwiewnie. Na ten widok dorosli wpadli w zły humor i wspominali Stalina

i Sybir. Młode kury na widok śniegu stawały ośupiałe gdcząc ze zgorzsenia, a u bramy gawrony darły się jeszcze wścieklej. Tylko dziatwa wpadła w zachwyty i ledwo łyknąwszy śniadanie z wielkim wrzaskiem wyroiła się na obóz, by wedle słowiańskiej tradycji urządzić wielką bitwę, w czym nie zdołały jej przeszkodzić także tradycyjne góry przyrodziewy: grubaśne palta domowej roboty kryjące warstwy swetrów, rajtuzów i kozackich szarawarów, czepki, chusty i szale podwiązujące kołnierze pod same oczy i pod pachami na krzyż. Zaraz buchnął wielki wrzask, zwłaszcza że był to ostatni dzień ferii i trzeba się było wyżyć na zapas. Wszyscy walczyli ze wszystkimi i powietrze zagęściło się od pocisków, tak że Pocałujkowa Zuza zmierzająca z torbą do sklepu znalazła się nagle w samym środku wojowników, a ci nie zważając na połajanki w okamgnieniu obłożyli ją mokrymi pigułami.

Od tego właśnie śniegu źle zaczęło się dziać u państwa Bielasów, bo zaraz na drugi dzień (a popadywało ciągle) pan Bielas pojechał, jak co tydzień, po bezrobotny zasiłek i znów wyjaśnił u *lejbika**, szeroko rozwodząc rękoma i bodąc kciukiem własną pierś, że chce pracować: *mi tant džob*. Uczynił to dla zwykłej formalności, bo nikt przytomny nie oczekuje pracy w styczniu, więc tym większe było jego zdumienie, gdy apetyczne dziewczętko skinęło główką i z miejsca wypisało skierowanie do magistratu. Coś mówiła, ale pojął mało-wiele, tyle tylko, że tam było o śniegu. Zgodliwie przyświadczył, że faktycznie śnieg, wziął kartkę i podyrdał. Dopiero w magistracie, gdy mundurowy wprowadził go na tylne podwórze, pojął, że Departament Publicznego Czyszczenia poszukuje operatorów do uprzątnięcia zasp i nawet są widoki na dalsze zatrudnienie. Ucieszył się, bo mierziło go siedzieć w domu i ciągle czymś narażać się żonie, strasznie irytuje jak chłop siedzi bez roboty i ogląda sufit, więc nawet nie chciał odkładać rozpoczęcia jak zwykle do jutra. Od razu nałożył służbowy kombinezon, wziął wózek z miotłą i łopatą i udał się na wskazany rewir pod katedrą.

Jak się przepchał przez stare zaułki, to aż go zdumiało. Nieraz oczywiście przechodził tędy za swymi sprawami i na rzecz bezużyteczne nie zwracał uwagi. Ale teraz raptem jakby przejrzał na oczy i dostrzegł, że to całkiem inny świat, cichy i bezludny. Hałas samochodów rozpychających wiekowe uliczki Longfordu dochodził tu przytłumiony jak z wielkiej oddali i było bardzo pięknie, rzec można pobożnie. Więc też pan Bielas

* Pośrednictwo pracy.

stanął i dziwował się tej wielkiej świątyni przyodzianej w białe puchy, co zaległy gzymsy i nisze, złagodziły ostrość wieżyczek wystrzelających po brzegach dachu, zasnuły siatki chroniące ogromne witraże i litościwie ukryły mankamenta bezgłowych świątych, wychylających się z wnek na frontonie południowej kruchty. Rozległe trawniki zmieniły się w niepokalane pola, na których wiaterek podnosił śnieżne wirki, tylko tu i tam rozparły się wiekowe cisy o czerwonych jagódkach pamiętające królów i świątych, bo to drzewo żyje nadzwyczaj długo. Pod ich nieprzeniknioną strzechą ziemia była naga i ostro śmigały po niej żółtodziobe kosy w poszukiwaniu robactwa. Z tyłu za absydą trawniki kończyły się u wysokiego ogrodzenia, za którym rozciągały się wrzaskliwe boiska szkoły katedralnej. Teraz było tam cicho, za to w katedrze organista grał wprawki. Wielkie organy huczały jak grzmot, popiskiwały cienko i po siatce tonów jakieś gamy lekko wbiegały do góry, to znów minorowo zstępowały w podziemia i słycać je było aż na placu. Przy ich wtórze pan Bielas rażno zabrał się do roboty. Praojcowskim zwyczajem splunął w garść, mocno ujął łopatę i jak wziął się odkrywać żwirowane ścieżki, to szło mu nad podziw szybko. Wpierw działał łopatą, potem miotłą do czysta, i zgarnięty śnieg spiętrzał z boku w akuratny wał, całkiem jak w domu na Wołyniu i nawet to ładnie wyglądało, a gamy go podpędzwały, kto prędzej. Czasem mijały go starsze damy w kwiecistych kapeluszach, w jednej ręce koszyczek z zakupami, w drugiej smycz od pieska w kolorowym paletku. Przystawały i wskazując na wyczyszczoną ścieżkę mówiły mu, że *good* i pogoda przyjemna choć zimno brr, więc i jemu było przyjemnie, rozmyślał że na powietrzu lepiej niż w fabryce i nie chciałby do niej wrócić. Jak w południe przyniósł sobie gazetową torbę frytek z dala zięjących podejrzanym tłuszczem i siadł z nimi na ławce, to zaraz spadł mu pod nogi rudzik z płomiennym biustem i tak go wiercił koralikowym oczkiem, że pan Bielas nazwał go starym draniem, ale go poczęstował, tak mu pochlebiło, że ptak się go nie boi. Tymczasem w szkole za katedrą rozdarł się dzwonek i tłum chłopaków wybuchnął wrzaskiem jak demony z piekieł, i oczywiście buch w śnieg, za to w katedrze ucichło, pewno organista poszedł na obiad. A zaraz po południu, jak pan Bielas wykańczał długą alejkę do biskupiej bramy, starożytnie wrota rozwarły się by wypuścić lśniącą limuzynę. Siedział w niej białowłosa jegomość, miał księżowski kołnierzyk na purpurowym gorsie i, korzystając z tego że szofer ledwo peźnie pod sklepieniem bramy uprzejmie skinął człowieczkowi z miotłą. Pan Bielas zmiarkował, że to bis-

kup i już miał się przeżegnać, ale w czas wspomnień, że to heretyk i pewno żonaty. Wkrótce zaczęło zmierzchać i nadszedł jakiś starszy z magistratu. Powiódł okiem po białych trawnikach i żółciutkich ścieżkach i widać było, że zadowolony. Powiedział, że *gud dżob**, żeby pan Bielas zgłosił się jutro o ósmej i że po piątkowej wypłacie może zostać na dłużej w Departamencie Publicznego Czyszczenia.

Nic dziwnego, że wracał do domu w dobrym nastroju i nawet nie zauważył, kiedy przebył drogę do Crowleyu. Zakichane szczęście wyraźnie zaczęło się zmieniać, bo czy widział kto, żeby znaleźć pracę w środku zimy? Nic tak nie deprymuje robotnego mężczyzny jak bezrobocie, które zdaje się wskazywać, że jest gratem do niczego, tylko na śmietnik. A otrzymanie pracy — przeciwnie: otwiera horyzonty, każe uwierzyć w swą wartość, aż zdaje się, że świat otwarty i czeka by go złapały robotne dłonie. Już jutro rano Crowley zobaczy jaki pan Bielas obrotny, gdy jakby nigdy nic wejdzie z kanapkami i termosem do autobusu i pojedzie z Szydłem, Ciupką i innymi szczęściarzami, których na palcach policzyć. No i z córką, bo fakt że Wandzia pracuje gdy jej ojciec siedzi w domu tym bardziej poniżał jego męską godność. I z Kazikiem, jej narzeczonym — razem wyjdą z domu i na oczach zawistnych rodaków wsiądą do robotniczego autobusu.

Z Wandzi ma ojciec największą pociechę, rozumie się z nią jak z nikim w rodzinie, a już najmniej z żoną, groźną i majestatyczną. Ciarki idą i nogi słabną jak podniesie głos, spojrzy i tupnie. Wtedy on traci resztki woli i kapituluje, jakby jeszcze nie wierzył, że było mu dane zdobyć tak wspaniałą kobietę i bał się ją stracić. Trudno pojąć jak taki mizerak mógł być policjantem, ba — komisarzem, jak w pralni twierdzi pani Bielasowa, i reprezentować powagę Najjaśniejszej Rzeczypospolitej wobec chłopów i Żydów. A co do córek, to Różia całkiem wdała się w matkę, a drobniotka i spokojna Wandzia jest wierną kopią ojca i w domowych zamieszkach wiernie przy nim stoi. Jak Rózię poniosło we światy, tak Wandzi ani w głowie szukać szczęścia licho wie gdzie. Od początku pracuje w kantynie u Sajdera i nawet na zimę jej nie zwalniają, bo ci robotnicy którzy się uchowali muszą przecież jeść, a zwłaszcza pić rytualną herbatę. Na Wandzi się pokazało, że dziewczyny niekoniecznie

* Dobra robota.

muszą wyjeżdżać do miast żeby złapać mężów, bo znalazła narzeczonego w Longfordzie, chłopca na schwał, a przy tym dobrego mechanika, do wszelkich maszyn ma smykałkę. Kazik jest bardzo przystojny i ma szyk. Jak się ogarnia do kościoła albo na tańcówkę, to nawet Żywe Róże chętnie nań patrzą, oczywiście bez żadnych ciągotek a po macierzyńsku, no i ma stałą pracę w elektrowni. Crowley bardzo się zdziwił jak Wandzia gdzieś go na mieście wynypała, tak samotny chłopak zaplątał się po wojsku, mieszkał u Anglików i nikt go nie znał. Najpierw zaczął zjeżdżać do Crowleyu w niedzielę do kościoła, potem na obiad do państwa Bielasów, bo bigosów i barszczów był okropnie spragniony, i naturalnie zaraz dostrzegł co samo lazło w oczy: że Wandzia zna się na kuchni jak stara, a przy tym jest schludna, robotna i bardzo spokojna, z dziećmi świetnie się obchodzi i maleńki Zenek wszędzie za nią drepcze, woli ją sto razy od matki, pięknej pani Róży. Ba — Wandzia potrafi lepiej nawet od matki dojść do ładu z braciszkiem, tym obwiesiem Antkiem ze szkoły Madley Secondary Modern. Nie tak wprawdzie urodziwa jak matka i siostra, ale o miłym wyglądzie, jednym słowem wspaniały materiał na żonę, bo pan Kaziu strasznie uprzykrzył sobie kawalerstwo w wynajętym pokoju i tubylcze obiady w kantynie. Gdy więc młoda para doszła do porozumienia, z radością przyjął ofertę pani Bielasowej, która rozsądnie wyłożyła, że w baraku ma dość miejsca, podzielony firanami na pokoje, więc Kazik powinien się do nich wprowadzić. Będzie tanio miał domowy wikt z opiekunkiem, oszczędzi forsę i kupią sobie domek, wyjadą po ślubie do Manchesteru, albo nawet Londynu. Będzie już pół roku jak Kazik zjechał do Crowleyu, jeździ z Wandzią do pracy i aż odtajał od babskiego zadbania i wygod. Przyszła teściowa chodzi koło niego jak matka, u rodzonej nie miałby lepiej.

W ten śnieżny wieczór pan Bielas wraca do domu radosny i nawet życzliwie patrzy na śnieg, który tak zniechęcił w Irkuckiej *obłasti*. Jemu przecież zawdzięcza swój awans na człowieka pracy, co go zaszczytnie wyróżnia z tłumu crowleyan. Z błogim poczuciem swej wartości idzie przez Crowley i wcale się nie spieszy, tak mu dobrze ze sobą i z dobrą nowiną. Gdy wreszcie dociera do domu, to nawet nie czeka na żonine wymówki że tak się w mieście zawieruszył, a od razu z progu oznajmia o swej zdobyczy. Pani Bielasowa promienieje, bo dziś i ona znalazła robotę na tydzień albo i dłużej, stary Siemieniuk zaprosił ją do przebierania kartofli u pana Collinsa, nic więc dziwnego, że jest w dobrym nastroju, którym ogarnia nawet męża. Usadza go nad kapuśniakiem, kroi chleb i pyta czy dobre, aż od tych komfortów

robi mu się nieswojo, ale nic, je i pije, akceptuje nie tylko dolewkę, ale nawet cukier do kawy, choć to rozpusta. Od tych niezwykłości gnębią go niedobre przeczucia i całkiem słusznie, bo ledwo podjadł, aż tu żona zaczyna się litować, że taki z niego chudzina, jak to całe dnie w zimową porę pracować na dworzu. Zaskoczony ośmiela się protestować że nic, zwykł takich rzeczy, ale ona nie słucha. Otwiera przepaścistą szafę i wyciąga swe wspaniałe futro w orzechowe łapki i ciemne smugi, które profesor nazwał gryfem. Powiada — a pan Bielas zastyga z wytrzeszczonymi oczyma — że to fason bardziej podchodzący dla mężczyzny, tylko przepasać rzemieniem — takutką szubę nosił przed wojną dziedzic Rzeczyski, czy nie? Na rozkaz posłusznie wstaje, pozwała naciągnąć na siebie piękny ubiór, tylko nerwy ma napięte. Żona każe się obrócić, szczypie po plecach, wyrównuje ogromny kołnier, zawija rękawy i orzeka, że jak przepasać, to będzie jak raz i dobrze ogrzeje nawet nogi. Jemu tchu braknie, strach odetchnąć, tylko w głowie pulsuje i wybucha, gdy ona życzliwie powiada: — Noś, staruszk, do roboty, bo nam się przeziębisz i wywalą! — W oczach ciemno, zalewa rozpacz — wie, że na nic protesty. O Jez, lepiej by ten śnieg nie padał i zostawił go bez pracy. I jak to tak, czemu ona oddaje swój skarb, tak dba o niego??? *Musi* świat zwariował! Nie wie, skąd ma wiedzieć, nic mu to przecież nie powiedziało, że w święta ujrzał Malczykową Katarzynę w takutkim futerku, o męska ślepota! W ogóle nie dostrzegł, że leży na niej jak na psie frak, całkiem jakby się pokrzywiła pani Bielasowej, więc musowo tego się wyzbyć i okazać pogardę. Niech Crowley zobaczy w nim starego!

Pan Bielas próbuje się bronić, ale jąka się i grdyka mu lata: że to nie dla mężczyzny i ludzie obśmieją. Ale milknie pod władczym spojrzeniem, od tupnięcia i podniesionego głosu, który twierdzi, że tak, ale z zazdrości. Chętnie wlaźby za szafę, a rano, korzystając z mroku, próbuje wymknąć się do autobusu w zwykłym szynelu z „Poland”. Nic z tego, żona go zawraca, musi się wybrać należycie. Wreszcie skulony i nieszczesny nadaża za Wandzią i Kazikiem, koło przystanku zatrzymuje się za barakiem, ale co z tego skoro musi wreszcie wejść do oświetlonego autobusu, wytrzeszczone oczy crowleyan biją go jak baty, chrząkają szydyczko, a ten goryl Jakub Szydło demonstracyjnie gwizdże. Darmo się pan Bielas kuli, udaje że śpi i gorzko rozważa czy nie lepiej zacząć latać piechty jak Antoszek.

Tak zaczęła się Bielasowa gehenna. Departament Publicznego

Czyszczenia ciągle go wysyła na inny rewir, a on szubę à la dziedzic przewiesza przez rączkę wózka i wlecze ze sobą jak grzech pierworodny. Nieraz mu wypada zamiatać na High St., gdzie najszykowniejsze sklepy, przy kościele św. Piotra w Okowach, gdzie staje autobus z Crowleyu i może zeń wysiąść prosto na niego pani Bielasowa, albo w hali targowej, gdzie pełno straganów i farmerek z koszami jaj, domowym warzywem i owocami. Albo wie kiedy żona przyjedzie na *zakup*? Nieraz ją spotyka, baczna jak sam Anioł Stróż, albo mu się wyda, że mignęła w tłumie, że go obserwuje z daleka. Wtedy narzuca przeklęty łań i zdumiewa przechodniów, dobrze że tubylcy choć nie kpią w oczy jak nasi, ale od samych spojrzeń można by wleźć pod ziemię. Ożywa tylko w te dni, gdy posyłają go w ustronne miejsce, do parku albo pod katedrę, gdzie o utrapionej szubie można zapomnieć na cały dzień. Ale i tak starczył tydzień, by miasto poznało tego chudego człowieczka z długim nosem i strapioną miną, który popycha wózek i zamasyżuje robi miotłą dużą jak on sam, a na rączce wózka wisi okazałe futro, szeleści jak arkusz blachy i on je czasem pośpiesznie nakłada. Więc tam, gdzie dawniej przechodził niezauważony, teraz każdy go poznaje niczem burmistrza czy szefa policji i mówi *good morning* i że pogoda niezgorsza, a dzieci wołają *hallo Father Christmas*, jak do św. Mikołaja, a on chętnie by zbiegł, ale jak? Czasem budzi się bunt: zostawia futro z wózkiem i odchodzi żeby je ukradli, ale naród widać uczciwy: gdy wraca, futro pozdrawia go z daleka. Trzeba przyznać, że wkrótce i kraść nie było warto, śniegi i deszcze odebrały mu jedwabisty połysk, farbę rozpuściły w brzydkie zacieki i pomarszczyły tandetnie wyprawioną skórę. Próbował więc je zgubić: zapomni w parku albo na skwerze pod św. Piotrem i wraca do domu radosny choć przerażony, znosi okropne wymówki, kuli się i jąka, wąsiki skaczą jak w agonii, a wszystko na nic. Nazajutrz futro nań czeka w Departamencie Publicznego Czyszczenia, odstawione przez policjanta lub uczciwego znalazcę. Tak stał się zabytkiem Longfordu jak katedra, rząd tudorskich domków, które latem zwabiają turystów, i jak kino Odeon i rozrywkowa buda za rynkiem, gdzie za pensa można obejrzyć w automacie 30 obrazków pt. Tajemnice Sypialni albo Co Lokaj Widział Przez Dziurkę Od Klucza. Tak przeszedł miesiąc tej udręki, śnieg padał i topniał, lały deszcze i dzień wziął się wydłużać, a do wiosny wciąż było daleko.

I wtedy, gdy znikąd żadnej nadziei, siła wyższa znów wdepnęła w jego sprawy, a skutek był taki, że znów żałował jak ze śniegiem, bo co miało dać radość, obróciło się w diabelski

bigos. Poszło stąd, że w jedną lutową niedzielę, która była piękna i słoneczna jak się w lutym zdarza, ksiądz Turkuć o trzeciej po południu ochoczo szarpnął za dzwon wzywając Róże na nieszpor. Pan Bielas zaraz po obiedzie wybrał się był za pałac rozwałać wielki pniak na opał i zabrał Zenka, żeby sobie polatał. Na dźwięk dzwonu pani Bielasowa nałożyła aksamitny kontusz domowej roboty i udała się do kaplicy, a ledwo wyszła, Kazikowi zachciało się świeżego powietrza i namówił Wandzię. Znikli w żywopłocie, którego droga ku lasom i łysej górze, a zanotowało to kilka par oczu z sąsiednich baraków, choć nikt się nie zdziwił, bo pora przyjemna i ze zбочa ładne widoki. Po godzinie nadeszła pani Bielasowa i pusty dom wyprowadził ją z równowagi. Wypadła na dwór, obiegła osiedle, wyjrzała na drogę, ale wszędzie pustka, więc zawróciła i wypadła na panią Bezdrożną. Tak ją nakierował diabeł-stróż, albowiem sąsiadka ją oświeciła, że młoda para poszła do lasu, już będzie z godzinkę. Co powiedziawszy zdumiała się, bo na Bielasową jakby chlusnął purpurą i runęła prosto w żywopłot. Wkrótce wróciła, nic widać nie znalazłszy, ale nurtowało ją potężnie i sterczała w drzwiach przytupując z nerwów, to znów po ścieżce *badziata* się w te i we wte, i tak doczekała powrotu młodych. Ledwo się ukazali w przełazie, jak (nie zważając, że osiedle już zauważyło, że coś się dzieje i nagląda zza firanek) jęła ich głośno rugać, Wandzie chlasnęła w twarz, a Kazika nawet nie dotknęła, tylko wyzwiała od Judaszów i sukinyńców, po czym wybuchła wielkim lamentem. Zdumieli się sąsiedzi na tak przesadną troskę o cnotę córki, czy to grzech chodzić na spaceru gdy wszędzie mokro aż piszczy pod nogami, a zresztą mają się pożenić? Zaraz cała trójka wpadła do domu, skąd rozległy się wrzaski, tylko Kazik milczał jak grób i nie dało się wyrozumieć o czym rozprawiają.

Był to zaledwie początek dziwów tej pamiętnej niedzieli, bo wkrótce drzwi się rozwarły by wypuścić czerwoną i zapłakaną Wandzię z walizką jak do podróży. Poszła na przełaj do autobusu, a w baraku zapanowała nagle cisza. Obserwatorzy zdumieli się, że Kazik został i nie opuszczali stanowisk, co stokrotnie się opłacało. Ledwie słońko dotknęło łysej góry, aż tu idzie pan Bielas z Zenkiem i niesie naręcz drzewa. Ledwo wszedł na osiedle, a tu pani Bezdrożna zastępuje drogę i zaprasza dziecko do siebie, ma ładne obrazeczki do pokazania. Tak przygotowany pan Bielas wchodzi wreszcie do swego baraku i z miejsca wybuchła szalona draka, a sąsiedzi pierwszy raz w życiu słyszą jego podniesiony głos. Kazik coś wykrzykuje, ale on hula jeszcze głośniej, któżby uwierzył, że taki mizerak tak potrafi hałasować, a pani Bielasowa spazmatycznie rozpacza. Od kopniaka wyska-

kują drzwi i wprost w błoto lecą Kazikowe buty, garnitury i inne dobro, a za nimi on sam w jednej koszulinie. Za nim staje w drzwiach pan Bielas, czerwony i miotający takie słowa, że w sąsiednich barakach odciągają dzieci od okien i każą się bawić na podłodze. Na oczach całego osiedla Kazik nakłada sponiewieraną garderobę, wybiera resztę z kałuży, upycha w kartoflanym worku i, jak wpieryw Wandzia, dąży do autobusu.

Zapada cisza aż dziwnie, ale nie na długo. Po wyrzuceniu Kazika pani Bielasowa nie ma już po co żyć i korzystając, że mąż brzydzi się być w pobliżu, wypróżnia wszystkie aspiryny, proszki i pigułki, jakie stoją na półce pod Częstochowską, i popija lekarsstwami doktora Lloyd'a. Wkrótce zdaje jej się, że umiera, Bielas gna po Wolniaka, a ten na widok pustych słoiczków i flaszek dzwoni na pogotowie. Jest już noc, ale mimo ciemności dyżurujący w oknach sąsiedzi widzą jak dwu umundurowanych wynosi desperatkę i trąbiąc żałośnie biały ambulans leci do Longfordu. Przedstawienie chyba skończone, finał niewiadomy, może nawet pogrzeb. Ale to jeszcze nie koniec, bo ledwie siedli do stołu, aż tu czuć przykrą woń spalenizny. Nie zwracają uwagi, winiąc jak zwykle własne piece, ale dym coraz dokuczliwszy i cuchnie wełną, przez szpary napływa z zewnątrz. Wypadają więc na dwór i widzą jak z Bielasowego komina wałą okropne kłęby, choć wewnątrz ciemno. Mężczyźni rzucają się na ratunek, ale drzwi są zaparte i już je mają wyważać, gdy pan Bielas woła żeby sobie poszli do cholery i psi czyj interes. Odchodzą, choć dym coraz gorszy i nawet w dalszych barakach może zemdląć.

Tymczasem pan Bielas pierwszy raz w swym zahukanym życiu odnalazł swą osobowość i szalał jak anioł zniszczenia. Z przepastnej szafy wyciągnął żonine mody, zwałił na kupę i w uszarganych butach skakał po nich i kopał pod sufit, z zimną furią cedząc najgorsze słowa w kilku językach, które zebrał w krajach jakimi tu doszedł. Ale czegoś mu wciąż brakło, aż przypomniał sobie futro, przez które tyle cierpiał, gdy ta tutaj z Kazikiem... Zdarł je z kołka, kopniakami pogał wokół baraku i wreszcie runął nań z siekierą. Rąbał po ciemku i kłął aż się zmęczył, a ono na złość trzyma się kupy, więc po ciemku odnalazł nożyce i wziął się je ciąć a rwać, szwy puszczały z trzaskiem, darła się podszewka i dawało mu to poczucie mocy. Kawałki wziął pchać do pieca, gdzie ogień brał je niechętnie, a ono nawet ginąc robiło mu na złość. Długo było czekać aż się rozpadło w proch i pył, pozostawiając po sobie smród tak zjadliwy, że najdokładniejsze wietrzenie nie mogło go wywabić przez długi czas. Tak zginęło jedno z dwu pierwszych futer na terenie Crow-

leyu i nazajutrz pogromca ruszył do pracy jak zwykle w swym wiernym szynelu, którego mężczyzna nie potrzebuje się wstydzć. Tylko sąsiadki zgorszyły się, że wszystko jakby nigdy nic i wcale go nie obchodzi co się dzieje ze ślubną żoną i matką jego dzieci.

W tenże poniedziałkowy ranek, gdy Crowley niechętnie wstał na powitanie dnia, samobójczyni wysiadła z autobusu i środkiem obozu pomaszerowała do domu. Longfordzki szpital nie potraktował jej tragedii z należytą powagą i poprzestawszy na wypompowaniu żołądka porannym autobusem odesłał do domu — nawet nie karetką, jak by wypadało.

Pozostaje dodać, że Crowley jednogłośnie potępił Kazika ze taki chytry, a przecież wszystkiego mieć nie można. Ale temu potępieniu towarzyszyło filuternie zmrużone oko, bo przecież chłop ma swoje prawa. Natomiast panią Bielasową potępiono bezapelacyjnie, tak jak potępiać umie tylko wyczucie etyczne dwu Żywych Róż Pań. Jej uroda była głównym powodem, dla którego nasze panie, zwłaszcza co cięższe, z radosnym oburzeniem ostrzyły sobie zęby na pierwszej elegantce Crowleyu i trwało to długi czas, zwłaszcza że po samobójstwie widywano ją w mieście z Kazikiem. Ale stopniowo wszystko ucichło, gdy zniknął z tych stron na zawsze, ulotnił się widać, gdy dość miał przygody.

Od tej pory prestiż domowy pana Bielasa niesłuchanie poszedł w górę i po raz pierwszy w życiu żona zaczęła odrobinę z nim się liczyć. Po powrocie ze szpitala uprzątnęła pobojuwisko, oporządziła swe sponiewierane ubiory i — w co trudno uwierzyć — marnego słowa nie powiedziała i nie pytała o futro jakby nigdy nie istniało. Co zaś się tyczy futra Malczykowej, to oglądanie bliźniaka na panu Bielasie wcale jej go nie obrzydziło. Czule mawiała „huterko” i tak w nim była zakochana, że dopiero na-dejście upałów kazało jej na chwilę odłożyć je do skrzyni.

Że nasz lud ma wrodzone poczucie sprawiedliwości, to o Wandzi najpaskudniejsze jęzory nie rzekły złęgo słowa. W tę niesławną niedzielę skrzywdzona dziewczyna zrozumiała co i jak i porzuciła Crowleya na zawsze. Oparła się aż u ciotki w Bradfordzie i wkrótce świetnie wyszła za mąż za właściciela dochodowej kamienicy, z czego widać jak Opatrzność nagradza cnotę. Na wesele zaprosiła całą rodzinę, ale teściowa z miejsca podpadła zięciowi i ledwo skończyło się weselisko jak zapowiedział, że dla tatusia ma zawsze dom otwarty, a mamusia ani na próg. Tak poskromiono jedną z najstraszniejszych crowlejskich teściowych i straciliśmy drugą pannę na wydaniu.

CROWLEYSKIE CHOROBY I INNE ZAŁOBY

O pogodzie Crowleyu decyduje wielki Atlantyk, który dyszy i faluje z tamtej strony gór i nasyła wiatry, które niosą na skrzydłach wilgoć Bóg wie skąd. W tych górach i w Marchiach pod nimi każde dziecko wie, że pogoda wylega się na zachodzie. Crowley też zna jej wszystkie kaprysy, choć jego znaczna część nigdy nie słyszała o Atlantyku, a że jego knowania odczuwa na własnej skórze, to tak musi być i już.

Podczas niedzielnych promenad Słowianie patrzą na walijskie góry i nie przyjdzie im do głowy, że na tych dalekich zboczach dzieją się rzeczy, które odbiją się na ich skórze.

Burzliwej pogody szczególnie boi się doktor Lloyd i jego wierny tłumacz pan Wolniak. Bo wichury, opady i nuda zrodzona bezrobociem powodują nie tylko zwykłe o takiej porze kaszle, chrypki i gorączki, ale epidemię o wiele groźniejszą wśród naszych pań, a czym która bardziej pyskata i zajadła na robotę, tym chętniej teraz choruje i słabowiciej się nosi, mówi jak konająca, żąda witamin, leków i prześwietleń obojętnie czego i zastrzyków obojętnie na co, aż doktor Lloyd, doprowadzony do stanu ciągłego rozdrażnienia, wita szyderczymi uwagami każdego crowleyskiego pacjenta.

Żądania co roku są coraz bardziej wygórowane i wyprzedzają postęp wiedzy medycznej. Coraz więcej zgłasza się amatorrek analiz, prześwietleń i zastrzyków, choć nie bardzo wiedzą co im dolega. Nawet Wolniak, mimo biegłości w angielszczyźnie, pojęcia nie ma jak doktorowi wyłożyć te słowiańskie dolegliwości: oberwanie wątpi, pieczenie w dołku, zawianie dotyczące wszystkiego od pasa w górę oraz poderwanie dotyczące wszystkiego od pasa w dół, a szczególnie macicy. Z nią właśnie dzieją się ostatnio przedziwne rzeczy, które doktora wpędzają na przemian w osłupienie, furię lub chichot. W ubiegłym tygodniu zgłosił się stary Siemieniuk z macicą oberwaną od dzwigniania uli, a w ślad za nim Ambroż Pocałujko z tym samym i wielką o to pretensją do Zuzy. Doktor rozumie, że szkoda czasu na wybijanie im tego z głowy, więc rozdaje im anyżkowe nalewki farbowane raz na buro, raz na zielono i, że jest bezrobocie, każe leżeć w łóżku, wiedząc, że z nadejściem wiosny wszystkie macice wrócą na swoje miejsce.

A ci co mają umrzeć i tak umrą, często bez żadnego hałasu i napastowania lekarzy. Tak właśnie czyni pan Evans, poczciarz

z Holme de Braose. Bardzo to wstrząsa Crowleyem, bo był mu życzliwy i pomagał na różne sposoby wypływające z jego urzędu. Chorował od dawna, serce miał zdarte i doktor zabronił mu się męczyć, o czym Crowley nie miał pojęcia i nieraz się dziwił, że taki czerstwy mężczyzna rusza się jak mucha w mazi, siedzi za ladą i żonie zostawia obrządzanie bydła i inne męskie roboty, a sam co najwyżej rozwozi pocztę po okolicznych farmach swym osobliwym samochodzikiem. Wiekiem ten pojazd pasuje do przynależnego mu domu, bo dom jest starożytny, przeleciało nad nim pięć setek lat. Pojazd jest odpowiednio młodszy, ale jak na samochód — antyk, z kierownicą na długim kiju, kołami jak przy dzieciennym wózku i siedzeniem z podnoszoną budką, właśnie jak u dziecka. Ma przeto swe narowy, którymi popisuje się wtedy, gdy naprzeciwko zegar kościelny bije jedenastą, a pan Evans z torbą gramoli się do swej karety, coś gdzieś przykręca i nadeptuje, a malutka pani Evansowa w wielkim fartuchu i męskim kapeluszu na bakier pcha z całej siły, aż się z górkki skatulka na drogę, coś gdzieś zaskoczy i ruszy z kopyta. Wtedy pani Evansowa idzie do ogrodu lub drobiu, choć na pocztę ma oko i nadbiega w męzowskich butach jak koń na biegunach, gdy targnąć dzwoniem u drzwi. Wygląda jak rumiane, pomarszczone jabłuszko albo ogrodowy gnom i promiennie się uśmiecha, tak że Crowley bardzo ją lubi, zwłaszcza że mu załatwia co się da, wypisuje kwity i formularze, doradza jak korzystnie wysłać paczki do Polski, a nawet sama je przepisowo wiąże i lakuje. Swego owczarka nazwała Staszem i mówi, że z Crowleyem jest spokrewniona przez córkę, którą wydała za polskiego oficera, gdy tam stało wojsko. Przynosi fotografie swych polskich wnuków, co teraz mieszkają w Australii i kiedyś tu przyjadą. Przy sobie ma tylko syna-utrapienie, który woli jaką bądź fabrykę w Longfordzie niż pocztę i gospodarkę, a poczta w rodzie Evansów dziedziczna od czasów, gdy w dziurawym wykuszu na pięterku mieszkają gołębie pocztowe. Mieszkają zresztą dotąd, bo pan Evans kocha się w nich gwoli tradycji i za ich przyczyną zaprzyjaźnił się z Felem Pawlakiem, choć ten po ichniemu zdania nie skleci. Ale jakoś dogadali się przez ptactwo, Pawlak regularnie nawiedza pana Evansa, podziwiają pocztowe ptaki i wymieniają jajka do lęgu. Felo także po przodkach gołębie ma we krwi, bo urodził się na Pradze, która od dawna słynie z gołębiarzy. Choć Niemcy go chłopakiem wytargali z powstania i rzucili w szeroki świat, to gust mu pozostał i teraz Pawlakowa regularnie go sztorcuje, że więcej dba o żywioła niż o rodzinę, na farmerskim targu wyrzuca pieniądze na rasowe ptaki, a jak przyjdzie niedziela, to dla żony i dzieci nie ma czasu, bo grzebie przy

gołębniku albo stoi jak wariat na baraku i macha płachtą, a gołębie kreślą nad Crowleyem kręgi i skrzydłami grają tak przejmująco, aż łapie za serce. Pan Evans nie zna takich praktyk, a nawet gdyby znał, to by nie wylazł na dach. Felo go zaznajomił z tym praskim zwyczajem i czasem urządza mu paradę pocztowego ptactwa, a zdumione Holme de Braose wychodzi przed domy i obserwuje co się na poczcie wyprawia: człowiek z obozu stoi na szczycie jej spadzistego dachu i macha szmatą, ptaki idą w ordynku nad wioską, a pan Evans ciężko wsparty o mur klasztoru z radości.

Powyższe napisano, by naświetlić różnorakie związki poczty z Crowleyem i wyjaśnić, czemu nagły zgon pana Evansa tak Słowianami potrząsnął jakby nieszczęście zdarzyło się w samym obozie. Zdarzyło się zaś koło Gromnicznej, gdy wszystko żywe jest wymęczone zimą i szczególnie podatne na choroby, a nawet śmierć. Wtedy właśnie przez kilka dni dęło i siekło drobną wodą, aż w barakach huśtały się lampy i dym zawracał do środka. W taki właśnie świszczący wieczór pan Evans zwyczajnie legł w starożytnym łożu ze słupami, w którym rodziły się i umierały pokolenia Evansów, i rano się nie obudził. Tak mu się zmarło, że śpiąca obok żona niczego nie słyszała, co było nie do wiary, bo w wiosce mówią, że jest wierząca. Tyle tylko sobie przypominała, że wieczorem gołębie w wykuszu pod oknem tłumity się i hałasowały jakby je coś męczyło. Jak nieszczęście się okazało i nie było już po co wołać doktora Lloyda, to we wiosce, przysiółkach i na rozrzuconych farmach ludzie osłupieli i nikt sobie nie mógł wyobrazić Holme de Braose bez starego poczciarza, tak samo jak bez kościelnej wieży i bijącego na niej zegara. W te smutne dni Crowley jak na rozkaz przestał nachodzić urząd pocztowy, żeby nie zakłócać żałoby pani Evansowej i jej utrapionego syna. Zresztą nie była sama, bo Wielebny Powell, opiekun wioskowego kościoła, nawiedzał ją i sam zajął się czym trzeba. Przyjaźń między nimi była stara, jeszcze z czasu, gdy pan Evans przywiózł ją w te strony z jakiejś zakazanej wioski pod Snowdonem. Ze biegle mówiła walijskim językiem, na ludowej mądrości znała się jak mało kto i nawet rzeczy spoza ludzkiej rzeczywistości nie były jej dziwne, szybko zawiązała przyjaźń z Wielebnym, młodym wówczas pastorem i ojcem drobnych dzieci, którego wcale nie zrażało, że w dawnych czasach takie jak ona nazywano wiedźmami i wiadomo co robiono.

Tymczasem Crowley szykował się do okazania zbiorowego współczucia wdowie, choć trapił się jak to zrobić z heretykami. Wreszcie Róże formalnie zwróciły się do księdza Turkucia, który

orzekł, że zmarłemu zawsze godzi się dać ostatnią posługę, zwłaszcza na cmentarzu. Nikt tylko nie wiedział, że u tubylców na pogrzeby nie przychodzi się bez zaproszenia, jak u nas na wesela, i w żadnym razie nie przyprowadza się dzieci. Toteż w dzień pogrzebu Crowley wyspał się nadzwyczaj tłumnie, z nadmiarem dziatwy w wieku przedszkolnym i z ogromnym choinowym wieńcem jakiego tubylcy nigdy nie oglądali, a który godny był zdobić nawet Powązki, tak pięknie czerwieniał głógiem i różnymi jagódkami z pałacowego ogrodu. Niósł go dla przyjaciela Felo Pawlak i na życzenie Kombatantów ustrojono go w szarfy biało-czerwone, żeby każdy rozumiał, że tu chodzi o Naród Polski. Występ ten miał pokazać światu jak Crowley cenił sobie życzliwość nieboszczyka i jego żony, toteż wystąpił jak najokazalej w samej najlepszej przyodziewie.

By należycie uczcić przyjaciela, Wielebny zarządził pogrzeb ze wszystkimi ceremoniami możliwymi w wiejskim kościele, a wierni mu dopisali, bo ród Evansów miał mnóstwo krewnych, klientów i pociotków zarówno w wiosce, jak i w okolicy, gdzie co czwarty człowiek zwał się Evans, jak należy pod Walią. Sypnęli się licznie z wiosek, farm, przysiółków, z Madley a nawet z Longfordu, oczywiście tylko dorośli i wszyscy na ciemno. Zgromadzony na cmentarzu Crowley widział jak wchodzili do kościoła, w którym zaraz odezwały się organy i śpiewy chóralne oraz solowe, bo Wielebny całą duszą śpiewał modły, a głos miał jeszcze piękny i mocny, który lepiej by pasował do katedry niż wiejskiej świątynki. Dzień był słoneczny, lecz w zamglonym powietrzu czaił się mróz, więc czekająca na dworze crowlejska dziatwa wnet jęła nieprzystojnie uganiać między grobami i skwierczeć na zimno. Była to święta prawda, tak że starsi, dla rozgrzewki przytujący i zabijający ręce jak nad Bugiem i Narwią, zdecydowali wreszcie wejść do kirchy, choć wiadomo, że grozi to utratą prawdziwej wiary. Jak na dane hasło wwalili się szumnie i tu dopiero skonstatowali, że niebezpieczeństwo jest groźniejsze niż się zdawało, bo odprawia się regularna heretycka msza w czarnym kolorze, z trumną na katafalku w prezbiterium i płonącymi wokół świecami. Rejterować już było nijako, a że tubylcy zasiedli wszystkie ławy, Słowianom przyszło stać z tyłu i było bardzo niewygodnie, zwłaszcza że nie mieli pojęcia czy należy żegnać się, klękać, bić w piersi i odmawiać pacierze. Za to dziatwa, podniecona niezwykłością miejsca, zaczęła sobie poczynać jeszcze szumniej niż w naszej kaplicy, tak że tumult zrobił się nieprzystojny, aż siedzącym przed nimi Celtom i Anglikom nerwowo drgały plecy, jakby się bali, że burza runie na nich, katafalk i trumnę, obali wszystko i stratuje. Ale nikt się nie oglądał,

udawali że wszystko w porządku i na zmianę z Wielebnym śpiewali hymny.

Tak wesoło kończy się kazanie, Wielebny schodzi z ambony — a wygląda imponująco w tej czarnej kapie — i przystępuje do ceremonii absencji umarłych. Przez niego heretycki kościół żegna swego syna, którego przez chrzest przyjął był kiedyś do swej trzody, a teraz przekazuje pod opiekę aniołów aż do Dnia Ostatecznego. Działwa milknie jak na komendę, nareszcie dzieje się coś ciekawego. Celebrans intonuje „Ojcze nasz” i z asystą obchodzi katafalk kropiąc go trzykrotnie z każdej strony. Przeszedłszy do krzyża składa głęboki pokłon, oddaje kropidło, bierze kadzielnicę i śpiewa „Nie wódz nas na pokuszenie”. Błogosławi trumnę, odmawia „Wieczne odpoczywanie” i ceremonia dobiega końca. Czarno ubrani panowie biorą trumnę na ramiona, Wielebny odmawia „Niech cię anieli zabiorą do raju” i formuje się procesja. Nie czekając na nią, Crowley z działwą i wieńcem pierwszy wysypuje się na dwór by dać drogę i stamtąd widzi jak procesja opuszcza świątynię: kościelny ze święconą wodą, drugi z krzyżem, chłopczkowie z zapalonymi świecami, Wielebny w czarnej kapie, za nim trumna, za trumną pani Evansowa prowadzona przez syna, teraz jeszcze mniejsza i bardziej krucha, a za nimi wreszcie sklepikarze, listonosze i farmerzy z żonami i parobkami. Za tym wszystkim napiera Crowley z wieńcem i działwą, która natarczywie dopytuje co teraz będzie, a sprytniejsi wyrwają się matkom i wszystkich wyprzedzając lecą na przełaj ku widocznej z daleka mogile obłożonej bukietami. Tak żałobnie i po słowiańsku chaotycznie pochód dociera do rogu cmentarza, gdzie nagrobki jedne pochylają się ze starości i lityry całkiem zatarte, inne nowe jeszcze i czytelne licznie zdobi nazwisko „Evans” z walijskimi i angielskimi imionami na dodatek. Stają przy grobie. Tymczasem mężczyźni spuszcza trumnę, celebrans rzuca w formie krzyża garść ziemi na jej wieko, za nim czynią to wierni z przepychającymi się przez nich Słowianami, dla których coś jest wreszcie zrozumiałe, choć nie pojmują ani w ząb co Wielebny recytuje. Tubylcy stoją nieruchomo i nie zwracają uwagi na nasze panie, które głośno dmuchają nosy i ocierają oczy, tak im żal siebie i troszeczkę pana Evansa, a niektóre żegnają się zamasyście i wcale ich nie wzrusza, że takie papieżnickie gesty mogą urazić heretyków.

Pogrzeb skończony, grób zakopią — jak nakazują przepisy — dopiero jutro. Wierni otaczają wdowę z synem, ściskają za ręce i zapewniają, że im bardzo *sorry*. Crowley pogląda niezdecydowanie, bo zbyt tam tłoczno, a nasze panie chętnie by dały nieprzystojny pokaz emocji, rzuciły się pani Evansowej na szyję

by ją pocieszyć choć gestem, gdy językiem nie sposób. Ale nie ma dostępu, działwa z nową zapalczywością zaczyna się wysypywać na drogę. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że pani Evansowa jest chyba śmiertelnie na Crowley obrażona za nieproszone przybycie i zakłócenie żałoby. Zresztą później żadnej obrazy nie dała poznać i po dawnemu była życzliwa — pewno, jako widząca, właściwie pojęła dobre intencje. A co o tym niesłychanym pogrzebie mówiono w Holme de Braose, Bishopstone i Badonhill, w przysiółkach Yarnton i Yatton, w Longfordzie, Madley i na rozrzucanych farmach, tego nigdy się nie dowiemy, choć łatwo zgadnąć, bo czego można oczekiwać po tej cudzoziemskiej hałas-trze? A że pamięć niezwykłych wypadków trwa latami po takich dziurach, gdzie nic się nie dzieje, można przypuszczać, że ten skandaliczny pogrzeb zajął poczesne miejsce w kronikach.

Taka to była zima długa i utrapiona, i dość przyniosła zmar-twień: choroby, pogrzeby, a także brzydki romans pani Biela-sowej, skumanie się Danki z pastorem i Wolniakiem, i inne jesz-cze zgryzoty, których nie spamiętać. Dokuczliwa była i nudna. Kilka razy Crowley leżał pod obfitym śniegiem po tydzień naraz, aż utrapieni ludzie klęli w żywy kamień, jakby w domu albo na Sybirze nie widzieli nic gorszego. Ale tam pomieszkania były inne, nie takie zgniłe, papierkowe baraki, po których wiatr hula jak po polu, i kąty, a nawet wnętrza szaf zakwitają jadowitą pleśnią. Należy bezstronnie stwierdzić, że Crowley ładnie pre- zentował się pod tym śniegiem, który litościwie pokrył jego szpetotę. W białych kozuchach baraki nabrały pozoru przytul- nych domków a na pałacu wyglądały się szczyrby i wyglądał jak w pierwszej krasie młodości.

WIECZNE Z TYM DZIECKIEM UTRAPIENIE

Kasię lubi nosić po pastwiskach, do lasu i na Skaczącą Damę, do dziczatego ogrodu i pod pałac, gdzie przyciska nos do mętnych szyb i nie wiadomo na co czeka. Tylko na łysą górę nie odważa się zapuścić, bo między nią a bukowym zboczem po tej stronie leży głęboka dolina, a w niej leniwa struga całkiem zakryta przez zielsko i krzaki, gdzie można nadepnąć na żabę albo węża. Bu- kowe zbocze jest bardzo piękne, ogromne drzewa, które niegdys

wyznaczały koniec crowleyskiego parku, rosną rzędem na szkarpie i przyjemnie usiąść na grubaśnym korzeniu, patrzeć na wielkie konary i drobne listki tak szumnie grające, wiatr miesza je z obłokami i co będzie jak razem odlecą we światy? Jest tu bezpieczniejsz niż w domu, nigdy się nie przypominają okropne historie o męczennikach i piekielnych mękach, które w szkole opowiadają z takim upodobaniem zakonnice. Drzewa widzą i słyszą i łatwo poznać, czy są wrogie czy przyjazne, właśnie jak te buki. Crowley przypomina sobie o nich tylko jesienią, bo można tu znaleźć prawdziwki wielkie jak salaterki, ale Kasia przychodzi tu cały rok, choć rodzice sto razy zabraniali wychodzić za obóz. Posiedzi, pogapi się na to wielkie zbrocze po tamtej stronie, na którym rzędy choinek nurzają się w zielsku i pną do połowy nieba. Podpatrzy króliczki, które pod korzeniami zbudowały sobie stolicę i jak jest cicho, to wyłażą na wierzch, a wiosną bawią się śliczne małe króliczki, chciałyby się pogłaskać, ale nie wolno się ruszyć, bo uciekną. Nie tylko zresztą króliczki, bo kiedyś widziała tu krasnoluda, takiego jak Anglicy stawiają w ogródkach, ale ten był prawdziwy i zniknął w króliczej norze nim go zdążyła obejrzeć. Wygadała się z tym przed Kryską i ta poniosła na cały szkolny autobus, a że nie była to jedyna taka historia, to dzieci nazywają ją łgarzem i niech co zacznie opowiadać, to wołają że buja, a zakonnice ją karcą i ostrzegają, że Szatan jest ojcem kłamstwa. A ona wcale nie buja, przecież nie zaprzeczy jeśli widziała. To bujanie jest jeszcze jednym powodem jej dziwności i rodzice się martwią, że to dziecko ma taką fantazję, często jest jak nieobecne i trzeba potrząsnąć żeby oprzytomniało.

Nosi ją też pod pałac, choć taras jest ogrodzony siatką i napisano, że prywatne. Ale ona wchodzi i ogląda ciekawe rzeczy, chodzi wśród pokruszonych balustrad, po ścieżkach podminowanych przez korzenie, ogląda zdziczałe krzewy, które wśród wężowisk jeżyn dziwią kwieciami i jagodami. Pośrodku tarasu sterczy nad basenem gruby dzieciak z rybą, oczy ma ślepe i odbity nos, a jego plecy i pupa całe są poharatane — tak żołnierze lubili celować czym popadnie, że zimą, jak liście nenufarów zejść pod wodę, to na dnie widać zwały rdzawych puszek i różnego śmiecia.

Pałac jest okropnie ciekawy, zwłaszcza że pusty i zamknięty na głucho. Ogromne okna są okropnie brudne, ale jak świeci słońce, to można przez nie oglądać wielkie sale z rzeźbionymi kominkami i ślepe lustra w złożonych ramach. Z narożnego salonu są otwarte drzwi, przez które widać wielki hall i schody z ozdobną balustradą, i to już wszystko, do środka nie da się wejść. Można tylko stać z rozpląszczonym nosem i wyobrażać sobie, że wewnątrz widzi się damy w krynolinach i wyfraczonych

panów w białych peruczkach, takich jak w Longfordzie na pantomimie „Kopciuszek”.

Od tyłu przy kuchni można wejść na dach gospodarskiego budynku przyparty do wielkiego muru, który otacza pałacowy warzywnik z cieplarniami, drzewami owocowymi i domkiem ogrodnika jak u Baby Jagi. Urzęduje tu stary Mr Osborne, ogrodnik pani Craven. Przez wierzch muru widać całą posesję, grzędy warzyw, zasnuty słomą łąn truskawek, szeregi malin i rabarbaru, które ciągną się aż po dachy szklarni kryjące coś niezwykłego. Kasia skonałaby żeby wejść do środka, ale Mr Osborne jest na noże z crowlejską dziatwą odkąd chłopaki popruły mu z proc dach cieplarni. Jak pierwszy raz ujrzał na murze Kasię rozsiadła jak na przedstawieniu, to krzyknął żeby poszła won, ale jej się nie spieszyło, bo jej nie mógł dosięgnąć. Powiedziała, że nic mu nie chce zepsuć, tylko sobie patrzy, i co jest pod tym szkłem? On coś sarknął i zajął się robotą, ale czasem łupał i widział, że rzeczywiście nie psoci. Więc jak kiedyś znów tam zasiadła, to wpieryw udawał że nie widzi, ale mu chyba było samemu nudno przycinać szpalery pachnących groszków, więc wreszcie warknął, że jak już się musi gapić, to niech lepiej wejdzie przez bramkę i pogapi się z bliska, ale jak co popsuje, to sekatorem utnie jej łapy. Nie kazała się dwa razy prosić, szczęśliwa że wreszcie wejdzie do zakazanego raję.

Tak zaczęła się przyjaźń z państwem Osborne. Ogrodnik szybko się przekonał, że nie jest szkodna, patrzy uważnie co on robi i zadaje całkiem rozsądne pytania, więc jesienią dał jej nawet flance bratków żeby sobie posadziła pod barakiem. Ogrodnikowa wołała ją do domu i lubiła porozmawiać, nudno jej było na tym pustkowiu, w murach jak forteca. Kiedyś zdjęła ze ściany pęk kluczy i przez kuchnię wpuściła ją do pałacu, tak że Kasia mogła wreszcie przewędrować wszystko od salonów aż po klitki dla służby na poddaszu. Wszędzie witała ją stęchlizna i pajęczyny, na kurzu zostawiała ślady jak na śniegu. Pani Osborne opowiadała jakie tu kiedyś były splendory, zjeżdżali ważni i sławni ludzie, urządzali bale i koncerty, ale to bardzo dawno, sto lat i więcej. Stary pan, Sir Evelyn, pięknie o wszystko dbał i wtedy Crowley był ozdobą Marchii, a teraz? — i niechętnie kiwa przez okno bawialni na pierwszym piętrze ku tym barakom, korytarzom i betonowym placom, co od stóp tarasu jak liszaj spływają w dół, aż do bramy otwartej na Holme de Braose.



Tęgo roku Kasię nosi gorzej niż zwykle, wprost nie potrafi

usiedzieć i jest całkiem niesamowita. Od początku roku szkolnego żyje pod grozą egzaminów do gimnazjum, które Crowley co roku śledzi z napiętą uwagą — chodzi nie tylko o słowiański prestiż wobec tubylców, ale i o honor poszczególnych rodzin. Rodzice próbowali jej pomóc, ale to na śmiech. Zaraz jesienią ojciec zabrał się z nią do rachunków, ale do szkoły chodził w Rosji i liczy po rosyjsku, więc matka siadała razem i tłumaczyła jej po polsku. Ale przecież Kasia ma to umieć po angielsku, więc dali spokój, żeby jej się do reszty nie pokiełbało. Z angielskim jej pomóc nie mogli, tylko kupili książki i zachęcali żeby sama czytała, a o inteligencji w ogóle szkoda mówić. Jak przyniosła ze szkoły próbny test, to patrzyli jak sroka w kość i mówili, że co to za inteligencja, jak trzeba się jej nauczyć jak arytmetyki? Co do Kasi, to przecież nie jest taka głupia jak wygląda przez swą ślamazarność i beksiwosć, no i dużo czyta po polsku i po angielsku. Ale co z nią zrobić, jak zaryje egzamin, przecież nie ma gotówki na prywatną szkołę.

Jak już na ostro zaczęło się o tych egzaminach, które będą jak zwykle w lutym, to rodzice błagali ją, żeby wreszcie oprzytomniała i uważała w klasie i że jak zda, to jej kupią zielony rower, który stoi na wystawie u Dicksona. Od dawna żyć jej nie daje, choć wie, że szkoda gadać, na taką masę pieniędzy tatuś musi pracować trzy tygodnie. Ale jak zda, to na pewno będzie jej, choćby mieli spłacać raty przez cały rok.

Kilka miesięcy przed egzaminem wypadły inne sprawy, które nie przysporzyły jej życzliwości siostr Agaty i Catherine. Heniutek z chłopakami męczył małego kotka i Kasia wyrwała go z ich łap, oberwała przy tym niezgorzej i do domu przysłała zaryczana. Mama kazała go odwieźć do przytułku dla zwierząt przy kościele św. Tomasza de Braose uzdrowiciela zwierząt. Pastor i jego żona bardzo ją pochwalili i wkrótce dostała piękną książkę od Towarzystwa Zwalczenia Okrucieństwa, co odbyło się bardzo uroczystie w kinie Odeon przed rozpoczęciem sobotniego poranka dla dzieci. Wielebny Snell wyprowadził ją na scenę, opowiedział jak dzielnie obroniła kotka i że wszystkie dzieci powinny robić tak samo. Wręczył jej książkę, całe kino biło brawo i jakiś pan z flaszem zrobił fotografię, którą w poniedziałek wydrukował *Longfordzki Biuletyn i Obywatel* i siostra Catherine zauważyła kwaśno, że nie należy zadawać się z heretykami. Wkrótce znów podpadła, gdy podczas lekcji do klasy wtargnęło psisko dozorca i siostra kazała go chłopcom wyprowadzić. Kasia przyjaźni się ze zwierzakami i wie jak sprawy stoją, więc wyskoczyła, że to nie pies, tylko suka, niech siostra sama zobaczy. No i znów oberwała, tym razem za nieprzyzwoitość, i jak

zwykle nie miała pojęcia co zrobiła złego. Pomyślała sobie, że na przyszły rok pójdzie do innej szkoły i zrobiło jej się lżej.

Tak egzystowała w klasie B, tej dla matolek, aż po Bożym Narodzeniu nadeszły próbne testy i stała się rzecz niewiarygodna: Kasia zdała! Rodzice strasznie się ucieszyli, ale jej było jeszcze bardziej przykro że tak na nią liczą, a ona obleje. Crowley oczywiście zaraz zaczął debatować: czemu to dopuszczono do egzaminów tylko ją, Jurka Kozickiego, Próchnickiego Janka i Kryskę Dyderko? Kto tu zaintrygował, kto komu nogę podstawił i kto ma protekcję, oho — u Anglików? Ze ten ktoś nie umie po angielsku? Bujać to my, do żłoba drogę znajdą! Durnowatą Jankowską forytuje ten koci pastor, wiedziała jej matka, gdzie ułović kota i dziewczynę do niego posłać. Pan Dekier strasznie na te rzeczy cięty odkąd jego Lalunia nie zdała, choć nauczyciele mówili, że pierwszy raz widzą takie mądre dziecko. Tak, jemu to mówili! Po jakimu, że zrozumiał? Oh, co się pan czepiasz, mówili i już! Ale nasi kochani rodacy zaintrygowali u *Edukejszyna* i Lalunia przepadła. Tak, wie co mówi.

Wśród plot i podwójnego strachu Kasia doczekała egzaminu, a miał trwać całe dwie soboty i okropnie daleko, bo aż w Kingsbere, w gimnazjum Lady Watkins, dokąd szkolny autobus zbiera dzieci z przydrożnych wiossek. Akurat w nocy nawaliło masę śniegu, omal pana Antoszka w drodze do domu nie zakopało na śmierć, i Kasia miała nadzieję, że autobus nie przejedzie i wszystko się upiecze. Na wszelki wypadek popłakiwała po kątach, zemdlilo ją na widok śniadania i koniec końców matka pojechała z nią do Kingsbere, jak takie dziecko samo puścić? A tam już nazwono dzieciaków z połowy Marchii, w starożytnym gmachu rejtach był nie z tej ziemi, aż wreszcie nauczyciele posortowali tłumy, upchali po klasach i rozpoczęła się wielka gra. Byli to prawdziwi nauczyciele, w togach, i na ich widok Kasia do reszty straciła przytomność, nie mogła sobie potem przypomnieć, co pisała, tyle tylko, że wszystko było głupio i co teraz będzie.

Pani Jankowskiej przyszło czekać do popołudnia, nie miała co z sobą zrobić i krążyła po ośnieżonych uliczkach. Rozbiegały się promienieście od dna doliny i wspinały na strome zbocza — Walia tuż za zakrętem i jej łyse góry zaczynają się tu na dobre. Diabeł mówi w tej dziurze dobranoc tak samo jak za rządów Elżbiety Tudor, gdy Lady Watkins zakładała tu kolegium. Piędzy miała huk z rozboju, mąż przecież sławny pirat, jeden z tych wspinających zbójów, co wodzili się koło Azorów i wyłapywali „srebrną” flotę katolickich Monarchów, by wyładowane skarbem Nowego Świata galery odprowadzić jak własne do Ply-

mouth i sprawiedliwie podzielić łup z królową. Wyczyny te przyniosły mało nobliwemu Watkinsowi szlachecki tytuł i fortunę niemałą, więc jego pobożną małżonkę stać było na dobroczynne fanaberie i fundowanie nowych Aten w jej rodzinnej dziurze, a także na założenie tu, pobok swego dworu, rozległych ogrodów, którym dziwowano się daleko że takie wspaniałe, choć w miejscu podłym, na progu dzikiej Walii. Przedziwne rosły tu drzewa i planty, Sir Watkins zwoził je żonie ze świata. Nic dziwnego, że jaśniepaństwa dotąd tu wdzięcznie wspominają, zadbane ogrody kwitną, a hojnie wyposażona szkoła dawno przerosła marzenia swej dobrodziejki. Pieczętuje się jej herbem, wysłała swych pupilów na uniwersytety, górnice się nosi jako najnobliwsza szkoła Marchii i nawet katedralnej w Longfordzie nie lubi przyznawać pierwszeństwa. Cóż dziwnego, że pani Jankowska ledwo śmie marzyć o tak wspaniałej uczelni dla swego dziecka, a zwłaszcza teraz, gdy zobaczyła te stare mury i nauczycieli w profesorskich togach? Krąży po zaśniewionych uliczkach, patrzy na zabytkowe domki i wreszcie mróz ją zapędza do okazałego kościoła na wysokim zboczu. Mroczne wnętrza słodko pachnie stuleciami, kadzidłem i woskiem, przez strzeliste okna biały blask śniegu kładzie się na kamienną podłogę i wydobywa z mroku okazały nagrobek na ścianie prezbiterium. Lady Watkins w czepczku z perłami, czerwonej robie i kryzie wielkiej jak półmisek wygląda jak z łoża, a przy niej zawadiaka z bródką w klin i spiczastym wąsem, kapelusz na nim wysoki, kaftan haftowany, ręce grzecznie złożył na balustradzie i zwisają z nich ozdobne rękawice, jakby nie potrafił ich czym innym zatrudnić. Oczy mają puste i znudzony uśmiech — już czterysta lat tkwią w tej wnęce, w towarzystwie szeregu miniaturowych córek po stronie matki i synów przy ojcu, a za jedyną rozrywkę mają uroczyste szkolne nabożeństwo w Dzień Fundatora. Pani Jankowska zagląda im w wytrzeszczone oczy, w kamienne uśmiechy, jakby chciała odczytać co się za nimi kryje. Sylabizuje epitafium, przypomina sobie resztki szkolnej łaciny i uprzytamnia sobie, że gdy Batory szedł na Smoleńsk ta oto dama zakładała tu kolegium — czy aby dla jej dziecka? Mój Boże, czy Kasia tu popadnie? Lady Watkins uśmiecha się bezosobowo: może tak, a może nie, i wreszcie crowleyski intruz wychodzi z ciężkim sercem na ten oślepiający śnieg. Z daleka słychać dzwonek, niesie jego głos po górach i pani Jankowska zjawia się w sam raz, by z rojnego boiska wyciągnąć rozmazaną Kasię. Wyjmuje jej z rąk arkusz z pytaniami, sylabizuje egzaminacyjne mądrości i zarzuca małą pytaniami, a ta chlipie i siorbie, że poszło jej jak najgorzej i inne dzieci jeszcze pisały, a ona już nic nie miała do powiedzenia,

ledwo zapełniła połowę zeszytu. W przyszłą sobotę nie chce tu przyjeżdżać, nie chce i już, co stwierdziwszy zaczyna ryczeć na dobre, bo wie, że będzie musiała robić tę inteligencję i chyba tylko cud ją wyratuje.

Następnym razem, gdy śnieg rozlewał się w brudne kałuże i szkolny autobus puszczał na przechodniów wielkie wachlarze wody, Kasia pojechała już sama — wszystko jedno, niech będzie co chce. Wróciła jeszcze bardziej zamazana i już jej o nic nie pytali, byle przestała histeryzować. Że już było po wszystkim, matka czasem ułaskawiała ją od szkoły — niech pokręci się po powietrzu i nabierze rumieńców. Wtedy nosiło ją jeszcze dalej niż zwykle, nawet pod kopiec — niech-no by się ojciec dowiedział! Coś dziwnego działo się tam tego przedwieśnia, jakby dziecięcy całej Marchii urządziły zjazd. Ale brzmiało to inaczej, mocno a miarowo, ktoś zawzięcie rąbał drzewo, echo niosło szeroko i wracało od łysej góry. Darmo się było podkradać, bo raptem milkło jakby ptak odleciał i kilka czerwonych wiewiórek z polany pryskało w drzewa — właśnie czerwonych, a nie szarych jak tu wszędzie, i co z tego zrozumieć? W każdym razie nic nikomu nie mówić, bo znów wyśmieją i zabronią chodzić do lasu.

Powiedzieć jednak musi bo pęknie, komuś kto nie rozniesie. Może panu Osborne? Albo pani Evans? Pani Evans lubi stawać w bramce, gdy szkolny autobus wysadza tu dzieci, które puszczają się z wraskiem jak Tatarzy do Crowleyu, a Kasia wlecze się sama daleko za nimi. Kudłaty owczarek, Staszu Evans, wybiega na drogę i łasi się do niej, pani Evansowa chętna do rozmowy, w tym opadającym kapeluszu wygląda jak Baba Jaga, z tych dobrych Jag. Traktuje Kasię jak dorosłą, współczuje w szkolnych kłopotach i jest przekonana, że mała zawsze mówi prawdę. Nawet o tym krasnoludku pod bukami — naturalnie, że krasnoludki są na świecie, ale mało komu się ukazują. I oczywiście nie sposób zaprzeczyć, jeśli się widziało, głupcy wyśmiewają bo nie widzieli i nigdy nie zobaczą, są ślepi na to, co się naprawdę dzieje. Dlatego pani Evansowej zawsze można zaufać, także i z wiewiórkami. Widziało tu kto czerwone? Ależ tak, pani Evans świetnie wie o co chodzi, to nie dzieciół, a człowiek. Sama go spotkała, gdy jeszcze nogi miała mocne i chodziła do lasu. Był tu taki pan, sto lat temu i więcej — ten sam, o którym opowiadała pani Osborne. To właśnie on miał oswojone wiewiórki, czerwone. Pomykały za nim jak małpy i dotąd można je widzieć przy kopcu, dziw że ich szare nie wygryzły, choć takie bestie szkodne a zawzięte. Tak już jest na świecie: jak ktoś jakie miejsce nade wszystko kocha, to na pewno tam wróci i zostanie.

HAZARD I WOJENKA

Strasznie długo ciągnie się ta zima, a bezrobocie każe wszystkim oszczędzać, to znaczy o tej porze roku elektrykę i węgiel, nie mówiąc o żołądku. Ale nie na hazardzie, który staje się tym atrakcyjniejszy przez złądną nadzieję zdobycia fortuny. W Crowleyu reprezentują go dwie od tubylców przyswojone namiętności: „pieski” i footballowe *poole*, bo nie sam football. Pieski czasem latają w sobotnie popołudnia po longfordzkim stadionie, ale dla Crowleyu są sportem zbyt wyspecjalizowanym i interesują się nimi tylko bracia Macioszkowie oraz Felo Pawlak. Świetnie się znają na tych żałosnych stworzeniach o pajęczych nogach, które mordy mają smutne jak na familijnym pogrzebie i skórę cienką jak papierek, wszystkie żebra policzysz, a trzęsie się to jak galareta, nie widzieć: z zimna czy z hysterii. Macioszkowie i Felo znają je z imienia jak gwiazdy filmowe. Nieraz chodzą popatrzeć jak wychowawcy prowadzą je w ciepłych paltkach na spacer, typują faworytów i zajadle debatują nad ich postawą, charakterami i tymi rozpaczliwymi nogami, w których mieszka wszystka psia cnota, która prześciga wiatr. Ale Crowley, który widuje je czasem na podmiejskich spacerach, patrzy z obrzydzeniem na ich smutne mordy i szkielety — istne *memento mori*. Spojrzysz na takiego bydlaka i nawet nie chcąc wspominaasz Irkucką *oblast'* albo inną Amu-Darię i robi ci się marketno.

W Felu widok szlachetnych zwierząt nie budzi takich skojarzeń, bo Stalin go nie ugościł, choć też przeszedł przez piekło, tyle że inne, jak go Szwaby wywlokły ze stolicy i pognały w świat. Smykałkę do gołębi i piesków wyniósł z rodzinnej Pragi, choć tamtejsze pieski, to nie były prerafinowane charty, a zwykłe Muszki, Bukiety i inne cwajnosy. Ale pies to pies, i jak Felo znalazł wreszcie spokojną przystań w Crowleyu, dziedziczne namiętności wybuchły z nową siłą. Z poalianckich gratów zbudował piękny gołębnik, zaludnił młodzieżą z farmerskiego targu i znów, jak na Pradze, stawał na dachu machając szmatą. Co zaś do piesków, to odkrycie longfordzkich wyścigów, owej strawy duchowej tubylczego proletariusza, było tylko kwestią czasu. Okażało się ku zgryzocie Pawlakowej, że warszawski Słowianin i anglosaskie psie misteria są dla siebie stworzone. Felo za nic by wyścigów nie opuścił, a że zakładał się umiarkowanie i nieraz wygrywał, to nie był stratny, więc Pawlakowa przestała robić wielkie piekła i tylko zrzedziła dla formalności, i przy okazji wspominała razem gołębie własne i Evansowe.

Łatwo z tego pojąć jaką Felo teraz przeżywa depresję: przez śmierć pana Evansa i przez pieski, do których surowo mu zabroniono wstępu. Pod koniec stycznia w Longfordzie miały się odbyć wielkie wyścigi z gościnnymi występami zamiejscowych zapaśników, bilety wykupiono dwa tygodnie na zapas i psiarze całej Marchii składali na krzyż palce oraz stukali w niemalowane drzewo zadzierając głowy ku niebu i kalkulując, że jak bluźnie, to rozmyje bieżnię, zatopi trawniki i pieski nie polecą. Na dodatek Felo był bezrobotny i wziął sobie na honor zdobyć większą gotówkę dla rodziny i nic tylko knuł, jak by zapewnić zwycięstwo faworytowi, temu co jest jeszcze chudszy i smutniejszy niż inne, skórę ma żółtą, koło mordy i na piersi nieco podbieloną, i wabi się Jimmy Boy.

W dzień wyścigów stawił się na stadionie niewiarygodnie późno, Macioszki trzymali mu miejsce, i ledwo je zajął jak ogłoszono początek seansu. Elektryczny królik wypadł jak szalony, a za nim przepisowo pieski, każdy w paltku z numerkiem. Jak runęły, to aż migało w oczach i ledwo co odróżnić, bo w tej pasji każdy związał się w węzeł, z tylnymi łapami daleko do przodu, przednimi zaś z tyłu i z grzbietem wygiętym jak scyzoryk. Ledwo przetoczyły się dwa razy, aż zbита tołpa jeła się wydłużać, niektóre zaczęły odstawać, a był z nimi Jimmy Boy obarczony Felowym zakładem. Felo zerwał się z nerwów, choć sarkano wokół, że przeszkadza, Macioszki ciągnęli go za poły. Wołał, gwizdał i macał się za wypchaną pazuchą, i w momencie, gdy wiodący zapaśnicy mieli go mijać, wykonał błyskawiczny ruch, coś łaciatego prysnęło mu z ręki i jak piorun wpadło na stadion. Psy się zakotłowały, królik pomknął samotnie zwykłym torem, a one runęły na przełaj za tym czymś, co między nie wpadło. Publiczność wybuchła sportowym wyciem, bo wszyscy dostrzegli kocura, który spomiędzy piesków wystrzelił na ogrodzenie, świsnął w przejście między ławkami i tyle go widziano. Wyścig był zrujnowany, toteż las pięści uniósł się groźnie i rozległy się obelżywe okrzyki, gdy dyżurny policjant prowadził Fela do wyjścia. Zaraz przypadł jakiś wariat z filmową kamerą i chciał z nim mówić, ale Felo warknął, żeby sobie poszedł do cholery, znaczy po ichniemu „do piekła”, i tak niechlubnie opuścił to rozkoszne miejsce. Ale tamten postawił na swoim, bo nazajutrz *Longfordzki Biuletyn i Obywatel* na pierwszej stronie zamieścił podobiznę Fela w kaszkiecie na bakier i rozpiętej jesionce z wiszącym po kolana białym szalem, a pod spodem szczegółowy opis zajścia wywołanego przez tego cudzoziemca z Crowleyu, oraz komentarz impresaria wyścigów, że to szokujące i niecywilizowane, że w tym kraju takich rzeczy nie będzie się tolerować i że kotu

nic się nie stało, ma się dobrze w przytułku dla zwierząt przy kościele św. Tomasza, opiekuje się nim Wielebny Snell z małżonką. Na to hasło starsze damy z miasta i okolicy runęły na plebanię marząc o adoptowaniu tak ciężko przez los i białych cudzoziemców doświadczonego stworzenia, dzwoniło też z całej Marchii i telefon urywał się długo w noc, aż pastor z małżonką zmuszeni byli przywrócić spokój ogłoszeniem w prasie, że zwierzę znalazło kochającą rodzinę i ma się doskonale.

Tak Felo został do reszty spalony, każdy dowiedział się jak wygląda i nie warto było pchać się na wariata, zaraz by go rozpoznano. Zatrzasnęły się przed nim bramy rajy i cierpiał ogromnie, a w dni wyścigów włączył się wokół stadionu, by choć z okrzyków publiczności wymiarkować co się dzieje. W umówionym miejscu spotykał wracających Macioszków i słuchał łączywie ich sprawozdania, a na drugi dzień kupował *Longfordzki Biuletyn* i mozolnie sylabizował Kronikę Sportową. Wyszło mu to na dobre, bo tak zaczął się przyuczać do angielszczyzny.

Przy tym chudym bezrobociu Crowley ze wzmoczoną pasją oddaje się hazardowi, ale uprawia go pocztą, i tylko najpoważniejsi myślą o sprawach polskich, korzystając z nadmiaru wolnego czasu by uzupełnić swe militarne wykształcenie i nie zostać w tyle, gdy nadejdzie Chwila Dziejowa. A nadejść może lada moment, przecież w amerykańskim Kongresie mówi się o odrzuceniu Jałty, a nawet przeznaczają fundusze na tworzenie wśród uchodźców armii wyzwolenia. Nic dziwnego, że najbardziej patriotyczna część Crowleyu śledzi wypadki z najwyższym zainteresowaniem i boleje, że brak gotówki nie pozwolił jej wziąć udziału w wielkich manewrach na terenie opustoszałego obozu „gdzieś” w Midlandach. Dojazd kosztowny, a zresztą nie mają samochodów ani motorów, tak pożądanych w tej imprezie do zastąpienia czołgów przy ćwiczeniu ruchów taktycznych. Dlatego bez udziału Crowleyu uczestnicy wojennej gry zapoznali się z bronią atomowymi i rolą kawalerii w nowoczesnej wojnie, i to zapoznali na własnej skórze, bo podczas dwugodzinnej akcji w te dziurawe baraki i burzany wałnęły trzy atomówki typu Hiroszima i potem ekipy sanitarne długo zbierały rannych, którzy zdołali ująć z życiem. Straty w ludziach wyniosły tylko 42,2 %, co w wojnie atomowej należy uznać za wynik nader pozytywny, jak później podkreślono w dyskusji sztabowej, która odbyła się, gdy żywi, ranni i polegli zasiedli do żołnierskiego obiadu. Podkreślono, jak doskonale duch panuje w naszych szeregach i jednomyślnie postanowiono opracować, usystematyzować i przekazać do Kół Studiów Wojskowych polską terminologię nowoczesnej

wojny i broni jądrowych, bo na polu prawdziwej bitwy nie będzie czasu jej wyjaśniać i drogo nas to może kosztować.

Crowleyu, jak się rzekło, nie było na manewrach i konferencji oficerów sztabowych, wraz z resztą społeczności skorzystał jednak ze zdobytych tam doświadczeń. Od roku działa tutaj ruchliwe Koło Studiów Wojskowych pod dowództwem najstarszego rangą mjr. dypl. Ostrowskiego. Koło szczególnie ożywiło się podczas bezrobocia i obecnie opiera swą pracę na omawianiu i przyswajaniu sobie materiałów nadesłanych z Londynu i opartych na doświadczeniach manewrów. Nic dziwnego, że Koło ma pełne ręce roboty na posiedzeniach w sobotnie wieczory, po których jego sekretarz, rotmistrz Wolniak, opracowuje rozwlekłe memoriały, zapytania i prośby o wyjaśnienie kwestii formalnych przez centralę. Niewielu niestety crowleyan bierze udział w tej pracy, ale nie ilość stanowi tu o jakości. Prócz oficerów udział bierze narybek przyszłej kadry Wojska Polskiego czyli obie Ofiary Wojny oraz bracia Macioszkowie, wachmistrz Miller i sierżant Bezdrożny. Że wśród tutejszej kadry przeważają kawalerzyści, szczególnie ich interesuje rola kawalerii w wojnie atomowej. Nie zrażają się kpinami tego mamuta Koziewicza, który przed kościołem i przy autobusie z przesadną rewerencją wita naszych — jak powiada — dzielnych obrońców i usiłuje się informować, co nowego w polskich broniach jądrowych na użytek kawalerii. Wcale przy tym nie kryje przekonania, że w bliższej przyszłości wojny światowej nie będzie i skończy się na drobniejszych awanturach wywoływanych przez sowietarzy gdzie się da, dla sprawy polskiej całkiem bezużytecznych. Nic dziwnego, że Koło podejrzliwie patrzy na cynicznego profesora, zwłaszcza że bruździ gdzie się da. Na przykład każdy wie, że to on podjudził łatwowiernego Zawiszę-Kwiczocha do wygłoszenia prelekcji na temat „Co robić?”, nakreślającej program działania dla Emigracji, jakby ta emigracja miała pozostać fenomenem długoterminowym lub zgoła stałym. Powołując się na Żydów i masonów i po wielu mętnych dygresjach na temat Jagiełły i Batorego, oraz po udowodnieniu, że monarchia jest najlepszym ustrojem (gdzie Wolniak dał mu brawo), Beno wywiódł wreszcie, że osiadłszy w Anglii Emigracja winna wyforsować się na naczelne stanowiska w polityce i finansjerze, przeniknąć do parlamentu i sfer rządzących, a wszystko po to, by skutecznie pchnąć Sprawę Polską. Tu wreszcie inżynier Jankowski zawołał, że może by na początek Emigracja nauczyła się po angielsku, i prelekcja skończyła się na wzajemnych złośliwościach. Była niesmaczna nie tylko dlatego, że Koło nie ma bynajmniej celów długoterminowych i pokojowych, ale też że zza Benona wyglądała szydercza maska, strzelające oczka i wypo-

madowana pożyczka Koziewicza, który tak perfidnie posłużył się półgłówkiem.

Takie to postawy przyjmuje męska część Crowleyu, gdy damska pochłonięta jest chorowaniem. Nie wszyscy, jak widać, myślą o bogaceniu się, ale myśli większość, z której liczni uznali, że jedyną drogą jest hazard. Umiłowanie footballowych *poolów* jest bardzo w Crowleyu rozpowszechnione wśród szarej braci kombatanckiej, mikołajczyków i skarbowców, a pan Dekier ośmiela się twierdzić, że widział jak listonosz doręcza charakterystyczne koperty nawet księdzu Turkuciuwi, w co wszelako lepiej nie wierzyć.

Przez te *poole* Crowley kupuje angielskie gazety i ma w palcach terminologię tej umiejętności, a przy okazji czasem spojrzy na pierwszą stronę i dotrze do jego świadomości coś ze spraw tej wyspy, na której przyszło mu żyć. Niektórzy zdołają nawet wyrozumieć co nowego w świecie seksu, zbrodni i sensacji, jak pani Bezdrożna, która regularnie studiuje porzucony przez męża *Daily Mirror*. Choć po angielsku nie skleci zdania, to na tamte rzeczy ma nienasycony apetyt i wszystko wyrozumie, a nawet sąsiadkom wyłoży dokumentnie. *Na poolach*, jak w ogóle wszystkim, zna się lepiej niż mąż i nieraz mu wypełnia kupony albo dyktuje, gdzie stawiać krzyżyk, gdzie kółeczko. Stąd sobie przypisuje zasługę wygrania dwudziestu funtów, które tamtej zimy złapał pan Bezdrożny, a jest to najwyższa nagroda w dziejach Crowleyu. Inni dobrze jak wygrają kiedy parę funciaków, a przeważnie nic i strach pomyśleć ile stracili od czasu gdy hazard chwycił ich w swe szpony. Chwycił i nie puszcza, a szczególnie podczas bezrobocia, gdy forsy jeszcze bardziej trzeba, więc jak odrzucić szansę wielkiego majątku? Zaprawdę lepiej by uczynili dając żonom to co wysyłają z kuponami, a także przestali recytować nazwy drużyn w rodzaju Manchester United, Chelsea, Arsenal i innych, których sam dźwięk uderza do głowy albo ciemnieje w oczach, gdy gazety donoszą o klapie. Darmo profesor kpinkuje publicznie w autobusie, że ci co znają nazwy wszystkich drużyn nie mają pojęcia kto jest aktualnym angielskim premierem.

Ze światem, jak wiadomo, rządzi Opatrzność, nic nie odbywa się bez celu. Tym gorzej dla Słowian, którzy teraz oszczędzają na węglu i elektryce, ale zawsze znajdują szylingi na kupon poolowy. Trudno uwierzyć, że religia graczy nie jest tu sprawą obojętną, a jednak to fakt. I, co więcej, wbrew sprawiedliwości katolicy mają tu mniejsze szanse od innych. Zdarzyło się bowiem pewnego zimowego ranka że listonosz, Mr Bishop, zajechał swym

zgrzytającym rowerem pod barak pani Bezdrożnej. Rącho wybiegła mu na spotkanie, bo Adzius przeciążony nauką od dawna nie pisał, ale z daleka poznała, że to też nie od niego. Kopertę niósł modrą lotniczą, i adres zielonym atramentem, każdy kulas leciał w inną stronę, sama zaś koperta miała ośle uszy i ślady tłustych paluchów. Nic dziwnego, że zawiedziona adresatka nie chciała jej otwierać, zwłaszcza że pismo obce i stempel nieczytelny. Ale jej nazwisko stało jak byk, więc wreszcie rozcięła kopertę i później miała tego gorzko żałować. Lepiej było nieczytane spalić i uniknąć nieszczęścia, ale próżne żale. Okazało się, że list, choć nie bezpośrednio, pochodził jednak z Nieba, mimo że na pierwsze spojrzenie mogłoby się zdawać, że nabazgrała go diabelska łapa: niechlujna, zatłuszczona i wprawniej władająca widłami niż piórem.

Pani Bezdrożna już to miała bez czytania wyrzucić, gdy jej wzrok wyłowił nagłówek zdobny w zakrętasy i z pasją podkreślony trzy razy, aż pióro naddarło papier i prysnęło stadem kleksów:

LANCUCH SWI ANTONIEGO!!!

Swiety Antoni mudł sie za nami za nasz dom daj pokuj i spelni nasz zyczenia amen.

Ty slowa zostali wyslani z Detroit Mich. i majo obejsc caly swiat. Kto pszepiszy 10 razy spotka go wielka radosc i szczescie. Pszepisac i powysylac jeden list co dnia. Rozpowszechniamy ty modlitwe po swiecie jeden ksioc Proboszcz zaraz wygral 3000 dolary. Inny Pan zniszczyl to kartke i mial cieszki wypadek. Jedna panna nie przepisala i urodzila blizniaki i nazeczony jo rzucil. Proszy zrobic co nakazane i czekac na szczescie. Pszy wystaniu podac swoj Address.

Bardzo to panią Bezdrożną zdumiało, zwłaszcza że w rzecz był wmieszany jej ulubieniec, św. Antoni, który nieraz jej znalazł zgubione rzeczy i oby znajdował w przyszłości. Niepokoiły plagi, które spadły na rozrywaczy Lancucha i mogą też spaść na nią, albo — uchowaj Boże — Adziusia z maturą za pasem. Któż nie ma nurtujących życzeń i strachów wystawiających go na szantaż przesądów, wróżb, odstukiwań w niemalowane drzewo i wymykanie się na kabały babki Macioszkowej, choć udaje, że to dla śmiechu? Pani Bezdrożna wpadła w rozterkę, zwłaszcza

że rozsyłanie aż dziesięciu kopii — rzecz pracowita i kosztowna. Wysłać? Nie wysłać? Pobiegła z pismem do pani Jankowskiej, zła tak jej widać podszeptała, bo pani Jankowska orzekła, że taka bujda nadaje się tylko do pieca. Św. Antoni jest bardzo porządnym świętym i nikomu by nie groził urodzeniem nieślubnych dzieci, a także zna na wylot wszystkie ortografie świata z naszą włącznie, no i rąk na pewno nie nurza w tłuszczu. Za chwiejną zgodą adresatki Lancuch spłonął w piecu państwa Jankowskich, ale złe przecucia nie przestały nękać pani Bezdrożnej, nawet gdy się okazało w niedzielę, że nie jest w swej rozterce osamotniona. Ksiądz Turkuć ostrzegł wiernych, że takie święństwo krąży po naszym obozie ku obrazie św. Antoniego i należy je natychmiast spalić. Dodał, że to chyba robota kogoś z tych, co z Crowleyu wyjechali do Ameryki, a może reżymowej ambasady, kto wie — robią co mogą, by siać wśród nas zamęt.

A jednak była w tę sprawę zamieszana siła wyższa, oczywiście zła i tak bezczelnie maskująca się pod świętym imieniem, bo kary, które spadły na rozrywaczy Lancucha były szybkie i surowe. Felo Pawlak został przepędzony z psich olimpiad, pani Bielasowa truła się o Kazika, a państwo Bezdrożni stracili główną wygraną, i to przez jedno niewłaściwie postawione kółeczko — postawione tak na żądanie pani Bezdrożnej, bo jej mąż miał je umieścić tam, gdzie należy, tylko ona uparła się w ostatniej chwili i ostrzegawczo złapała za serce. Gdy ujawniła się strata, atak serca przyszedł natychmiast i hałaśliwością przeszedł wszystkie poprzednie, jedynym winowajcą okazał się pan Bezdrożny, który w ten sposób raz jeszcze złamał jej życie, i na dodatek jątrzył tłumacząc ślamazarnie, że przecież nie można stracić czegoś, czego się nigdy nie miało. Był to straszny wieczór, gdy deszcz ze śniegiem walił że świata nie było widać a rozdzierające okrzyki chorej było słycać w całym osiedlu. Umilkły dopiero na jeszcze głośniejsze ruganie doktora Lloyd'a. Wyrwany z zasłużonego odpoczynku szalał jak rozjuszony nosorożec, przeklinał wszystkie historyczki świata i jak mężczyzna mężczyźnie radził panu Bezdrożnemu, by nie czekając na nowy atak sprawił żonie staromodne lanie, co najlepiej leczy niektóre choroby. A gdy pacjentka wstała wreszcie z łoża boleści, dłuższy czas traktowała panią Jankowską lodowato i czyniła luźne uwagi, że jacy to nasi ludzie są zazdrośni, żeby czasem komuś nie wyszło lepiej.

Crowley radował się złośliwie z kłopotu pani Bezdrożnej, jak to nasi ludzie, ale wkrótce zapomniał, bo robiła się wiosna. Była wczesna i piękna, jak się zdarza po surowej zimie, więc rażno zabrano się do kopania ogrodów, by były gotowe do siewu

nim ożywi się rynek pracy. W tych dniach przedwiośnia obóz zionął urodzajnym kurzym nawozem, tak gorliwie po zimie wytrząsano kurniki i rozprowadzano po grzędach, a po szeroko otwartych na słońce barakach wiatr przechadzał się jeszcze swobodniej niż zimą, wydymał firany przemyślnie dzielące wnętrza na pokoiki i przepędzał zgęstniały przez zimę odór dymu i wilgoci — tę obrzydłą woń nędzy, którą tak często utożsamia się z niechlujstwem. Po niej w longfordzkich sklepach i fabrykach poznawano ludzi z obozu: półosiadłych, niesolidnych i bez stałej pracy, którym rozsądni właściciele sklepów niechętnie dają dobra trwałe na raty. I to mimo niezaprzeczonego faktu, że nie znano ani jednego wypadku, by ktokolwiek z crowleyan zarwał spłaty lub zniknął z towarem w niewiadomym kierunku. Cóż jednak poradzić, że towarzyszący im zimą zapaszek budził najgorsze podejrzenia?

Ale Crowley tym się nie przejmuje, tylko mości się na Pograniczu i zapuszcza w nim korzenie, choć sam tego nie zauważa. Dzieje się to mimowoli i bez przyswajania sobie tubylczej mowy przez starszą część obozu. Jak widać czynnik językowy nie jest nieodzowny. Dla zapuszczania korzeni ważniejsze są dobra trwałe gromadzące się w barakach i czekające żeby stanąć w prawdziwych kamienicach, a także elektryka, woda z kranu, chleb zostawiony przez piekarza w torbie wywieszanej na drzwiach, którego śnieżna biel nie jest już symbolem luksusu, i do niego wędzonka, na kartki wprowadzie, ale co tydzień dostępna. Nic dziwnego, że w takich warunkach Crowley rozradza się coraz liczniej, bo jak inaczej, skoro starszych ludzi tu niewiele, a wiosna znów podsuwa płocze myśli, trzonem obozu są małżeństwa z dziećmi i ksiądz Turkuć, a jeszcze bardziej Róże strzegą moralności.

Tak oto wśród narastającej wiosny, triumfalnego hejnału kogutów, ciepłych deszczów i pachnącego wiatru,

wśród młodego słońca, wrzasku marcujących kotów, bażantów w żywopłotach i dziatwy wyzwolonej nareszcie z warstw spodni, szalów i pałt,

wśród ostrego świstania kosów, krzątanimy sikerek i ochryplego rajcowania gawronów, które przed wiekami dały Crowleyowi jego nazwę, a teraz upadają ze zmęczenia naprawiając stare i budując nowe gniazda,

nutą nadziei i radości, jaką niesie budzące się wokół życie,

ZAMYKAJĄ SIĘ
CROWLEYU KSIĘGI DRUGIE,
ZIMOWE.

WIOSNA

TAKIE BYŁY ZABAWY, SPORY W ONE LATA

Tego roku zima wcześniej zaczęła przesilać się z wiosną i pewnego ranka Crowley zbudził się ogarnięty mgłą tak nieprzeniknioną, że gdyby nie obrzydły skrzek budzików podnoszących młodzież do szkoły, można by się przewrócić na drugi bok i zasnąć w przekonaniu, że jeszcze głęboka noc. Przez cały dzień i następne mgła stała nieruchomo w cichym powietrzu i jeszcze gęstniała, a była ciepła jakby płynęła z łaźni. Samochody wpadały w nią jak w pierze i wlokły się, nie wiedząc gdzie i o co mogą się rozbić, bo nawet żeby dotrzeć światło trzeba było na nie wpaść nosem. Działwa z radością spóźniała się do szkoły i do domu, zagubienie autobusu w mleku było wspaniałą przygodą. Piekarz ledwo zdążył przed nocą rozwieźć chleb po wiosce, przysiółkach i Crowleyu, a listonosz po omacku szukał potrzebnych mu baraków i głośno liczył ścieżki odchodzące od korytarzy.

Tak było przez kilka dni i radio oraz prasa donosiły o dezorganizacji zaopatrzenia w całym kraju oraz o tym, jaka w wielkich miastach ta mgła czarna i trująca i ilu ludzi od niej umiera. Ale w Crowleyu była biała jak śmietana, pachniała świeżą ziemią i zeszłorocznym listowiem, osiadała perliście na badyłach i sznurach do prania, toteż nikomu nie zrobiła nic złego, chyba tylko gawronom u bramy, bo nie wiedziały gdzie lecieć, i sikorkom, które nie umiały po omacku rozkuć wieczka butelek z mlekiem zostawionych przez mleczarza na progach. Pod osłoną tumanów działy się ważne rzeczy i gdy pewnego ranka opar poszedł w górę, odsłaniając las, kopiec, pastwiska i łysą górę, Crowley spostrzegł ze zdumieniem, że jest już wiosna.

O roku ów, kto ciebie widział w obcym kraju! Ogarniają ludzi przecucia tęskne i radosne i mnożą się prognozyki nadej-

ścia wielkich wypadków i chyba pomyślnych, byle do wiosny. Od miesięcy oczy świata zwracają się ku Wyspie, gdzie młoda monarchini właśnie wstąpiła na tron i czyni się rozległe przygotowania do koronacji. Choć to nie średniowiecze, gdy poddani spodziewali się łask ilekroć nowy władca wstępował na tron, to jednak i teraz kraj oczekuje dobrego, choć nikt nie nazwie tych nadziei po imieniu, tym bardziej że dawniej król rządził i mógł rozdawać fawory, przywileje i immunitety, a teraz tylko panuje i ładnie wygląda podczas oficjalnych wystąpień. Ale młoda królowa budzi życzliwość, toteż Woolworthy masowo sprzedają jej fotografie, a portrety wiszą i zdobią kominki we wszystkich chyba tubylczych domach i nawet w Crowleyu znalazłyby się z tuzin przy łózkach dziatwy szkolnej. Jest to tylko prywatne uwielbienie, bo podobiznę władczyni i insygnia jej władzy wyeksponowano gdzie się da. Jest na torebkach z firmowymi napisami, w które ekspedientki pakują towary, zajmuje honorowe miejsce w sklepach i na wystawach i nawet longfordzki zakład pogrzebowy przy kościele św. Piotra w Okowach, ten co frontowe podwóreczko ma jak cmentarzyk z nagrobkami i aniołami różnego wzrostu, które smucą się lub wskazują w niebo, ozdobił swe okno okazałym portretem Elżbiety II wśród blaszanych lilii, palm i wieńców. Crowley sarka na to i powiada z wyższością, że u nas takiego drania zamknęliby do Berezy. Ale tubylcy nic w tym nie widzą niestosownego, a przeciwnie — miły dowód sympatii dla władczyni.

Jak kraj szeroki, władze lokalne szykują huczne uroczystości, a nawet mieszkańcy poszczególnych ulic zbierają składki i planują własne karnawały, kostiumowe bale, oceany herbaty z biskwitami i zabawy dla dzieci, nie mówiąc o barwnych dekoracjach, które przeciągnie się w poprzek ulic. Longfordzki magistrat szykuje wielką fetę, która odbędzie się na placu między kościołem św. Piotra i halą rynkową, i do udziału zaproszono także Crowley. List z magistratu przyszedł przed Bożym Narodzeniem do Zjednoczenia Mieszkańców Osiedla Crowley, co bardzo im pochlebiło i pod artystycznym nadzorem Michała, syna Zuzy, ruchliwe Koło Sportowe co sobota ćwiczy siarczyste krakowiaki i mazury, by w wielki dzień pokazać tubylcom, że nie wyskoczyliśmy sroce spod ogona.

W ten sposób cały kraj a w nim każdy mieszkaniec jest w jakiś sposób związany z koronacją, a gazety co dzień przynoszą nowe szczegóły, tak że nawet zapadłe kąty są w środku wielkich wydarzeń. Crowleyscy panowie zawsze chętnie spojrzą na niczego wartą babkę, obojętnie kucharka czy królowa, ale bardziej zaan-

gażowane są panie, nie tylko przez solidarność z tą matką drobnych dzieci i żoną przystojnego oficera, ale też ze względu na sensacje, jakie niesie moda roku koronacyjnego.

Moda na nadchodzący sezon zapowiada się niezwykle interesująco, zwłaszcza że można w niej zauważyć połączenie dwu przeciwnych sobie kierunków: monarchicznego — natchnionego przez koronację, i republikańskiego, który wciska się zza oceanu, a za natchnienie ma prezydentową Mamie Eisenhower. Już zimą londyńscy dyktatorzy mody ustanowili, że w roku koronacyjnym zapanuje rozweselający serca kolor różowy, od najjaśniejszego zwanego „muszla” aż po nasycony rubin, ale najmodniejszy będzie „szampański”, to jest barwa, jaką w kryształowym kielichu przybiera pod wpływem światła różowy szampan. Zresztą różowy jest kolorem szalenie twarzowym, tak że każda pani znajdzie odpowiedni odcień, no i oczywiście jest wymarzony w połączeniu z tak ostatnio modnym szarym oraz beżowym. Makijaż przewiduje się naturalny: minimum różu, puder ochrowy i czerwona pomadka, obojętnie czy chce się wyprodukować kobietę-kwiat, kobietę-wampa, czy też po prostu wielką damę. I jeszcze: kostiumy nadchodzącego sezonu będą miały bardzo wąskie spódnice i krótkie, dopasowane żakiety, płaszcze będą wcięte w talii, a suknie otrzymają szeroko rozkloszowane spódnice i ogromne mankiety, spiczaste jak kogucie ostrogi i szalenie niepraktyczne.

Nastroje koronacyjne udzielają się również paryskiej *haute couture*, Mme Schiaparelli umieszcza monarchiczne emblematy na wyłogach i kieszeniach a Dior lansuje ogromne romantyczne kapelusze w których tak ponoć do twarzy Elżbiecie II, choć publicznie nie śmie się w nich pokazać tłumom spragnionym jej widoku. Dior jest jednak bezsilny wobec mody republikańskiej, która *via* — kto uwierzy? — Wyspy Brytyjskie zstąpiła na Paryż, a która polega głównie na przybraniu głowy i fryzurze. Sensacja jest tym większa, że brytyjski przemysł kapelusznicy od lat 1930-tych był w upadku wskutek rozpowszechnienia mody gołogłowej. Ale teraz gazety opisują z uwielbieniem, jak podczas niedawnej kampanii prezydenckiej Mamie woziła ze sobą pięćdziesiąt kapeluszy, by odpowiednio poprzeć męzowską kandydaturę, a zamieszkawszy w Białym Domu rozpoczęła panowanie od zamówienia w jednym tylko salonie tuzina tych ozdób damskiej główki. Z czego wynika paradoks: że kapelusze roku koronacyjnego będą naśladowały Pierwszą Damę USA, a więc będą małe, wdzięcznie obramują twarz i podkreślą grzywkę. Grzywka zresztą nie musi być własna, można ją nabyć we wszelkich odcieniach i za każdą cenę, nawet u Woolwortha.

Z nadchodzącą wiosną rewolucja mody ogarnia Zjednoczone Królestwo i nie omija Crowleyu. Ale że to przednowek, to na większą skalę zagnieździ się w obozie dopiero gdy ruszą fabryki i roboty w polu, co obdarzy panie mocą nabywczą. Póki co, za radą „Zwierciadła Pani” w polskiej londyńskiej gazecie Crowley ograniczy się do kokardki z różowej aksamitki przy koźnierzyku lub bukiecika bladoróżowych różyczek od Woolwortha do butonierki, a stary kapelusz ozdobi za parę szylingów różową woalką lub fontaziem, tak że nawet bidusia pani Bielińska (onaż Dubielowa) wreszcie pozwoli sobie na oderwanie zrudziałej kokardy od Księcia Bogusława i ozdobienie go szampańską apaszką o końcach zwisających na plecach. Zresztą całość stroju można odświeżyć stosunkowo niedrogo przy pomocy wytwornych *najlonów* reklamowanych przez tęże gazetę. Są one trojakiego rodzaju: od codnia Stalowe, od święta Linia Wdzięku oraz, dla najwybredniejszych, Marzenie Wszystkich Pań z ozdobną piętka i strzałką od niej dwuznacznie mierzącą do góry.

By nic już nie brakło do szczęścia, w początkach roku koronacyjnego łaski sypią się na wszystkich bez różnicy mieszkańców Wyspy. W lutym rację bekonu podnosi się z czterech do pięciu uncji, ale to jeszcze nic wobec zniesienia wstrętnych kartek na cukierki. Dreszcz radości przebiega kraj z dawna słynący z największej w kulturalnym świecie konsumpcji słodczy i towarzyszącego jej rozpowszechnienia fałszywych zębów tkwiących jak łopaty w pomarańczowych dziąsłach. Są one tak masowe, że longfordzcy dentyści ciągle jeszcze wpadają w zdumienie na widok słowiańskich szczęk w stanie danym przez naturę. Teraz zwali się na nich masa roboty: starczy przejść się po mieście i popatrzeć jak tłumy kobiet i dzieci oblegają sklepy z cukierkami w obawie że powróci racjonowanie. A to jeszcze nie koniec łask, bo zaraz-że, pierwszy raz od dwunastu lat, znosi się racjonowanie jajek i w dniu, gdy Związek Brytyjskich Hodowców Drobiu wręcza premierowi Churchillowi w prezencie tuzin jaj, crowley-skie kurniki tracą w ogromnym stopniu swój *raison d'être*. Dzięki tyłu pomyślnym wypadkom Wyspa wkracza w sezon koronacyjny z wiarą i nadzieją w sercu.

Ale to wszystko nie przysłania spraw ciekawych i doniosłych, które rozgrywają się właśnie w świecie i Crowley też nie jest od nich odcięty, skoro świadome swych obowiązków *Dziennik* i *Narodowiec* sumiennie go informują, a tubylcza prasa, nabywana w celach *poolowych*, dorzuca liczne ilustracje. A więc sprawa eks-króla Faruka, z którego gościny wielu naszych panów korzystało podczas wojny i który zatem nikomu z nas nie jest

obcy, w dowód czego Crowley nazwał tym imieniem Stasiuczka państwa Antoszków. Otóż królowa Narriman ogłasza *urbi et orbi*, że jej małżeństwo z tym monarchą było koszmarem i występuje o rozwód. Brukowce Wolnego Świata zachłystują się z radości, co dzień przynoszą nowe fotografie i pikantne detale ilustrujące ów koszmar, i gdy wreszcie ogień zaczyna przygasać, płochy eks-monarcha przerywa na chwilę swe płochy rozrywki, by za pośrednictwem najpoczytniejszych brukowców w wielu językach poinformować zbuntowaną małżonkę, że ją kocha i błaga o powrót. A obok niego uwagę ludzkości zaprzatają kłopoty Tommy Manville'a, króla Alimentów, który znów znalazł się w niemiłej sytuacji: właśnie uciekła mu dziewiąta Mrs Manville i perfidnie odmawia zgody na rozwód, a on z głębi niesytego serca pragnie poślubić uroczą Lilian. Nic dziwnego, że brukowce gonią jak sfora za lisem i wytropią go nawet gdy ujdzie pod ziemię.

W cieniu tych sławnych spraw toczą się inne, równie pikantne, lecz zasięgiem ograniczone do Wyspy, dotyczą bowiem zubożałej miejscowej arystokracji i sfer wojskowych, które ciągle jeszcze porządkują sytuacje rodzinne zastane w domu po powrocie z wojny. Ale Faruk i Tommy zaćmili nie tylko ich, lecz i nudne sprawy, których teatrem jest właśnie Kongres. W Crowleyu śledzi je tylko Koło Studiów Wojskowych, skarbowcy i część kombatantów — ci mianowicie, którzy marzą o powrocie do domu, a także profesor Koziewicz, który się po swoim szydlerczo uśmiecha i twierdzi, że to słomiany ogień. Koło Studiów Wojskowych jest pełne nowego zapału bo czuje, że z nadejściem wiosny trzeba być gotowym na wielkie wydarzenia. Nie są to pobożne życzenia, bo Warszawa jest niespokojna i, może w skutek szpiegowania Crowleyu, pod koniec zimy składa formalny protest na ręce Rządu JKM na dywersyjne bandy wśród emigracji prowadzące zdradziecką akcję przeciw swej Ojczyźnie. Protest ten bardzo pochlebia Kołu Studiów Wojskowych, świadczy bowiem, że jego wysiłki trafiają w sedno. Dzięki awanturze w Korei i rewelacjom Komisji Katyńskiej świat zachodni porzuca wreszcie złudzenia co do dobrotliwości Wujka Józia, a Premier Churchill stwierdza w Izbie Gmin, że w Anglii wybuchłyby zamieszki, gdyby jej najlepszych lekarzy oskarżono o próbę otrucia członków Rządu JKM.

Tak: przełomowe decyzje nadejdą zza oceanu, zgodnie z błogosławioną tradycją prezydenta Wilsona. W ogólnym zarysie Sprawa Polska przedstawia się tam nadzwyczaj pomyślnie: jak informuje *Dziennik*, Polonia trwa nieugięcie przy Starym Kraju — w Chicago nikt nie tańczy rumbi, tylko same oberki i kuja-

wiaki, klnie wyłącznie po polsku i za największy przysmak ma krakowską kiełbasę. A w Londynie dzięki wysiłkom gen. Sosnkowskiego Emigracja coraz piękniej się jednoczy i lada chwila zapanuje (naturalnie z wyłączeniem mikołajczyków) ogólne Kochajmy się. Na mikołajczyków w Crowleyu urodzaj, co walnie dopomaga skarbowcom radować się z porażki obozu jałtańskiego. Tak, nadchodząca chwila zastanie Crowley gotowy.

W tym właśnie momencie, gdy wypadki i prognozyki niemożebnie się zagęszczają, panią Bezdrożną znaną z wróżebnych snów nawiedza sen o wielkim znaczeniu, niby sen Józefa. Zebrane w pralni niewiasty nie potrafią wymiarkować jego ukrytego znaczenia, ale zgadzają się, że samo się okaże i dla Crowleyu powinno być pomyślne. Otóż w tym śnie jest piękny dzień bez chmurki i pani Bezdrożna stoi sobie na placu autobusowym pośrodku Crowleyu. Stoi i patrzy i słyszy samolot. Warczy coraz głośniejszy, wylatuje zza Łysej góry i leci jakby nigdy nic, choć nie ma skrzydeł, podługowate takie i błyszczące, i już jest nad barakami. Ją ogarnia przerażenie, nogi jak kłody i ani uciec, choć wie, że to bomba atomowa. Już ma łupnąć w Crowley, aż raptem robi w tył zwrot i odlatuje skąd przyszła, to znaczy na wschód: kierunek jest niewątpliwie ważny. A Crowley stoi jak stał, niebo nad nim bez chmurki, a pani Bezdrożna budzi się zrana zimnym potem i z ogromną ulgą: że złe było tuż-tuż, ale zawróciło do Ruskich.

Zaraz-że się okazało, że zawróciło nie bez kozery. Już na drugi wieczór, gdy mgła jeszcze zgęstniała, przez koślawe drzwi i okna laża do baraków i rozpraszało się w niej światło lampy jak blask ulicznych latarni, Crowley jak zwykle nastawił swe radia — kto na Paryż, kto na Madryt albo polski Londyn, i przy ich swojskim wtórze zabrał się do wieczerzy. I zakrztusił się od nagłego szoku, chleb z dżemem do gorzkiej kawy kołkiem mu stanął i trzeba było dobrej chwili, by się obluzował i spłynął gdzie należy. Dalekie, zdyszane głosy zwiastowały rzecz tak wielką a radosną, że przez te dale wyraźnie było słyhać jak je zatyka z emocji, a może ze strachu, że to wesele może wszystko zaczarować. Na chwilę przycichły dla przełknięcia wzruszenia, Crowley wyteżył uszy do bólu i mało nie krzyczał „prędzej!”, nim wreszcie spikerzy opanowali się i zagrzmieni triumfalnie, że ten piekielnik Stalin leży na śmiertelnej pościeli. Leży ponad wszelką wątpliwość, Moskwa już rano ogłosiła, że trzy dni temu trącił go paraliż. O Jezu, o słodki Jezu! Nic dziwnego, że innych głupstw nikt już nie chciał słyhać i wiele rąk sięgnęło po resztówkę Bożenarodzeniowej butelczyny, schowaną na Wiel-

kanoc. Tak doczekali rana i spierali się, jedni biegali do drugich by się upewnić: przesłyszeli my się, czy co? Aż rano nadeszła londyńska gazeta, gdzie stało drukowane i już wątpić było nie sposób. Na pierwszej stronie ogromne litery głosiły, że to prawda, a pod spodem dokładnie a smakowicie opisano cierpienia nęka-jące tego piekielnika: stracił przytomność, ciężko oddycha, nie powie słowa i inne detale, i że zdesperowani lekarze zawezwali na pomoc — któż by uwierzył? — pijawki, a także penicylinę. Ta ostatnia brzmi groźnie, nie darmo każdy jej na wszystko żąda od doktora Lloyda, więc ogrania strach, że tak wspaniały lek postawi zbrodnia na nogi. Felo Pawlak oświadcza gotowość ślu-bowania, że jego noga NIGDY więcej nie stanie na psich wyści-gach, jeśli Pan Bóg zezwoli, żeby drania szlag trafił na amen. Pan Dekier stoi na przystanku i każdego zaczepia by się dowie-dzieć co przewiduje, a rączki zaciera i wyraża się jeszcze wykwint-niej niż zwykle, a babka Macioszkowa nagłona przez sąsiadki próbuje pokonać przestrzeń między Crowleyem i Moskwą i wy-jaśnić przyszłość. Po raz dwudziesty rozkłada karty na starszego bruneta i odlicza po siedem, ale ciągle się myli i choć ma pełną garść dzwonek, a wśród nich czarną damę, to nijak nie może wymiarkować: życie przy nim czy śmierć? Tylko Sitaczka z Bur-lejką pomyślały o metodzie naukowej i na trzy kwadransy przed otwarciem przychodni doktora Lloyda wiercą się pod drzwiami i niecierpliwie naglądają ku bramie za jego zgrzytliwą landarą. Niech fachowiec powie od razu, bez czekania na wieczorne radio: wyzdrowieje czy nie? Skracają sobie czas przypominając sobie podobne wypadki, a idące do sklepiku panie włączają się do tych rozważań. Babka Gąsowska w burej kapocie zżyma się i stuka kijem, ani rusz nie mogąc pojąć kogo bierze cholera, więc na wszelki wypadek głośno intonuje „wieczne odpoczywa-nie”, a Pocałujkowa Zuza wiesza na krzaku torbę i razem zostaje czekać na doktora. Wreszcie nadjeżdża i ledwo wygramolił się z samochodu, aż tu wpadają nań trzy niewiasty, tkają pod oczy polską gazetę, machają rękoma i pokazują na głowę jakby chciały powiedzieć, że ktoś sfiksował. W kółko powtarzają „Stalin”, babka dzwoni wielkim różańcem, aż doktora ogarnia irytacja na dokuczliwość tych cudzoziemców. W tej chwili przychodzi z od-sieczą Mr Wolniak, by mu wreszcie wyłożyć, że Crowley życzy sobie wiedzieć czy Stalin będzie żył, to znaczy Crowley nie chce aby to się stało, ale zaniepokoił się penicyliną, bo to taki cu-downy lek. Doktor wpada w jeszcze gorsze rozdrażnienie, bun-tuje go tak bezwstydnie czyhanie na śmierć. Burczy, że nie jest grabarzem, a tamten dżentelmen jego pacjentem, i tak zostawia

z niczym trzy panie z gazetą i babkę, która spluwa i grozi mu kijem, a rotmistrz radzi im rozsądnie: poczekać — zobaczyć, po czym wchodzi za doktorem na urzędowanie.

Tymczasem wielki świat staje dęba. Nowojorska giełda reaguje wielkim spadkiem kursu, bo ostrożność nie zawadzi wobec niewyraźnej sytuacji w polityce. Rządy zachodnie ślą na Kreml obłudne słowa współczucia, a statyści zachodzą w głowę, kto odziedziczy czerwony tron. Jedni proponują Berię, inni Malenkowa i rozważają czym który pachnie. W międzyczasie Słońce Narodów zachodzi wolno acz nieubłagane i gdy niecierpliwość crowleyan staje się nie do wytrzymania, świat obiega dreszcz: zgasło! Zgasło prawdziwie i nieodwracalnie, jak potwierdzają w gazetach fotografie tygrysiej fizjonomii wystawionej na widok publiczny wśród kwiatów, sztandarów, transparentów i zatroskanych dygnitarzy. Choć przez te dni Crowley marzył właśnie o tym, teraz raptem osłupiał jakby wyleciało dno świata. Przecież ten drań zgnoił im życie, wszystkim przyniósł wojnę, a wielu ze wszystkiego obrabował, wywłókł na Sybir, zamorzył krewnych i dzieci, i dotąd wisiał nad światem jak dzuma. I teraz raptem tak zwyczajnie: nie ma i już! Zmarł jak każdy człowiek i nie wróci. Wszyscy czują dziwną ulgę, wielu dziękuje Panu Jezusowi z wezbranych serc, choć to ponoć grzech, aż tu Żywe Róże ogarnia panika: gazeta przynosi wieść całkiem nieprawdopodobną, chyba bluźnierczą: oto Ojciec św. Pius XII we własnej świątobliwej osobie zanosí modły za duszę tego Lucypera, a radio Watykan nawołuje, by wierni czynili to samo nie myśląc o czynach nieboszczyka, tylko o jego nieśmiertelnej duszy, którą Stwórca dał mu jak każdemu z nas. Słyszane rzeczy! Pierwszy raz, i chyba ostatni, Róże są zgorszona Stolicą Apostolską i na okres przejściowy powstaje duchowa schizma między Crowleyem i Watykanem, a zapalczywsze głośno twierdzą i nikogo tym nie gorszą (bo ksiądz Turkuć jakby zniknął) że nie ma mowy, by taki potwór miał duszę jak pani albo ja. Tym zajadlej rzucają się na radio Paryż i Madryt, na polską londyńską prasę, które z lubością opisują przeogromny paroksyzm bólu, jaki poraził czerwone imperium wraz z naszą Ojczyzną. Katowice stają się Stalino-grodem, Pałac Kultury — Pałacem Stalina, ZMP powiadamia depeszą braci-komsomolców, że swe wolne, szczęśliwe życie zawdzięcza Naszemu Ukochanemu Przyjacielowi. Drobną dziatwa samorzutnie znosi bukietki wiosennego kwiecia pod portrety Wielkiego Umrzyka, a jej zalani łzami ojcowie podejmują dalsze zobowiązania ku Jego czci, przy czym wielu po raz pierwszy w życiu wchodzi na łamy prasy, jak ten rębacz z kopalni Kleofas,

który czuje, że umarł mu Ktoś Najbliższy i Najukochańszy, wytapiacz z huty Ferrum, który do końca miesiąca przyrzeka przeprowadzić 25 szybkościowych i 46 przyspieszonych wytopów, oraz cieśla, oświadczający z prostotą, że bez Niego będzie ciężiej żyć i pracować. Chłop polski w ramach ogólnokrajowych Czynów na Cześć Wielkiego Zmarłego błyskawicznie przeprowadza wiosenne siewy, a świat nauki też nie chce być w tyle i prezes PAN zapewnia, że polscy uczeni nigdy nie zejną z drogi wskazanej przez Koryfeusza Wszechnauk. Świat literatury drży w posadach i poeci zaczynają przemawiać prozą, a prozaicy mówią wianą: znany poeta Tuwim ogłasza, że „wielka jest nasza ziemia, a nie ma na niej — jak długa i szeroka — takiego kilometra, na którym ludzie nie opłakiwaliby śmierci ukochanego swego brata, obrońcy, nauczyciela, prawodawcy sumień”, a jego kolega Putrament wybucha rymami:

*Kraju mój, przez pięć lat więziony,
Tratowany okrutną wojną,
Umarł ten, kto tobie
Przyniósł pokój i wolność.
Z jego ludem szeregi zwieraj,
Łam trudności, odpieraj wroga!*

Rozpaczy tej, wedle najlepszych wzorów, wtóruje natura: według starego kpiarza Konstantego Ildefonsa „broczy Wisła jak otwarta rana”, a Jan Brzoza grozi, że „zadrży w posadach ziemia od tego żalu nadmiernego”. Od tego drżenia hurgot idzie aż przez Crowley, gdzie mało kto wie co zacz Tuwim, Putrament i Brzoza, ale ich treny czyta ze smakiem na łamach londyńskiej gazety i wyszczerza zęby.

KOPCIUSZKA PRZEMIENIĆ W KRÓLEWNĘ

Tydzień przed Wielkanocą w Crowley wałał grom, a był tym bardziej zaskakujący, że wydarzył się tuż po rekolekcjach, które skierowały myśli wiernych w inne regiony. Bo przez uprzednie trzy wieczory crowleyanie schodzili się wieczorem do

kaplicy, by w skupieniu wysłuchać Księdza Magistra. Siedzieli zasępieni, jakby posypani popiołem, rozważali bezmiar nieprawości własnych, a jeszcze bardziej sąsiadów, i żalowali za nie, i tylko najpobożniejsze z niewiast spod pokornie schylonych czoł strzelały oczyma po bliźnich, szukając co by im w tym pokutnym okresie wziąć za złe. Trzeba przyznać, że byli wśród nich tacy, których występki szczególnie kłuły w oczy, toteż na generalnej spowiedzi w sobotę wiele osób wyznawało grzechy cudze. Na niedzielnym kazaniu wytknął to ksiądz Turkuć, oczywiście bez bliższych szczegółów pozwalających na identyfikację, bo byłoby to naruszeniem sakramentalnej tajemnicy. Dodał przy tym, że z okazji świętych rekolekcji doszło do czynów godnych ubolewania, choć płynących poniekąd ze świeżo rozbudzonego obrzydzenia do grzechu. W piątek mianowicie, po ostatniej egzorcie, karząca dłoń spadła niespodzianie na chudą panią Szydłową, co klęcząca u przejścia kończąc Akty Strzeliste i bijąc się w piersi, gdy reszta zgromadzonych już ruszyła ławą do drzwi. Stąd wszyscy widzieli jak przechodząc koło niej pani Antoszkowa błysnęła raptem pięścią jak maczuga i z okrzykiem „ty pokrako, Uzbeczko, makutro!” trzasnęła klęczącą w kornie schylony kark że mało twarzą nie padła na ziemię. Nikt nie wiedział czy znów poszło o kury, czy o tę Uzbeczkę, ale wszyscy byli zgorszeni takim zachowaniem w domu Bożym i Żywe Róże natychmiast doniosły o zajściu księdzu Turkucowi, który już był w zakrystii i niczego nie widział.

Gdy rokowania nie dały skutku, a przeciwnie — gorszycielka stanowczo odmówiła przeprosin, usunięto ją karnie z Pierwszej Żywej Róży Pań. Stało się to trochę później, na miesięcznej wymianie Tajemniczek i po przykładowym napiętnowaniu jej od ołtarza — oczywiście nie imiennie, a pod kryptonimem „pewnej osoby zamieszkałej w naszym obozie, na górce koło pałacu”, podczas niedzielного kazania. Działo się to w dzień generalnej Komunii św. wielkanocnej, w Palmową Niedzielę, gdy dziatwa przyniosła na sumę taką masę kotków, że obozowe wierzby z dala świeciły żałośnie skancerowanymi kikutami. Dużo było z tego zamieszania, bo psotniki umilały sobie godzinną egzortę łaskocąc palmami po nogach i puszczając oczka w modnych *najlonach* ze strzałką, a także wyciągały je nad głowami wiernych niszcząc fryzury i woalki. Ale zgromadzeni czekali z napiętą uwagą, jak też się oberwie tej Antoszkowej, tak że nawet mikołajczyki i skarbowcy wierni przysiędze pogasili papierosy i jeszcze przed Ewangelią weszli tłumnie do świątyni. Antoszkowa rzecz jasna przezornie się nie stawiała, więc o niczym nie wiedziała — o tym

nawet, że przed „Boże coś Polskę” odmówiono za nią chórem Zdrowaśkę. Odmówiono zresztą bez należytego skupienia, bo właśnie poraził ich świeżo ten grom i inne myśli cisnęły się do głowy.

Było zaś tak: po Ewangelii gromadka ministrantów przysiadła jak stadko gołębi na stopnich ołtarza, a ksiądz stanął u balustrady, by jak zwykle rozpocząć od bieżących ogłoszeń, których tym razem było mnóstwo ze względu na nadchodzącą liturgię Wielkiego Tygodnia. Najpierw głosił je po polsku, potem po angielsku ze względu na Lichutkową Pamelę i małe Lichutki oraz z kurtuazji wobec kraju, który nam udziela gościny w drodze do Wolnej Polski. I jeszcze był jak zwykle wśród ludu gruby Mr O'Brian z wioski ze swą hojnie ubłogosławioną irlandzką rodziną. Z takich względów ksiądz Turkuć zwykł powtarzać ogłoszenia po angielsku, co mu szło jak po grudzie, a jednak nie chciał słyszeć, by to za niego uczynił Heniu Śmidowicz. A dziś szło mu jeszcze oporniej, bo jak oddać w tym języku bogaty ceremoniał Wielkiego Tygodnia? Bóg jeden wie czy O'Brianowie i Pamela w ogóle co pojęli, a jak nie, to i lepiej, bo by się może obrazili, że ci cudzoziemcy tak od ołtarza wykpiwają ich jadło. Ksiądz Turkuć męczył się próbując należycie wyjaśnić im naturę staropolskiego święconego: że do święcenia przynosi się jajka — ale nie te angielskie z czekolady, *inglisz czoklad egg* od Woolwortha, tylko prawdziwe, od *cziken ko ko ko*. I Boże broń angielskie kiełbaski, *inglisz sosydz*, które są *very bad*: do kościoła przynieść należy *polisz sosydz*, taką od wieprza, którą sprzedaje Mr Wiewiór, jak jadał nasi ojcowie i Pan Bóg przykazał. Także *bring czercz polisz stit butka, buter, satt* i inne smakołyki. Od tego wyjaśniania oczy tubylców zrobiły się całkiem okrągłe, a zapalczywy piwosz O'Brian aż poczerwieniał i chyba potem zakazał żonie raz na zawsze brudzić ręce (gdyby nawet miała taki zamiar) tym złowrogim wiktem z za siedmiu mórz. Stąd nie widzieli jak nasi ludzie jedzą smacznie i wystawnie, a szkoda, bo by skonali z zazdrości widząc jak nasze panie niosą do kaplicy zwoje czosnkowych kiełbas, ogromne baby zawdzięczające swą zółciutką pulchność crowleyskim kurnikom, kontynentalne salcesony dostarczone bez kuponów przez polskie budy z Manchesteru, punktowe masełko mokrą łyżką uformowane w róże, a nawet całą świńską głowę z pisanką w zębach i bukszpanową butonierką frywolnie zatknietą za ucho, którą pani Bielasowa przywiozła na tacy w dziecinnym wózku. Jak co roku, święcący szacowali swą wzajemną wartość po obfitości i wystawności przyniesionego jadła, na które wypuszczali resztki zeszłorocznych oszczędności.

To było jednak dopiero w Wielką Sobotę, gdy z tego gromu zostało tylko hurkocące echo. Teraz zaś ksiądz męczy się i krztusi, każąc językowi wypowiedzieć co pomyśli głowa. Nic dziwnego że aż poczerwieniał i widać jaka go ogarnia irytacja. Gdy się wreszcie upora ze święconym, następną wiadomość poda z taką irytacją jakby ją potępił, i to jeszcze wzmoże uczucie szoku, że mianowicie w święty związek małżeński mają wstąpić następujące osoby: William Lacy, wyznania anglikańskiego, wdowiec, właściciel ziemski zamieszkały w Dunwell koło Longfordu oraz Pelagia Dyderko, panna, wyznania rzym-kat, studentka nauk sekretarskich, zamieszkała w naszym obozie, i że kto by wiedział o przeszkodach, obowiązany jest pod grzechem ciężkim.

Jezus Maryjo, aż ludziom dech zapiera i tylko patrzą po sobie, siedzący z przodka odwracają się do tyłu, a od ołtarza Żywe Róże wiercą wszystkich ślepiami — ze zdumienia i na wszelki wypadek, bo przecież panią Dyderkową mają za prezeskę i jakie tu zająć stanowisko? I zaraz po kaplicy niesie się szept, bo bystrzejsi już zmiarkowali, że to ten stary i piekielnie bogaty farmer, u którego nasze panie drą chmiel i zbierają jabłka, skąd dobrze wiedzą jaki to wielki pan: jego sady, chmielniki, pola i pastwiska ciągną się jak okiem sięgnąć po zboczach pagórków i przelewają na drugą stronę, Bóg jeden wie gdzie ich koniec. Dom ma wprawdzie stary, ale godny, prawdziwy dwór, istna pańska rezydencja. Któż by pomyślał, że ta Pela, to słodkie dziewczę, ta Miss Polonia i królowa balów tak tu przez statecznych ojców rodzin podziwiana, a naszej kawalerce niedostępna — ona, co do trzech nie policzy — nie, to ludzkie pojęcie przechodzi! Jak to nosa drze, nad innych się wynosi, pańskość jej zapachniała! Cóż ona lepszego, w baraku jak ludzie siedzieć nie łąska? A jak teraz Dyderki będą zadzierać nosa, strzeż nas Panie Boże! Zaraz więc każdy wiedział o stu przeszkodach do tego małżeństwa, głównie majątkowych, i w sumieniu czuł się obowiązany o nich zawiadomić, a także wypomnieć, że narzeczony heretyk, ale cóż — należy wątpić czy zatajenie ich byłoby grzechem ciężkim.

Po egzorcie, której nikt już nie słyszał, nabożeństwo toczy się zwykłą koleją, wierni posłusznie klękają, wstają i siadają, Zawisza-Kwiczół męczy fisharmonię, a wszyscy myślą tylko o jednym i oczu nie spuszczają z rodziny Dyderków rozsiadłej jakby nic nieopodal ołtarza. Jest szczególnie irytujące, że tak po cichu wszystko załatwili, ani nikt nie przypuszczał, chytrusy podłe. Tymczasem oni udają, że nic się nie stało, pani Dyderkowa

dzwoni różańcem i pękniętym sopranem podejmuje pienia, jej mąż pogodnie się uśmiecha, Pela ma na buzi zwykły wyraz anielskiego zagapienia, a Krysia strzela oczyma po dzieciach. Strach pomyśleć jak te Dyderki będą niemożliwie odstawiać państwo, życie do reszty w tym Crowleyu obrzydnie. Nic dziwnego, że po wyjściu ze świątyni lud zbija się w gromadki na ścieżkach i korytarzach, zawzięcie rajcuje i niechętnie rozprasza, choć działywa targa za ręce i kapoty, łaskoce święconymi palmami i coraz nachalniej żąda obiadu. Stąd wreszcie dyskutanci podążają na własne osiedla i tu debatują w mniejszych grupkach, tak że gdy przynaglone wreszcie sarkaniem mężów i natarczywością dzieci nasze panie wezmą się za posiłek, to wyjdzie z niego podwieczorek i nie starczy czasu na niedzielną promenadę. Trudno uwierzyć, że tym razem wszyscy się zgodzili: że kto jak kto, ale oni nigdy by nie sprzedali córki za złoto staremu dziadowi i na dodatek heretykowi, a niektórzy dziwili się obłudnie, że Ksiądz Magister do tego dopuścił. Co zaś mówiono u państwa Dyderków, gdzie pod wieczór wpadło przypadkiem kilka Róż, tego nigdy się nie dowiemy, ale nazajutrz obie Żywe Róże Pań wyjaśniały w sklepiku, na placu i w autobusie stanowisko prezeski. Okazało się, że postanowiła poświęcić córkę — strasznie zresztą zakochaną — dla nawrócenia zięcia, który wierze katolickiej jest bardzo przyjazny i wychrzci się we właściwym czasie z wielkiej miłości do Peli. No i ślub będzie oczywiście katolicki, udzieli go Ksiądz Magister, a potomstwo wychowa się w prawdziwej wierze. Ten William świata za Pelunią nie widzi, cały czas ją obsypuje prezentami.

Po takich wyjaśnieniach tylko najzłośliwsze panie wyśmiewały się, ale dyskretnie: że jakie tam potomstwo, skoro pan młody starszy pewno od teścia, siwy i przygarbiony, a przy tym w nogach sztywny jak bocian, pewno mu *remantyzm* kości powykręcał — jednym słowem przykład zgłupienia na starość. Ale była to marna dla nich pociecha w zestawieniu z ogromnym majątkiem, który Pela tak lekko zagarnie, by od codnia chodzić we futrach i jeździć limuzynami.

A ona sama? Co kalkulowało się w ślicznej główce Miss Crowley, tego i poeci nie odgadną. W każdym razie już teraz jest przykładem wszechmocy Sakramentu Małżeństwa, że jak się ożeni, to się odmieni, a czasem jeszcze wpierv. Bo w tych gorączkowych przedślubnych tygodniach Pela o wiele mniej czasu spędza przed lustrem, a za to po raz pierwszy w życiu zainteresowała się co się robi w kuchni. Matka z radosnym zdumieniem patrzy na tę odmianę, gdy pod jej nadzorem Pelunia owinięta

w wielki fartuch obiera, sieka, smaży i *gestuje*, aż kwaśna kapusta i prażona cebulka pachną na całe osiedle — oto jak poważnie narzeczona szykuje się do odmiany stanu. Mr Lacy wprawdzie zapowiedział, że w domu jest gospościa i sprzątaczką dochodzi ze wsi, tak że młoda żonka nie będzie musiała brudzić sobie rączek i wystarczy, że ozdobi sobą jego samotne dotąd domostwo. Ale Pela słyszeć nawet nie chce, nigdy nie zrezygnuje z obowiązku żony, którym jest karmić męża smacznie i obficie. Słuchając tego stary farmer topnieje ze szczęścia i wcale nie budzi w nim wątpliwości zastanawiający fakt, że narzeczona całą uwagę skoncentrowała na opanowaniu receptury wyłącznie słowiańskich potraw, tak przeciwnych angielskim gustom, a szczególnie tych, które samym aromatem wpędzają tubylców w niestrawność i osłupienie: kwaśne barszcze i bigosy, kapuściane pierogi, mleko kwaśne i wszelka tłustość wieprzowa i manchesterską słoninę po wierzchu kraszona. Pela ma w tym chyba jakieś kalkulacje i wieść niesie, że zwierzyć się z nich miała przyjaciółce, Tosi Jabłkowskiej, ledwo ta przybyła na ferie do domu. Sliczna i zarumieniona, błyskając ognistym na paluszku brylantem, wyjaśnia Tosi, że choć poświęca się dla jego wielkiej miłości, to jest w tym głębszy sens. Majątek ma ten William okazały, bez żadnych długów i spadkobierców, bo jedynaka stracił na wojnie. Jak ona go weźmie w opiekę i zacznie opychać słoninę, kwaśnym mlekiem i kiszoną kapustą, to tam-tego i ona zostanie z całym bogactwem, a wtedy weźmie sobie młodego i przystojnego, niechby był i ubogi. To dopiero pożyje! Z tym wyznaniem zostawia romantyczną Tosię pośrodku korytarza, niemą i zgorszona — któżby się czegoś takiego po Pelci spodziewał!

Tak mija Wielkanoc, podczas której po raz pierwszy pokazał się w Crowleyu pan Lacy. Pięknym samochodem przybywa do państwa Dyderków na święcone i tu ma chyba przedsmak czekających go kuchennych rewelacji. Jest to dom po staropolsku gościnny, słynący nie tyle z przymusowego pojenia (bo i za co?), co z karmienia gości na *prynukę*, z nakładaniem siłą na talerz i podbijaniem uwagami, że co pan tak gardzi naszą gością. Co się teraz działo, tego nikt nie widział, ale musiało być jeszcze serdeczniej. Przyjmowano przecież takiego bogacza i wkrótce członka rodziny, niech widzi, że my nie od sroki i jak ludzie potrafią jeść, niech porówna z nędzną angielską kuchnią! Później w pralni pani Dyderkowa opowiadała paniom, że ten William to swój człowiek, może sobie być Anglik, ale zre jak nasz i patrzy co by jeszcze zahapać. Czegóż to się nie robi z miłości! Naturalnie pani Bezdrożna i Sitaczka z Burlejką zaraz poniosły na Crowley, że pan młody, ślubu nie doczekawszy, życiem to

święcone przyplaci albo nawieje póki czas, ale nic podobnego się nie stało i wkrótce po Wielkiejnocy, która była słoneczna jakby samo niebo sprzyjało zakochanym, w longfordzkim kościele rzymsko-katolickim odbył się okazały ślub crowleyskiego Kopicuszką z ostatnim potomkiem wielkiego rodu Lacy, który przybył tu z Williamem Zdobywcą, i choć potem rozrodził się i zszedł między zwykłe ziemiaństwo, to w żyłach jego płynie lepsza krew niż w wielu lordowskich. Można jednak rzec śmiało, że o tym aspekcie swego zamążpójścia Pela nie myślała, gdy wsparta o ojcowskie ramię płynęła do tonącego w białym kwieciu ołtarza, spowita w śnieżne tiule i koronki — śliczna i świeża jak wiosenny obłok. Aż żalność ogarniała obecnych tu mężów Żywych Róż, którzy przez ubiegłe lata adorowali ją tak bezinteresownie i nieraz nakładali jej na balach koronę Miss Crowley. A pana młodego trudno było poznać, tak odmłodził i się wyprostował; gdyby nie siwe wąsiska, świetnie by się prezentował w czarnej jaskółce z goździkiem w klapie i z eleganckim szarym cylindrem pod pachą — był to bowiem ślub pierwszej kategorii, ksiądz Turkuć błogosławił ich związek, organy grzmiąły triumfalnie i kościół był wypełniony więcej niż w połowie.

Była to pierwsza w dziejach Crowleyu okazja masowego zbratania tubylców ze Słowianami, aczkolwiek bez możliwości porozumienia. Słowian nie było zresztą wielu, bo wszyscy zmieścili się w niedużym autobusie: dwie Żywe Róże Pań z mężami i dziatwą. Panie były wystrojone z weselnym szykiem, panowie na ciemno, a dziatwa niczem barwne motyle, które roją się gdzie nie posiał i hałaśliwie chcą albo nie chcą. Ale liczbą przytłoczyli crowleyan Anglosasi i Celtowie, którzy zjechali z całej Marchii, naturalnie bez dziatwy. Ich zdrowa cera, świadcząca o zażyłości z przyrodą, zdradzała sfery farmersko-ziemiańskie. Ubrani byli wystawnie, szczególnie panie, zwracające uwagę burzą wiosennych kolorów, „szyjkami” z drobnych czworonogów o flakowato wiszących łapach, nadmiarem biżuterii i wielkanocnymi kapeluszkami z kwiatków, pianek i falbanek. Z ledwo ukrytym przestraczem obserwowali wrzaskliwe korowody młodego Crowleyu i przezornie usuwali się pod ściany. Pytano potem panią Dyderkową co zacz, ona zaś odpowiadała bezradnie: — pani, też nawet Pelunia ich nie zna! — co świadczyło o szerokich stosunkach pana Lacy. Tak więc te dwa obce sobie światy zgrupowały się po dwu przeciwnych stronach rozdzielonej bufetem sali Pod Mitrą Biskupią, i ponad nim, jak zza barykady, obmacywały się wzrokiem: crowleyanie ponuro, tubylcy z przepisowym uśmiechem, a jakie za nim kryli poglądy na ten mezalians łatwo zgadnąć. O konwersacji oczywiście nie było mowy, no bo jak?

Wprawdzie bardziej wyrobieni towarzysko Anglosasi zagadywali niekiedy Słowian, że piękną mamy pogodę, nieprawdaż?, na co ci skwapliwie kiwali głową, ale na tym urywały się kontakty.

Osobliwe było to przyjęcie w zwierciadlanej sali Mitry Biskupiej. Crowley długo wydziawiał potem i sarkał, bo oglądał coś takiego pierwszy raz w życiu. Zamiast ustawionych jak należy w podkowę stołów gnących się pod ciężarem wszelakiego jadła stał pośrodku długi bufet, goście obsługiwali się sami i odszedłszy na bok stali lub siadali wedle gustu. Na bufecie ustawiono kilka tac maleńkich kanapek pięknie garnirowanych rzodkiewką, sałatą i — strach powiedzieć — gotowanym buraczkciem, że to spojrzeć ładnie a połykasz jak aspirynę. Było też troszkę pierożków z angielskimi kiełbaskami, o których Crowley twierdzi, że je robią z rozmoczonych gazet i czerwonej farbki, kilka tacek biskwitów, parę miseczek solonych orzeszków i kartoflanych płatków oraz bajecznie kolorowe galaretki, o których każdy wie, że to farbowana woda i nie ma na co lecieć. Wszystko zaś przytłaczał wielki jak baszta tort weselny biało lukrowany i z iluś tam pięter na gipsowych kolumnkach, przybrany w różne śliczności: podkowy, kwiatki, dzwonki i całujące się gołąbki. Wyglądał imponująco i można było liczyć, że człowiek sobie wreszcie na nim odbije, stąd tym większe potem rozczarowanie. Młoda para kroiła go ceremonialnie i częstowała gości, z czego wiele było dla tubylców zgorszenia, Słowianie bowiem uznali ten przysmak za glinę, obgryzali lukrowane boki, a resztę rzucali gdzie popadło i nawet zwykła zachęta, że w Rosji by im smakowało nie skłoniła ich do uczciwej konsumpcji — całkiem jakby młodym źle życzyli. Nic dziwnego, że później w Crowleyu sarkano a wydziwiano, że na takim weselu zdechniesz z głodu, jeśli się wpierw w domu porządnie nie najesz, a Burlejka z Sitaczką głosiły całkiem otwarcie, że by skonały ze wstydu, gdyby to było wesele ich córki.

Z napitkami było nieco lepiej, ale tu ilość przyćmiła niestety jakość. Te ich różne wińska, to siły w nich co w zdechłym kocie, więc nikt się nie dziwił, że prezes Sitak odszedłszy w kącie wykaraskał z kieszeni flaszkę Smirnoff Vodka, fachowo wybił korek i uraczył się godnie, potem szyjkę obtarłszy mankietem poczęstował otwarcie przyjaciół i na koniec wznosił resztką zdrowie młodych, na co kilka pań zakrzyknęło bez przekonania, że wino kwaśne, aż tubylcy zaruszali się niespokojnie, ale nic się więcej nie stało. Z tego wszystkiego crowleyanie nie słyszeli weselnych oracji, a zresztą i tak by nie pojęli co mówił drużba oraz pan młody dziękujący teściom za swe szczęście. Po nim tubylczy

savoir vivre wymagał oracji ojca młodej i Pela przygotowała widać pana Dyderkę, bo podniósł się z ociąganiem, po swojemu uśmiechnięty i zażenowany, wyjąkał że *very najs* i *tank you ol*, na co pod przewodem zięcia Celtowie i Sasi dali rześiste brawa, wybawiając go miłosiernie od dalszej udręki.

Żeby niczego nie pominąć, wspomnieć jeszcze należy o wystawie ślubnych darów rozłożonej na stołach pod ścianą, każda rzecz z etykietką wymieniającą ofiarodawcę. Oglądano gromadnie, z okrzykami zachwytu, kolekcję elektrycznych czajników, budzików, serwisów do herbaty, dziwacznych przyrządów barwo-koktajlowych oraz olbrzymie pudło wysłane błękitnym ałasem i napełnione mnóstwem przeróżnych sztućców. Crowley szczególnie na nie sarkał, bo wiadomo: zjeść zawsze potrafisz, żeby tylko było co. Ale zagadywany przez uśmiechniętych tubylców szczerzył zęby i basował, że a jakże, *very najs*. Tak hojnie wyekwipowana Pela wstąpiła na nową drogę życia, choć używać tego wszystkiego zaczęła później, wróciwszy z miodowej podróży do Blackpool.

Na zakończenie trzeba jeszcze dodać, że po powrocie do starego dworu w Dunwell nowożeńcy żyli długo i szczęśliwie. Pela zajeżdżała do rodziców samochodem, odziana w futra i biżuterie, co niemożebnie psuło krew naszym paniom. Bo też nic tak nie prowokuje zawistnych jęzorów jak widok cudzego szczęścia i stąd chyba po Crowleyu chodziły jadowite ploty, że tak naprawdę to Pela jest zrozpaczona, bo Williamowi wcale nie w głowie osierocić młodą żonkę wraz z całym majątkiem. Na barszczach, bigosach i kwaśnym mleku nie tylko nie pojechał do wieczności, ale odmłodził i nabrał takiego wigoru, jakby mu parę dekad spadło z karku, nawet wąsy przyciął i uczernił. I nic tylko wbija w krzyże co żona na stole postawi, bo z jej rączek nawet trucizna byłaby słodka, a nawet woła o jeszcze. Taka to błogosławiona siła mieszka w naszym jadle i jemu przypisujemy, że w przystojnym czasie Pela powiła słowiańskiego dziedzica nie tylko imienia starożytnego rodu, ale przede wszystkim tych pól, pastwisk, sadów i chmielników szeroko rozsiadłych po wzgórzach Marchii, a także dochodowych kamienic w Bristolu, placów w Cardiffie, akcji i inwestycji, wszystko zaś czyste jak łąka i bez innych spadkobierców.

A myśmy tam byli, obgryzali lukier z tortu i to wino pili, po brodzie kapało, kapało...

MARTWE SERCE KATEDRY

Longfordzka katedra rozsiadła się nad samą rzeką w śródmieściu, ale też całkiem poza nim, i żyje własnym życiem. Takie to zresztą i śródmieście, senne i ciasne. Zielone autobusy — gruchoty Longfordzkiej Kompanii Transportowej — z trudem przeciskają się przez stareńkie uliczki, ryzykownie manewrują na zakrętach ocierając się o narożniki domków, które by lepiej pasowały do wsi niż do stołecznego grodu Marchii. Zabudowania są niskie, często bielone i czarno belkowane, albo z miejscowego piaskowca jak katedra. Nawet te zbudowane nowszą modą, z cegły, rozmiar mają nieambitny, a za to wyposażono je w podwórza, składy i zajezdnie jak farmy, a widok traktorów ciągnących przez śródmieście platformy kartofli, buraków czy zgoła gnoju przeznaczonego na pola z tamtej strony miasta nie należy do rzadkości nawet w dzisiejszych czasach, zwłaszcza gdy ugrzęzną w ciasnocie i policja dobrze się namęczy, nim rozładuje to piekło. Od swego zarania miasto służy rolnictwu i stąd musi mieć pełno karczm dla farmerów ze stajniami i wozowniami oraz urządzeń do składania chmielu i innych dóbr ziemi. Jesienią pełno tu się kręci agentów wielkich piwiarni, młynów i cukrowni, hurtowników owoców i warzywa, a tutejsza giełda chmielowa słynie na cały kraj.

Ale katedra jest poza tym rozgardiaszem, który przelewa się bokiem mimo jej kwartału pełnego starych cisów i starych dam z zatuczonymi pieskami, no i pan Bielas na dobre się tu zadowolił z miotłami i wózkiem Departamentu Publicznego Czyszczenia. Starsze panie z nudów psują go cukierkami, nawet go nauczyły konwersować o pogodzie i pytają jak mu się żyje w Crowleyu. Wypadają na siebie wśród tych szerokich trawników, pod murem świątyni Matki Boskiej i św. Etelberta. Od rzeki zamyka widok mur biskupiego pałacu, od tyłu park rozsiadły na murach sławnego ongiś zamczyska — bramy Marchii, a od miasta stłoczone z dwu stron domy kanoników. Z zewnątrz zdają się wymarłe, bo panie kanonikowe w fatalnie skrojonych kostiumach typu sportowego i antycznych kapeluszach oraz ich pieski kryją się za murami, za grubymi firanami, ruszają z godnością i zniżają głosy żeby czasem sąsiedzi nic nie mieli do powiedzenia, a dzieci wyprawiły do tańszych ale nobliwych szkół internatowych żeby był spokój. Sami zaś kanonicy prócz służby Bożej zabawiają się uczonością: jedni wpatrują się w autorów greckich i rzymskich i żywią nadzieję, że powiedzą o nich kiedyś coś nowego, co zbulwersuje Oxford i Cambridge. Inni śledzą za dotąd przeczo-

nymi sensacjami w Biblii i u Ojców Kościoła, a najbardziej na świat otwarci tworzą pedantyczne przyczynki do dziejów katedry i diecezji i ogłaszają je w *Zapiskach Longfordzkiego Klubu Historycznego*. Przy takim trybie życia można podejrzewać, że kwartał katedralny wyludniła jakaś zaraza, chyba że ze świątyni słychać próby jej słynnego chóru lub organowe wprawki, albo chłopaki z katedralnej szkoły zanadto się rozwrzeszczą na boisku. Nawet jeśli by trzasnął tu grom, to na zewnątrz nic by się nie dało poznać mimo wysiłków *Longfordzkiego Biuletynu i Obywatela*, który podchwyci i rozdmucha byle co, bo skąd w tym sennym mieście brać sensacje, żeby interes szedł? Czasem w dzień targowy farmerskie parobki rozweselone piwem i jabłecznikiem urządzają burdę, policja od niechcienia nakryje złodziejaska, coś wypadnie na wyścigach koni albo piesków (choć rzadko na miarę słynnej afery Pawlaka z kotem), albo cudzoziemcy z Crowleyu zaczną się procesować o pyskówki ogarniające przedziwne sprawy obyczajowe i polityczne, czym wprawiają w osłupienie nawykłych do tradycji strażników prawa z Sądu Hrabstwa i wyjadaczy z *Longfordzkiego Biuletynu* — ot i sensacje. Ale żeby awantura dotyczyła katedry?!

W taką niedobłą porę Danką dorwała się nareszcie do gruntownego obwąchiwania katedry, a zawdzięczała to Wielebnemu Powellowi, który nie tylko ją zaprotegował, ale nawet przywiózł z obozu swym wiekowym samochodzikiem, a odbyło się to na oczach osiedla u Żywopłotu i było nowe zgorzienie. Wielebnemu było przykro, że Danką nie zobaczy jednego ze skarbów katedry: słynnego biskupiego srebra, które z dawien dawna przyciąga uwagę estetyków i znawców wspaniałej sztuki średniowiecza i Renesansu. Bo parę dni temu sprzątaczką, wyszedłszy rankiem na rewir, podniosła straszny wrzask, gdy powitały ją puste gabloty, a ze wspaniałych mis, kielichów, dzbanów i lichtarzy nie zostało śladu. Zbiegli się kanonicy, sam biskup z małżonką skoczył od śniadania i serwetę miał uwiązaną pod brodą, i wpatrywali się w osłupieniu w złowrogą pustkę. Gdy wreszcie się zgodzili, że wszyscy widzą to samo, co wyklucza złudzenia, przyszło się uciec do świeckiego ramienia. Fachowe oko łatwo stwierdziło, że nie ma śladów włamania i że srebro po prostu sobie wyszło, nie wiadomo jak i kiedy, bo byłby przecież z niego pokazy toboń i choć rezyduje w salce przy zakrystii, to zawsze ktoś się kręci, zwiedzający albo z personelu. Nadzór rzeczywiście nie najlepszy, ale przecież zamki na gablotach podwójne i pancerne szkło, więc któż mógł przymuszczać?

Zaraz po mieście runęły plotki i tłumy chciały oglądnąć to

miejsce, szczęściem władze zabroniły. W pubach czyniono niebywale zakłady i nawet wracający z pracy Słowianie szturchali palcem w swe brudne chlebaki i mrugali porozumiewawczo, że niby wiozą w nich biskupie srebro, a *Longfordzki Biuletyn* srożył się niebywale i nawet ogłosił nagrodę za informacje prowadzące do ujęcia złoczyńców. W redakcyjnej witrynie wywieszono ogromną fotografię biskupa z bezradnie rozłożonymi rękami i oświadczeniem, że Jego Wielebność jest zaszokowany i każde wydanie gazety przynosiło nowe bezwartościowe szczegóły. Twierdzono mianowicie, że zbrodni dokonali walijscy nacjonałści zapatrzeni w nacjonalistów szkockich, którzy porwali byli z westminsterskiego opactwa słynny kamień koronacyjny ze Scone. Sam redaktor od spraw specjalnych wyłożył czemu ci nacjonałści upatrzyli sobie akurat to srebro: dlatego, że longfordzką katedrę założyli Celtowie w osobie Gerainta ap Erbina, krewniaka króla Artura, że tutejszy biskup Dubricius onegoż Artura koronował i że na parze średniowiecznych mis, najcenniejszych z całego skarbu, są wyryte sceny z życia rycerzy Okrągłego Stołu. Jasne? Przy okazji wypłynęły różne niedbalstwa ze strony katedralnej administracji: jakieś zepsute zamki, niezatrzaśnięte drzwi, ogólna beztroska, i sensacja z dnia na dzień stawała się lawiną, zwłaszcza że wodzowie nacjonalistów z Cardiffu zachowywali wieloznaczne milczenie. Gdy sytuacja napięta się do niemożliwości, balon nagle pękł i spiszek celtyckich separatystów w śmiech obrócono, co było tym gorsze, że Longford popadł był na łamy brukowców całego kraju, a zdarza mu się to nader rzadko. Otóż gospodyni obskurnego pensjonatu w Bournemouth doniosła władzom, że sprząając pokój jednego z gości, sympatycznego starszego dżentelmena, zawadziła miotłą pod łóżkiem o brzęczący worek. Granatowi bez trudu rozpoznali biskupie srebro, którego fotografie znalazły się w międzyczasie na posterunkach całego kraju, a sprowadzony do komisariatu staruszek nazwiskiem Morgan wcale się nie zapierał. Zeznał szczegółowo, że wcale nie miał zamiaru sprzedawać czy jakkolwiek ukrzywdzić łupu i że nie ma pojęcia, czemu go ukradł. Takie te rzeczy piękne, podziwiał je od wczesnej młodości aż do spóźnionej emerytury, bo całe życie przepracował w longfordzkiej katedrze jako „człowiek do różnych zajęć”. Po prostu marzył, żeby mieć choć na chwilę te śliczności do swej dyspozycji. Tak, kopię kluczy zrobił sobie bardzo dawno, nie żeby coś zamierzał, ale było przyjemnie pomyśleć, że w ten sposób ma srebro w swej władzy. Czemu wreszcie zabrał? Nie wie, był tego dnia w pubie, stawiali sobie z kamratami i w drodze do domu zaszedł jak zwykle do katedry. Lubi się tam pokręcić ze starego nawyku, znają go i nikt nie zwraca nań uwagi.

Wyjął skarb jak z własnego kredensu i wyniósł w deszczowcu, no i zaraz wyjechał do Bournemouth żeby się nim swobodnie nacieszyć. Poza tym nie miał dalszych planów, bo cóż z takimi rzeczami zrobić? Odnosiłby je na miejsce.

Jego sąsiedzi zeznali, że choć ten Morgan Walińczyk, to nacjonalista z niego od siedmiu boleści — wesoły staruszek i bez codziennego kufla nie wyżyje, regularny uczestnik chóralnych śpiewów w pubie Zielony Smok za katedralnym mostem. Było z tego mnóstwo śmiechu, *Longfordzki Biuletyn* naraził się na kpiny i darmo teraz ślady zamiata ogonem. Tylko w katedrze pozostała zła krew, bo jednak cała Marchia i dalej zobaczyła tam pewne niedbalstwa. Zwłaszcza że *Biuletyn* łatwo się nie poddawał i z kolei rozpiął się o regulaminie sporządzonym dla kapituły w XII wieku przez biskupa Tomasza de Braose, w którym szczegółowo określił obowiązki skarbnika opieki nad cennym naczyniem, z którego już wtedy było tu to i owo. Skutek tego taki, że teraz Danka nie zobaczy skarbu, upłynie trochę czasu nim świeckie ramię zakończy badania i go zwróci. W ogóle nie są tu teraz na gości łaskawi, dość pcha się luda dla sensacji, choćby powąchać miejsce, które otarło się o kryminał, ale Wielebnemu oczywiście nie odmówią i kościelny z kluczami wszędzie ich wpuści. Zwłaszcza tam, gdzie trwają ślady biskupa Tomasza, o którym Wielebny pisze książkę.

W jego towarzystwie ogromny zabytek ożywa. To nagromadzenie rzeźb, nagrobków, kolumn, snycerki i barwnego szkła, które Danka nieraz już oglądała, teraz zaczyna mówić zrozumiałym językiem i ustawia się w jeden ciąg wydarzeń, lat i stylów. Przesadziste normańskie kolumny z krągłym łukiem harmonijnie przechodzą w formy smukłe i strzeliste, a płaskie postacie na grobowcach tracą sztywną pozę, nabierają wypukłości, kładą się na boku, aż w końcu wstępuje w nie pełne życie i każe zasiąść w ściennych niszach jak na balkonie, puszyć się ogromnymi kryzami, haftami, koronką i biżuterią, a co drugie nazwisko walijskie, bo jakże inaczej nad wielką rzeką. Jak ten tutaj rad z siebie panek nazwiskiem Griffith, który w bocznej ścianie transeptu rozsiadł się między dwoma strojnymi żonami, a po bokach kłęczą szeregi trzydziestu trojga dzieciak, naturalnie w miniaturze. Zdolna to była rodzina i dwu z maleńkich synków zasłużyło się Marchii na wieki jako twórcy jej słynnej rasy krasego bydła.

Z kluczami do dyspozycji katedra otwiera swe tajemnice. Okazuje się, że pozamykane na głucho drzwi gdzieś jednak prowadzą, za nimi karkołomne schodki ostrym korkociągiem strzelają w górę, by na różnych poziomach złączyć się z krecimi tunelami, które poziomo drażą potężne mury. Że rzędy kolumnienek

nad łukami głównej nawy to wcale nie dla ozdoby, tylko dla ochrony dawnych budowniczych i dzisiejszych konserwatorów, śledzących, czy gdzieś coś się nie kruszy i nie pęka. Danka woli nie patrzeć stąd w dół, na maleńkich ludzi kręcących się po wzorzystej posadzce, i zdumiewa się, że te szlaki łuczkwó i kolumienek, jakby od niechcenia wyrysowanych palcem gdy patrzeć na nie z dołu, są takie masywne, wyciosane z wielkich bloków piaskowca i na wysokościach kunsztownie ze sobą spojone. Tyle w tych wydrążonych murach ciemnych kątów i tajemnych przemyków, że łatwo uwierzyć w ukryte w nich do dziś skarby i pergaminy cenniejsze od złota — jak Tomaszowe zapiski o Arturze, których od sześciuset lat nie oglądały ludzkie oczy. Sto razy stwierdzono, że na pewno ich nie ma w mrocznej bibliotece nad portykiem katedry: ani wśród szeregów ksiąg przykutych łańcuchami do dębowych półek, ani w skrzyniach kryjących pergaminowe zwoje i luźne dokumenty. Pokolenia kanoników i uczonych sto razy przesiały każdą kartkę, to samo przed laty uczynił Wielebny, a wszystko daremnie. Leżą sobie gdzieś niedaleko w jakimś zakamarku i Bóg jeden wie, czy kiedyś wypłyną.

W bibliotece Wielebny jest jak u siebie i rad by spędzić tu cały dzień, pokazać osobno każdą księgę i objaśnić każdy szczegół. Czego tu nie ma: rzadkie inkunabuły, druki Caxtona i seria drukowanych Biblii od samych najwcześniejszych. Jest nawet coś dla Danki: ariański katechizm z Rakowa, o który król Jakub I zrobił taką awanturę, bo mu go arianie dedykowali. Ale ciekawsze są foliały ręką pisane, które odsuwa w cień jeden z najpierwszych skarbów katedry: ewangeliarz z IX wieku, pewno sporządzony w Marchiach i iluminowany złotem i błękitem, bo gdzie artysta znalazłby spokój do takiej roboty, gdy wyspa płonęła i spływała krwią z ręki Wikingów? Obok rozpiera się słynna Biblia Jabłecznikowa, wczesny ślad szerzącej się tu herezji, tak frywolnie przezwaną, bo biskup Mikołaj z Longfordu, który dla Wicliffa tłumaczył Księgę Sędziów, w dziejach Samsona napisał „jabłecznik” zamiast „mocny napój”, co chlubnie świadczy o jego przywiązaniu do złocistego trunku Marchii. Oprawna w grubą skórę i okuta jak rycerz na turnieju tkwi ta Biblia od stuleci na swym pulpicie i, jak twierdzi Wielebny, dotąd wydziela bujną woń jabłkowego fermentu. Są też dwie księgi z żywotami świętych patronów Marchii i katedry: biskupa Tomasza oraz króla Etelberta, zamordowanego roku Pańskiego 796 na rozkaz Offy, króla Mercji. Ciekawe są dzieje męczennika, ale w księdze patrzeć nie ma na co: grube karty zapisane krągłą minuskułą w dwie kolumny bez ozdób. Nie to co żywot Tomasza, który Wielebny rozkłada i objaśnia karta po karcie gościowi z — pozał

się Boże — Crowleyu. Pochylają się nad żółtawym pergaminem i odczytują łaciński tekst objaśniający miniatury, Wielebny dziwi się okrutnie sylabizowaniu Danki, a ona ani w ząb nie rozumie jego wymowy, choć język przecież ten sam, i wiele mają z tego uciechy, kościelny zaś ziewa w okiennej wnęce i obserwuje pana Bielasa wśród trawników. Ta księga to średniowieczny komiks, gdzie karta za kartą żywot Tomasza de Braose rozwija się przed oczami widza: oto konsekrowany biskupem, oto stoi ogromny przy maleńkiej katedrze, a tu znów łapie we własny płaszcz diabła pozującego na kanonika, ale niezbyt udatnie skoro spod sukni sterczy mu szponiasta łapa. Danka dodaje, że Słowianie też rozpoznawali Złego po ptasiej nodze, żeby się nie wiem jak zamaskował, więc Wielebny cieszy się nowemu podobieństwu między ludami. Znów pochylają się nad księgą, która z kolei mówi o miłości Tomasza do wszelkiego stworzenia: tu głosi kazanie do ptaków wielkich prawie jak on sam, co ku radości Wielebnego spokrewnia go z celtyckimi świętymi Ciemnych Wieków, którzy Boże stworzenia mieli za braci, tu znów u grobu biskupa stoją konie, psy i sokoły, które uzdrawiał na równi z ludzkimi pielgrzymami. Dalej ludzie „przymierzają się” sznurkiem do świętego sarkofagu i chromi znów chodzą. Ale najważniejsze są miniatury świadczące o zaangażowaniu Tomasza w Sprawę Brytanii: oto opat z Glastonbury ofiarowuje mu ceną relikwię — palec króla Artura, ogromny i z zakrzywionym pazurem, żeby nikt nie wątpił. Dalej Tomasz zapisuje u pulpitu co mu śpiewa bard z harfą, co jest jeszcze jednym dowodem ogromnej ważności zaginionych pergaminów.

Minie wiele czasu nim wreszcie odstawią ciężki foliał podzwaniający łańcuchem i po krętych schodkach spuszczą się do katedry, prosto do kaplicy Naszej Pani. Jest tu złoto i szafirowo od światła kładących się wszędzie przez witraże wąskie a strzeliste jak sztylety. Barwne plamy leżą na ustawionym w środku okazałym grobowcu Tomasza de Braose — martwym sercu katedry, z którego uleciała dusza. Za Henryka Sinobrodego heretycy wyrzucili zeń relikwie i rozbili leżący na wierzchu posąg biskupa, który wyglądał pono jak żywy i przypominał pielgrzymom, że biskup jest i czuwa. Nic dziwnego, że Joanna, kontessa Longfordu i ostatnia dziedziczka rodu de Braose, fundatorka tej kaplicy leżąca sztywno w niszy pod północną ścianą uśmiecha się szyderczo, choć tak grzecznie złożyła ręce o obtłuczonych palcach i spiczaste ciżmy przepisowo oparła na piesku wyłaniającym się z fałd płaszcza, w których dotąd przetrwały resztki szkarłatnej farby. Co zaś do biskupiego grobowca, to nawet bez ciała i posągu jest dotąd ozdobą katedry, i magnesem ściągającym arturiańskich uczonych,

i nic dziwnego skoro jego boki uformowano w kolumnkami rozdzielone nisze, w których czuwają wsparci o miecze rycerze Okrągłego Stołu. Sporządzono go w kilkanaście lat po śmierci Tomasza, gdy już wstawił się cudami i zanim go stąd przepędzono uzdrowił 300 chorych, ożywił 66 zmarłych, a ile wyrzucił diabłów z opętanych i uleczył zwierząt i ptaków to nie zliczyć. Pierwszy cud był w dzień pogrzebu, gdy do katafalku zbliżył się drapieżny komes Gloucester, krzywdziciel katedry i łupieżca kościelnych majątków, i nagle wszyscy zobaczyli, że z trumny zaczyna ciec krew, choć były w niej tylko do czysta wygotowane kości, bo biskup zmarł był w Italii podróżując *ad pedes Apostolorum*.

Kaplica Naszej Pani, niegdyś pełna kalek, chorych, opętańców, okulałych koni, sokołów o wywichniętych skrzydłach i zwykłych chłopskich krasul teraz jest pusta. Z rzadka przesuną się zwiedzający, spojrzą przelotnie na jarzące się witraże, na sarkofag, i tłumiąc ziewanie pójdą za czymś ciekawszym. Tylko zaczarowane ziele wnosi tu życie. Po dawnemu snuje się wszędzie, wije się i wspina w ciągłym ruchu. Wypukło oplata główce kolumnienek i wąsami sięga łuków, schodzi w dół i chyba tajemnie rośnie pod podłogą, wprost z niej wystrzela na podstawę sarkofagu, tu i ówdzie roniąc jagody i ostrymi listkami godząc jak strzałą w Arturowych rycerzy. Dawno zetlały barwy, którymi je pomalowano, toteż wrasta w kamień i przytają się pod jego ochronnym kolorem, ale żyje bujnie po dawnemu. Znika na kantach muru, rozkłada się na ścianach płasko i barwnie — niedawno wyhynęło spod starych tynków podczas remontu, rozprzężyło się i jeło piąć się ku słońcu. Ruchliwą falą płynie ku ołtarzowi, wypełnia puste lica ścian, omija ukryte w murach drzwi, a we wnęce nad Joanną skłębia się bujnie i znów mimo gzymsów rozbiega się na boki — wino nie wino, bluszcz nie bluszcz, i jeszcze coś więcej skoro tyle wieków przetrwało. Ważne, że Tomasz lubił wijącą roślinność, może kojarzył ją z mitem. W każdym razie kazał był wysypywać na Wielkanoc katedralne podłogi bluszczowym liściem, więc i teraz w ogromnym bukiecie stojącym u stóp sarkofagu jest zawsze pełno bluszczu. A stawiając na skrzyżowaniu nawy wielką wieżę z dzwonami kazał wzdłuż rogów dać jej ornament z biegnących jagód i liści aż ku nasadzie iglicy, gdzie dotąd je można oglądać.

Na tej wieży Wielebny, Danka i śmiertelnie znudzony klucznik kończą wędrówkę. Przechylają się przez balustradę, próbując złapać tchu po wspinaczce, i widzą pod sobą ołowiany dach wielkiej świątyni w kształcie lotaryńskiego krzyża z iglicami po brzegach, a daleko na ziemi katedralne trawniki, wśród których przysiadł na ławce maleńki pan Bielas. Szynel przewiesił przez

drag taczki, ściągnął kapelusz i chustką wyciera łysinę. Za trawnikami rozbiegają się krzywe uliczki starego miasta, bokiem wije się rzeka i wypiętym zakrętem, podmytym brzegiem niebezpiecznie podgryza biskupi ogród. Dalej pola, sady, grupy drzew i dachy rozrzuconych domków aż po widnokrąg zamknięty lesistymi wzgórzami, z których wystrzela crowlejski kopiec. Na dole jest spokój, cisy pod katedrą ani drgną, ale tu czuć aż zanadto rwący górą wiatr. Dmie od tego kopca i zdaje się słycać jak na falach powietrza płyną stamtąd głosy: pianie ekscentrycznych kogutów, krzykliwe połajanki pani Antoszkowej, basowe dudnienie piłek w korytarzach, wrzaski dziatwy i okrzyki Zuzy, że psiakrew szkoły na was nie ma. Dziwny obcy świat wdziera się aż tu i zaskoczona Danka odwraca się ku Wielebnemu, by stwierdzić, że ten niczego nie słyszy. Aż przechylił się przez parapet, tak chciwie wpatruje się w grodzisko nad Badonhill i wiadomo o czym myśli. I raptem Danka czuje niby w objawieniu, że nigdy nie zdoła się wyłamać z zaczarowanego słowiańskiego kręgu. Crowley i jego sprawy, i to wszystko, czego jest on *pars pro toto*, pójda za nią i wszędzie ją znajdują, próżno przed tym światem chować się w cudzą przeszłość. Od własnej nijak nie ujdiesz.

JAK CROWLEY POŻYWA CHLEB W POCIE CZOŁA

W okresie wielkanocnym obóz ogarnia szał ogrodów, jakby udzielił mu się *genius loci* — ciągle żywe fluidy Sir Evelyn. Tylko że są to zainteresowania całkiem innego rzędu i bynajmniej nie dotyczą zamorskich roślin, oranżerii i pięknych efektów. Nawet róży czy pospolitego bzu nie znajdziesz pod tymi barakami i to nie ze względu na ich niezbyt zresztą wygórowaną cenę, ale dlatego, że ich długowieczność obliczona jest na osiadłość i stabilizację, a te baraki budowane na czas wojny dawno przeżyły swój wiek, a ich niestali mieszkańcy tylko marzą o pryśnięciu do miasta. Nic dziwnego, że ich ogrodowe zabiegi obliczone są na doraźną korzyść: co wiosną posiejesz, to jesienią zbierzesz i przez zimę zjesz, nie ma co myślać wybiegać dalej i sadzić rzeczy, z których może nic się nie będzie miało. Oczywiście Crowley nie jest aż tak opętany materializmem by gardził kwiatami, ale

sadzi tylko te, które są równie nietrwałe jak całe życie Słowian, o którym każdy czuje, że tak czy owak jest pograniczem między wojenną wędrownką a osiedleniem, zapuszczeniem korzeni i stabilizacją. Stąd pod barakami jak w rodzinnej wsi kwitną nasturcje, astry i nagietki, a szafirowe powoje i czerwona fasola pną się po szpagacie na niskie dachy, od czego robi się całkiem po domowemu. Co rozrzutniejsi szarpnęli się nawet na swojskie georginie, które mają tę zaletę, że jesienią je wykopiesz i mogą z tobą wędrować we światy, by zapuścić korzenie na nowym miejscu.

Ciągną się te słowiańskie ogródki między barakami i po bokach, a komu mało, ten idzie w głąb parku, pali i karczuje jeżynowiska klnąc na czym świat stoi, bo żeby nie wiem jak wyczyścić ziemię to wiosną młode pędy szkodników niechybnie strzelą między kapustą, podryją kartofle i przyduszą buraki — cały Crowley jest tymi jeżynami podminowany jakby wulkanem. Człowiek z nimi nie wygra, są przemyślniejsze a zwłaszcza mają czas, kiedy nowe życie wstępuje w longfordzkie fabryki i budowy, a także w okoliczne farmy, i wszyscy do nocy są w pracy, odwalają nadgodziny, a nawet ryzykują gniew księdza Turkucia, gdy się nadarzy okazja do ekstra zarobku w dzień Pański. Ogrodom można oddać tylko strzępki kradzionego czasu. Ale ziemia tu bujna i koniec końców sama daje sobie radę, choć nie tak dobrze jakby należało, i Słowianie co roku zdumiewają się na nowo, że pięknie wzeszłe warzywo i kwiaty raptem żółkną i schną. Jak je podniesiesz, pod spodem znajdziesz tłuste drutowce, jakąś niesamowitą meszkę i kłęby robaków, które żrą marchew i cebulę i tuż nad ziemią ścinają groch i kapustę. Tak jest dołem, a górą wodzą się mszyce czarne i zielone, jadowita muszka i stada nagich ślimaków, które też wążą w ziemię i z marchwi, a nawet z tulipanów zostawiają pustą skórę. Nie do wiary jaka tu masa plugastwa działa na szkodę człowieka — cóż za dziwny kraj, zarażona ziemia, choć urodzajna! Gospodynie, które w domu pół życia spędziły na roli, tu stają bezradne i tylko niektórzy z czytających sylabizują po angielsku, ryją w słowniku i zaczynają wpadać na trop przeróżnych proszków, trucizn i ciasteczek, które anglosaska wiedza wynalazła na szkodniki — istna trucicielska pracownia, nie ogrodnictwo jak przy stało. Na dodatek ptactwo szkodne tu aż strach, nie tylko powyrywa wschodzące warzywo, ale i większym roślinom nie przepuści. Słyszał kto kiedy, żeby zwykły wróbel-Kuba poszarpał sałatę, kos wyciągnął za łeb wschodzącą fasolę i wyżarł łan truskawek, sikorka rozpruła dojrzewające makówki i wypuściła z nich nasienie przeznaczone na Bożenarodzeniowe makowniki.

W domu ptaków było jeszcze więcej, ale szkody robiły niewiele, czy kto zwracał uwagę, jak sobie wzięły parę truskawek? Ale tu stworzenie ma więcej pomysłu niż tubylcy jeśli chodzi o mak, którego nasiona, tak jak ogórków, pomidorów, kopru, jadalnego słonecznika i innych swojskich odmian warzywa przychodzą w listach znad Bugu i Narwi, co rozszerza ogrodowy repertuar Marchii i zdumiewa tych tubylców, którzy zapuszczają się między baraki: mleczarza, piekarza i listonosza. Obserwują z zainteresowaniem crowlejskie łąny maków sinych i różowych i pytają swą klientelę na co to. Słowianie wyjaśniają trochę językiem, a trochę rękami, że to na *Krismas kejk*, ciasto Bożenarodzeniowe, więc piekarz i listonosz nie posiadają się ze zdumienia, a oblatany w czasie wojny po świecie mleczarz aż się wzdryga, bo coś mu się obiło o uszy o związkach między makiem a opium i jest w rozterce czy nie należałoby zawiadomić policji.

Przy maku rozsiadły się łąny czosnku i koper unosi nad wszystkim żółte parasole, a zapytasz co zacz, to Słowianin skubnie za liść i podsadzi ci pod nos, aż uczciwy Celt i Sas wzdryga się na taki fetor i utwierdza w przekonaniu, że przybysze kochają śmierdzące jedzenie. A te łąny kapusty, które wypierają jeżynowiska i obsiadły rzeczkę — starczyłoby jej dla całego stołecznego Longfordu, a ci cudzoziemcy sami wszystko opchną, jak poznać po złym powietrzu bijącym z baraków gdy uchylą drzwi. I inne jeszcze dziwności: ogórki małe i przyszczate, rosnące pod gołym niebem, choć w Marchiach każde dziecko wie, że ogórek ma być długi i gładki i może żyć tylko pod szkłem. I pomidory, które również wbrew cywilizowanym obyczajom sadzą na dworze i trzeba przyznać, że coś z nich zbierają — tak Słowianie stawiają do góry nogami odwieczną mądrość rolniczą Marchii, a nawet wpływają na zmianę jej roślinności, bo gryka i konopie, którymi pan Siemieniuk obsiewa swe ule, uciekają z jego obejścia i samowolnie kolonizują żywopłoty w Holme de Braose, co rok posuwają się dalej i już sięgają jednym skrzydłem świńskiej posesji Mr Bishopa, a drugim ogarniają brzegi rzeczki ku crowlejskiej bramie. A że sława Siemieniukowego miodu wyszła już za granice Marchii i jeden szykowny sklep aż z Birmingham rad by kupić więcej niż ten Polak wyprodukuje, farmerzy są zgorzzeni, że uczciwe angielskie pszczoły gustują w tym zamorskim zielsku. Ale jak tak dalej pójdzie to sami je w końcu zaproszą do swych sadów, oczywiście jeśli czas potwierdzi, że nie jest groźne dla ludzi i stworzenia.

Ledwo opchnąwszy najważniejsze wiosenne roboty Crowley masowo rusza do pracy. Najpierw ranne autobusy zaludniają się

panami, którzy właśnie wyciągnęli z szopek zatechłą od wilgoci roboczą odzież: *battledress'y*, sznele i obszarpane chlebaki umazane skamieniałą gliną oznaczają pracowników cegielni, cementem — rabów budowlanych, te z lepкими ciemnymi plamami zioną echem Sajdera, a nad wszystkimi góruje czarny od węgla pan Śmidowicz i profesor Koziewicz z sędzią Hildebrandem, którzy tak niemożliwie cuchną gazownią, że trzeba hartu by przebyć z nimi tych dwadzieścia minut do miasta. Tylko Beno Zawisza-Kwiczół herbu Sulima wygląda schludnie, jak przystało na estetę i pracownika Sztuki stojącego bez porównania wyżej nawet od zawodowej śmietanki Crowleyu — ludzi z uznanym fachem, których nie pędza się do byle jakiej roboty. Do tych należy młody Ciupka z garażu oraz panowie Górecki, Michalak i Ludwik Jabłkowski z beczkarni, którzy teraz robią z nadgodzinami, by na czas zaopatrzyć Sajdera, Glorię Longfordu oraz browar w beczki i beczułki, a także major Ostrowski od zegarmistrza i pan Dekier, który w PKPR przyuczył się tapicerskiego rzemiosła i teraz w warsztacie za rynkiem objija brudne wiktoriańskie sofy tandetnym adamaszkiem i ma się za artystę niegorszego od Zawiszy-Kwiczół. Za tą roboczą siłą obracają się bracia Macioszkowie z czerwonymi oczyma, mąką we włosach i lukrem w paznokciach, którzy wracają z pracy gdy wszyscy do niej jadą, no i pan Antoszek w szynelu po kostki, którego autobus mija co dzień w okolicy okrągłaka z krzyżem.

W ślad za mężczyznami wyruszają nasze panie, które dzielą się na dwie odmiany: dzemiarki i chmielarki. Obarczone drobną dźwiatwą oraz kochające świeży luft jadą w pole, na plantacje pana Jonesa za miasteczkiem Madley oraz pana Lacy w Dunwell. Ten drugi jako świeży zięć państwa Dyderków budzi okrutną ciekawość: i on i Pela. Czy wystrojona jak hrabina i z nosem do nieba wyjdzie do chmielników po podziw od ubogich rodaczek? Pierwszego ranka, czekając u bramy na ciężarówkę pana Lacy, nasze panie, obwieszone wózkami, torbami i nudzącą dźwiatwą debatują namiętnie jak to będzie, a Sitaczka z Burlejką zapewniają, że niech się tylko spróbuje *blastać*, to jej w pysk wygarną co myślą. Ale nic z tego, w chmielnikach Peli ani śladu, a jej świeży małżonek wychodzi jak zwykle sprawdzić jak parobcy nadzorują robotę i tu i ówdzie zauważyć, że wiosnę mamy przyjemną, czy nie? Przy czym rzuca się w oczy, że rusza się rażno jak nigdy, wyprostował pochylone plecy, cery nabrał świeżej i przy tym leciutko zalatuje czosnkiem, którego tubylcy boją się jak nasz Boruta kropidła. Dobrze mu widać służy opieka młodzieutkiej żony.

Otóż i on, chmiel czyli *Humulus lupulus*, bylina dwupienna z rodziny konopiowatych, który piwo daje miłą goryczkę i chroni je przed zepsuciem, a czyni to od setek lat, odkąd zawładnął tutejszymi polami i nudny staroangielski napitek przemienił w szumną rozkosz bogów. Wyższy nad klęski i wojny kojarzy się odtąd z bratem jęczmieniem, by pieniście wytrysnąć do wielkich kufli w pubach całej Wyspy. Jej lud ceni piwo ponad wszelkie dobra jadalne i każdą wzmiankę o podwyżce jego ceny wita z osłupieniem i ma ją za prognostyk końca świata. W tym odwiecznym układzie rzeczy od paru lat uplasował się Crowley. Słowiańskie ręce od powijkaków wychowują to szumne ziele i kierują je na przyrodzone podniebne szlaki, gdzie z głową w słońcu i wietrzyku rozpuści kiście bladozłoty szyszek. Pasjami ono kocha wilgotne pola i łagodne zbocza wystawione na zachód i południe, i osłonięte wielkimi żywopłotami od jadowitych wiatrów z północy. Strach pomyśleć jak by nasze panie dotrzymały kroku modzie, gdyby nie ten chmiel, który tak walnie je zasila trzy razy w roku: wiosną (gdy się go owija), pod lato (gdy obrywa mu się dolne liście i piele) i wreszcie najhojniej jesienią, gdy z wszystkich krańców Marchii lud ławą rusza na chmielniki z babcią i dziadkiem, niemowlakiem w wózku i pieskiem na smyczy, a do tego Cyganie zlatują się z całych Midlandów. Czas wtedy nagli, bo szyszki zniecierpliwione mogą się rozsypać. Wtedy Crowley ginie w tubylczym morzu, ale wiosną nie ma nagonki i nasze panie mają chmielniki do dyspozycji, jak zarządzili panowie Lacy i Jones, którzy sobie cenią solidną robotę. Od rana do podwieczera rozbrzmiewają słowiańską mową jakby jaka chmielowa Lubelszczyzna, tyle że dominuje akcent kresowy z przewagą Wilna i Lwowa, co chmielniki zawdzięczają populacyjnej polityce Stalina. O tej porze roku plantacje są szare i płaskie, głębokie bruzdy biegną równolegle jakby wyczesane grzebieniem i świat miga w oczach przez tysiące wielkich pali spojonych u szczytu drucianą siatką i przez miliony sznurków wystrzelających ku tym szczytom, po cztery z każdego kłacza. Wkrótce śmignie po nich ziele, tak szybko że się nie obejrzyysz, ale póki co jest słabe i bezbronne. Wysuwa z ziemi wężowe łodygi, rozpręża listki i podnosząc głowę rozgląda się, co dalej. Wtedy zstępuje nań Crowley by jak ptaszycza pisklęciu wskazać mu jego powołanie. Słowiańskie dłonie chwytają młode pędy i owijają po dwa na sznur, koniecznie w kierunku wskazówek zegara. By je podpedzić obrywają dolne liście i zielsko wzeszłe wokół, by całe dobro ziemi poszło w piwo. Wiosna jeszcze młoda i ziemia opita deszczami, toteż panie brodzą w błocie po kostki a dziatwa tapla się niemifosiernie aż po brwi i upilnować jej nie sposób.

Tymczasem w Glorii Longfordu inna gromada naszych pań obsiadła jeden z czterech długiach stołów przez całą halę, którego środkiem na taśmie wędrują puszki. Obciągają z włókien pałki wiosennego rabarbaru i też sobie gwarzą. Siekają te pałki, sypią w puszki, maszyna napęlnia je różową farbą, płyną na pasie i płyną cały dzień. U wjazdu do hali robotnicy rozładowują nową ciężarówkę i jak rozsuna pół ściany by ją wypuścić, przed oczyma niewiast odkrywa się widok na niski fabryczny mur, za którym longfordzki magistrat buduje właśnie tłum identycznych domków do wynajęcia ubogiej klasie pracującej. Oceany takich domków otaczają miasta Wyspy, tak że nie odróżnisz tych miast i gdzie bądź możesz wpakować się do cudzej rezydencji biorąc ją za swoją. Ale dla Crowleyu stanowią one szczyt ludzkich możliwości i kto wie czy kiedyś nie staną się ciałem. Właśnie po barakach kursuje nieprawdopodobna gadka, że obóz zostanie zlikwidowany i jego mieszkańcy otrzymają magistrackie domki — prawdziwe ludzkie pomieszkania! Nic dziwnego, że nasze panie tęsknie spoglądają znad rabarbaru na nagie szkielety dachów, na które robotnicy kładą właśnie śliczne czerwone dachówki. Spoglądają też i Angielki z Walijkami, widzą zainteresowanie i wreszcie gruba Jill zagaduje panią Kozicką, czy w jej kraju są takie domy. Pani Kozicka w angielszczyźnie niemocna, ale z tonu i gestu łatwo wyrozumieć, toteż odpala urażona, że gdzie tam, w Polsce ludzie żyją na drzewach jak ptaki. Jill wytrzeszcza oczy, więc pani Kozicka robi rękoma „lata ptaszek” i powtarza, że właśnie tak — jak ptaki. Dalsze Angielki wcale się nie dziwią, kiwają głowami, bo rzecz prawidłowa: no tak, na drzewach, u tych cudzoziemców wszystko inaczej niż u ludzi. Podają sensację dalej i zaraz wszystkie stoły, po trzy tuziny niewiast przy każdym, i na końcu obsługa maszyn dowiaduje się, jak w tej Poland niecywilizowanie, i jednomyślnie się zgadzają jakie szczęście mają te tutaj, że mogą się nauczyć żyć po ludzku — nawet Crowley to dla nich pałace. Ale zaraz coś innego odciąga uwagę, bo w środku polskiego stołu wybucha zamieszanie: to pani Łukasiewiczowa mówi do swej roboczej pary, pani Ostrowskiej: — Wyniesiem te śmiecie. — Pani Ostrowska uderza w krzyk: — Jak pani się do mnie zwraca, jestem żoną majora! — Ja wiem, pani Ostrowska, ale... — Szanuj mnie pani, jestem żoną majora! — Pani Łukasiewiczowa zapewnia: — Ależ szanuję, szanuję, a śmiecie tak i wynieść musowo! — Pani Ostrowska aż pieje: — Jak pani do mnie, ja bym pani w Polsce nie chciała za służącą, ja opiszę panią w gazetach! — Angielki i Walijki stają na palcach, wyciągają szyje, a Jill jak zwykle szturmuje panią Kozicką: — Co ta *lady* mówi? — Że jest żoną

majora. — Tubylcze niewiasty szturchają Jill: że co? Żona majora! oh, ta forejnerska hołota!

Z drugiego końca stołu pani Pomykało skarży się paniom Malinowskiej i Dyderkowej na świeżo zawarte i już wyraźnie nieudane małżeństwo syna. Nie ma szczęścia nasz Władziu, ta jego Sheila była przylepna nim złapała chłopca: i katoliczką miała zostać zaraz po ślubie, i nauczyć się po polsku, a na *weekend*'zie u teściów nie dawała spokoju pani Pomykałowej żeby jej pokazała jak robić polskie potrawy. No i przeszło od ślubu trzy miesiące, a już pokazała rogi: roznosi ją ze śmiechu jak wspomnieć o naszej wierze i mowie, którą szkaradnie przedrzeźnia, pracę oczywiście rzuciła i do południa leży w betach, więc nie ma mowy żeby mogli zebrać depozyt na dom, przecież płacą wysokie komorne. Co do polskich potraw, to i szkoda marzyć, jak i o potrawach w ogóle. Władziu po pracy sam musi sobie upichcić, uprawić koszule i co trzeba, bo ona nie ma czasu, cały dzień smali papierosy i w papilotach na głowie rajcuje z przyjaciółkami na rogu ulicy. Bożeż mój Boże, taki był chłopak delikatny a przebierny, podgrymaszał na crowlejskie panny i spotkała go kara! No i się nie wypłacze, przecież za naleganiem rodziców ślub brał katolicki, a tu trzeba się było w urzędzie rozpisac i jak rok czy dwa by było dobrze, dopieroż ją zaprowadzić do ołtarza. Panie słuchają, wzdychają boleściwie i współczują.

U końca stołu zasiadła pani Śmidowiczowa, której mąż w przerwach w rozwożeniu węgla pochłania Kraszewskiego i Orzeszkową. Ale jego pani te rzeczy nie w głowie, starczy że w fabryce umie się podpisać przy wypłacie. Tyle ma przy dzieciach roboty, a i zarobić trzeba jak Bóg da i akurat nie ma nowego dziecka w drodze. Ciężkie życie, wytrzeć nosa nie ma czasu, więc roztyła się i chodzi lada jak, nogi jej obsiadły żylaki i brak przednich zębów. Ale jest przy tym wesoła zalotnica, kunsztownie kręci zadkiem, nawet do starego Joe, który ma nie wszystko w domu i snuje się z miotłą jak nieprzytomny. A robotnicy jak robotnicy — chętni pożartować i ostro świszczą jak przechodzi, coś wykrzykują, więc jest rada, że kobieta z niej jeszcze do rzeczy i że się podoba. Taszczy na stół nową wiąchę rabarbaru i strzyże ku Joemu, który właśnie wyseplenił jakiś komplement. Nurtuje ją, czy to było dobre czy złe, i wreszcie radzi się pani Jankowskiej: — Nazwał mnie *witch*. Czy to czarownica, czy czarodziejka? — Bardzo to dla niej ważne, więc pani Jankowska litościwie powiada, że czarodziejka, a w nią od tego wstępkuje nowy animusz. Poprawia przekrzywiony czepek, obciąża chałat na sterczącym

brzuchu i rabarbar tylko jej miga w rękach, co oczywiście nie znaczy, że jej nie obchodzi co się wokół dzieje. Obok ma nierozłączną parę: Byczukową Laurę, która wbrew rozsądkowi przysłała na dwa tygodnie zarobić na wózek dla bambina, i Kwiatkowską, siwą babkę amerykańskich wnuków. Wszyscy się boją jej żmijowego języka i tylko Laura na wszystko sobie pozwala, nie do wiary jak Kwiatkowska znosi od niej wszelkie impertynencje i chyba je nawet lubi, bo trzyma się Włoszki jak rzep ogona. Włoszka jak Włoszka: po naszymu mówi biegle choć hecownie i wszystkie wokół zabawia kosztem towarzyszki. Od samego rana wydziwia, że znów musiała Kwiatkowskiej podpisać kartkę do notowania akordu, sztorcuje ją i zawstydza, a wszystkie słuchają z lubością. Ofiara żga ją lodowatym wzrokiem i coś syczy, ale nie ma mowy, żeby się przesiadła, widać przyjemnie jej przy Laurze. A ta ma swoje kłopoty, bo choć Madonna zrobiła cud i bambino wreszcie w drodze, to Byczuk dalej hopsa na boki. Chłopisko zwałiste i blondynowate, to i Angielki przy robocie nań łaskawe, a w domu mówi, że już nie może patrzeć na spaghetti i pizzą wczoraj cisnął w lufcik. Więc dość jest zmartwień i bez zajmowania się Kwiatkowską, tylko jęzor plecie żeby zagłuszyć głowę.

Tak sobie w Glorii Longfordu ugwarzają dzień po dniu, a robota będzie sła ostrym tempem do października. Wpierw idzie rabarbar: cienki — tutejszy i gruby — importowany, aż dziw że się opłaca wieźć go zza morz, żeby tu z niego zrobić paskudny kompocik z czerwoną farbką. Po rabarbarze polecą truskawki i czereśnie, po nich groch z miętą wymalowany apetycznie jak dziwka i jak ona oszukańczy, a po nich inne zamorskie i krajowe dobro, w tym również koszyczki czarnych jagód z napisem „Poland”. Czernią ręce, więc Angielki krzywią się z obrzydzenia i utwierdzają w przekonaniu o podłości tego kraju, gdzie ludzie żyją na drzewach a żony majorów dostają w publicznych miejscach hysterii. Ich wyroby, podlane różnobarwną farbką, wyjdą stąd w słojach i puszkach jako kompoty i dżemy, których nikt w Crowleyu nie wzięłby do ust, bo wie jaki to brud i zgnilizna i że kobiety gumowymi butami przydeptują to świństwo w misach pod stołem żeby przyspieszyć akord: niby że owoc marny i na kompot niezdatny, tylko na dżem. Z rękami w owocach nasze panie rozprawiają o różnościach i dni lecą, a przy tym trapi je troska o dzieci, które już wróciły ze szkoły i samopas łby sobie urywają w Crowleyu, i o dom; nie wiedzieć za co chwycić jak się wróci z pracy: za obiad, za kury, za pranie czy za ogród, który po cichu porasta zdradliwym zielkiem.

SPRAWY ŚWIECKIE

Zaraz po Wielkiejnocy zaczęła się w życiu Crowleyu wielka przemiana, która miała przeorać i zmienić niepowtarzalny charakter tej słowiańskiej wsi osadzonej losami wojny na anglo-walijskim (*pardon!*) zadupiu. Do Bożego Narodzenia spokojny żywioł słowiański zredukował się do roli jednej z części składowych, mniej licznej i nie nadającej tonu całości. Skutek był taki, że odtąd nazwa Crowley stała się w Longfordzie z przyległościami i w okolicznych wioskach symbolem wszystkiego co podejrzane, koczownicze, barbarzyńskie i niewypłacalne, a przy tym urodzajne w bękarty, jednym słowem niezgłębiona otchłań dla policji i opieki społecznej.

Wojna, która na spokojnym zapleczu Wyspy osadziła liczne obozy sprzymierzonych armii oraz jeńców szwabskich i italskich, zapoczątkowała — jak już powiedziano — nową fazę przemian etnicznych na Pograniczu. Wiadomo, że w rejonach wędrówek ludów sytuacja demograficzna nie wraca do stanu pierwotnego z ustaniem powodów migracji; w Marchiach można to było zaobserwować jak pod szkiełkiem. Odpływająca fala zostawiła tu różnoraki żywioł: Słowian, tubylcze panny z dziećmi wszelakich ras, odpryski wojujących armii, mieszane małżeństwa z partnerami importowanymi zza mór, zaszczone kobiety pożerane przez masy zdziczałych dzieci (małżonkowie odeszli w siną dal rozpocząć — jak to ujmują brukowce — „nowe życie”), najprymitywniejszych ze wszystkich Ajriszów, którzy w latach wojny napłynęli z najzapadlejszych kątów Irlandii zwabieni zarobkami na wyludnionych farmach, a potem nie chcieli wracać na swe głodne wybrzeża, i wreszcie Cyganów, którzy zlecieli się z Midlandów zwabieni opuszczonymi przez armie obozami. W latach powojennej stabilizacji cała ta bezdomna rzesza, trzymająca się stolicy Marchii jako źródła zarobku, zasiłków i niewybrednej rozrywki, znalazła się na mieszkaniowej liście longfordzkiego magistratu, stawiając go w godnej pożałowania sytuacji. Starczyło spojrzeć na te — jak je zwą socjologiczni biurokraci — problemowe rodziny, by pojąć, że większości nie sposób wpuścić do magistrackich domków, bo w mgnieniu oka zrobią z nich chlewy. Z tych właśnie względów, a nie dla wygody Słowian, władze od roku przebudowują crowleyskie baraki na koślawe mieszkanca: wielkie harhary, w których kompanie wojska spały pokotem, dzielą pustakami na pokoiki, doprowadzają do nich wodę, instalują elektryczne kuchenki i WC, i niektóre z tych komfortowych cudów otrzymują dawni crowleyanie. Ale chodzi przede

wszystkim o tamtych podopiecznych: jeśli mają zgnoić miejskie domki, to już lepiej rzucić im na pożarcie obóz. Dlatego po Wielkiejnocy cała ta mętna a nieapetyczna masa wali się jak z pękniętej tamy na osiadłych i zagospodarowanych Słowian. Są oczywiście wśród przybyszów ludzie pracowici i spokojni, ale tacy zawsze giną w rozgardiaszu i nie stanowią o obliczu całości. Toteż aby zrozumieć słowiańskie przerażenie wypada sięgnąć do okresu wędrówek ludów i wczuć się w przerażenie osiadłych Rzymian i Gallów zalewanych falą barbarzyńców. Ci nowi barbarzyńcy, nazwani przez Słowian zbiorowo Anglikami, nie noszą wprawdzie skór i mieczów, ale za to roją się wśród nich tabuny niemytych nigdy bachorów, które nawet zimą latają półnagie po śniegu i złośliwie niszczą wszystko co ładne, czyste i zadbane, jak na przykład słowiańskie ogrody. Przy nich rojowisko bab, u których stan błogosławiony jest stanem stałym choć z niewiadomego źródła, które zieją machorkowym dymem i we wszystkie pogody chodzą w zeszmakonych, spiętych agrafkami paltach o przodzie lśniącym od brudu, po deszczu i śniegu kłapią w resztkach nocnych pantofelków, a zęby dla wygody zostawiają w domu. Ich lotni jak dmuchawiec mężowie wyznają filozofię, której ideałem jest bezrobocie i nawet w okresie pełnego zatrudnienia tak manewrują by nie pracować, a w pubie potrafią jasno wyliczyć, że praca jest dla idiotów, zaś rozsądny człowiek siedzi w domu, robi dzieci i bierze na nie zasiłki. Toteż i dzieci, jak powiedziano, są takie chmary, że całkiem przyćmiły małe Słowianięta, bo tylko państwo Ciupkowie młodszy ze swą siódemką (i ósmym w drodze) i Śmidowicze z dorodną ósemką są wobec tamtych zdolni bronić honoru płodności Narodu Polskiego.

Całe to towarzystwo nade wszystko w świecie pożąda (obok niezarobionej forsy) *fun* czyli ubawu, któremu służą longfordzkie kina, kafejki i hazardowa buda za rynkiem, zawody footballowe i wyścigi piesków. Co wieczór obowiązuje wypad do pubu, na który panie wyłazą z papilotów i włożą w zęby. Nic dziwnego, że pan Wiewiór w lot złapał koniunkturę, wynajął barak przyległy do sklepiku i ozdobił go pęczkami baloników oraz pasami bibułki od żarówki ku ścianom, na głównej ścianie zawiesił tablicę do rzucania strzałek i w tak ozdobionym lokalu rozpoczął z żoną wyszynk. Ze Słowian stałym klientem okazał się prezes Sitak z małżonką, ale giną oni w tubylczym morzu, które co wieczór zapełnia pub. Przy takim stylu życia przybyszów mało, rzecz jasna, zostaje monety na zwykłe potrzeby, toteż po obozie idzie pomruk oburzenia, że to hańba żeby cudzoziemcy mieli więcej forsy i lepiej żyli niż tubylcy. Słowianie ze swej strony darzą nowych sąsiadów głęboką niechęcią jako pogan i podludzi i z nie-

smakiem obserwują ich dzikie obyczaje. Jest co podziwiać: nie tylko wrzaski, brudy i rozwiązane obyczaje, ale też finansowe wygibasy. Poborcy komornego, dotąd oczekujący na opłaty w okienku w magistracie, teraz w piątkowe wieczory czają się na placu autobusowym w Crowleyu, by wyegzekwować należność od jadących z miasta z wypłatą lub zasiłkiem. Elektrownia ucina światło niepoprawnym dłużnikom i całe partie baraków toną w mroku, meblowe budy longfordzkich sklepów co rusz zabierają swym klientom różne dobra wzięte na raty, naturalnie bez intencji płacenia. Piekarz i mleczarz odmawiają dalszych dostaw osobom, które w krótkim czasie zaciągnęły długi na dziesiątki funtów, i rzewnie wspominają czasy, gdy Crowley był czysto słowiański i wszelkie rachunki akuratnie regulował w sobotę, obojętnie bezrobocie czy sezon. Hindus-domokrażca nie chce dawać przybyszom na borg, choć wśród Ajriszów wielu chętnie by nabyło portret Ojca św. w aksamitnych ramach z muszelkami, a rozleniwiony policjant z Holme de Braose, który dotąd całymi dniami w rozchełstany mundurze woził dziecko na spacer, nie może doprosić się pomocnika i do późnej nocy ugania na rowerze, zapięty na ostatni guzik i z notesem gotowym do protokołów.

Na las pani Craven przychodzi czarna godzina i Harry wypiera z siebie ostatni dech ciąglą pogonią, wobec której wyprawy Słowian po choinki wydają się dziecinną igraszką. Najeźdźcy rąbią co się da: na opał, tyki do bielizny, ogrodzenia, więc Sąd Hrabstwa ma pełno roboty a *Longfordzki Biuletyn* więcej materiału niż może strawić. A jakie szkody ponoszą okoliczni farmerzy, zwłaszcza w rozstawionych na pastwiskach kurnikach, w sadach i na kartofliskach, to i mówić szkoda. Trzeba tylko podkreślić, że ta żałosna metamorfoza Crowleyu, parku i lasu Sir Evelyną ma i dobrą stronę, bo na tle przybyszów Słowianie raptem wyporządnili w oczach sąsiedztwa. Holme de Braose z przysiółkami teraz dopiero pojęły jak dobrze było mieć pod bokiem tych spokojnych i finansowo odpowiedzialnych, choć śmiesznych i mówiących rękoma cudzoziemców. A longfordzkie sklepy z radiem i meblami uczą się rozróżniać amatorów spłat na raty i crowlejski adres często starczy do odmowy, chyba że podaje go Słowianin, o którym wiadomo, że nie jest ryzykiem.

Jak rzeczono inwazja zaczęła się tuż po Wielkiejnocy i trwała do Bożego Narodzenia, ale zalewani nią Słowianie próbują, niby zdeklasowane hrabiny, żyć jakby nigdy nic. Po święcie Zmartwychwstania następuje Trzeci Maj, co jest bardzo dogodne, bo jednym kamieniem zabijesz dwa ptaki. Obie uroczystości razem blokują od rana do północy trzecią niedzielę maja i słowiański

Crowley niby dogasające ognisko bucha wspaniałym ostatnim blaskiem. Program dnia obejmuje cztery punkty, z których każdy by starczył osobno. A więc zgodnie z dobrym obyczajem rozpoczynamy dzień uroczystą mszą św. za Ojczyznę, podczas której Ksiądz Magister przechodzi sam siebie w podniosłym, przeszło godzinnym kazaniu, zaś Beno Kwiczół grzmi na fisharmonii, że słycać go aż na autobusowym placu. Zwabia to pod kaplicę stada pogańskich bachorów, których wrzaski, próby włamania się do świątyni i bluźniercze rzucanie kamieniami w dach zakłóca spokój wiernych i księdza oblewa taką purpurą, że należy obawiać się apopleksji. Potem zabrzmiał polonez, który znaczna część crowleyan nazwała polką, a który Beno rąbnął zaraz po Podniesieniu. Róże zmartwiały w obrocie do tyłu i było wiele zgorzzenia, ale Koło Studiów Wojskowych zgodnie poparło organistę, bo czy może być odpowiedniejsza muzyka na Rocznicę Majową? Po tyłu przeżyciach wierni wysypali się wreszcie w samo południe ze świątyni, wymiñeli udając że go nie widzą czujnego kwestarza Lokalnego Komitetu Skarbu Narodowego i przeszli do świetlicy, gdzie obie Żywe Róże Pań zorganizowały okolicznościową wystawę robótek ręcznych. Uroczystego otwarcia dokonał ksiądz Turkuć ledwo zdjął liturgiczne szaty, a że pora była obiadowa, on zaś jeszcze bez śniadania, mowa inauguracyjna trwała zaledwie kwadrans i ograniczyła się do pochwały polskiej sztuki ludowej, tak przepojonej motywami religijnymi, której przykłady tu oto widzimy jako chwalebny dowód pielęgnowania na tułaczce ojczystych tradycji i chwała za to ich strażniczce, Kobięcie Polskiej. Były to jednak raczej pobożne życzenia, bo tradycja nie okazała się ludowo-katolicka. Zaraz od wejścia rzucał się w oczy stół kryty haftowaną serwetą pani Dyderkowej, zdobną w szyte atłaskiem i sznureczkiem kosze czerwonych, żółtych i błękitnych róż, wojskowe ławy obok zarzucono poduszkami, na których element rodzimy (na czarnym suknie wyszyte kotki, chryzantemy i kiście bzu) ustępował agresywnej sztuce zdobniczej Anglosasów — i nic dziwnego, skoro te chatki w kwiatach i damy w krynolinach nabywa się u Woolwortha już odbite na płótnie. Tylko brać i wyszywać, czyniąc odstępstwo na rzecz żywych słowiańskich kolorów, które lepiej by pasowały do pasiaków i wycinanek. Chatki, w naturze czarno belkowane, co można stwierdzić naocznie choćby w Holme de Braose, nasze panie wykonały w barwne pasy, a krynoliny wyszły tak jaskrawo i pstrokato, że wytworne damy upodobniły się do hożych słowiańskich dziewczek, które lichu wie po co nasadziły kapelusze i niosą filigranowe parasolki.

Tyle środek sali. Ściany wybito szarymi wojskowymi kocami

stanowiącymi doskonałe tło dla makatek i serwetek, które w jeszcze większym stopniu wykazują syntezę elementów tradycyjnie rodzimych, aczkolwiek proletariackich raczej niż ludowych, z tutejszymi. Obok wspomnianych już dam i chatek zgodnie wiszą makatki propagujące hasła „Smacznego”, „Kto rano wstaje” i „Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść”. Są też kosze truskawek, chytrze wypchanych watą i obszytych czerwoną przędzą, bukiety kwiecica wykonanego szydełkiem i aplikowanego na suknie, z łądygami związanymi prawdziwą kokardą. Ale wszystko przyćmiewa dzieło Pocałujkowej Zuzy: na połowie ciemnego koca harcuje wśród róż żółty koń na zielonej trawie. Pysk ma jak hipopotam, oczy z zielonych guzików i kopyta z prawdziwej skóry jak męskie półbuty, a do tego grzywę po kolana i podpięty kunsztownie ogon z włóczki. Sztukę ludową, aczkolwiek raczej rumuńską czy ruską, reprezentuje krzyżykowy laufferok pani Dubielowej-Bielińskiej, a polski folklor ogranicza się do kurpiowskiej serwetki tak spranej i wypłowiałej że tylko z łaski wsadzono ją do kąta, jedynej rzeczy ocalałej z domu państwa Jankowskich.

Publiczność tłoczy się, rozpatruje eksponaty, panie czerpią nowe pomysły i zamawiają szczególnie atrakcyjne wzory do odbicia. Z nadejściem zimy Crowley ogarnie wzmrożona fala rękodzielnictwa, toteż wszyscy zgadzają się co do użyteczności tej ciekawej imprezy, żądają jej ponawiania i patrzą z sympatią na przybyłego ze stolicy na *weekend* do teściów pana Gabriela Rokito, który fotografuje co wybitniejsze eksponaty i redaktorską manierą zapisuje w wielkim notesie nazwiska ich twórczyń, by nikogo nie pominąć i wszystko opublikować w londyńskiej gazecie. Ale zaraz uwagę odwraca rzecz tak niesłychana, że rozsuwają się na boki i czynią przejście dla gościa. Oto na salę wkracza Wielebny Powell eskortowany przez Dankę i rotmistrza Wolniaka. Obiegają wystawę, przystają przy kurpiowskim hafcie i wychodzą tak nagle jak przyszli, jakby nie znaleźli czego szukają. Za nimi wysypuje się publiczność i wszyscy widzą, jak niezwykła trójka odpływa w stronę mieszkania państwa Góreckich. Tak to na ludzkich oczach i całkiem otwarcie zaczął się heretyk zagnieżdżać wśród Słowian. Nikt nie podejrzewał, że uczonego etnografa przywiódł do Crowleyu lekkomyślność pana Wolniaka, który zwabił go tu obietnicą pokazania polskiego folkloru podczas Trzeciomajowych obchodów.

Jest co omawiać podczas niedzielnego obiadu i lichy wie, jak się do tego ustosunkować. Żywe Róże są do żywego dotknięte, rzecz jest niebezpieczna dla Wiary i różne osoby może zawieść

nawet do bezbożnictwa. Tymczasem ruchliwe Koło Sportowe, wspomagane przez Brac̄ Harcerską, ma pełne ręce roboty. Usuwają ze świetlicy stół z serwetą w róże i ławy z poduszkami, błyskawicznie przenoszą krzesła z kaplicy i dekorują scenę, zostawiając na ścianach konia Zuzy i inne rękodzieła, co podnosi odświętny wygląd sali. Ale pięknie ozdobiona scena dominuje nad całością i w jej zawiłej symbolice można czytać jak w księdze. Dzięki talentom naszych scenografów osiągnięto — jak potem słusznie podkreślił pan Gabriel na łamach londyńskiej gazety — maksimum efektu przy wykorzystaniu najprostszych materiałów zdobniczych: karbowanej bibułki, papieru paczkowego, tektury i wojskowych koców w kilku odcieniach. Na ich skromnym, surowym tle rozpięto po przekątni ogromną Flagę Narodową i w jej środku umieszczono konturową mapę naszego Kraju z Ziemią Wschodnimi oraz Odzyskanymi i Godłem Państwowym pośrodku, całość zaś oplata rdzawy drut kolczasty, którego zwoje walają się w chaszczach za barakami. Spod mapy na bibułkowej wstędze zwisa tekturowe *Virtuti* w obramowaniu wieńca dębowo-bobkowego symbolizującego Moc i Sławę. Z jego dwu stron przypięto daty w uderzającym skrócie streszczające dzisiejszą uroczystość: 1791-1953. Górą maszerują herby miast polskich na przemian z godłami jednostek Armii Polskiej na Zachodzie, a nad nimi pod samym sufitem upięto tekturowy napis „Wrócimy Tam!”. Całość dekoracji przecina w poprzek jak miecz, a jednocześnie łączy i nadaje jej strzelisty, podniebny akcent sylwetka Kolumny Zygmunta, przybrana niczym w nim w literę „ó” z „Wrócimy”. Na tle dekoracji stoi porzucony przez wojsko biust Marszałka, świeżo posrebrzony aluminiową farbą od piecyków, oraz wypożyczona przez panią Dyderkową białobłękitna, różanolica figura Matki Boskiej z Lourdes między dwiema słowiańskimi równiankami zatkniętymi w słoiki po dżemie.

W tak ozdobionej sali ma się rozpocząć o 3-ej uroczysta akademia, ale rozpoczyna się o wiele później, bo lud jak zwykle schodzi się niemrawo. Wolniak z Danką dobrze obliczyli, kiedy wprowadzić Wielebnego Powella. Dźwigając na potylicy kłujące spojrzenia zgromadzonych przechodzą do drugiego rzędu. Przed sobą mają szeregi crowlejskich notablów: władzę duchowną w postaci księdza Turkucia wspieranego przez prezeski dwu Żywych Róż Pań oraz świecką złożoną z majora Ostrowskiego (Koło Studiów Wojskowych), kpt. Góreckiego (SPK), prez. Sitaka (Koło Rodzicielskie), inż. Jankowskiego (gmina, czyli Zjednoczenie Mieszkańców Osiedla Crowley), p. Ciupki starszego (Komitet Kościelny), wachmistrza Millera (Skarb Narodowy) i wreszcie pana Kozickiego (Szara Brac̄ Zuchowo-Harcerska), każdy oczy-

wiecie z małżonką. Tam sobie siedzą, dziatwa marudzi i tylne rzędy wypełniają się nadzwyczaj wolno. Wreszcie niecierpliwe okrzyki „Zaczynać!” wywabiają zza kulis chór Szkoły Sobotniej im. Trzech Wieszców, który pod batutą Bena Zawiszy-Kwiczola odśpiewuje okolicznościowe pieśni „My chcemy Boga” oraz „Witaj majowa jutrenko”. Odprowadzany hucznymi brawami cofa się niechętnie ustępując miejsca księdzu Turkuciovi, który zagaja uroczystość. Przypomina nam o światowym znaczeniu Polski jako odwiecznego Przedmurza Chrześcijaństwa i obowiązkach, jakie ta rola, dziś bardziej jeszcze aktualna niż dawniej, nakłada na każdego z nas. Że ciągle jeszcze mamy miesiąc maj, mówca z kolei porusza sprawę Ślubów Jasnogórskich złożonych również w naszym imieniu i każdego z nas obowiązujących i kończy mowę przypomnieniem nabożeństw majowych o godz. 7-mej w naszej kaplicy, na których nie może nikogo zabraknąć.

Oddawszy należycie co Boskiego Bogu, przystępujemy do cesarskiego. Rozpoczyna je zbiorowa deklamacja „Na warszawskim rynku” w wykonaniu najstarszej klasy profesora Koziewicza. Średnia klasa, ozdobiona barwną grupą krakowianek, występuje w publicznym egzaminie na temat „Dziejowa Rola Konstytucji Trzeciego Maja”. Pytania zadaje ksiądz jako kierownik Szkoły Sobotniej, a dziatwa odpowiada z ogniem, choć ten obwieś, Heniutek pana prezesa, wierci się z tyłu i obszczytuje nogi krakowianek. Ksiądz purpurowieje i sapie jak miech, ale udaje, że nie widzi — dopiero za sceną oberwie te łajdakić uszy. Z ulgą prowadzi wreszcie za kulisy swych wychowanków, ustępując miejsca klasie p. Jankowskiej, to jest maluchom i naszym właściwym milusińskim. Nie zawiodą naszych nadziei, w dowód czego występują w strojach narodowych, by zapaść nam w serce pomysłową deklamacją znanego wiersza „Kto ty jesteś? Polak mały”. Grupa krakowianek pod Matką Boską z Lourdes chóralnie stawia pytania, a harcerzyki zgrupowani wokół Marszałka rażno odkrzykują i widać jaki nam dzielny rośnie narybek żołnierski. Wreszcie ze śpiewem „Nasze małe żołnierzyki” dziatwa ustawia się w pary i maszeruje wokół sceny zapewniając bolszewików, że się ich nie boi, by przy wtórze ostatnich słów zniknąć za kocami. Długo bijemy brawo, a nasze myśli płyną hen!, i tak kończy się akademii część pierwsza. Przekonaliśmy się, że młodzież dzielnie się broni przed wynarodowieniem i nie marnuje czasu, więc może wreszcie ludzie przestaną żałować tego szylinga tygodniowo na koszt Szkoły im. Trzech Wieszców.

Po antrakcie na scenę wkracza mjr Ostrowski by wygłosić referat o Konstytucji, z nawiązaniem do naszych czasów: że nie

może zginąć Naród, który stworzył to Dzieło. Ledwo rozpoczął, aż tu wybucha tumult jak podczas kazania: to nasi najmłodszy dopominają się o swe prawa. Publiczność uwagę ma więc zaprzątniętą, co chwila wstaje dając drogę wychodzącym i wracającym i mało kto słyszy referat przygotowany w niemałym przecięż trudzie. Warto podkreślić, że w tym rozgardiaszu najsumieniej słuca go Wielebny, oczu z mówcy nie spuszcza, choć naturalnie nie rozumie ani w ząb, ale jest to prawdziwy dżentelman i zawsze umie się znaleźć. Wreszcie z ulgą dają majorowi brawo i już płyną skoczne dźwięki akordeonu. Brzmi polonez Trzeciego Maja, rozbrzmiewa radością, radością słuch poi, aż dziatwa przy-cichła i nastawia uszka, a młodzi w miejscu ledwo stoją. To Ambroź Pocałujko różnie jak na weselu i do wtóru muzyki rozpoczyna się akademii część trzecia — artystyczna, opracowana przez ruchliwe Koło Sportowe. Właściwie jest to próba generalna przed występem na uroczystościach koronacyjnych w Longfordzie, toteż wszyscy są strasznie ciekawi. Wielebny drgnął i ożył, wychylił się do przodu wsadzając głowę między prezeski dwu Żywych Róż Pań. Zawierciły się niespokojnie, bo kto wie, czy TO nie jest zaraźliwe. Tymczasem scenę wypełnił furkot, siarczyste młyńce i przytupy, aż stary barak zdaje się zataczać. Powiewają wstęgi i warkocz z nylonowych pończoch, stroje regionalne mieniają się burzą kolorów, łącząc harmonijnie elementy proletariacko-krakowskie z masową odzieżą od Spencera, a czarne gumiaki tancerzy wydają podejrzone dźwięki. Krakowiak i oberek, kujawiak, trojak i wreszcie polonez, aż dziw jak ten Ambroź nadaża i niczego nie pomyli, choć wiadomo, że jest pod gazem, a poloneza gra z prawdziwym dostojemstwem, choć instrument niezbyt stosowny. Istny to koncert Jankiela i myśli nasze niosą się, niosą... Wśród tancerek wyróżnia się słowiańską urodą Krystyna Pomykało, a kawalerkę usuwa w cień Mychał, reżyser dzisiejszego widowiska. Jego solowy, akrobatyczny występ w zbójnickim wszystkich zdumiewa, bo dotąd nikt nie miał pojęcia jaki talent mieszka w synu Zuzy. Same nogi chodzą — z taką chęcią puściliby się w tany. Widać, że nasi tancerze w Longfordzie nie zrobią nam wstydu, byle się Ambroź nie upił. Niech zobaczą pogany, żeśmy nie jacy-tacy! Ręce mdleją od oklasków i gardła od bisów, a pan Gabriel stoi z boku sceny i strzela błękitne błyskawice dla londyńskiej gazety. Nikt nie ma chęci przerywać widowiska, ale oto prezes Sitak już wkracza na scenę, by w imieniu Komitetu Rodzicielskiego podziękować ciątu pedagogicznemu za trud poniesiony w celu utrzymania naszego Młodego Lasu przy polskośći oraz obecnym za łaskawe przybycie. Co powiedziawszy, zostaje tam wśród szeregu tancerzy, Szarej Braci

i dziatwy, by razem zaintonować „Błękitne rozwińmy sztandary” i po nich Hymn Narodowy. Obecni ochoczo włączają się do chóru, głosy mikołajczyków mieszają się z głosami skarbowców i kombatantów — tak chwilowo zjednoczyły wszystkich te oberki i krakowiaki. Pani Bezdrożna próbuje górować nad tłumem a starsza pani Ciupkowa jak zwykle nie nadąza, toteż ostatnie linijki wykańcza ostrym solo, aż się ludzie oglądają. Tak Crowley zgodnie świadczy, że jest i czuwa i że dlatego właśnie jeszcze Polska nie zginęła. Po potężnym bis rusza wreszcie ku drzwiom, ale robi się zator i trzeba się zatrzymać. Wtedy wszyscy widzą ze zdumieniem jak Wielebny Powell, górujący nad tłumem wyniosłą postawą i białą grzywą, przepycha się do gospodarza imprezy: księdza Turkucia. Wyciąga rękę i mówi tak głośno żeby wszyscy słyszeli, że dziękuje za tak przyjemnie spędzony czas i jeszcze coś o wielkich polskich talentach. Ksiądz jest jak zła-pany, poczerwieniał i sapie, niepewnie potrząsa dłonią swego lewego kolegi i też powiada, że *wery najs*, a kryjące mu tyły Żywe Róże wytrzeszczają oczy i nie wiedzą czy gorszyć się od razu, czy dopiero jak rzecz wyczerpująco omówią.

Wielki dzień kończy się staropolskim Kochajmy Się. Po niesporze odbywa się Święcone Jajko, które naturalną koleją rzeczy przeradza się w potańcówkę, choć tego już londyńska gazeta nie uwzględniła: pan Gabriel z żoną zaraz po akademii odjechali do Londynu. Ale i w tym co napisał do gazety niewąsko nabroił: poprzekręcał nazwiska wykonawczyń poszczególnych robotek, dziatwy śpiewającej, deklamującej oraz egzaminowanej, a także tancerzy, a niektórych krzywdząco pominął, toteż dużo się krwi zepsuło w Crowleyu nim pouczono pomienioną gazetę co do faktów i ogólnie: że pismo na tak wysokim poziomie nie powinno drukować niesprawdzonych, a nawet krzywdzących wiadomości. Osobne przyczynki nadesłał (przymuszony przez żonę, bo człowiek był spokojny) pan Bezdrożny, mianowicie o tym Święconym Jajku, na które pyszny tort upiekła pani M. Bezdrożna, a pp. Chłapajowa, Ciupkowa starsza i Macioszkowa pod kierownictwem tejże M. Bezdrożnej wykonały smaczne kanapki.

Pan Gabriel także nie opublikował, bo nie mógł wiedzieć, że ten pamiętny dzień był osobliwym świętem sekretarza Gminy Osiedla Crowley, rotmistrza Wolniaka, którego z okazji tego największego święta Polskiej Partii Monarchistycznej, dotąd głoszącej moc obowiązującą Konstytucji Trzeciego Maja król Feliks awansował na majora, obdarzył Orderem Orła Białego i do własnego klejnotu przypuścił. Pan Wolniak o tak zaszczytnym

wyróżnieniu poinformował tylko Zawiszę-Kwiczola, bo po co narażać rzeczy poważne na kpiny gawiedzi, ale prof. Koziewicz z właściwym sobie wścibstwem rzecz przewąchał i potem dworował w autobusie opowiadając o pergaminowym akcie nobilitacji z pieczęciami dyndającymi na szpagacie i jak pięknie na nim wykaligrafowano, że nagradzając zasługi ludzi Rycerstwem y mądrością dystyngwujących się, onych do Kleynotu Szlacheckiego Naszego, *cum prole utriusque sexus* przypuszczamy y onymże Diplomata z Kancellaryi Koronney wydać rozkazujemy: urodzonemu Teodorowi Franciszkowi dwoiga imion Wolniakowskiemu, i dalej w tym stylu.

W ogóle był to miesiąc bogaty we wrażenia, bo zaraz potem odbyło się najdłuższe w dziejach Crowleyu zebranie Gminy. Poprzedzone modłami za pomyślność obrad, rozpoczęło się wcześniej w niedzielne popołudnie i w żaden sposób nie mogło się skończyć, bo spraw nabierało się z całego roku, a także na zapas. Obrady toczyły się pod znakiem postępującej inwazji tubylców i wynikających z tego problemów: dewastacji ogrodów przez barbarzyńskie bachory oraz odsunięcia Słowian od nowych mieszkań, które przy obecnym stanie rzeczy Bóg wie kiedy dostaną, choć jako miejscowi powinni mieć pierwszeństwo. Przy okazji zdrowo oberwało się Wolniakowi, że to z jego winy, bo nie dba w magistracie o nasze interesy, choć przecież z naszej chudej kieszeni dostaje co piątek funtów cztery, szylingów siedem i pensów dwa. Tymczasem w różnych punktach świetlicy pomniejsze grupki jęły sobie wypominać różne rzeczy: a to kury, a to króliki, koguciska atakujące przechodniów, Jałtę i Skarb, rozwydrzone koty kradnące z cudzej kuchni, połamane przysięgi żołnierskie i że te składki, to głupi daje, a mądry bierze. Na tle utarczek grupowych wystrzelił jak raca Ambroż Pocałujko, który majorowi Ostrowskiemu bluznął w oczy o tych złotych klamkach, których cztery wagony sanacja wywiozła do Rumunii i dotąd z tego tłusto żyje w Londynie, bo rozkradła co rządowe i żołnierskie, jak te składki co on we wojsku musiał płacić i nikt go o zgodę nie pytał. Czego im ciągle mało, więc znów sięgają nam do portfela — z tym niby Skarbem. Nic dziwnego, że profesor Koziewicz z ukontentowaniem przeczesywał palcami skąpą pożyczkę i bure oczka błyszczały mu niedobrym ogniem, gdy umiejętnie to tu, to tam podsyczał ogień, albowiem uwielbiał organizować — jak się wyrażał — cyrk. W tej atmosferze inż. Jankowski, prezes Zjednoczenia, całkiem stracił panowanie nad sytuacją, choć podniósł się na całą wysokość i tłukąc teką sprawozdań z poprzednich walnych zebrań o stół wykrzykiwał „proszę państwa!”.

Tak to zebranie szło i szło, ciągle coś się działo i końca nie było widać, a słońce zstępowało nad choinkową górę. W międzyczasie panowie Górecki, Koziewicz, Hildebrand i poniektórzy inni wymknęli się na podwieczorek i znów wrócili by wziąć udział w debatach, a że wciąż nie było widać końca, to po paru godzinach wyszli na kolację i już zostali w domu. Dlatego przyjęcie sprawozdania Komisji Rewizyjnej i udzielenie absolutorium (z podziękowaniem) ustępującemu zarządowi odbyło się już bez nich. Dochodziła dziesiąta i dawno przepiały koguty, gdy wreszcie zgromadzeni przystąpili do wyboru prezesa Zjednoczenia na nadchodzący rok, co było sprawą trudną, bo inż. Janowski słyszeć nie chciał o nowej kadencji, a wszyscy inni wymigiwali się jak zwykle od obowiązków obywatelskich. Koniec końców wybrano przez aklamację pana Sitaka, który jest zawsze chętny do piastowania godności. W ten sposób Gmina Crowley zyskała pierwszego prezesa-pluralistę, wybraniec zjednoczył bowiem w swych pojemnych dłoniach dwie prezesury, a z czasem i więcej, i został (po księdzu Turkuciu) najbardziej wpływowym człowiekiem w polskim Crowleyu.

Tępe lico księżycy stało wysoko nad uspionymi barakami i tylko od pubu pana Wiewióra biły rozbawione anglosaskie głosy, gdy nowo obrany Ojciec Osiedla dziękował obecnym za łaskawe przybycie i obiecywał, że dołoży wszelkich starań by nie zawieść pokładanego w nim zaufania. Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku rozeszli się wreszcie do domu.

SPRAWY WIARY I MORALNOŚCI

Jak już powiedziano, w czasie wojny przeszły przez Crowley różne wojska sprzymierzone. A że człowiek jest z natury stworzeniem religijnym, to Ministerstwo Wojny JKM, przystępując w obliczu burzy dziejowej do budowy obozów musiało uwzględnić pierwiastek wiary. Obozy zostały więc zaopatrzone nie tylko w kuchnie i wszystko dla ciała, ale też w położone na ustroniu (choć centralnie) baraczki. Były brzydkie i bezosobowe, gotowe służyć wszelkim religiom jakie mogła przywiązać wojna — religiom, rzecz jasna, Bogu hołdującym, albowiem wiary świeckie (mimo zbieżności liturgicznych i rytualnych z tamtymi) w dzwonach i organach dotąd nie gustują. Dla świeckich religii przewidziano więc

światlicę z pianinem i podwyższoną sceną-ołtarzem propagandy, która miała tę zaletę, że łatwo zmieniała się w podium dla orkiestry a nawet w bufet.

W tych burzliwych latach przemarszu wojsk przez crowlejską świątynię przewinęły się kultury takie i owakie, aż wreszcie zapanaowała w niej i zmyła piętno herezji wiara prawdziwa czyli nasza. W schyłkowych latach wojny przynieśli ją Słowianie stempłowani Orłem w Koronie, a że ich sielankowe natury raziła zimna bezosobowość tego miejsca, gotowego na wszystko jak dziwka albo gościniec, z wrodzonym sobie wycuciem artystycznym przystąpili do zagospodarowania budynku i nadania mu piętna swojskości. Brzydkie rusztowanie od dzwonu wiejski mistrz pokrył piękną strzechą, wewnątrz *antiquo modo* wymalowali wapnem z farbką do bielizny i wzmogli niebieskość złotymi gwiazdami, które upstrzyły sufit w prezbiterium na kształt otwartych niebios. Na ołtarzu, wśród słoików od dżemu wypchanych polnym kwieciem, bukszpanem i kolorowymi liśćmi zasiadł obraz Pannienki Ostrobramskiej w złożonej ramie zdobnej od góry Orłem w Koronie, a okna z mętnego szkła na drucianej siatce zakryto od wewnątrz witrażami z kartonu i barwnej bibułki, przy pomocy tych bezpretensjonalnych materiałów odtwarzając słynne witraże Wyspiańskiego z polskimi świętymi, które dopełniono godłami jednostek Armii Polskiej na Zachodzie. Tak ozdobiona świątynia służyła naszym Siłom Zbrojnym i PKPR, a potem była świadkiem ich ciężkich pierwszych kroków w życiu cywilnym. Bardziej przedsiębiorczy i zbrojni w monetę ruszyli za oceany lub choć do wielkich miast Wyspy, a na ich miejsce napłynęły do Crowleyu rodziny tych, którzy zdecydowali się na program-minimum: osiąść na Pograniczu. Ta nowa społeczność odziedziczyła po Siłach Zbrojnych pięć rzeczy, które pozwoliły jej poczuć się tu jak u siebie: maszt do wywieszania Flagi Narodowej, wielki biust Marszałka, światlicę z rozstrojonym pianinem, Księdza Magistra oraz kaplicę z Pannienką Ostrobramską, spłowiątymi witrażami, piastowską strzechą, zachrypniętą fisharmonią i zenująco publicznymi konfesjonalami polowymi, ale za to bez mebli służących cielesnym potrzebom, te bowiem delegaci Ministerstwa Wojny JKM zebraли do wielkiego hangaru i w jedno popołudnie rozsprzedali nowosiedleńcom. Wypatroszona świątynia znów więc była pusta i ciemna i tylko Duch nosił się nad chłodną pustką, wierni zaś na stojąco i z dziatwą w ramionach albo na barana wysłuchiwali bezlitośnie długich egzort Księdza Magistra, o których profesor powiedział bluźnierczo, że mu przypominają Genewę w czasach Kalwina.

Kaznodzieja na zmienionej placówce miał pełne ręce roboty. Spisywał przybywających parafian, nawiedzał osiedleńców, dziatwę liczył i sortował w celach katechetycznych, a przy tym próbował zmiarkować kto tu dobry katolik, komu zaś wykształcenie przewróciło w głowie, albowiem nie ufał inteligentom. Że w każdej owczarni znajdują się parszywe owce, tak i tu objawiło się kilku niedowiarków, paru podejrzanych, jedno prawosławne małżeństwo nie chcące nawet słyszeć o nawróceniu na prawdziwą wiarę, jeden zakonspirowany Żydomason, na dodatek z uniwersytetem, oraz Ambroż Pocałujko, który wcale nie krył, że wprawdzie wierzy w Pana Jezusa, ale Jego sług nie może ścierpieć — bo i jak mógł liczyć na ich życzliwość, skoro przez Zuzę zapomniał żony i dzieci w Polsce? Że temu stadku kóz w owczarni Pańskiej ani było w głowie rozmyślać o nawróceniu, które samo wyciągało ku nim zbawienną dłoń w osobie księdza Turkucia, szybko pojął jak ciernisty przyszło mu orać ugór, choć było pewną pociechą, że nie będzie tego czynił w samotności. Zaraz bowiem wyrosła przy nim gwardia pobożnych niewiast, która ukonstytuowała się w dwie Żywe Róże Pań i objęła obowiązki jak kapituła przy biskupie. Teraz już szybko wyszło na jaw kto z kim żyje na psią łapę, kto nieślubne dziecko usiłuje przemycić za prawowite, kto zagląda do kieliszka i łupi w karty, a także kto jada w piątki i suche dni kapuśniak na bekonowych gnatach, które pan Wiewiór daje spod lady jako premię dla lepszych klientów. Wyłonił się też komitet kościelny, który zajął się zbieraniem tygodniowych składek na pensję dla księdza i utrzymanie świątyni, i tak zorganizowała się i okrzepła duchowna hierarchia Crowleyu. A że kaplica nadal była pusta, walne zebranie wierznych uchwaliło, że każda rodzina da do niej tyle krzesel, ile ma (za przeproszeniem) zadów do siedzenia, nie licząc naturalnie drobnej dziatwy, bo małym starczy rodzicielskie łono. Budynek wypełniły zwarte rzędy krzesel różnej maści i w różnym stopniu dewastacji, kulawych i histerycznie rozchwianych po długiej służbie wojskom sprzymierzonym. Teraz można było wreszcie wygodnie zasiąść i delektować się egzortami w należytym skupieniu.

Krzesła doprowadzono do porządku i jednolitości zbiorowym wysiłkiem komitetu kościelnego przy pomocy Koła Sportowego, które wymalowało je na olejno podejrzanie żółtym kolorem. Pod gęstą farbą zatraciły swą indywidualność i stały się posiewem niezgody, bo człowiek ma przyrodzony instynkt posiadania. Wierni jęli teraz ukradkiem i wbrew napomnieniu władzy duchownej wypisywać im na grzbiecie swe nazwiska i zabraniać

bliżnim korzystania z nich, a nawet wypraszać intruzów podczas mszy św., co powodowało nieprzystojny zamęt w świątyni. Jakby tego nie było dosyć, wyłoniła się sprawa umiejscowienia tych krzesel, bo przecież każdy miał prawo do honorowej pozycji na przedzie, ale wszyscy nie mogli się tam pomieścić, a zresztą miejsca przy prezbiterium z urzędu należały się hierarchii półduchownej, czyli dwu Żywym Różom Pań, choć także Pocałujkowa Zuza wpychała się tam jakby jaka prezeska pobożnych niewiast. Od początku były więc przez te krzesła kwasy i zadry, aż ostatnio sprawy przybrały nowe oblicze.

Wiosna ma to do siebie, że rodzi nowe życie — nie tylko roślin i stworzeń, ale i ludzkie. Tym razem Crowleyowi przybyło kilkoro małych Słowian. Największa sensacja była z Byczukową Laurą, która od lat mordowała lekarzy o bambino, nie tylko dlatego, że bez niego wstyd i zgryzota, ale i ze względu na Byczuka, który przecież rzucił tę swoją Angielicę, gdy pod jego dach zawita rozkoszna dziecina. No i stał się cud, bo gdzieś pod jesień Laura znalazła się w odmiennym stanie i aż ją roznosiło żeby krzyczeć o tym na cały Crowley. Nic dobrego z tego nie wyszło, doświadczony niewiasty nie kryły sceptycyzmu, a Burlejka, dufna w swe wielkie płodne brzuch, w twarz jej sarknęła, że ty, Laura, to najwyżej porodysz kota. Więc też Laura chciała skonać z żalu, ale akurat wpadła na panią Koziewiczową, która rozeznawszy się w sytuacji rozsądnie jej poradziła się nie denerwować, bo to szkodzi dziecku. I że po co ludziom rozpowiada, sami zobaczą we właściwym czasie. Tak się i stało. Przez całą zimę Lura ostrożnie stąpała po Crowleyu, zasłuchana radośnie we własne wnętrze, tak że mimo jej grubaśnych nóg i nijakiej twarzy z długim nosem na jej widok przychodził do głowy zwrot „łaski pełna”. I nic tylko myślała czy to będzie chłopiec czy dziewczynka, nijak nie mogła zdecydować co by wolała, a najlepiej — o Santa Madonna — od razu parka. Nadszedł wreszcie maj i spełniły się losy: w baraku Byczuków zjawiła się Giulietta, drobniutka i biała, ale całkiem nadająca się do życia. Cud, ku radości Laury i księdza Turkucia, był kompletny, albowiem Byczuk rzeczywiście zdawał się zapominać o Patrycji i w wolnym czasie przechadzał się po placu autobusowym pchając wózek zdobny we wstęgi, falbany i koronki, a jak kto uśmiechnął się do dziecka, to aż cały promieniał jakby je wynosił we własnym łonie. Nic dziwnego że z wyjątkiem Sitaczki i Burlejki Crowley życzliwie na Byczuków spoglądał i tłumnie przybył na uroczystość chrztu do kaplicy. Szczególnie przychylnie były Żywe Róże, bo też Laura uroczystość je zapew-

niła, że to wszystko zrobiła Madonna, a nie doktor Lloyd i specjaliści z miejskiego szpitala.

Trzeba podkreślić, że o wiele trudniej przyszło Laurze to jedno dziecko niż Ciupkowej młodszej cała siódemka, która w tymże czasie powiększyła się o dorodną parkę, której Opatrzność odmówiła tamtej. W ten sposób młode Ciupki pobiły rekord słowiańskiej płodności, jednym skokiem wyprzedziły Śmidowiczów z ich ósemką, a przyszłość niosła nowe triumfy, bo z nastaniem jesiennego darcia chmielu młoda matka znów znalazła się w stanie błogosławionym, no i nadchodzące lata niosły dalsze rekordy, dzięki którym dociągnęła do czternastu, nim ją wreszcie zmogła choroba. Tym razem rodacy mówili na jej bliźniaki, że czemu nie trójka od razu, albo zgoła pięćoraczki crowlejskie, nie stać bo nas na to?

W tym okresie eksplozji demograficznej sprawa krzesel przybrała nową postać, bo wtedy właśnie przybył jeszcze jeden młody crowleanin, a mianowicie synek zezowatego Kobylaka i jego partnerki Olgi, której mąż prosto z wojska zbiegł na Antypody, podobno z pestunią. Do udzielenia dziecku sakramentu chrztu nie było naturalnie żadnych przeszkód, bo jedyną na nim skazą (patrząc na rzecz od strony teologii, a nie obrażonej moralności Róż) był grzech pierworodny, toteż wszystko by się załatwiło, gdyby Olga i jej przyjaciel mieli odrobinę taktu i nie prosili w kumy osób najmniej odpowiednich: Zuzy i Ambroża Pocałujko. Nic dziwnego, że ksiądz Turkuć zgłosił ostry sprzeciw i w swej porywczosci wiele powiedział, bo najbliższej soboty Crowley został zaskoczony niezwykłym zjawiskiem. Pierwsi dostrzegli je panowie Bielas i Górecki, którzy pod swymi barakami u żywoplotu rąbali drewno. Gdy się zmachali, jak zwykle odłożyli siekiery by się po sąsiedzku poczęstować samosiejką, a skręciwszy rozkoszowali się smrodliwym dymem, pogładając przezeń na nowiutki świat. Od leżącej nad rzeczką kaplicy odgradzał ich duży plac i pasmo krzaków, i oto nagle nad tymi krzakami wychyły i jęły sunąć szeregiem cztery żółte kościelne krzesła. Dwaj panowie przetarli oczy sądząc — jak mówili później — że im w słońcu zwariowały, ale krzesła nie znikły. Kołyszac się lekko płynęły wolno a statecznie po czubach zarośli, aż zdumiony kapitan jął mimowoli gwizdać znaną pieśń „Stał się cud pewnego razu”. Przywołali żony, które jeszcze zdążyły zobaczyć jak krzesła wahały się i jedno po drugim zaczęły wchodzić do korytarza. W tejsze sekundzie przez szparę w krzakach mignął Kobylak z Pocałujkiem, z krzesłem siedzącym im okraciem na każdym ramieniu i podtrzymywanym wzniesioną ręką za siedzenie. Tyły

kryła im gestykująca zajadle Zuza. Zaraz też mieszkańcy położonych z dwu stron korytarza baraków przejęli zjawisko w swe pole widzenia i zrobiła się sensacja, a szczególnie nazajutrz, gdy przybyłych na niedzielną mszę św. powitały wyrwy po uprowadzonych meblach. Na dodatek Ksiądz Magister ogłosił od stóp ołtarza, że pewne osoby zamieszkałe w naszym obozie na zboczach pod lasem obrażyły się na naszą parafię i odmówiły płacenia składek na komitet kościelny. W zbiorowych modlitwach przed „Boże coś Polskę” zmówiono Zdrowaśkę za ich nawrócenie na ścieżki Pańskie, ale się nie nawrócili, a co gorsza złe ziarno jeło wydawać owoce, bo od tej pory wytworzyła się w Crowleyu procedura, że wszelkie spory zatracające o sprawy wiary i moralności pociągały za sobą wycofywanie krzesel z kaplicy, a czyniono to demonstracyjnie w sobotnie popołudnia, by widziało to jak najwięcej osób krzątających się w swoich obejściach. I zaraz-że, jeśli dozwalała pogoda, uprowadzoną *mebel* przemalowywano na inne kolory, a czyniono to w ogródkach przed barakami, by jak najwięcej osób dostrzegło to symboliczne zerwanie stosunków z księdzem i jego resortem. Tak uczynił pan Szczepanik, pomówiony przez Żywe Róże o życie w nierządzie ze swą ślubną małżonką, a także Hryciuk ożeniony z Rosjanką spod Smoleńska, oczywiście prawosławną, lecz uczęszczającą akuratnie do kaplicy i głoszącą, że Bóg wszędzie ten sam. Że o formalnym nawróceniu nie chciała słyszeć i ze swą Ninką jeździła we światy szukać batiuszki co by ją ochrzcił, doszło wreszcie do wymiany zdań, bo sprowokowane tym gorszącym zachowaniem Róże kazały jej wracać do Sowietów. Ale Hryciukowa nie miała języka dla ozdoby, więc jeszcze donośniej kazała im wracać do Polski i tak się wzajemnie przepędzały z Pogranicza, jakby doń miały rodowe prawo, a skutek wiadomy: Hryciukowe krzesła uciekły z kaplicy. Za nimi pobiegły różne inne, nie spamiętać, bo nie brakło powodów zarówno przez inkwizytorską działalność Róż, jak i dlatego, że ksiądz Turkuć pełnił obowiązki polowego kapelana Kombatantów i surowo potępiał Obóz Jałtański, którego przedstawiciele nie brakło i w Crowleyu. Z tych różnych powodów w kaplicy było coraz przestronniej, co miało i dodatnią stronę, bo zezwalało pozostałym przesuwac się bliżej ołtarza, i złą, bo składki na komitet kościelny kurczyły się niepokojąco, co biło coraz mocniej w prawowiernych płatników.

Takie to prądy nurtowały pod powierzchnią duchowego życia Crowleyu, choć na pozór panował spokój, z rzadka tylko macony przez fajerwerki. Tak właśnie było tej wiosny z bratankiem Ambroża, na wspomnienie którego rodacy długo turlali się ze

śmiechu. Kłopoty chodzą parami i chyba dlatego był to czas nieprzychylny Pocałujkom. Jeszcze nie ucichła sprawa Kobylaków (którzy wyzywająco hodowali młodego poganina i winą za to obarczali księdza Turkucia), aż tu pewnego dnia, gdy Ambroź był w cegielni a Zuza pełta farmerskie buraki, zielony autobus wyrzucił na placu młodego człowieka w czarnym garniturze z duchowną obrózką. Rozglądał się niezdecydowanie aż nadeszła pani Bezdrożna i wtedy się dowiedział, że pan Pocałujko mieszka za dębem i że nikogo nie ma w domu. Że ją żarła ciekawość, zaprosiła przybysza na herbatkę i żeby u niej zaczekał do wieczora, ale on rozpytał o drogę do tutejszego proboszcza i grzecznie ją pożegnał. Przesiedział wiele godzin pod gościnnym dachem księdza i naturalnie powziął dokładne informacje jak sprawy stoją, a tymczasem pani Bezdrożna rozniosła po obozie sensację. Nic dziwnego, że wieczorkiem wiele oczu obserwowało drogę do baraku Pocałujków. Ambroź z Zuzą nie tracąc czasu z sypialni jedno łoże wyrzucili do saloniku i rzeczy Zuzy ze wspólnej szafy, a już nadszedł przybysz uprzejmie kierowany do właściwych drzwi. Zaraz-że te drzwi odcięły go od obserwatorów, więc nikt nie widział jak wita się ze stryjkiem i jak się ciekawie rozpoznają, bo przecież nie widzieli się od trzydziestego dziewiątego, gdy księżyk był smarkaczem. Mieli więc o czym ugwarzać, przybysz jadł i pił, chwalił domową kuchnię, a Zuza usługiwała, nie siadając jednak do stołu, bo kto widział żeby służąca z państwem. Jak gość podjadł, to znienacka pyta na co ta komedia, przecież już wszystko wie i będzie wreszcie mógł wyjaśnić cioci w Wrocławiu, która zachodzi w głowę czemu mąż nie wraca i skąd taki patriota, nic mu przecież nie grozi odkąd Stalina szlag trafił. Po to właśnie tu wpadł by rzecz wyświecić, skorzystał że przełożeni z Paryża wysłali go do Anglii.

Pocałujkowie zaniemówili, Ambroź coś tam bąkał, że nie znosi komunizmu i że Jałta, ale gość jął się żegnać, nie chce więcej sobą robić kłopotu, a Ksiądz Magister zaprosił go na nocleg. Nazajutrz odjechał z robotnikami do Longfordu, Crowley zaś kilka dni gubił się w domysłach, aż Róże wydobyły od księdza szczegóły zagadkowej wizyty i rozniosły po osiedlach grzesnikom na przestrozę.



Tę pełną sensacji wiosnę upodobały sobie na występy w Crowleyu tajemne moce — te, w których tak gustują i z którymi nawiązują kontakt tubylcy, a brukowce i wulgarne książeczki poświęcają im niewiele mniej uwagi niż morderstwom i rozpuście.

Nic dziwnego, skoro Wyspa jest przez te byty tak prawie gęsto zamieszkała jak przez ludzi. Ale stanąwszy oko w oko z Tajemnym Słowianie daremnie czekali fachowych instrukcji od księdza Turkucia, bo on wolał się na te tematy nie wypowiadać, zalecając wszelako ostrożność i czyniąc aluzje do tego, który jako lew ryczący krąży. Nie miał tu oczywiście na myśli rzekomych spacerów Sir Evelyną po lesie, ani też Złego, który przyczepił się do babki Gąsowskiej od pogrzebu pana Evansa, wszędzie za nią latał, pokrzywił się z krzaków i sprośnie tańcząc po brzegach dachów starał się jej napluć na okulary. Mało kto się przejmował, że babka wali kijem po chaszczach i wygraża do góry, bo napadała ją chwilowo, a od codnia była dawną babką wszechwidzącą. To co teraz dało znać o sobie było bardziej tajemnicze i szedł od niego lodowaty dreszczyk, choć profesor się wymądrzał, że to zbieg okoliczności. Stało się to za sprawą Katarzyny Malczykowej, zatrudnionej w Glorii Longfordu. Była tam kontrolerka zwana przez nasze panie starą Williamsicą, która czepiała się Katarzyny nie wiedząc o co i łażyła naszym jak ból po kościach. Jak tego dnia znów jej nastąpiła na pięty, cierpliwa Katarzyna wyszła wreszcie z nerw i wyzwiała ją od durnych starych krów — właśnie tak: *stupid old cow*, i resztę uzupełniła po polsku, bo na tym kończyła się jej angielszczyzna. Williamsica błysnęła ślepiami i zdawało się, że na ten raz skończone. A trzeba trafu, że właśnie tego dnia w obiad Katarzyna przyniosła z rynku flance astrów i lwiej paszczy. Po powrocie sadzili je z mężem i podlewali aż do nocy, jakaż więc była ich wściekłość, gdy nazajutrz zobaczyli cały ogródek stratowany, z krowimi kopytami głęboko odcisniętymi w mokrej ziemi. Ich barak stał z rogu, najbliżej żywopłotu, ale po drugiej stronie było bagno i kępy ostrej trawy, więc krowy nigdy się tam nie pały i parobcy pana Collinsa gnali je górą na dalsze pastwiska pod choinkowym zboczem, a były one dobrze ogrodzone. Nie dało się nawet wysledzić skąd przyszło szkodne bydło — po prostu ptakiem przyfrunęło i tak samo znikło, nie zostawiając nawet zwykłych placków.

Teraz już łatwo pojąć jaki szok spotkał Katarzynę, gdy przybywszy do pracy zastała fabrykę niezwykle poruszoną, robota szła lada jak i Angielki zawzięcie rajcowały. Bo ostatniego wieczoru, gdy Malczykowie sadzili swe flance, starą Williamsicę w drodze do domu ciężarówka rozniosła w *drebiezgi*. Katarzynie na tę wieść serce jęło leźć do gardła, przyleciała sanitariuszka z apteczką i odesłali ją do domu. Zaraz-że sensacja gruchnęła po Crowleyu, kto żył przychodził oglądać stratowany ogródek,

tylko ksiądz Turkuć rzecz potraktował z rezerwą i ani słyszeć nie chciał o egzorcyzmach. Co zaś do Malczyków, to już bali się sadzić kwiaty i całe rabatki puścili pod kapustę, która zdrowo rosła, bo złowrogie bydlę więcej się nie pokazało.

Tak nieszczęśliwie kończy się ta wiosna, czwarta od powstania Zjednoczenia Mieszkańców Crowley. Żywopłoty jak wielkie girlandy roją się od ptaków, za którymi lata ze starym pistoletem pan Lebiega, spragniony francuskich pasztetów swej młodości. Z okolicznych wzgórz kukułki odkrzyczały swoje i umilkły na nadejście lata, ale pozwoliły Słowianom tradycyjnie łapać się za kieszenie: kukułka na całym świecie wróży pieniądze, a pannom ponoć też dzieci. Las znów wypiękniał w nowiutkim listowiu i co rusz coś w nim łomocze, ni to dzięcioł ni siekiera. Na pałacowych gazonach zielsko zbija się w coraz większe kołtuny, a polskie ogrody bujnie rosną, aczkolwiek nękane przez szkodniki i tubylcze bachory. Kiedy mały, czerwona fasola i niebieski powój śmigną na dachy szpetnych baraków, osiedla Pod Dębem, Za Rzeką i U Żywopłotu zmieniają się w piastowskie wioski.

Nikt tego nie zauważa, ale jest to wiosna przełomowa, pełna zapowiedzi i ukrytych znaczeń, i to nie dzięki śmierci zbrodnia Stalina, bo z czasem okaże się, jak bardzo zawiodła najlepsze nadzieje. Przemiany w słowiańskim losie dokonują się tutaj, w cieniu kopca ze strażnicą. Przybysze się zadamawiają. Wrastając, poszerzają swój widnokrąg, porastają w doświadczenie i trwałe dobra, i tak nieuchwytnie stają się częścią Marchii.

W wielomiesięczne przygotowania do radosnego święta Koronacji są już zaangażowani, z czego widać, że bez żadnego przymusu zaczynają odczuwać potrzebę wyrażenia przyjaznych uczuć za pomocą furkotu wstęg, tyrolsko-krakowskiej przyodziewy i siarczystego przytupywania.

Tym akcentem oczekiwania, radosnych
przygotowań i otuchy
ZAMYKAJĄ SIĘ
CROWLEYU KSIĘGI TRZECIE,
WIOSENNE.

LATO

VIVAT REGINA!

W ostatnich gorączkowych tygodniach, gdy przygotowania koronacyjne nabierają rozpędu, oczy Wolnych Narodów coraz uważniej spoglądają na Wyspę, tę oazę ogólnej pomyślności. Bo poza jej wybrzeżami wszystko idzie jak zwykle na opak: rozejm w Korei ohydnie się ślimaczy i co będzie ze spotkaniem Wielkiej Trójki czy Czwórki? Kreml jest jeszcze bardziej niż zwykle tajemniczy, toteż zachodni obserwatorzy gubią się w domysłach: Mołotow? Malenkow? Beria? Konfuzję wzmagają jeszcze 10 jednakowej wielkości portretów dygnitarzy, co na 1 Maja ozdobiły kremłowskie mury — cóż, u Boga Ojca, można z tego odgadnąć? Zwłaszcza że Malenkow wisi na lewo od Lenina, a Beria na prawo od zgasłego niedawno Koryfeusza Wszechnauk. Szkoda że Crowleyu nikt nie pyta o zdanie, bo by mu wyjaśniono: *naplewat!* A cyniczny profesor Koziewicz idzie jeszcze dalej i głosi, że decyzje wielkiej polityki zapadną nie w Waszyngtonie, Paryżu ani Londynie, tylko jak zwykle w Moskwie. Nic więc dziwnego, że pan Dekier zaczyna rozgłaszać, na razie tylko *pianissimo*, że Koziewicz jest na żołdzie czyli bierutowska wtyczka. Trzeba dodać ze smutkiem, że zatrute ziarno pada na żywną glebę, bo Crowley jest oburzony: przecież Prezydent Eisenhower zapewnia świat, że Polacy nie ugną się przed tyranią, a sekretarz stanu Dulles przysięga, że USA nie zgodzi się na niewolę milionów. Nic więc dziwnego, że po raz któryś już Crowley jest pełen nadziei i tym krzywiej spogląda na bystre oczka, zjadliwy uśmiech i tłustą pożywkę profesora.

Co do rodzimych ludów tej Wyspy, to wypada wspomnieć o sprawach, które w tym gorączkowym okresie cieszą je lub smućą. Te smutne zresztą odeszły w cień, przytłoczone ogólną pomyślnością, bo ostatnio łaski szczerze się sypią. I to nie

deklamacje bez pokrycia tak ulubione przez Słowian, lecz czyny przyziemne i nieefektywne, cenniejsze jednak od setki wzniosłych akademii. Kanclerz Skarbu Butler ogłasza nowy budżet, który drastycznie obniża podatki, nic więc dziwnego, że naród czuje nadejście lepszych czasów. Zwłaszcza że wkrótce kończy się racjonowanie cukru — oczywista zapowiedź końca powojennej biedy. Z tym większym entuzjazmem wieś i miasta, a nawet poszczególne ulice biorą się do szykowania koronacyjnych bankietów i herbatek, dla sukcesu których nieodzowne są wielkie ilości cukru. Crowley też radośnie zaciera ręce na myśl o nieograniczonym wyrobie domowych soków i win w nadchodzącym okresie jeżynowym, gdy z żywoplotów, ruin starych baraków, chaszczy i pałacowego ogrodu nosi się kubłami pijaną słońcem jagodę.

Jednocześnie nie brak tak przez ludy tubylcze ukochanej sensacji — tej najlepszej, z posmakiem zbrodni i rozpusty. Cała Wyspa śledzi z napięciem nie tylko próby koronacyjnych orszaków w Westminsterze, ale też obskurny domek w paskudnej dzielnicy Londynu, gdzie policja niedawno odkryła prywatny cmentarz sześciu kobiet przemyślnie ukrytych w ścianach, śmietniku i pod powierzchnią niechlujnego ogródka. Właściciel i twórca tej osobliwej kolekcji szybko wpadł w ręce Sprawiedliwości, więc brukowce zachłystują się z rozkoszy i co dzień dorzucają smakowite szczegóły o „Himmlerze z Rillington Place”. Władze opukują ściany i przetrząsają każdą skibkę ziemi w złowrogiej posesji, a spragnione sensacji tłumy wypełniają uliczkę i godzinami gapią się na domek. Starczy im sam fakt oddychania powietrzem tego miejsca, które uderza do głowy jak whisky — a co dopiero jak po koronacji zacznie się proces w Old Bailey — długi, zawiły i co najmniej tak podniecający jak eliminacje futbolowe. O tak, będzie to pamiętny rok w annałach Wyspy!

Pamiętny też ze względu na znaną górę Everest, która przyciąga teraz oczy świata, a zwłaszcza wyspiarzy. Ostatnimi czasy Imperium wydało jej walkę na śmierć i życie, wysyłając ekspedycję pułkownika Hillary'ego. Że za wroga ma lodowce, lawiny i rzadkie powietrze, jego wyczyn tak prawie podnieca jak wyścigi piesków. Dojdzie? Nie dojdzie? Trzeba czekać i nic nie wymyślisz. Ale w powietrzu jest wielka przygoda, więc też prasa i radio prorokują nadejście nowej Ery Elżbietańskiej i odrodzenie polityczne, gospodarcze i kulturalne. A reklamy firmy napojów Schweppes oddają się rozważaniom nad idącymi czasami i już na zapas proklamują tę erę jako fakt dokonany: że mianowicie od koronacji rozpoczął się renesans Imperium, za sprawą *British*

leadership odrodziły się stosunki międzynarodowe, zakończyła zimna wojna i na całym świecie zapanowała ogólna pomyślność. I mało kto się przejmuje, że na progu tej idylli legła cieniem zła wróżba, bo w samym tygodniu koronacyjnym na Derby koń królowej Aureole został zepchnięty na drugie miejsce przez Pinżę, konia Victora Sassona, który to despekt oglądała cała królewska rodzina i jej zagraniczni goście, co chmarami ściągają na nadchodzące uroczystości.

Do Crowleyu rzecz jasna dobiegają tylko dalekie echa tych wypadków, a przynosi je londyńska gazeta wspierana przez ilustracje w tubylczych brukowcach, w których Słowianie śledzą losy swych futbolowych zakładów. Stąd niezgorzej wiedzą co się dzieje w stolicy, tak dla Słowian nieosiągalnej jakby leżała na księżycu. Dowiadują się więc o wspaniałych dekoracjach na szlaku między Buckinghamskim Pałacem a Westminsterem i o niewiele gorszych w całym śródmieściu, a także o fantastycznych iluminacjach, co noc zamieniają w rajski dzień. Rozważają piękno błękitnożłotego przybrania opactwa i co dzień czytają o odbywających się w nim próbach chórów, orszaków, członków panującej rodziny, dygnitarzy świeckich i kościelnych, sztandarów, insygniów i Bóg wie czego. Imponują im spisy napływających gości, poczynszy od głów koronowanych, skończywszy zaś na amerykańskiej generałowej Bradley, której suknię ubezpieczono na 3 tys. dolarów, przy czym crowlejskie elegantki dowiadują się z najwyższym zainteresowaniem, że szata jest z białej koronki na niebieskim spodzie, spódnicę ma niewiarygodnie szeroką, a stanik przybrany kiśćmi fałszywego bzu. Aż ogarnia niepokój, że zaćmi główną bohaterkę koronacji, suknią królowej trzymana jest bowiem w tajemnicy i do prasy przedostały się tylko niejasne pogłoski o jej dziewczęcej skromności. Co do strojów zwykłych śmiertelniczek, to jak zwykle dyktuje je Paryż, tak obecnie zafascynowany *La Famille Royale*, jakby była jego własnością. Nic dziwnego, że kosmetyki, perfumy i inne *vanities* noszą nazwę *Royal*, a letnią modę przepaja duch monarchizmu. Wybucho renesans materiałów wzorzystych, w których dominuje biała róża Yorku i czerwona Lancasteru. Stąd róża w ogóle rozpanosza się na sukniach, kapeluszach i nawet rękawiczkach, a letnia kolekcja Diora przypomina rabaty tych królewskich kwiatów. Przy ogromnych spódnicach, wielkich dekoltach i zaledwie sugestii rękawka panie będą wyglądać jak wielkie kwiaty, w każdym razie te szczupłe i zgrabne, które ta moda o tyle upiększy, o ile oszpeci ich tłuste i toporne siostry. Nakazy Paryża obowiązują naturalnie w całym kulturalnym świecie, tak że crowlejskie panie zaopa-

trują się w te różane cuda z masowej produkcji dla ubogich, a tylko parę wybrednych elegantek, tych zwłaszcza co z powodu tuszy i złych proporcji mają trudności z gotowymi toaletami, szyje je u pani Gąsowskiej młodszej. Bierze ona półtora funta i mówi, że już patrzeć niemożliwie na te róże, które tak się jej roją w oczach, że je widzi nawet w rondlu z zupą.

Tymczasem w ostatnich dniach maja, gdy napięcie sięga szczytu, na pogodnym niebie Wyspy zjawia się wróg gotów sprofanować koronację, tysiące festynów i miliony sukien w róże. Zaczyna się od drobnych chmurek, które lekko przemykają po słońcu a potem zbijają się w wielkie masy o złowroźnie rozdętych brzuszyskach. Jednocześnie temperatura gwałtownie spada i od wschodu nadciąga lodowaty wiatr, raz jeszcze potwierdzając crowleyskie porzekadło, że podła pogoda idzie od Stalina. Nic przeto dziwnego, że towarzystwa ubezpieczeniowe ledwo nadążają z przyjmowaniem ubezpieczeń od klientów obawiających się deszczu w wielki dzień, oraz od organizatorów koronacyjnych meczów kriketowych, bazarów, uczt i festynów. Radio i prasa ciągle przynoszą nowe prognozy i ze szczytów nadziei lecą na dno depresji. Wyspa z napięciem śledzi antycyklon, który ugrząźł nad Atlantykiem i licho wie co zamierza. Jeśli ruszy, koronacja będzie się cieszyć piękną pogodą i suknie w róże wspaniale rozkwitną na słońcu. A tymczasem w stolicy, na złość deszczowi i sybirskiej wichurze, ogromne tłumy rozbijają koczowiska na trasie królewskiej procesji. Opatulone w palta i pledy, zaopatrzone w wiktuały, termosy i lornety, obsługiwane przez handlarzy lodów oraz koronacyjnych suvenirów o niespotykanej brzydocie, przez dwie doby będą obozować na brzegach chodników, by w wielki dzień wszystko widzieć jak najlepiej, nawet jeśli ten niepowtarzalny widok przysłonią im firany lodowatej wody.

Crowley jednak najbardziej obchodzą przygotowania w stołecznym Longfordzie, gdzie do udziału w uroczystościach Słowianie szykują się od Bożego Narodzenia. Miasto ustroiło się tak wspaniale, że spod ogromnych portretów władczyni, transparentów, monarszych emblematów, setek łopocących sztandarów, tysięcy błyskotek, wstęg, szarf i draperii, milionów baloników i barwnych żarówek trudno poznać znajome ulice. Chodzisz po nich jak po wielkim salonie i nawet zakup nieracjonowanych odpadków w ukochanej przez Słowian wędzonki staje się odświeżającym przeżyciem. Podczas gdy coraz gęstsze tłumy jedzą i śpią na stołecznych brukach w oczekiwaniu wtorkowego święta, Longford już w niedzielę rozpoczyna obchody, oddając co Boskiego Bogu, i wcale się nie zraża ulewą i tnącą do kości wichurą, która

zrywa uliczne dekoracje. Po tym deszczu na oczach tłumów przez śródmieście defilują do katedry oddziały harcerzy, sióstr szpitalnych, strażaków, policji, lotników i kadetów z podmiejskich obozów. Starą świątynię wypełnia woń świec, kwiatów i kadzidła, w stallach zasiedli kanonicy w ceremonialnych szatach, od frontu ojcowie miasta w togach, łańcuchach i biretach, a za nimi wierni w najlepszej przyrodziewie sflaczałej od deszczu. Głęboki głos organów toczy się pod gotyckim sklepieniem, wywołuje echa wśród potężnych filarów nawy, budzi biskupów i rycerzy śpiących na nagrobkach, i wreszcie wraz z kadzidlanym dymem rozprasza się wśród błękitnych świateł w kaplicy Naszej Pani. Chłopaczkowie z katedralnej szkoły śpiewają jak anieli niebiescy, aż zdaje się, że już się popadło do raju lub — o zgrozo! — wróciły papieżnickie czasy. Celebryje sam biskup przybrany tak wspaniale, że ledwo się może poruszać, a już wspięcie się na ambonę jest nie lada wyczynem. Wygłasza stąd kazanie na temat zaczerpnięty z koronacyjnego hymnu „Pomóż jej, o Panie, kroczyć ścieżkami Twymi, by się jej stopy nie pośliznęły”. I choć jest to okazja niezmiernie uroczysta, a mówca aż biskupem, to w kwadrans kazanie jest skończone, z czego widać jak heretycy niedbale wykonują swe obowiązki. Książd Turkuć przez ten czas ledwo by się uporał ze wstępem.

Co zresztą odrabia sumiennie następnego dnia, w myśl wskazówek hierarchii katolickiej Anglii i Walii, nakazującej duchowieństwu odprawienie w przeddzień koronacji mszy za pomyślność Elżbiety II. W poniedziałkowy wieczór wierni tłumnie wypełniają crowlejską kaplicę, a czynią to tym życzliwiej, że z łaski też monarchini dzień jutrzejszy jest wolny od pracy. Płoną wszystkie światła, Beno Kwiczół wyciska ostatni dech z fisharmonii, przy nim Cztery Panny Na Wydaniu przechodzą same siebie jako zapiewają, a na ołtarzu Ostrobramska uśmiecha się pogodnie wśród kwiatów. Lud dowiaduje się, że niniejsza msza św. odprawia się w intencji nawrócenia Anglii na prawdziwą wiarę, która tak pięknie kwitła tu przez wieki świętymi, teologami, klasztorami i katedrami jak ta na przykład w Longfordzie. Po młodej władczyni mamy prawo oczekiwać, że nie tylko sama ujrzy światło wiary swych przodków, ale też odrobi przekłete grzechy reformacji i przyprowadzi swój zbłąkany naród do stóp Piotrowego Tronu. Bardzo się ten pomysł wszystkim podoba, toteż nie przejmują się szyderczym parsaniem profesora — starczy że Żywe Róże mają go na oku by za wiele sobie nie pozwalał. Na zakończenie chórem odmawiają Zdrowaśki o powrót Wyspy na drogę Prawdy za sprawą Elżbiety II. Z czego

widać, że Książd Magister niczego nie robi połowicznie i jak komu dobrze życzy, to już na całego. Tak to modły longfordzkiego (żonatego!) biskupa (by się jej stopy nie pośliznęły) i crowleyskiego duszpasterza (by to właśnie uczyniły) zwalczają się nawzajem przed tronem Przedwiecznego i strach pomyśleć co by było, gdyby ich w swej łaskawości zechciał razem wysłuchać.

Tak nadchodzi wtorek 2 czerwca 1953, który ma przejść do historii Wyspy i Imperium. W miastach, wsiach i przysiółkach lud późno gramoli się z betów, zniechęcony martwym światłem okropnej pogody. Porywista, lodowata wichura łomocze o szyby ostrym deszczem i drze chmury jak gałgany, co jest zresztą błogosławieństwem, bo szybko przegania ulewy i obnaża skrawki splekanego błękitu. Miliony radiodbiorników nastawiono na Londyn, bo rozrzucony pod pałacem, opactwem i na ulicach komentatorzy nadają bieżące sprawozdania. I stąd bucha nagle na cały kraj, że oto ludzka noga stanęła na szczycie Everestu. Jest to najwspanialszy dar koronacyjny, jaki w wielki dzień wita Elżbietę II, i speaker zaraz grzmi radośnie, że zaprawdę jest to znak, że Wielka Brytania wkracza w drugą Epokę Elżbietańską, znaczoną nazwiskami odkrywców i zdobywców świata na miarę Frobishera, Drake'a i Raleigha. Po tej nowinie podła pogoda cofa się na drugi plan. Lud się zabiera do wykańczania koronacyjnych festynów, rozstawiania na ulicach bankietowych stołów, loteryjnych bud i Bóg wie czego.

W Crowleyu też naturalnie radia walą na cały regulator, choć prócz szkolnej młodzieży mało kto rozumie co tam plotą, ale zawsze przyjemnie w jakiś sposób brać udział w wielkich wypadkach. Młodzież w lot ocenia znaczenie wyczynu Hillary'ego i podnosi wrzask radości, a starsi zgodnie przyświadczają, że daj im Boże, choć niewielu wie co to za góra i po co na nią łązić, ale jeśli już musowo, to grunt że nie wlaźł Niemiec ani bolszewik. Tymczasem babka Macioszkowa przynaglana przez sąsiadki próbuje przewidzieć przyszłość Elżbiety II. Rozkłada zatłuszczone karty licząc po siedem, to znów po trzy lewą ręką od siebie: co ją czeka, co być musi i co serce zaspokoi. Ale karty są dziś uparte i małowówne, choć wyraźnie wskazują na młodą szatynkę i przy niej blondyna z miłością, ale jedyną definitywną przepowiednią jest dla niej list z drogi i większe pieniądze. Nic dziwnego, że zniechęcone niewiasty odchodzą, zostawiając babkę w głębokiej rozterce.

Wkrótce dziwne zjawisko zachodzi w atmosferze. Dalekie, głębokie echa wpadają do crowleyskiej doliny jak do studni i

powracają od lasu, pałacu i łysej góry, budząc wśród Słowian przykre wspomnienia niedawnych lat. Ale są to eksplozje radości, bo właśnie Longford otwiera dzisiejsze uroczystości wielką kanonadą z armat ustawionych na wałach zamku normandzkich panów Marchii. Rozentuzjzmowani kadeci artylerii wałą Panu Bogu w okno aż huk leci po rzece ku krańcom Marchii i zahacza o Crowley, a czyni to tym chętniej, że według obliczeń kanonada odbywa się dokładnie wtedy, gdy w dalekim Londynie władczyni w koronacyjnym stroju wsiada do karety, która na oczach przemokniętych tłumów zawiezie ją do Opactwa. Z czego widać jak bardzo nie na czasie są przykre wspominki Słowian, którym z każdej okazji musi odbić się Sprawą Polską.

Tak więc stolica Marchii inauguruje wielki dzień. Dymy i armatnie grzmoty rozpraszają się za rzeką, a z katedralnej wieży bucha triumfalny chór dzwonów. Przy ich srebrnych i spiżowych dźwiękach tłumy ruszają na wspaniale udekorowany stadion, gdzie odbędzie się uroczystości część pierwsza — gimnastyczna, a także akrobatyczne popisy wojska, kadetów, lotników, strażaków, harcerzy, koni i motocykli. Rozstawione w różnych punktach osiem orkiestr próbuje grać unisono mimo wichury porywającej nuty i dźwięki, a tymczasem publika zajmuje miejsca i zaraz wyrasta nad nią ruchomy dach parasoli. Przy dźwiękach fanfary na paradną trybunę wkracza burmistrzowa w urzędowym łańcuchu i wiosennym kapeluszu z pączków róż, za nią suną radni oraz kościelni, wojskowi i cywilni dygnitarze Marchii. Burmistrz reprezentuje w Westminsterze swoje miasto i podległy mu Crowley, więc tu zastępuje go jego pani, która daje hasło rozpoczęcia igrzysk, a jest to tak obliczone, by nastąpiło akurat wtedy, gdy Elżbieta II z małżonkiem (o którym pani Lebiegowa ze Śląska mówi „chłop królowej”) wysiądą z karety przed Opactwem. W przedśionku powita ich wspaniały orszak i poprowadzi do głównego ołtarza: dygnitarze świeccy, biskupi, lordowie, heroldowie, krzyże arcybiskupie i co tam tylko, gwardziści sprezentują broń, a pod sklepieniem starożytnej świątyni chóry buchną radosnym hymnem i rozpocznie się wyczerpująca nerwy i siły parugodzinna ceremonia. Wielkie witraże, boczne nawy i las filarów stłumią łomot wichru i ulewy, a tysiące świec da łagodne światło, tak że mało kto będzie pamiętał o tych milionach, co właśnie mokną i dygocą pod wściekłym niebem. Publiczność ciasno otula się w palta, boi się grypy i marzy o *a nice cup of tea*, patrząc ze współzuciem na rozdzielanych, ociekających wodą sportowców, którzy się poświęcili, by wszystkich zarazić radością życia. I tak to trwa a trwa, brawa mokro chlatają, broń Boże przed bisami,

aż o godzinie 12.30 orkiestry raptem milkną, sportowcy i konie zastygają na baczność i z porozwieszanych głośników bucha na Longford wielka fanfara i okrzyk jak grom: Boże chroń królową Elżbietę II! Głosy te płyną prosto z Westminsteru i wszyscy słyszą drżący z emocji głos heretyckiego prymasa, gdy zwracając się w cztery strony świata wzywa naród do złożenia hołdu władcy. Pod Opactwem, Parlamentem, na Whitehallu, Trafalgar Square i aż po Pałac Buckinghamski miliony skostniałych poddanych i turystów podejmują okrzyk „Boże chroń królową!”, dzwony w stołecznych kościołach zaczynają szaleć, aż to wszystko słyhać nawet w Crowleyu wraz z grzmotem dział w Tower. W tym momencie nad longfordzkim stadionem chmury się rozdzierają, błyska ostre słońce, a zebrany lud wybucha wielkim wiwatem i zaraz popisy ruszają dalej.

W międzyczasie osiem par crowlejskich tancerzy ma pełne ręce roboty: pucują stroje, prasują i przyszywają, a Mychał Sikora lata od baraku do baraku by się upewnić, że wszystko w porządku i jednocześnie stara się nie spuścić z oka swego lewego ojczyma, Ambroża Pocałujko. W tym sęk, że Ambroż lubi zaglądać do kieliszka, a szczególnie przed występem musi sobie gołnąć i trzeba przyznać, że potem rzeczywiście gra jak anioł, ale tylko jeżeli nie przeholuje z pićm, bo wtedy jak go poniesie fantazja, to uchwaj Boże: gotów zrujnować pierwszy występ crowlejskich tancerzy przed obliczem Longfordu i Marchii i ośmieszyć ich na całe życie. Wićc też Mychał przykazuje matce pilnować starego, kiedy sam musi wyjść, bo nie wie za co się wpierw chwytac. Żeby mu tylko, Jezusie-Maryjo, tancerze nie nawalili, a zwłaszcza pan Kozicki z młodą panią Czyrkową, bo ten z nadmiaru energii lubi sobie improwizować i myli wszystkie pary. I Pameli Lichutkowej nie można być pewnym, bo to przecieź Angielka, upodobała sobie nasze tańce, ale wyczucia do nich nie posiada. Łaska Boska, że choć niebo coraz częściej się przeciera, może wićc część popołudniowa — artystyczna — longfordzkiego festynu wypadnie na sucho.

I rzeczywiście bladobłękitne oko rozwiera się nad Crowleyem, gdy na plac zajeżdża zgrzytliwy autobus. Tancerze sadowią się milcząco pełni radości i tremy, cuda polskiego folkloru ukryli pod paltami: Mychał prowadzi Ambroża, który na szlei przez ramię dźwiga swój cudowny instrument i w nogach jest na szczęście dość jeszcze mocny — do czasu, bo na biodrze kapota sterczy mu podejrzenie. Otóż tak, gołnie sobie whiskey zaraz po występie, gdy Mychał raz się odczepi do jasnej cholery! Tak się schodzą, a z nimi kibice, co to chcą oglądać na własne oczy

jak wreszcie MY pokażemy IM, niech sobie widzą co Polski Naród. Sadowią się gwarnie i autobus już ma ruszyć, aż tu człapie babka Gąsowska i sadowi się na pierwsze miejsce. Wyprostowana godnie, kijaszek zostawiła w domu, a wystrychnięta aż oko bieleje. Niech się schowają nasze tancerki w swych przypadkowo skleconych strojach z tandetnych perkali i gotowych kawałków co pozbierały po ludziach, że to nie wiadomo: krakowianki czy tyrolki. Bo trza o babce wiedzieć, że od bardzo wielu lat jej naczelną troską jest jej własny pochówek, który musi być gospodarski, ona zaś sama musi spocząc w grobie ubrana jak przystoi na gospodynię z dziada pradziada, żeby w niebie wiedziano, że nie pcha się dziadówka. Stąd od niepamiętnych czasów ma naszykowany strój do trumny, jeszcze przed wojną był na to przeznaczony, starożytny a piękny, odziedziczony po matce. Jak ją przyszli wlec na Sybir, to potrzebne rzeczy zostawiła, a to wrzuciła do tłumoka i potem, gdy ludzie tracili zdrowie i życie, ona strzegła go jak skarbu, przewiozła przez Sowiety, Persję i Afrykę, no i teraz ma go w Crowleyu. Wszyscy go znają, nieraz się wietrzy na sznurku, a profesor mówi, że to piękny okaz muzealny. Ale nigdy go dotąd nie nakładała, aż raptem jej teraz strzeżenie że musi na takie wielkie święto, no i ładuje się między ludzi w całej krasie jakby uciekła z własnej trumny. Spódnic ma nie wiedzieć ile, by dołem było jak najszerzej, ta z wierzchu zielona jak trawa i czerwonym obszyta, a przodem kryje ją fartuch biało haftowany. Na to fest wywatowana katanka z ciemnego aksamitu zdobna lamówką i gęsto zapięta na drobne guziczki, tak że widać spod niej tylko wyłożoną białą kryzę w ząbki. Na piersiach zalegają sznury koralu, z których zwisa srebrny krzyżyk, jak przystało na pobożną niewiastę. Na głowie starodawny rańtuch: płat lnu wykrochmalony na blachę, sztywno zaprasowany i przypięty do czepka spada na plecy, a przodem spływa prawie do kolan. W ręku jak zwykle brzęczy ogromny różaniec. Tak to gospodynie z dawien dawna noszą się od święta w babki stronach od Łańcuta i ona też, choć jej teraz wypadło żyć w Crowleyu, nie inaczej zapuka do wrót niebieskich. A póki co rozsiada się godnie w tym autobusie niby na wozie, na słomianym worku kilimkiem nakrytym, i jakby nigdy nic puszcza się do Longfordu między Angliki i Walię, a co tam zamiaruje, to Bóg jeden wie, Słowianie wolą nie pytać by nie budzić złego, ale ich trapi niedobre przecucie, bo babka ma różne fanaberie. Tak więc jadą pełni niepokoju mimo Badonhill z grodem Artura, mimo starodawnego krzyża, aż zajadą do miasta i wysypią się tłumnie

pod kościołem św. Piotra w Okowach. Mają nadzieję, że zagapiona babka pojedzie aż na stację, ale skąd — gramoli się za nimi i zaraz znika z oczu w wielkim tłumie, co zbitą masą zalał skwerki i chodniki wokół placu przed magistratem, wywiesza się z okien i balkonów i nawet obsiadł brzegi dachów. Jest to serce miasta, gdzie schodzą się trzy główne ulice. Teraz zatrzymano tu ruch, domy wokół wystrojone okazale, a sam magistrat ginie pod ozdobami jak choinka, zaś portret królowej sięga od tarasu aż po drugie piętro. Na tym wyniosłym tarasie stoją krzesła dla najważniejszych osób: władz miasta, katedry i Marchii. Pośrodku placu ustawiono rozległą platformę, a pod nią ławy dla orkiestry — na tej scenie odbędzie się uroczystości część druga, artystyczna, w której weźmie udział również Crowley.

Tancerze znikają w kościelnym hallu przewidzianym dla artystów i stąd nie wiedzą jak babka sobie zamiaruje. A jej wcale nie dziwne te wielkie tłumy, ma swój honor gospodarski i nic jej nie imponuje. Widać zresztą, że odczuwają należny szacunek, rozstępują się przed nią jak przed jaką panią i coś tam szwargocą, a ona godnie kroczy na upatrzone miejsce — na ten magistracki taras, nad którym furkocą sznury chorągiewek i pęki barwnych baloników. Siedzą tam różne persony, jedni w togach i łańcuchach, inni w mundurach albo po duchownemu, i panie takie eleganckie, ale co jej tam! U dołu schodów stoi policjant, który uśmiecha się, z szacunkiem bierze ją za łokieć i pomaga wejść — widać oficjalny gość. Wchodzi więc, zasiada na pustym miejscu z frontu, obok jakiś waśniak w pirogu z piórami coś do niej mówi, ona zgodnie kiwa głową choć nie pojmuje ani w ząb, i w tym momencie orkiestra wybucha różnym marszem. Burmistrz z małżonką zajmują miejsca, dzwonią przy tym łańcuchami jak jakie biskupy, a lud zaczyna wykrzykiwać, rad, że ojciec miasta przyznał tu prosto z londyńskiego pociągu i zaraz da hasło rozpoczęcia występów. No i aura jest wreszcie łaskawsza, wiatr przysiąda, ciężkie chmury przewalają się nad widnokrąg, a niebo za nimi różowe ku wieczorowi. I wtedy u św. Piotra dzwony zaczynają pięknie grać, a na sam przód tarasu wychodzi jakiś duchowny gość, by dyrygować wspólną modlitwą za Ukoronowaną. Wtórjuje mu głośny pomruk i przelewa się po placu, po odchodzących z niego ulicach, balkonach, rozwartych oknach i brzegach dachów. Babka w lot pojmuje o co chodzi, dzwoni różańcem i żegna się zamasyście, aż siedzące przy niej osobistości dostają zeza na widok papieżnickich praktyk tej zagadkowej, choć widać że ważnej niewiasty. I zaraz orkiestra Armii Zbawienia

wybuchu różnym marszem, od strony rynku wtórują jej lotnicy, a strażacy od św. Piotra. Na podium wstępuje Brytania, szaty na niej po rzymsku białe a luźne, w rękach trójząb i tarcza wymalowana jak angielska flaga, na głowie hełm złoty a grzebieniasty. Siada na tronie i wszyscy widzą, że jest takutka jak na pensowej monecie. Otaczają ją dziewczątka w podskubanych baletowych strojach i nimfy w powłóczystych tunikach, u stóp tronu biało ubrana dziewica deklamuje odę prosto do głośnika i składa kwiaty, a dziewczątka wokół odstawiają misterne łańcuchy — tak pięknie prezentuje się miejska szkoła tańca Miss Clark. Wreszcie zbiegają odprowadzane brawami, dając miejsce niewiastom w walijskich strojach, z kapeluszymi jak Baby Jagi. Pięknie śpiewają na głosy, całkiem jakby się nauczyły od Słowian, bo angielska nacja tego nie praktykuje, a Walia słynie z ludowych śpiewaków i, jak twierdzi Wielebny Powell, jest to jeszcze jeden dowód pokrewieństwa Celtów ze Słowianami.

Wreszcie nadchodzi kolej na Crowley. Osiem par wbiega tanecznie na podium i staje twarzą do dygnitarzy na tarasie, za nimi ładuje się Ambroź z wydętym biodrem, staje przy głośniku i dyskretnie próbuje instrument. Mychał już ma dać mu znak, aż tu raptem dostrzegają babkę koło burmistrza i w nogach robi im się słabo. O Chryste Panie, i cóż to będzie?! Nie wiedzieć, śmiać się jak durny czy zdychać ze strachu. Żeby choć diabeł znów do niej nie przystąpił, bo jak z nim zacznie wojować, to wszystkie te osoby porozpędza na cztery wiatry. Łaska Boska że choć kij zostawiła w domu! Ale ona siedzi godnie, nieporuszona, okiem hardo toczy, całkiem jakby ich nie poznawała. Mychał przemaga się i daje znak Ambrożowi, który zaszytył z otwartą gębą. Bucha skoczny krakowiak i Mychał puszcza się w pierwszą parę z Krystyną Pomykało, urodziwą aż oczy rwie, a za nimi jak z kopyta reszta. Gumowe buty mlaszczą im w przytupach, furkoczą wstęgi i sztuczne warkocze z nylonowych pończoch, co z daleka wyglądają jak prawdziwe, i tak hasają jak młoda stadnina po błoniu — na Wawel z Crowleyu, krakowiaku żwawy! Przechodzi gładko, publiczność daje brawo, a jakieś typy z fłaszami uwijają się i fotografują. Więc odzyskują pewność siebie, trojak i oberek idą doskonale, Ambroź przechodzi samego siebie, oklaski stają się coraz gorętsze i jeszcze potężniejszą na figurowego kujawiaka Mychała z Krystyną. A jak na koniec Mychał występuje solo w swym popisowym, brawurowym zbójnickim, to angielsko-walijski lud nie chce go puścić i musi jeszcze raz. Wreszcie Słowianie barwnymi parami schodzą ze sceny, Ambroź ostatni, i schodząc gra na pożegnanie „Czerwone

maki”, bo przypomniały mu się dobre czasy. Nic ta melodia tubylcom nie mówi, ale łapie za ucho, więc dają jeszcze jedno brawo, tym razem tylko dla niego, a jakiś facet obskakuje go z kamerą, aż zniknie z pola widzenia za węglem kościelnego hallu. Tam już nikt nie zobaczy jak się szamoce z flaszką, która mu się zaparła w kieszeni, wreszcie ją ujarzmia i otwiera — szkoda, że herbaciarze nie widzą, jak nasi potrafią pić.

Tak to miasto Longford i cała Marchia ujrzała wreszcie Crowley nowymi oczami, na serio i z aprobatą, uznawszy go za część swego krajobrazu, egzotyczną co prawda, ale bynajmniej przez to nie przykrą. I zapamiętała go sobie, by w przyszłości zapraszać słowiańskich tancerzy na różne festyny i kościelne bazyry.

Tymczasem na podium znów wracają Walijki i tylko pan Wolniak wie, że to Wielebny ustanowił tę kolejność korzystając ze swego członkostwa w Komitecie Obchodów Koronacyjnych — zamarzyło mu się bowiem samemu oglądać i pokazać tłumom zapomniany urok folkloru i melodyjne zbieżności między ludami, zasugerować widzom niejako tutejszość Słowian pod bokiem starożytnej Walii. Walijki kończą uroczystości część pierwszą, etnograficzną, i po koncercie Armii Zbawienia rusza część druga, historyczna, ilustrująca dzieje Marchii i Longfordu. Przesuwają się żywe obrazy z mówionym komentarzem: biskup Dubricius koronuje młodziutkiego króla Artura; onże Artur i jego pies Kabal, z którym tu polował na żelaznego dzika Troyanta, i tak stopniowo aż po wiek XX. Oglądają kładzenie kamienia węgielnego pod katedrę w VIII wieku, Normanów wznoszących zamek nad rzeką, biskupa Tomasza jak łapie diabła przebranego za kanonika, Flamandczyków zakładających pierwsze ze słynnych tutejszych plantacji chmielu, słynną longfordzką kurtyzanę ze swym królewskim wielbicielem i koszem pomarańcz, i tak aż po wizytę Wiktorii z księciem małżonkiem i powrót wąsato-brodzatyh wojaków z wojen burskich. Czas płynie, reporterzy fotografują, a słońko siada czerwono na wiatr i wokół zapalają się tysiące kolorowych żarówek. Wreszcie w ich blasku staje Elżbieta I we wspaniałej sukni i ryżej peruce by proklamować początek drugiej Ery Elżbietańskiej. Na to wybucha potężne *God save the Queen*, z tysięcy gardeł rozbrzmiewa na placu i w przyległych uliczkach, spływa z okien, balkonów i dachów, a także z magistrackiego tarasu, gdzie zaspana babka Gąsowska niechętnie podnosi się z krzesła wraz z burmistrzem i burmistrzową, biskupem, biskupicą i mnóstwem innych osobistości. Po paru

dniach ujrzemy ją raz jeszcze w całej jej łańcuckiej krasie na łamach pamiątkowego numeru *Longfordzkiego Biuletynu i Obywatela*, a także w redakcyjnych witrynach: pełno tu fotografii ze stadionu, katedry i spod magistratu, a wśród nich należne miejsce zajmują Słowianie: Mychał na tle nieba w zbójnickim susie, wdzięcznie w kujawiaku przezięta Krystyna Pomykało, Ambroź z wydętym biodrem i harmonią rozciągniętą na dwa metry, no i babka — przede wszystkim ona, rozparta dumnie na tle wielkiego portretu Elżbiety II. A to nie koniec jej ważności, bo wkrótce zgłosi się do niej rotmistrz Wolniak z tym swoim podejrzany przyjacielem, heretyckim pastorem. Będzie się ten Wolniak wdzięczył przed nią i kokietował, żeby pokazała Wielebnemu swój piękny gospodarski strój, którym zachwyciło się całe miasto. Ona niby będzie się zżymać, ale w końcu wyciągnie z kufra komplet spódnic, katankę, haftowaną koszulę, fartuch, czepek i rańtuch, i oczywiście korale z krzyżem. Na ten widok Wielebny Powell wpadnie w ekstazę, będzie to układać tak i siak, rozwieszać i fotografować, a przy tym będą ją pytać i pytać: jak to się kroi? Skąd materia? A wzory do wyszycia? A czy pamięta jak się nosiła jej babka i dziadek? Będą z szacunkiem słuchać jej zrzedliwego gadania, aż od tej ważności babce do reszty przewróci się w głowie i od codnia stanie się dla crowleyan całkiem niemożliwa.

Ale to było później. Tymczasem nasi tancerze wrócili wieczorkiem do Crowleyu, który szykował własne obchody w sali tanecznej za sklepem pana Wiewióra. Pięknie ją udekorowano balonikami i wstęgami bibułki od lamp po ściany, a u szczytu zawisł naturalnie mały Orzeł Biały i większa Elżbieta II. Prezes Sitak z panem Wiewiorem umyślili uczcić koronację wielką potańcówką, która da dochód Gminie Polskiej Crowley ze wstępu, oraz sklepikowi z wyszynku. Lud dopisał i sypnął się gęsto, nie tylko Słowianie, ale też ich nowi anglosasko-irlandzko-cygańscy sąsiedzi, a tych było więcej niż Słowian: ich panie bez pończoch i często bez zębów, za to w kwiecistych sukniach i grubo wymalowane, panowie zaś rozchełstani beztrosko i wszyscy gotowi używać życia. Na podium zasiadła zwykła orkiestra: Beno Kwiczół przy rozstrojonym pianinie, co zostało po wojsku, pan Dekier ze swą *mendoliną*, bracia Macioszkowie ze wspaniałymi srebrnymi organkami, Heniutek Sitaków przy bębnie, no i *last but not least* (jak z upodobaniem powtarzają Słowianie) Ambroź Pocałujko ze swą zaczarowaną harmonią i biodrem znowuż rozdętym, a przy tym niebezpiecznie chwiejny w nogach i gotów cały świat przytulić do łona. Z boku jak zwykle skromnie przy-

cupnął adapter, chętny zluzować muzyków, którym też się coś przecież od życia należy. Bal coraz się raźniej rozkręcał, państwo Wiewiór ledwo nadążali z napełnianiem kufla, a gdy tych nie stało, lano sobie do gardła wprost z butelek. Przestrzegano przy tym różnic narodowych i z jednej strony sali Słowianie szli kupą, z drugiej zaś tubylcy hałasowali niemożliwie, ich panie siadały panom na kolana i wybuchały ostrym śmiechem, aż Żywe Róże nie wiedziały gdzie podziąć oczy i czy aby nie trzeba się będzie z patrzenia na takie rzeczy spowiadać. No i od niechcenia jedni pokazywali drugim jak to misternie umieją tańcować i z jakimi figurami, ale nic — niby na naszych nie zwracali uwagi, a nasi na nich — dość przecież narosło sąsiedzkiej niechęci. A bal miał trwać do trzeciej nad ranem, bo to była specjalna okazja i pubom pozwolono działać po godzinach — wiadomo, koronacje nie zdarzają się co tydzień.

Na sali atmosfera była gęsta od piwa. I teraz właśnie się zaczęło, a później świadkowie nie mogli się zgodzić co do detali, bo wszyscy już mieli w czubie i wzrok nieco przyćmiony. Jedno zdawało się pewne: draka wisiała w powietrzu, ale wybuchnąć nie musiała, gdyby nie zbyt rozweselony Anglosas nazwiskiem Brooke. Jak już się rzekło, u szczytu sali wisiała okazała Elżbieta II, z powodu której Crowley tak się właśnie weselił. Portret ten górował nad podium dla orkiestry i był pięknie ozdobiony, więc przyciągał oczy. No i właśnie dochodziła północ jak w przerwie między tańcami pomieniany Brooke chwając się na nogach wlaź na podium i wyciągnąwszy ku królowej flachę piwa ją zachęcać, by sobie pociągnęła na zdrowie i okraszać to takimi słowami, że za ich publiczne użycie bywają przykrości z policją. Orkiestra właśnie miała przerwę i raczyła się trunkami, może więc przez nie, a może w imię przyzwoitości krew w nich zagrała i Ambroż Pocałujko, któremu znów schudło biodro, zdzielił Brooka flaszką po czerepie aż szkło trzasło i dowcipniś padł bez przytomności brocząc obficie z pokrajanego ciemienia. Na ten widok porwali się Anglosasi i Słowianie, każdy bronić swoich, obelgi poleciały gęsto, oblewano się nawzajem piwem i jabłcznikiem i wynikła ogólna szarpanina, a co i jak było w tym chaosie, to potem każdy świadczył po swojemu. Jedno jest pewne: słowiańskie i tubylcze niewiasty uwijały się zgodnie wokół walczących szarpiąc ich za kapoty i wielkim głosem przywołując do porządku. Pewno by się im udało, gdyby w tym momencie nie wszedł wioskowy policjant, a był na cywila i z małżonką brał udział w zabawie, i gdy burza wybuchła właśnie był wyszedł pod gwiazdy. Ogarnąwszy wzrokiem pobojuwisko i Brooka

obficie farbującego na podium policjant jak anioł pokoju rzucił się między wojowników i właśnie tknął im pod oczy swą służbową legitymację nakazując spokój, gdy rozjuszony Felo Pawlak zasunął mu byka w żołądek i powalił na ziemię, a masa walczących natychmiast go pokryła i przeszła dobra chwila nim wrzeszcząca policjantowa rozepchnęła tołpę i pomogła mu powstać. Oparty o żonę opuścił salę i dowłókł się do budki telefonicznej by wezwać pogotowie i posiłki z miejskiego komisariatu, i dopiero wtedy zamroczyło go na dobre. Tak zakończył się niechlubnie bał koronacyjny w polskim, a od paru miesięcy polsko-tubylczym osiedlu Crowley, który mógł być początkiem zbratania narodów, a przerodził się w ogólne zgorszenie i złowróbnym cieniem legł na wspólnej przyszłości.

Epilog rozegrał się po miesiącu w longfordzkim sądzie niższej instancji przed obliczem sędziego pokoju, dwu asesorów, biegłego w prawie klerka oraz tłumu świadków i tubylczych i słowiańskich gapiów. Sala była pełna, bo narody Crowleyu i jego sąsiedztwa przybyły licznie na tę zasadniczą rozgrywkę między pierwotnymi mieszkańcami, którzy uważali swe prawa do obozu w którym podczas wojny stało nasze wojsko za o wiele lepsze niż prawa tych angielsko-irlandzko-cygańskich przybłędów, zaś rzeczony przybłędy twierdziły całkiem słusznie, że są we własnym kraju i co mają od cudzoziemców brać po łbie? Każdy rozumiał, że wynik tej sprawy będzie niesłychanej wagi dla dalszego współżycia sprzymierzonych do niedawna narodów, nic więc dziwnego, że emocje były rozhuśtane. Redakcja *Longfordzkiego Biuletynu i Obywatela* również doceniła znaczenie sprawy, toteż na sali był obecny reporter i fotograf. A trzeba wyjaśnić, że rozpatrywano dwa osobne przestępstwa: rozplatanie głowy Brooke'a, któremu krytycznej nocy nałożono siedem szwów, i tu głównym bohaterem był Ambroż Pocałujko, oraz pobicie przedstawiciela władzy, z Felem Pawlakiem jako główną osobą. W ich cieniu mieściło się sporo innych oskarżonych o rękoczynny oraz „wyzwijające zachowanie”, ale rozmiar ich winy okazał się nieuchwytny wobec faktu, że świadkowie obojga narodów nawzajem sobie przeczyli. Dwie rzeczy tylko dało się ustalić: po pierwsze że Ambroż działał w obronie Elżbiety II, bo Polak nie może spokojnie patrzeć jak obrażają kobietę, przy czym Zuza zeznała, że postąpił sprawiedliwie i nie ma za złe, że chodziło o inną. Po drugie że Felo Pawlak wcale nie chciał obrazić policjanta, do którego nie miał żadnej pretensji, tylko mu się pomyliło co do osoby, bo go na cywila nie poznał i wziął za tego Anglika, który przed chwilą w ordynarny sposób lżył Naród Polski. Tu Paw-

lakowa dała mu poparcie zeznając, że mąż pije tylko od wielkiego święta i że tak być powinno, bo co to za chłop, co nigdy nie pije? Zarzucano też Słowianom, że choć po angielsku się z nimi nie dogadasz, to podczas bijatyki wykrzykiwali najobrzydliwsze tubylcze słowa, na co obruszył się pan Wolniak, że rzeczywście Polacy tylko tyle zdołali się nauczyć po fabrykach od swych angielskich kolegów, więc kto właściwie powinien się wstydzić?

Sąd uwzględnił zeznanie poszkodowanego policjanta, który stwierdził, że mimo wszystko nie żywi pretensji do Słowian, z którymi nigdy nie miał żadnego kłopotu, naród spokojny i swe dzieci należycie trzyma w garści. Póki w Crowleyu mieszkali sami, to nic tam nie miał do roboty, a teraz przez napływ tych nowych nie może dać sobie rady i musiał zażądać pomocnika. Przyświadczył temu Mr Collins, główny farmer z Holme de Braose, u którego Nasze Panie co roku załatwiają sezonowe roboty: że od paru lat ma Słowian za sąsiadów i nic złego o nich nie powie, a odkąd magistrat zaczął osadzać w Crowleyu tych nowych nie może sobie dać rady z pilnowaniem kurników na łące, skąd giną nie tylko jaja, ale i drób.

W ten sposób solidni, osiadli Celtowie i Sasi jakby wzięli Słowian w obronę i zdradzili niechęć do napływowej, choć przecie pobratymczej, hołoty — szumowin z całej Marchii. A wynik był taki, że po paru godzinach przesłuchań i narad zapadły wyroki: sąd uwzględnił słuszne oburzenie Ambroża, niemniej jednak rękoczynny nie są w tym kraju dozwolone i rozłupany czerep Brooka będzie go kosztował £ 5 oraz 12 miesięcy z zawieszeniem. Uwzględniono również skrucę Fela i pomyłkę co do osoby, wobec czego za byka w żołądek wystarczy £ 2 10sh i to samo z zawieszeniem. Reszta skarg z braku dostatecznych dowodów została oddalona, wszyscy jednak musieli wysłuchać kazania o obrzydliwości uciekania się do rękoczynów, które byłoby właściwsze wśród ludów niecywilizowanych. Co słowo w słowo powtórzył *Longfordzki Biuletyn i Obywatel*, z którego cała Marchia dowiedziała się o aferze zainicjowanej przez Polaka, co tak pięknie grał pod magistratem na harmonii.

Tak ostatecznie zakończył się udział Crowleyu w koronacyjnych uroczystościach, a wniosek na przyszłość był z tego dwojaki:

— że tych nowych sąsiadów to nie tylko Słowianie mają za hołotę, ale i ci ludzie w Holme de Braose, których zdanie się liczy,

— i że ta wioska, tak dotąd na istnienie Słowian obojętna, teraz raptem zrozumiała, że woli mieć pod bokiem ich niż tych

przybyszów, mimo że ci mówią po angielsku i, jak słusznie twierdzą, są we własnym kraju.

Z czego widać, że bal koronacyjny prezesa Sitaka i pana Wiewióra, który ujawnił poglądy trzech zainteresowanych stron: Słowian, najeźdźców i osiadłych tubylców, oraz ich stosunek do siebie nawzajem i do Elżbiety II, był wydarzeniem epokowym w długim a trudnym zapuszczeniu przez Słowian korzeni.

BODAJBYŚ CUDZE DZIECI UCZYŁ

Rok akademicki Szkoły im. Trzech Wieszców dobiega końca ku obopólnemu zadowoleniu dziatwy i ciała pedagogicznego, a także ku rozpaczy matek. Zaczęły się właśnie te najgorsze w roku, rozerwane soboty, gdy kobieta nie wie za co wpierw łapać w domu, ogrodzie, na kapuścisku i kartoflisku, gdzie rośnie aż szumi i szkodniki nie próżnują, a przy tym pełno roboty na farmach i w Glorii Longfordu, z okazją do dobrze płatnych nadgodzin. Jak teraz nie zarobisz, to wiadomo jak będzie, gdy zimą mężczyźni znów zasiądą na bezrobociu, a zła pora zażąda butów, węgla i różności. Jakby tych trosk było mało, teraz właśnie dzieciśka zwalają się na kark, bo jak wkrótce staną jeszcze angielskie szkoły, to uchowaj Boże, chyba tylko cud uratuje je od złego.

Angielska szkoła poczyna sobie jak chce, urządza długie ferie w różnych częściach roku i nikt w Crowleyu nie bierze jej tego za złe, bo jest to szkoła na serio, do której dzieci chodzić muszą i która da im przyszłość. Ma więc prawo robić co chce i nawet żądać mundurków i strojów gimnastycznych. Jest przy tym darmowa, więc nie sposób zgłaszać pretensji. Ale polska, to inna para kaloszy. Po pierwsze: uczy rzeczy bezużytecznych i dzieci nieraz słyszą od rodziców, że nie będą z tego miały chleba. I po drugie: płaci się na nią szylinga tygodniowo, a to jest pieniądź, którego nie dają za darmo, matka na farmie jest rada, jak dadzą szyling dziewięć za godzinę. Więc kto płaci, ten wymaga: farmer od niej, a ona od szkółki sobotniej. Dlatego też można gwizdać na zachcianki tej szkółki, nie kupować piór i zeszytów i pozwalać na nieodrabianie lekcji. Nauczycielki to zakichane inte-

ligentki i tyle ich uczoność warta, że w polu robią niemrawiej i na akordzie zarobią mniej niż inne, którym robota furczy w rękach. Właśnie przy tej prawdziwej robocie sprawdza się ludzka wartość, bo się przelicza na zarobek, a tego nie dają za czytanie książek i szykowne wodzenie piórem po papierze. Mimo to Sitaczka z Burlejką i inne płacą tego krwawego szylinga, z którego gmina wypłaca ciału pedagogicznemu funta na twarz za każdą sobotę, a to masa pieniędzy, i niby za co?

Dlaczego więc posyła się młodzież do Trzech Wieszców i ciężko za to buli? Dlatego żeby w pracowite soboty bezpiecznie pozbyć się jej z domu, a także dlatego, że ksiądz Turkuć ostro pilnuje, żeby nikt nie omijał polskiej szkółki, bo jakby spróbował, to w pierwszą niedzielę byłby rozgłoszony od ołtarza i przed Boże coś Polskę wszyscy odmówiliby Zdrowaśkę za nawrócenie gorszyciela. Ksiądz ma głos jak Jowisz Gromowładny i strach usłyszeć od ołtarza opis swej osoby, ze wszystkimi szczegółami prócz nazwiska. On to właśnie grzmi, że ciężki grzech nie uczyć dzieci ojczystego języka. Może i grzech, choć książka do modlenia przy rachunku sumienia nie pyta „czyś posyłał(a) dzieci do szkoły Trzech Wieszców?”. Jest zresztą faktem, że ksiądz tymi rzeczami administruje i komu grzechy odpuści, będą odpuszczone, a komu nie, to lepiej nie myśleć. Poza tym szkołka ma jedną zaletę, bo bez niej żadne dziecko nie znajdzie się na scenie. Crowley bardzo dokładnie przestrzega ważnych świąt kościelnych i patriotycznych, więc ciągle są jakieś akademie. Od początku roku idą po kolei: imieniny Marszałka, Trzeci Maj, koniec roku szkolnego, Cud nad Wisłą, Chrystusa Króla, 11 Listopad i jasełka, i do tego dorywcze rocznice różnych nieszczęść i zgonów. Nawet jeśli je połączyć po kilka, jak imieniny Marszałka ze świętym jajkiem i Trzecim Majem, albo Święto Żołnierza z Chrystusem Królem i 11 Listopadem, to i tak jest wiele tych obchodów i dzieciom występować musowo, straszny byłby despekt, gdyby które pominięto. Co więcej, odkąd zjawił się pan Gabriel, występy dają szansę popaść do gazety. I jeszcze jeden plus: próby teatralne odbywają się w sobotnie i niedzielne popołudnia, więc dzieci znów są w przechowalni, i to pod groźnym okiem generalnego reżysera — księdza Turkucia.

Z powyższego bynajmniej nie wynika, że cały Crowley ma za nic szkołkę im. Trzech Wieszców. Tak np. pan Śmidowicz zapowiedział swemu stadu, że jak mi, łobuzie, nie będziesz wszystkiego umiał i pisał i pani szanował, to ci ruski miesiąc przypomnę, a także poprosił ciało pedagogiczne żeby wszystkie skargi kierować wprost do niego. Więc też Śmidowiczaki pięknie piszą

i czytają, zeszyty mają akuratne i nawet wyrwane ze snu potrafiłyby wyjaśnić kto zacz Piast i czemu Wanda nie chciała Niemca. Jest jeszcze kilkoro, że albo same chętne do nauki, albo rodzice pilnują, ale te kilka jaskółek nie czyni wiosny, więc prestiż szkółki stoi bardzo nisko, a społeczność jej wychowanków ciało pedagogiczne w cztery oczy zalicza do najgorszych obwiesiów, z jakim kiedykolwiek miało do czynienia.

Zrozumiało, że młodź jest przepełniona duchem rebelii wobec polskiej szkółki. Ale z akademiami to wprost przeciwnie: ekshibicjonizm odziedziczyła od starszych i pokazuje się z radością nie tak, to owak. Również i na scenie, skąd akcentem nabierającym obcych tonów głosi bezdenną tęsknotę za rodzinną strzechą z boćkiem i wierzbą rosochatą, choć nie ma pojęcia jak to wygląda. Rodzice przywiązują do tych popisów wielką wagę, więc rzecz jest poważna. Za to na lekcjach można się odegrać, zwłaszcza celują w tym starsze, bo młodsze łatwiej zająć bajkami albo rysowaniem ambitnych tematów jak chrzest Polski, aniołowie u Piasta czy bitwa pod Grunwaldem. Bałaganić na lekcjach (naturalnie nie u Księdza Magistra, który szarpie za uszy i zresztą grzech nie szanować duchownej osoby) można całkiem bezkarnie: wrzeszczeć po angielsku, wyskakiwać z ławek, żuć gumę, oglądać komiksy i wyzwierzać się na sto diabelskich sposobów. Nawet jeśli nauczyciel odważy się poskarżyć mamusi, to tak go ochrzani, że odechce mu się na zawsze.

Z powyższego łatwo pojąć, czemu młodzież i ciało pedagogiczne wita koniec roku z ogromną radością, a rodzice z rozpaczą. Na rozpacz będzie czas po uroczystej akademii w świetlicy, ze sceną pięknie udekorowaną wielką flagą narodową służącą za tło nieodzownemu biustowi Marszałka i bladoniebieskiej figurze NMP z Lourdes, którym na tę okazję towarzyszy podobizna Mickiewicza. Uroczystość odbywa się w niedzielne popołudnie, co wprawdzie uniemożliwia niedzielną promenadę ku rzece, ale za to pozwoli zdążyć na nieszpór. Jej prawdziwym gospodarzem jest ksiądz Turkuć, a formalnym prezes Sitak, który na zakończenie wygłosi zwięzłą żołnierską mowę, by wszystkim za wszystko podziękować: Księdzu Magistrowi z ciałem pedagogicznym za ofiarny trud w imię zachowania naszych milusińskich dla tradycji przodków, rodzicom za zrozumienie i gorące poparcie szkoły polskiej, i dziatwie za zapał w studiowaniu rzeczy polskich, który ją przygotowuje do powrotu do naszej Ukochanej Umęczonej, w który tu każdy głęboko wierzy, bo niechby nie, no i wszystkim obecnym dzięki w imieniu Komitetu Rodzicielskiego za łaskawe tu przybycie. Ale ta mowa, jak się rzekło, jest przeznaczona na

koniec, by publiczność rozeszła się z miłym poczuciem poniesionych zasług. Póki co uroczystość zagaja czupurny Krzychu Orawiec w stroju przypominającym góralczyka. Tryskając nieudawaną radością wygłasza utwór pt. Zegnaj Ukochana Szkoło i odprowadzony rześistym brawem ustępuje pola księdzu Turku ciowi.

Kierownik Szkoły im. Trzech Wieszców informuje zebranych o szczytnych obowiązkach jakie na nich ciąży: wierność Ślubom Jasnogórskim oraz wychowanie dzieci dla Boga i Polski. Zachwala piękno mowy i dziejów ojczystych, które przez wieki pisały na bezbożnych łbach szable Sobieskich, Warneńczyków, Henryków Pobożnych i innych obrońców Przedmurza. Dlatego i my, najmiłsi moi, świadomi dziś swych zadań na tułaczce — i dalej złotoustą manierą, by wreszcie wylądować nieoczekiwanie a złowróźnie: niech-no mi kto nie pośle dziecka na lekcje... Żga oczyma w obecnych i Róże jak na komendę odwróciły się ku widowni, ale parszywej owcy brak cywilnej odwagi, natomiast widownia daje gorące brawo i poprawia się na ławkach. Zawisza-Kwiczół sadowi się za sfatygowanym pianinem i otwiera część artystyczną burzliwą fanfarą, która wolno przechodzi w „Nie rzucim ziemi”. Przy jej wtórze na ciemnym tle dekoracji zaczynają się przesuwac milcząco żywe obrazy: pomysłowo ożywione dzieła Grottgera z cyklu „Warszawa”, „Polonia” i „Lithuania”. Ma to różne zalety, angażuje bowiem wielką ilość aktorów i nikogo nie pominie, nawet tych najmłodszych w krakowskich kostiumach, przeoczonych co prawda przez artystę, lecz doskonale pasujących do scen gromadnych. Przed oczyma widzów ożywają tragiczne dzieje i ogarnia ich zaduma. Widzą „Lud w kościele”, „Błogosławieństwo”, „Kucie kos”, „Pobojowisko”, „Bój”, „Ducha” i niektóre inne możliwe do pokazania ze względów technicznych lub prestiżowych, bo na przykład Śmiercią nikt za żadne skarby nie chciał zostać, a z Duchem też było sporo kłopotu nim wreszcie Kaziu Próchnicki uległ perswazjom. Występ nie przeszedł wprawdzie bez zakłóceń, bo wychodząc na deski sceniczne duch zaplątał się w tradycyjne prześcieradło i omal nie upadł, pozostawił jednak głębokie wrażenie: Lalunia Dekier z francuskimi lokami po pas tuli do piersi swą ulubioną lalkę i jeszcze nie wie, że jest wdową — nie dostrzega widma z krwawą na piersi plamą, które weszło do chatki. Jakie to prawdziwe, samo życie — przecież niedawno była wojna. Nic dziwnego, że pani Dekierowa płacze całkiem otwarcie nad nieszczęściem swego dziecka, kilka innych też sięga po chusteczki. Tym skwapliwiej, że w ostatnim obrazie pokazani nasi zesłańcy w sybirskiej kopalni, nieszczęśnicy szeleszczący choinkowymi łańcuchami, którym

w mroku ukazuje się Najświętsza Panienska. Z tej sceny wynika — i obecni odczytują to poprawnie — że nawet w najgorszym nieszczęściu nie jesteśmy sami, bo od stuleci doświadczamy szczególnej opieki Opatrzności. Brawa sypią się rzęsiście, nikt się nie leni — pięknie to obmyślił i przygotował Ksiądz Magister przy pomocy pani Jankowskiej.

A tu już Beno rąbie rażnego marsza i wszyscy aktorzy wychodzą razem na scenę, ustawiają się klasami i rozpoczyna się kulminacyjna część uroczystości: rozdanie świadectw oraz nagród książkowych dla prymusów.

SPRAWY PRZYNOSZĄCE UJMĘ NARODOWI POLSKIEMU

Pan Antoszek po ojcach, wioskowych cieślach, wziął upodobanie do drzewa, a od drzewa swą wielką łagodność. Po ojcach wziął również żarliwą pobożność bez krzty pozy, samą szczerość, która od codnia poufali się z Matką Boską, Panem Jezusem i ich Opiekunem i która jest głęboko, choć nie całkiem świadomie przekonana, że w całym Niebie najważniejsza jest Matka Boska.

Życie pana Antoszka jest pełne udręki i jak by mu co dzień nie pomagała Matka Boska, to by nie wydołał. I jeśli by nie miał w sobie tej wielkiej miłości do drzewa — zarówno tego, co sobie rośnie piękne a szumne, zmienia się przez cały rok, głowę ciągnie do nieba, a nogami tkwi w tajemnicach ziemi i poufali się tylko z ptakami, a położysz mu rękę na korze, to całkiem jak skóra końska ciepła i wrażliwa — jak i do tego martwego, co z Bożej łaski zmienia się na tysiące rzeczy dla człowieka, a także w święte figury i krzyże małe i duże, co go prowadzą do nieba. Pan Antoszek ma dłoń więcej zrozumienia niż dla ludzi, a ono go pojmuje bez słowa. Przy drzewie Antoszek dopiero odpoczywa i znajduje pocieszenie jak w kościele, lubi wtedy wspomnieć św. Józefa Oblubieńca i jakie to różne przypadają ludziom żony i synowie. To odprężenie znajduje niestety tylko przy własnej stolarce albo jak po Crowleyu karczuje pniaki czy wybiera stare deski na tołkuczce — dopieroż radość jak z nich wyjdą piękne barwy i słoje! Wtedy podczas codziennych mar-

szów do pracy obmyśla co by z nich zrobić pięknego: puzderko lub misterną szafeczkę, którą żona zaraz garnkami powypala, albo coś dla kaplicy księdza Turkucia, albo razu jednego tylko dla siebie, ale tego więcej nie próbuje, bo jak wyciął Jezuska Frasobliwego, to go pani Antoszkowa wsadziła do pieca, że to obraza Boska taka pokraka. Tylko do sosny nie ma pan Antoszek serca, że taka biała i miękka, zdradziecko podpuszcza żywicę i traci fason. Robotą w tej sośnie zarabia na życie i choć mu dobrze płacą, hańbi uczciwego fachowca i skonałby ze wstydu, gdyby to miał oglądać tatuś nieboszczyk, który stawiał nie tylko chałupy, ale i dworki, a i kościół potrafił. Synowi przyszło robić w cudzych stronach na magistrackich budowach, gdzie całe jego zadanie: dopasować do domów gotowe fabryczne drzwi i okna. Jest to takie świństwo, że wstydziliby się użyć psu na budę, sosna jest całkiem surowa i okna zaraz kurczą się albo puchną, nie zamkniesz ani otworzysz, a drzwi koszlwią się haniebnie i deszcz przez nie zalewa mieszkania, i na wszystkim żywica wyłazi spod kolorowych lakierów, którymi chcieli maskować tandetę. Nic dziwnego, że szczęśliwi lokatorzy tych domków klną partaczy, to znaczy również pana Antoszka, a najgorzej jak musi pójść i naprawiać, spojrzeć tym ludziom w oczy i słuchać jak tam burmoczą i powtarzają aż za dobrze mu znane słowo *rubbish*. Nikogo nie obchodzi, i on im nie zdoła wyjaśnić, że on tu nie krzyw, że się sprzeciwiał jak umiał, pokazywał menażerowi, jakie to pasukudztwo i jak się robi porządnie. Tamten powiedział, żeby pan Antoszek się zamknął i nie szedł uczyć przełożonych.

Prócz drewna ma pan Antoszek jeszcze jedną pociechę — sroki, bardzo tu rzadkie ptaki, co się kręcą przy świńskiej hodowli. Jak o świcie idzie do pracy i wraca wieczorem, to już się naprzód cieszy na spotkanie, ale tylko w jasnych porach roku, bo zimą ich nie ogląda i trapi się srodze jak im się powodzi. Dzieli się z nimi swymi kanapkami, nawet po nocy kładzie w umówionym miejscu w żywopłocie i oczywiście oddaje im co lepsze, ze skwarkami albo nawet okrawkiem kiełbasy, a one czekają nań akuratnie i z daleka skrzeczą jak nadchodzi. Na sercu robi mu się ciepłej, że przecież ktoś go poważa i wygląda, nie to co żona i dzieciak — tylko dla tych srok pan Antoszek naprawdę się liczy. Trudno mu dziś uwierzyć, jakże to niegdyś w domu było z nimi utrapienie, robiły szkodę w kurczętach i gdzie się da, ludzie klęli i ciskali kamieniami — on też, aż wstyd pomyśleć, że teraz mu sercem płacą za ten kamień. No i wreszcie tego lata godnie im się odwdzięczył za serce. Z robotą było gorąco i magistrat naglił, żeby prędzej kończyć to osiedle, robili nadgodziny do ciemnej nocy i w soboty. Torebki z wypła-

tą były potem odpowiednio napchane, aż pan Antoszek ledwo wierzył, że zarabia taką masę gotówki, a żona furt sarkała, że dziecko chodzi głodne, choć po zapłaceniu komornego i elektryki wszystko jak zwykle pchała do żołądka, nie jak u ludzi, że i w święto się ładnie ubiorą, i kupią co z mebli. Więc jak w sobotnie popołudnie pan Antoszek wracał z roboty, to skręcił do miasta — tak go naszło, że jak tyle zarabia, to raz by kupił co ładnego, żeby się jemu samemu podobało. Szedł i poglądał po wystawach, aż mu raptem zastąpiły drogę śliczne naszyjniki na wystawie u Jonesa. Rozpięte na czarnym aksamicie grały w słońcu aż raziło w oczy, szły z nich kolorowe ognie i drgały jak żywe, istne brylanty w koronie Elżbiety II, której portretów niedawno było pełno gdzie nie spojrzeć. Pan Antoszek stanął i oniemiał, a jak spostrzegł cenę, to stracił głowę do reszty — nigdy by nie uwierzył, że takie cudo można dostać za dwa funty. Zanim się spostrzegł, już stał u lady i kupował, choć okropnie było mu wstyd, że ta dama w sklepie taka szykowna, a on w roboczych łachach i takie ma zachcainki. Nabył podwójny sznur ognia uwięziony w atlasowym puzderku i nie wiedział gdzie to piękno schować: do brudnej kieszeni czy do chlebaka z termosem, więc niósł je w ręku. Jak już minął krzyż, to wtedy dopiero otworzył pudełeczko, bawił się zdobyczą i dziwował, że tak mu te iskry przeciekają przez palce i rozrzewnił się, że taką wspaniałość niesie dla swej starej — przecież nie taka znów z niej wiedźma, dba o dziecko i po farmach zarabia jak tylko jest okazja, o kury się stara i ogród, sama kapusty nasadzi na dwie beki, a że ma jęzor hadki — no cóż, nie ma na świecie aniołów. Taki piękny podarek ją ułagodzi, ucałuje go jak inne żony, a jak w niedzielę pójdą do kościoła, to będzie dumny, że taką ma szykowną kobietę. Tyle teraz zarabia, że do tych brylantów powinna się pięknie ubrać, jak sama Bielasowa. Rozmarzony dotarł do Crowleyu i już z drogi usłyszał tubalny głos Stasiuczka. Ścieżką szła właśnie Malczykowa Katarzyna, a chłopak stał w bramce i pohukiwał: — Idzie stara świnia! — aż hałas wywabił panią Antoszkową. Z Katarzyną nie miała rozrachunków, więc skarciła małego: — Coż ty, Stasja, zdurniał? Oczy zgubiwszy? Taż to nie swynia, to pani Malczykowa! — Na to nadszedł pan Antoszek, oderwał synka od furtki i wciągnął do mieszkania. Zasiadłszy nad misą kapusty figlarnie za żoną poglądał, aż spytała co tam knuje. Wyłuskał puzderko i mówi zażenowany, że oto jej przyniósł gościńca, tyle przecież nazarabiał. Ale ona ledwo spojrzała na biżuterię, szmyrgnęła ją za siebie i tak się rozwarła, że choć włązić pod łóżko: że taki durak forsa marnuje choć na żarcie nie starcza i jak chciał gościńca,

to przyniosłby słoniny albo co. Ale on nic, udawał że je kapusiak, choć mu rosło w gębie.

W poniedziałek znów późno wrócił do domu i taki umordowany, że ledwo włókł nogi. Wchodzi: dziecko śpi, ściskając w rękę kawałek bekonu, garnki zimne, stół pusty, a za barakiem słyhać, jak jego pani ujada się z Matysiakową o kury, które wlażyły do ogrodu. Takie go raptem naszło obrzydzenie, że zastygł pośrodku baraku i rozglądał się wokół jakby to swoje gniazdo ujrzał pierwszy raz i nie mógł pojąć co tu robi. Wzrok padł na filigranową szafeczkę, którą niedawno zmajstrował z kolorowych drewnien, na takich krzywych nóżkach jak te połamane mebelki, które widać przez okna w pałacu. Teraz na popalonym blacie stała brudna patelnia po jajecznicy, a przy niej rwała oczy kupka ognia, którą był kupił przedwczoraj. Zebrał ten ogień w garść i rozwinął pod światło, aż iskry poszły jak z fajerwerka, i wepchnął do kieszeni z uczuciem, że ocala go przed świętokradztwem.

O świcie niezauważony i nie żegnany wyruszył do pracy, a póki minął wieś i dotarł do chlewów pana Bishopa słonko wstawało i świat był cudny jak nowy. Z daleka dostrzegł, że parka srok czeka nań wiernie, huśtając się na czubkach żywopłotu. Zaskrzeczały radośnie i zeszyły niżej, głowy przekrzywiwały i nadstawiały ku niemu uszu by nie stracić co do nich mówi, bo mówił zawsze i radował się, że ktoś wreszcie tak go uważnie słucha. Najlepszą kanapkę rozkruszył po trawie, plaster boczku nadział na tarninowe kolce i sięgnął po gałgan do kieszeni. Nie znalazł, ale za to wlażyły mu pod palce brylanty. Sznur rozwinął się i zagrał we wschodzącym słońcu, aż sroki skrzeknęły z zachwytu i zeskokczyły niżej, oczu z pięknej rzeczy nie spuszczać, a pan Antoszek nią huśtał by więcej ognia wykrzesać. Już miał schować naszyjnik gdy przyszło mu na myśl, że przecież jemu to na nic, a stworzenie kocha wszystko co błyszczy. Nie wiele myśląc zawiesił naszyjnik tak wysoko jak mógł sięgnąć i cofnął się pogadując: — Chodź ptaszyczka, chodź kochana, masz tobie gościńca! — Radował się patrząc jak ptaki urzeczony wyciągają szyje, poglądając na to piękno to jednym, to drugim okiem, poskrzekują z podniecenia — pewno się spierają gdzie godnie schować taką zdobycz. Panu Antoszkowi cały dzień było błogo na myśl, że tak rozradował stworzenie i za serce wynagrodził.

Wracał do domu w dobrym nastroju, a póki dotarł do Crowleyu zrobiła się noc. Ale dzień nie mógł się tak dobrze skończyć jak się zaczął, bo los brutalnie przywołuje nas do rze-

czywistości. Pan Wiewiór kończył właśnie wyszynk i Jakub Szydło napełniony piwem wyszedł na powietrze, nie na tyle wszelako pijany by w świetle latarni na placu nie dostrzec samotnego piechura. Na ten widok podniósł kawał cegły i wsiąkł w mrok pod dębem, przy którym ścieżka odchodzi na Antoszkowe osiedle, i gdy mały człowieczek go mijał, Jakub wyrósł raptem nad nim jak wieża i rozwarł paszczę, że taka twoja mać, czego twoja szantrapa i bękart wyzywają moją żonę i syna od Uzbeków? Pan Antoszek ledwo bąknął, że przecież wcale im nie każe, aż tu Jakub stuknął go w głowę cegłą, poprawił w kość policzkową i powalonego zostawił na ścieżce.

Matka Boska rzeczywiście się jednak opiekowała panem Antoszkciem, bo akurat na plac zajechał ostatni autobus, wysypał gromadę Anglików i idący w tę stronę widzieli zajście. Podnieśli zamroczoną ofiarę, z głowy której krew leciała na ubranie, zebrali rozsypany chlebak i odprowadzili do domu, ktoś rozpoznał uchodzącego Jakuba, bo znali z pubu zawiadaczkę, i ktoś podzwonił do policjanta. Zrobił się sądny dzień, wyrwana ze snu pani Antoszkowa wrzeszczała że zamordowali, przyciągnięto pana Wolniaka, Wolniak doktora Lloyda, który stanął tu akurat o północy klnąc tych przeklętych cudzoziemców, a zwłaszcza Antoszkową, z którą miał stare porachunki o wymuszanie zastrzyków. Ale swoje zrobił, pozlepiął czerep jak mógł i sprowadził karetkę, że to wymaga szycia, wypisał zwolnienie i wreszcie odjechał, wyłożywszy policjantowi co o tym myśli. Jakub za to kręcił władzą i łgał w żywe oczy, a najpaskudniej w longfordzkim sądzie hrabstwa. Wstyd było słuchać, zwłaszcza że dość było Anglików na świadków, zarówno tych, którzy krytycznego wieczoru i przez wiele innych oglądali go w pubie i wiedzieli, że wiecznie szuka rozróby, jak i tych, co oglądali zajście pod dębem. Na dodatek Słowianie zgodnie potwierdzili, że pani Antoszkowa od czterech lat woła za Szydłową „Uzbekka” i swemu dziecku każe to samo. Bardzo to zagmatwało sprawę i na dodatek Jakub upierał się, że to Antoszek go napadł i kopnął w żołądek, i że nie ma pojęcia jak on sobie przy tym rozbił ten łeb, więc sędzia dość był skołowany i jakoś mu nie trafiało, że przecież Antoszek wleźć by musiał na drabinę, żeby Jakuba kopnąć w brzuch. Pomaleńku rzecz sprowadziła się do interpretacji słowa Uzbek: czy to obraźliwe i o ile, i przede wszystkim co w ogóle znaczy. Wolniak wyjaśnił, że to taki naród w Sowietach, ale nic z tego nie wynikało, bo i on sam nie rozumiał (jako że wojnę przewojował w Anglii) czemu jest to tak straszną obelgą dla zwaśnionych rodów. Tylko dla wtajemniczonych było oczywiste (ale nikt ich nie pytał o zdanie): bo obydwum paniom dzieci pomarły na

Uzbekach z głodu i zarazy, więc wspominają ten pobyt jak przejście przez piekło. Że właśnie nadchodziła obiadowa pora, sędzia polecił klerkowi podzwonić do miejskiej biblioteki o tego Uzbeka i zarządził przerwę. Gdy sesję podjęto na nowo, to już czekała nań notka od najwyższego bibliotekarza, wyjaśniająca na podstawie wyliczonych dokładnie słowników i encyklopedii, że to faktycznie taki naród w ZSSR, ile ma ziemi i ludności, jaki ustrój, stolicę, klimat, geograficzne współrzędne i specyfikę ekonomiczną. Tak zgłębianie sensu obelgi skończyło się w ślepych zaułku i sąd przyjął sugestię pana Wolniaka, że ci Uzbekcy są śniadzi bruneci, tak właśnie jak pani Szydłowa i jej syn i stąd to wywisko. Teraz już szybko zgodzono się, że po polsku Uzbek jest tak mniej więcej obelżywy jak po angielsku Cygan, to znaczy nie zanadto, po czym przystąpiono do wyceny Antoszkowych uszkodzeń. Brakło niestety świadków początku zajścia, którzy by potwierdzili, że pan Antoszek nie kopał w brzuch, toteż Jakubowy występki zredukowano z „ciężkiego uszkodzenia ciała” do „zwykłego napadu” i oszacowano na £ 10.

Tak skończyła się pierwsza ze spraw haniebnych dla narodu polskiego, który powinien budzić w świecie szacunek należny swej tysiącletniej kulturze, a tej misji Crowleyu w Marchiach mocno przeszkodziło sprawozdanie w *Longfordzkim Biuletynie*. Winowajca wyszedł ze sprawy stosunkowo lekko, ale odtąd Crowley miał go w pogardzie, bo cóż mniemać o niedźwiedziu, który napada na małeńkiego człowieczka, i tak ciężko doświadczonego przez los?

Gorsze, że seria procesów rozpoczęta awanturą koronacyjną jeszcze nie dobiegła końca, bo jakieś fatum zaciążyło tego lata nad rodziną Antoszków. Albowiem, lekce sobie ważąc Piechalowe przestrogi, królowa Crowleyu nadal prześladowała jego żonę gdziekolwiek zbiegły się ich drogi, toteż Piechał czekał tylko okazji, by wypełnić swą obietnicę. Chłop był krzepki i znał różne chwytty, żandarm przecież z zawodu i stąd pewno miał nieomyłne wyczucie sprawiedliwości, winnych szukał gdzie należy i nie czeptał się do Antoszka. Parę razy zachodził Antoszkowej drogę, ale rąca baba, mimo okazałej tuszy zawsze mu gdzieś uszła i jeszcze Stasiuczek z daleka go wyzwał od najgorszych. Raz nawet zeszli się ciasno w autobusie z Longfordu i Tadeusz usiadł tuż za nią, by po wyjściu mieć ją pod ręką, ale niespodzianie prysła w połowie drogi: w Badonhill skoczyła w las i wertepami przedrałowała do Crowleyu. Ale była to kwestia czasu, ich ścieżki musiały się wreszcie przeciąć w dogodnych warunkach i zdarzyło się to w jedno sobotnie popołudnie, gdy ludzie krzatali się

po ogrodach i koło baraków. Antoszkowa wyszła właśnie z korytarza od kaplicy i na skrzyżowaniu, przy tablicy ogłoszeń z zieloną koniczynką wpadła prosto na Piechala. Cofać się było za późno, toteż z miejsca ruszyła do ataku, paszczę rozwarła że kogo słabszego by zamroczyło, a głośno jak z megafonu i gdzie okiem sięgnąć ludzie zerwali się na baczność, kto z łopatą w rękę, kto z siekierą albo konewką. Ale Piechal nie przyszedł słuchać. Mocarną dłońią chwycił babę za kok i z odpowiednim klaskiem wylakierował po gębie z prawa i lewa, i jeszcze raz dookoła, przy czym donośnie zapowiedział, że niech no jeszcze raz spróbuje pyskować na moją albo kogo bądź, to następnym razem gnaty jej popzetrąca. Co uczyniwszy pchnął ją że mało nie padła i jakby nigdy nic poszedł swoją drogą. Pani Antoszkowa daremnie podniosła wielki wrzask, że zbój i morderstwo, przyzwała Pana Jezusa, ale nikt się nie ruszył z pomocą, a przeciwnie: z wielkim ukontentowaniem obejrzeni przedstawienie. I potem tak się dziwnie złożyło, że nikt niczego nie widział i w sądzie nie było świadków przeciw Tadeuszowi. Słowianie zgodnie oświadczyli władzy, że niczego nie widzieli i że uszkodzona jest faktycznie zgaga i makutra, chodzi ludziom jak ból po kościach i swoje dziecko wyuczyła takich słów, że nikt nie podejmuje się powtórzyć. Koniec końców sprawa oparła się na oświadczeniu wioskowego policjanta, popartym przez doktora Lloyd'a: że krytycznego popołudnia oglądali oblicze pani Antoszkowej i nie stwierdzili naruszenia naskórka ani krwi, tylko podpuchnięcie — tak to fachowo umiał łać Piechal Tadeusz! Jeśli chodzi o niego, to wcale się nie zapierał, a przeciwnie: oświadczył, że jeśli będzie zmuszony, to nadal będzie bił aż do skutku, bo jego żona ma prawo do spokojnego życia jak każdy inny.

Rozważywszy wszystkie dane sąd wycenił jego winę na marne £ 5 i coś-tam z zawieszeniem, a sędzia go pouczył, że choć w świetle zeznań świadków rozumie ciężką prowokację, to w cywilizowanym kraju nie ma zwyczaju bić ludzi, a pani Antoszkowej zaznaczył, żeby więcej nikomu nie właziła za skórę, Wysoki Sąd w krótkim czasie ma z nią po raz drugi do czynienia i nie życzy sobie jej więcej oglądać.

Tak oto mimo straty finansowej Tadeusz został się górą i potem publicznie w autobusie żałował, że tak mało tę prukwę znieważył, na jedne pięć funtów. A zaszedłszy jej na niedzielnej promenadzie drogę zapowiedział publicznie, że jak jeszcze kogo bądź ruszy, to jej skuje pysk na dwadzieścia albo i trzydzieści funtów, zarabia Bogu dzięki nieźle i stać go na taką przyjemność. Do tego wszakże nie doszło, bo odtąd pani Antoszkowa chodziła jakby w kagańcu i nawet jak ją zaczęło ponosić, starczyło by kto

pogroził, że powie Piechalowi. Tak skończyło się jej czteroletnie panowanie na Pograniczu i, choć *Longfordzki Biuletyn* znowu rzecz rozgłosił, to korzyść była znaczna. Każdy teraz miał ją za nic i nawet mówiono, że pan Antoszek na osobności dziękował Tadeuszowi i mocarną dłoń mu ścisnął. Ale że natura nie zna próżni, wakujący tron zajęły inne sławne jęzory: Pocałujkowa Zuza i Sitaczka z Burlejką i rej odtąd wodziły bez przeszkód na cały Crowley. Ale to już całkiem inna historia.

PRZEWAŁA SIĘ LATO

Przewala się jeszcze jedno crowleyskie lato, jabłkowo-chmielowe, płodne i leniwe lato Marchii. Noce stają się coraz chłodniejsze i pełne rosy, a zmęczone słońce już nie razi ostrym blaskiem. Na plantacjach za barakami, na zagonach wśród chaszczy kapusta lubieżnie się wyokrąglą, kartoflom przysychają liście, a cebulę równo załamano ku ziemi. Przy słowiańskich barakach nasturcje, malwy i nagietki osiągnęły zenit i zaczynają pospiesznie wiązać nasiona. Po nich, po ścieżkach wśród zagonków wysłanych starym linoleum i po równo wymierzonych grzędach odróżnisz słowiański barak od tubylczego, bo przybysze rzadko dbają o kwiaty, a jeśli w ogóle co sadzą na zagraconych wertepach pod swymi oknami, to najwyżej kartofle i brukselkę, żeby ją skubać całą zimę. Słowianie brukselką gardzą a kartofle hodują dalej od domu.

Mury słowiańskich siedzib podpierają sterty równo porąbanego drzewa, zebranego w lesie chrustu i wykarczowanych pni, za którymi nasi panowie uchadzają podczas urlopu. Tubylcom te rzeczy nie w głowie, o opał zatroszczą się gdy zima zastuka w okna i wtłoczy lodowaty wiatr do wnętrza baraku. Mieszkanka rodaków poznać też po pięknie wyszorowanych beczkach, które schną koło drzwi na świeżym powietrzu czekając na nowy sezon kapuściany, oraz po butelkach i słojach ustawionych w oknach, dla których oceany jeżyn dojrzewają po okrainach obozu, a cukier można dostać wreszcie bez kartek i w dowolnych ilościach.

Tak przewala się lato i natura kończy jeszcze jeden cykl kiełkowania, wzrostu i wydawania plonu. Tylko człowiek, inaczej niż ziele, ptak i bydłatko, nie zna swego czasu, więc pani Ciup-

kowa młodsza znów krąży sennie między swym mieszkaniem, sklepem i kaplicą, otoczona swą dorodną dziewiątką: trzy parki maszerują trzymając się za rączki, a w ostatniej najstarsza, Jadzia, ciągnie dodatkowo malutkiego Frania, który nie umie jeszcze stawiać nóżek jak należy, ale wózeczek musiał ustąpić swym następcom. Pani Ciupkowa pcha ten wózeczek, coraz bardziej spracowany i okropnie ciasny dla parki urodziwych bliźniaków ubitych w nim na waleta, i jest jak zwykle nieobecna duchem, zasłuchana we własne wnętrze, w którym znów coś zdaje się zapuszczać korzenie. Doktor Lloyd znów ją zwymyśla i Marylka Kwiczół będzie za nią spluwać, ale ksiądz Turkuć gorąco ją zachwali i poraz nie wiedzieć który da za przykład zmaterializowanym kobietom naszych czasów. Nasze Panie nagabują panią Ciupkową starszą, że jakże tak, ale ona odpowiada leniwie, że jak Bóg da dziecko, to da i na dziecko, a profesor Koziewicz uzupełnia, że Bóg uczyni to rękami dwu par harujących dziadków i anonimowego podatnika, bo pan Ciupka nie nastarczyłby tej hodowli choćby się wściekł.

Tymczasem on sam (taki chudzina, że nikt by go nie posądził!) ma pełno roboty z grożącą rodzinie przeprowadzką. Magistrat ofiarował mu nowe mieszkanie w centrum Crowleyu, wprawdzie za wygodami, ale okrutnie ciasne: trzy pokoiki i kuchnia na całe to stadko i nowe w drodze, a ile jeszcze po nim? Ludzie opowiadają, że Angloajrisze kładą dzieci spać do szuflad w szafach i komodach jedno nad drugim, ale pani Ciupkowej młodszej nie odpowiada takie rozwiązanie. Jej mąż był już z Wolniakiem w magistracie i zabiegał o dwa przyległe do siebie mieszkania, między którymi wywaliłby drzwi, ale niezwykły pomysł strasznie urzędasów zaskoczył i nie wiadomo co z niego wyjdzie. Nawet jak się uda, to każą płacić dwa komorne i skąd na to wykroić? Dobrze, że w swym garażu robi wszelkie możliwe nadgodziny, ale co to jest wobec tylu gęb do nakarmienia, nóg do obucia? Ano nic, Pan Bóg opatrzy i jakoś to będzie.

Pannie Maryli teraz akurat rozpusta Ciupków nie w głowie, dość ma z bratem utrapienia. Odkąd w Crowleyu połączyli swe losy, zdołała chłopca upilnować, ustrzegła od pokus zmysłowych i udania się na studia do Irlandii. Poza jej polem widzenia Beno wprawdzie brykał, umizgał się do crowlejskich dziewcząt i ogniście komplementował młode mężatki, ale było to wszystko jałowe, w oczach tylko i w gębie. Niechby nań która zaczęła lecieć — dopieroż byłby bezradny. Tak czas szedł i już mogło się zdawać, że chłopiec się ustakuje, aż raptem tego lata zeszedł się na mieście z jakąś Angielicą, na dodatek rozwódką obdarzoną dzieć-

mi, i tak go opętała, że otwarcie a bezwstydnie bredzi o ożenku. Ledwo wróci z pracy (a wraca późno, bo wpieryw leci do niej), to tylko o żeniactwie i zubożeniu na Marylkowe wrzaski — ba, śmieje się bezczelnie na jej tragiczne okrzyki, że się go brzydzi dotknąć, że go przeklnie i pójdzie we światy, zabierze ze sobą rodowy sygnet i herbowy ryngraf z drzewem genealogicznym, które tatko nieboszczyk powierzył jej na śmiertelnym wyrku w Kazachstanie i kazał pilnować przed wszelkim zbrukaniem. A przecież nawet nie mógł przypuścić, że herb Czarnego Rycerza aż tak będzie upodlony przez tę angielską latawicę. Beno zmienił się do niepoznania, dotąd starczyło nań tupnąć by położył po sobie uszy, a teraz wybucha śmiechem ledwo siostra usta otworzy i nawet argumenty przyzwanego na pomoc księdza Turkucia sphywają po nim jak po gęsi, za nic już ma katolickie małżeństwo — chyba tylko egzorcyzmy wypędziłyby złe. W kaplicy dusi fisharmonię byle jak, byle zbyć, skończyć i gnać do Longfordu, na cały dzień z tą rozpustnicą i z wielką torbą cukierków dla jej bachorów, wcale się z tym nie kryjąc przed ludźmi. Crowley naturalnie śledzi jego postępy z ogromnym zainteresowaniem, dowcipnie przymruża oczka i — wstyd powiedzieć — z wyjątkiem Żywych Róż, spogląda z sympatią na gorszyciela, a z szyderstwem na jego cnotliwą siostrę.

Za to druga Ofiara Wojny, Ludwik Jabłkowski, nadal sprawuje się wzorowo. Jak zwykle czas wolny od pracy i gospodarskich zatrudnień spędza w oknie oddając się swym czczym studiom i paląc uwodzicielskim okiem przechodzące panny i mężatki, co je pozbawia spokoju, nie pojmują bowiem, że kryje się w tym nie zadzierzista obietnica, a bezsilna tragedia. Dawniej mógł wbrew mamusi zamienić choć parę słów z Pełą Dyderko, gdy wpadła do Tosi, a teraz nie ma nawet tej pociechy odkąd Miss Crowley została Mrs Lacy i Tosię zaprasza do swego domu. Mamusia jak zwykle nie spuszcza Ludwika z oka, nawet go odprowadza do kaplicy i na niedzielną promenadę, więc nic dziwnego, że wieczny student rozmyśla z zazdrośnym podziwem o Zawiszy-Kwiczole, który oto wyrwał się spod opieki panny Maryli. Taka w Ludwiku narasta gorycz, że zapomina o Czystej Filozofii, tej jedynej rzeczy, która go naprawdę interesuje. Strach pomyśleć co się będzie działo, gdy cicha woda wreszcie przerwie brzeg.

Reszta kształcącej się młodzieży dożywa właśnie w Crowleyu końca ferii. Adzio Bezdrożny, mimo kart, oczywiście zdał (jak każdy chętny) polską maturę i będzie studiował telewizję, tyle że nie wiadomo gdzie i kiedy. Tymczasem do południa leży

w betach a potem w trawie, jeśli pogoda dozwoli, liczy płynące obłoki, czasem co czyta, naturalnie po polsku, ale jak kto nadchodzi, to łapie angielską książkę z dużym napisem i trzyma okładką ku ścieżce. Wieczorkiem pomyka na karty do Fela Pawłaka, a jak idzie po Crowleyu, i nawet w niedzielę pod kościołem, to gra. Rzadko rozłącza się z nowomodnym radiem, nie większym niż pudełko do butów, które mu wisi na szlei przez ramię i hałasuje bez anteny i drutu aż ludzie się oglądają, a młodzież pożera zazdrosna ciekawość. Stąd od razu poznać, że ma we krwi fach radiowo-telewizyjny, ale na razie swych planów nie precyzuje, aż pana Bezdrożnego ogarnia pasja na takie wałkonienie i żona ledwo go może powstrzymać od przeprowadzenia z jedynakiem nietaktownej rozmowy. Wmawia w gruboskórnego małżonka, że niech tylko spróbuje, to tym razem już ją niechybnie wpędzi do grobu, zresztą nie pierwszy raz przez jego chamstwo serce włązi jej do gardła. Złamał jej życie i nareszcie będzie miał przyjemność oglądać ją w trumnie — tak jest, przyjemność, ona wie, dawno go przejrzała na wylot. I rozpaczliwie szlocha, zakrywa twarz rękami, znad którego zezuje czy dość go pognębiła.

Tak idzie lato, a atmosfera cały czas napięta. Adzio ani się nie rozgląda za *kolidżem*, ani nie zarabia, choć letnia praca w fabryce nie hańbi nawet autentycznych studentów, zarówno angielskich jak i polskich, czyli Danki i Sewera. Pani Świtalska rozgłosiła po Crowleyu, że Sewer zdał masę okropnych egzaminów i zebrał masę złotych medali, ale za nic ich nie chce pokazać Koziewiczowej, która nalega z podejrzanym uśmiechem. W każdym razie jego sprawy dobrze stoją i za parę tygodni wraca na uniwersytet, a na razie zarabia u Sajdera na garderobę. Pani Świtalska rozpowiada, że na gwałt mu potrzebny frak i smoking, przecież bywa w najlepszych towarzystwach. Pewno rzeczywiście potrzebne, bo okrężną drogą do Crowleyu dotarły pogłoski, że w tym Corku Sewer występuje jako polski hrabia i pokazuje tubylcom jakieś herby, a oni naturalnie wierzą, nie od dziś wiadomo, że co Polak, to hrabia. Crowley z radością powtarza tę historię, bo któż lepiej wie jak to jest z hrabskością państwa Świtalskich? Zresztą przekonał się naocznie, że coś w tej plotce jest, gdy któregoś ranka profesor w autobusie zawołał do Sewera „panie hrabio!”, na co ten schował się w kątku i uparcie wyglądał przez okno.

Co do Danki, to lato spędza zbożnie w Glorii Longfordu i produkuje dżemy, by na zimę sprawić sobie mocne buty i kapotę. Też zdała egzaminy, podobno nawet niezłe, choć o medalach

nie słyhać. Teraz szaleje wśród porzeczek i czarnych jagód, które tu przyjeżdżają aż z Polski i na ich widok Angielki obrzydliwie się krzywią, utwierdzając się w przekonaniu o barbarzyńskości tych cudzoziemców, którzy jedzą takie świństwo. Ale to nic, w sezonie można niezgorzej zarobić na akord, odwaląc kosza za koszem metodą uproszczoną, którą pokazała Dance jedna Walijka łaskawie na nią patrząca, bo — jak powiada — ona też jest w Anglii cudzoziemką i nie cierpi tych głupich Angielek. Otóż należy wybrać co lepszy owoc z wierzchu kosza, a resztę wysypać do wanienki pod stół i przydeptać gumowym butem, żeby kontrola mogła się naocznie przekonać, że taka maź nie da się butelkować. Tak pod buciorami robi się dżem, a wycieczki, które wpuszczają na galerię, by zobaczyły z lotu ptaka jakie tu smakołyki szykuje się dla narodu na zimę, oczywiście nie widzą co się wyprawia pod stołami, wychodzą pełne podziwu i we właściwym czasie zjedzą ze smakiem wyroby Glorii Longfordu. Tak upływa lato, a Crowley śledzi ciekawie, czy Danka wróci do Manchesteru, bo chodzą wieści, że zaryła egzamin i została wylana. Ale nawet jej wyjazd niczego nie wyjaśni: będzie tam gdzieś pracować, a tu psuć ludziom krew, że studiuje. Taka jest skryta a przewrotna: na niedzielnej promenadzie ku rzece wszyscy widzą jak lata do pastora i taska książki, że taka niby uczona, a czasem także z Wolniakiem, co trąci niewłaściwym romanssem. Wolniak zwabił się do Góreckich, biega tam nawet jak Danki nie ma w domu, a że ma chody wśród Anglików, to oni naturalnie korzystają z wszelakich protekcji ze szkodą naszych ludzi. Najgorsze, że Danka nie chce wrócić na dobre drogi, którą to możliwość daje jej sam Leon Dyderko. Właśnie zdał w Londynie polską maturę i jesienią wybiera się do Belfastu na dentystykę. Ostatnie tygodnie spędza w domu i zarabia u Sajdera, a wieczorami pod swym barakiem marząco brzdąka na gitarze i ogląda w stronę okien Danki. Czasem zbiera się na odwagę, bo panna język ma ostry, i proponuje przechadzkę dla zdrowia, a czyni to z taką determinacją, że ani się wykręcić. Cóż to za rozrywka: Leon milczy jak zakłęty, profil ma kościuszkowski i wieczny uśmiech, chciałoby się nim potrząsnąć, żeby wreszcie co powiedział. Danka próbuje konwersacji tak i owak, przypomina sobie lektury obowiązkowe do polskich matur i zagaja: *Pana Tadeusza* czytał? *Faraona*, *Trylogię*? Leon pogodnie się uśmiecha, grzebie w pamięci i wreszcie powiada: — A tak, czytałem. — No i co? — No, tego, ładne, prawda? — Tak sobie ugwarzają w letnie wieczorki, wśród malowniczych wzgórz i żywoplotów Marchii, Panny Na Wydaniu zazdroszczą jej szykow-

nego kawalera, a pani Dyderkowa coraz niechętniej na nią spogląda, że tak się czepia porządnego chłopca.

Długie to i pogodne lato. Rozpoczęła je koronacja i procesy Ambroża, Fela Pawlaka oraz Jakuba Szydło, a kończy uroczyste Święto Żołnierza, które jak zwykle odbyło się ileś tygodni po terminie. Program był niezwykle urozmaicony, a przygotowały go w zgodnej współpracy Koło Studiów Wojskowych, Gmina Osiedla Crowley, Koło Rodzicielskie uosobione w prezesie Sitaku, oraz ruchliwe Koło Sportowe. Krytycznej niedzieli odbyła się uroczysta msza św. w intencji zjednania dalszych błogosławieństw dla Oręża Polskiego i z podniosłym kazaniem na temat aspektów teologicznych Cudu nad Wisłą. Po obiedzie zwykłym porządkiem rzeczy miała miejsce podniosła akademicka, która ujawniła wysoki poziom ideowy naszej dziatwy. Gwoździem imprezy tym razem była jednak nie ona, a prelegent sprowadzony przez Koło Studiów Wojskowych aż z Londynu, sprowadzony z wielkim nakładem kosztów, bo zażądał nie tylko zwrotu za przejazd oraz noclegu z wiktem, ale i dziesięć funciszów gotówki, co o wiele przekracza tygodniówki naszych panów. Aż pociemniało im w oczach, ale zdobyli się na gest i Crowley po raz pierwszy w swych dziejach mógł usłyszeć mądre rzeczy prosto ze stolicy. Chodziło wprawdzie o militarne aspekty cudu nad Wisłą, ale stołeczny prelegent to nie miejscowy pleciuga, odczyt trwał godzinę i czterdzieści minut, dziatwę wyprowadzano raz po razie, a pani Ciupkowa starsza półprzytomnie opuściła salę wyjaśniając zgromadzonym, że śpik ją bierze. A szkoda, bo najciekawsza część zaczęła się, gdy pod koniec mówca przypomniał żołnierską przysięgę, wezwał do płacenia na Skarb Narodowy i zaprosił do zadawania pytań. Porwały się mikołajczyki słuchające go dotąd z szyderczą miną i huzia na Skarb, precz z Rządem na Wygnaniu i nawet z Bitwą Warszawską (choć cudu nikt oczywiście nie kwestionował), a wszystko przez Berezę, która faktycznie była i niech prelegent nie próbuje zaprzeczać i straszyc nas przysięgą. Niech nam lepiej powie, co się stało z czterema wagonami złotych klamek, które sanacja wywiozła z Polski przez zaleszczycki most. Raban zrobił się nie z tej ziemi, bo skarbowcy jak zwykle skoczyli z Jałtą i szczoteczką, i chyba by doszło do gorszącego rękoczynu, gdyby ksiądz Turkuć nie wyskoczył przed publiczność i głosem jak grom nie przypomniał roli NMP w Bitwie Warszawskiej, co najjadowitszym wytrąciło broń z ręki. Pod jego przewodem wzburzonymi jeszcze głosami odśpiewano „My chcemy Boga” oraz hymn narodowy i pospieszono do domu szykować się do balu ku czci Cudu Nad Wisłą.

Zaaranżowany przez prezesa Sitaka, miał to być bal niezwykły, pierwszy w swoim rodzaju, a także ostatni w Crowleyu konkurs pięknych nówek. W sali udekorowanej jak zwykle balonikami i wstęgami z bibułki w Barwach Narodowych bawiono się ochoczo przy dźwiękach lokalnej orkiestry, wspomaganej przez adapter. Panie były jak kwiaty, panowie dystyngowani i tylko niektórzy przynieśli własne butelki. Z napięciem oczekiwano konkursu, o którym profesor rozgłosił na zapas, że go prezes wymyślił z rozpaczy: dlatego mianowicie, że po utracie Peli nie było w Crowleyu odpowiedniego na Miss buziaka i stąd przyszło szukać niżej. Na tym właśnie polegała sensacyjność imprezy, bo póki była Pela, wynik konkursów był z góry wiadomy, a teraz miała się wyłonić i rozpocząć wieloletnią kadencję nowa piękność. Jedni przewidywali zgrabną panią Kozicką, niestety mężatkę, inni młodziutką Zosię Kudłę wyróżnianą przez Sewera na niedzielnych promenadach, jeszcze inni pannę Krysię Pomykało. Nic przeto dziwnego, że z napięciem czekano szczytowego punktu programu i gdy rażna muzyka oraz wyszynk pana Wiewióra rozruszały zebranych, przystąpiono do elekcji. Prezes z Felem Pawlakiem uciszyli orkiestrę i ogłosili początek wyborów, wzywając panów do zakupu numerków, z których dochód przeznaczają na szkołę im. Trzech Wieszców, a więc żaden ucziwie myślący Polak nie może się uchylić od udziału. Tłumnie ruszyli do szturmowania i bloczki migiem rozkupiono, po czym szermierze zastygli czekając na punkt główny programu. Tymczasem u szczytu sali przeciągnięto zasłonę z koców i ustawiono za nią rząd chwiejnych ławek, tak że obecni widzieli tylko te ławki i trochę nad nimi. Zaraz za kurtyną rozległy się piski i śmiechy zawodniczek wspinających się na trzęsące się ławy. Oczom zebranych ukazał się długi rząd niewieścich nóg od kolan w dół, nie wiadomo naturalnie które czyje, więc można się było zgubić w kontemplacji. Czego tam nie było! Kształtne i kluchowate, proste, iksy i igreki, gładkie i kosmate, aż zdumienie brało na widok takiej różnorodności, wszystkie zaś w eleganckich pantofelkach i nylonach Z Ozdobną Piętką lub strzałką frywolnie godzącą do góry, a wszystkie żadne podziwu. Panowie zastygli w kontemplacji i wzdychali w rozterce, aż na dany przez prezesa znak Beno wypruł z pianina burzliwą galopadę i wyborcy ruszyli do ataku, u stóp wybranek składali numerki i ledwo skończyli, opadła zasłona odsłaniając tożsamość zawodniczek. Felo z Mychałem wzięli się do liczenia numerków, napięcie rosło, aż wreszcie prezes Sitak wychylił do dna kufel i skinieniem uciszywszy salę proklamował zwycięstwo — czyjeż jeśli nie własnej małżonki,

Sitaczki przydomkiem Opinia Publiczna? Obecni osłupieli, oczy na się wytrzeszczyli i nikt nie dał brawa. W głębokiej ciszy prezes przepasał pierś swojej pani błękitną szarfą z fantazyjnie wykonanym napisem „Królowa Nózek”. Wybór był tak monstrualny, że trzeba było czasu by go sobie uprzytomnić i zająć stanowisko, królowa bowiem miała nóżki prawdziwie słowiańskie: krótkie i tęgie, od kolan ukośnie odstrzelone na boki jak litera V do góry nogami. Dopiero po dobrej chwili rozległy się głosy obrażone i szydercze, chichoty i jadowite uwagi, i w tym zamięcie Felo wykrzyknął, że wybory były komunistyczne czyli fałszowane, bo prezes z góry sobie zarezerwował połowę bloczków. Na tę skandaliczną wiadomość kilku młodszych panów jęło go tykać i zdjąwszy marynarki wzywać do wyjścia na pole. Kto wie co by wynikło, gdyby pokonane zawodniczki nie wezwały ich do porządku, kwitując przy tym pogardliwie prezesową i jej wygraną. Więc już nikt oczywiście nie miał melodii do zabawy, przez co bal ku czci Święta Żołnierza rozlaź się nijako i długo go potem wspominano z niesmakiem, choć szkoła im. Trzech Wieszców niezgorzej zarobiła na prezesowej pomysłowości. A we właściwym czasie walne zebranie odnowiło jego kadencję.

WESOŁE BÓSTWO MARCHII

Dochody Słowian płyną z pracy dwu rodzajów: co zarobią mężczyźni przeznaczają na codzienne konieczności, a sezonowy zarobek niewiast dostarcza luksusów.

Z sezonowych źródeł dochodu najhojniejszy jest chmiel. Owinięty w kwietniu na sznurki, opielony i oskubany z wielkich liści w maju, chmiel wyrusza potem na swą wielką przygodę. Śmiga w niebo aż dosięgnie siatki z drutu i wychyli głowę na słońko i deszcz, na wilgotne wiatry od Atlantyku. Wtedy ustatkowuje się, zakwita bladą kiścią i w trzy tygodnie wiąże bezcenne szyszki. Tymczasem Crowley na odległość śledzi postępy swego pieszczocha, bo od niego będzie zależeć dopływ gotówki przeznaczonej na zbytki i godne uczczenie świąt Narodzenia Pańskiego. Łącznikiem między ludźmi a chmielnikami jest w te miesiące stary Siemieniuk, który co tydzień jeździ z gospodarzem na farmerski targ i tam w pubie „Świnia i Gwizdek” pije z pa-

robkami z innych farm, słuca plotek i prognoz urodzaju. W niedzielę pod kaplicą Siemieniuk powtarza co słyca, a chmiel tymczasem robi swoje. W tych krytycznych tygodniach farmerzy, parobcy i nasze panie z niepokojem patrzą w niebo, żeby broń Boże grad nie zniszczył chmielników gdy szyszki zaczną się sypać, ani nie nadleciała wichura, co szarpie i stratuje plantacje, pozrywa sznury obciążone bujnym zieleń i włamsi je w błoto. Modlą się o ładny sierpień, bo czym cieplej tym obficieź zawiązują się w szyszkach piwne olejki stanowiące o ich cności. Tak przewala się lato, a panowie Jones i Lacy i ich doświadczeni rządcy coraz częściej przechadzają się po chmielnikach i macają blade szyszki, bo teraz wszystko zależy od uchwycenia momentu, gdy łuski jeszcze stulone, ale mile szeleszczą w rękę, łatwo dają się zerwać i tchną pełnym bukietem aromatu. Wtedy, w wyważonej chwili, gdy zbiór już dojrzały, ale przecież jeszcze niezupełnie, dają hasło do roboty. Rwać trzeba migiem, w dwa tygodnie ogolić ręcznie wielkie plantacje, bo szyszka lada moment przejrzeje, otworzy łuski i sypnie. W ten czas, deszcz czy skwar, zimna wichura czy gradobicie, od świtu do nocy co żyje w Marchiach i przyległym paśmie Midlandów ściąga do chmielników i jak w transie drze, szarpie i tratuje, ściąga i powala zielone korytarze, wgryza się w nie coraz głębiej zostawiając za sobą obraz zniszczenia. Roztrajkotane ciężarówky co rano zbierają po wioskach kobiety z dziećmi w wózkach i na lejcach i z psami na smyczy, mężczyźni uprawiających bezrobocie lub rezerwujących urlopy dla chmielu, i w chmielnikach wybucha wieża Babel. W tym rozgardiaszu rodzi się ziemny i piwny, utyłany w czerwonej glinie i zionący surową wonią dartego ziele folklor Marchii, lada chwila skazany na zagładę przez Wiek Technologii, który zaczyna zapuszczać macki nawet w te ustronia.

Zielone korytarze są teraz pełne wrzasku Angliczat, Ajriszat, Cyganiat i małych Słowian, jazgotu psów uwiązanych do nogi koryta, w które ich właściciel drze chmielowe szyszki. Drze jak w hipnozie, jedną ręką je, pije i ociera nos, zasypia przy tym i nawiedzają go sny, ale nie przestaje rwać. Tak trzeba, przecież akord i płacą od kosza, zaraz znów przyjdą liczyć. Parobcy pana Lacy zwijają się grupkami po trzech: jeden koszem wybiera plon z koryta, głośno przy tym licząc, a jak jest złośliwy, to łapą w koszu przygniata. Drugi zapisuje, a trzeci trzyma ogromny wór i coraz w niego kuksa by ubić to chmielowe cudo, które już teraz przeży się niesfornie i wyskakuje, choć do kufla daleka droga. Wpierw czeka je chmielowa giełda w Longfordzie, na którą zwiozą plony z całej Marchii a wysłani przez browary

kupcy zjadą z całej Wyspy macać towar, rozcierać, wachać i mądrzyć się. Powietrze w mieście jest wtedy ciężkie i mdlące od słodkich wyziewów, pomieszanych z gęstą wonią jabłek, których ogromne ilości miazdży się właśnie, układa w wielkie przyzmy, wyciska i oddaje na pastwę fermentu w fabryce Sajdera.

W tłumach które zewsząd zwały się na chmielniki Crowley, do niedawna nimi władający, teraz roztopia się i ginie. Najłatwiej go odszukać idąc za wiercącym uszy dyszkantem Burlejki, która nigdy nie mówi inaczej niż *urbi et orbi*, za piskliwym chichotem pani Śmidowiczowej, przenikliwym głosem Ciupkowej starszej umilającej sobie i innym pracę zawodzeniem pieśni o zdradzonym młodzieńcu, który jęknął, szablą brzęknął i zniknął jak leśna ptaszyna, i przede wszystkim za sowim hukiem Stasiuczka.

W tym roku chmielobranie zapowiada się sensacyjnie, bo będzie o nim stało w londyńskiej gazecie, wszystko za sprawą pisarza z Londynu, pana Gabriela Rokito, który wprowadził Crowley na poczytne łamy i odtąd go nie zaniedbuje. Państwo Rokitowie zjechali właśnie do mamusi, podobno tylko na urlop, ale kto wie jak się sprawy ułożą, bo po Józci łatwo poznać, że jest w zaawansowanym miesiącu, a wiadomo jak te wampirykamienicznicy witają pod swym dachem lokatorskie niemowlęta. Pan Gabriel zwyczajem wieszczów nie dorobił się piórem kamienicy i teraz jest bezradny niczem św. Józef w drodze do Betlejem. Póki co rusza z żoną na chmiel, rozpięty jasny prochowiec wieje za nim jak skrzydła, gdy na rowerze podąża za ciężarówką, wiozącą do roboty nasze panie. Parobcy pana Lacy rozstawiają koryta, przydzielają chmielnik, robota rusza z kopyta.

Dobrze już napełniono koryta i pierwsze kosze wpisują do rejestru, gdy pan Gabriel odnajduje wreszcie drogę i zjawia się na polu. Na palące oko spada mu bujny lok, profil rasowy jak u Chopina, w rękę blok i pióro naszykowane do ataku. Żeby tylko nazwisk nie pominął i nie poprzekrecał! Ale on się nie spieszy, zaczyna od brzegu i bliżej stojący słyszą jak kokietliwie zagaja z panią Bezdrożną: czy już kiedyś robiła na chmielu? O, tak, choć do takich rzeczy nie przzwyczajona, nie po to ją rodzice chowali, tatuś był bogaty i w Polsce nawet by nie spojrziała w tę stronę! Tatuś miał dom mody, mamusia grała na fortianie, gdzie tam do chmielu — i dalej w ten deseń, a tu z boku włącza się pani Dekierowa i zbolalym głosem, salonowo dobierając słowa zaznacza, że w jej sferach takie rzeczy w ogóle były nie do pomyślenia, zwłaszcza jak kto miał gimnazjalne wykształcenie, i na co nam tu przyszło. Więc pani Ostrowska musi

podkreślić donośnie, że jest żoną majora. Ze złośliwym uśmiechem słucho tego Orawcowa przydomkiem Wilno i wybucha, że ona właśnie kocha robić w polu, że jej ojciec i matka też rękami robili i ją od małego przyuczili, oraz że kuźden wie co terazniejszym czasem, jak kto niby delikatny to naprawdę całkiem co innego, a najgorsze takie co rzną wielkie państwo, jakby ludzie byli durne i nic nie wiedzieli. Draka wisi w powietrzu, więc pan Gabriel przezornie sunie dalej, zagaduje inne panie. Gładzi działwę po płowych główkach i pisze jak maszyna, kartki odwraca — toż to będzie opis na pół gazety! Zajmie mu dwie godziny nim obchód zakończy przy żonie i teściowej. Spod chmielnych draperii śledzi go wiele oczu chcących się przypodobać i ciekawych co dalej, a on zwyczajnie chowa notes i ustawwszy się między oboma paniami zaczyna szarpać chmiel ręką od cienkiej literackiej roboty. Niesłychane, ale odtąd będzie go szarpał przez cały sezon, i osiadłszy w Crowleyu jako jego łącznik ze światem prasy pójdzie wreszcie do Sajdera i wyhoduje tu trójkę miniaturowych Chopinków. Odtąd będzie już regularnie opiewał lokalne akademie, opłatki, święcone jajka i podniosłe kazania Księdza Magistra, starając się nikogo nie pominąć. A co do chmielowego reportażu, to londyńska gazeta jak na kpiny dopiero po Bożym Narodzeniu umieści miniaturową wzmiankę, że niby po jakichś-tam kawiarniach mówią, że panie z osiedla Crowley dokonały zbiorów chmielu i Anglii nie zabraknie piwa w tym roku.

Ale póki co, Crowley drze chmiel. Nad wszystkim toczy się słońko i przejdzie na drugą stronę nieba, gdy na pole swym zwyczajem wychodzi Mr Lacy z małżonką. Wiedzie pod rękę eks-Miss Crowley, bruzdy rad by wygładzić pod jej stopami, choć po Peli ledwo co poznać. Zgrabna figurka ledwo zaczęła się zaokrągląć, a buziak kwitnie i biżuteria jak na cudownym obrazie. Wszystkie oczy śledzą ją bacznie i lichy wie jak się ustosunkować, będzie rznąć damę czy nie? Ale szybko widać, że choć jest prawdziwą dziedziczką, to w tej roli jest jej nieswojo i wcale nie drze nosa. Rezulutna Orawcowa woła: — Dzień dobry, pani Pelu! — pryskają lody, sypią się crowlejskie plotki, Pela przysiadła na czymś korycie i zaczyna skubać, a stary pan stoi obok i nie spuszcza z niej zachwyconych oczu: taka śliczna i wszystko potrafi jak żadna! Tak do końca sezonu będą wśród naszych pań działały dwie niezwykłe osoby: londyński pisarz i eks-królowa balów, wyniesiona na zawrotne wyżyny, a jednak najlepiej się czująca wśród swoich. Pani Dyderkowa naturalnie już nie pracuje u zięcia, przeniosła się na chmielniki Mr Jonesa, więc

panie przyznają całkiem szczerze, że Peli dobrze zrobiło małżeństwo — jakby nie ta sama, co hardo stąpała po Crowleyu i tylko miała w głowie pustoty, takie to młode. Chyba jej się nudzi w tym starym domisku, gdzie sprzątaczką z gospożą wszystko za nią robią, a ona sama tylko dla męża gotuje barszcze i pierożki, choć wcale nie musi. Pani Dyderkowa dała jej do kuchni makatkę z napisem „Dobra żona tym się chlubi iż gotuje co mąż lubi” i Pela wiernie się stosuje do tego hasła. A teraz ma takie urozmaicenie, co dzień tu jest Crowley, zjawia się koło jedenastej, tu przystanie, tam pogada, tak się ożywiła, a Mr Lacy też zadowolony, że jej przyjemnie, niech robi co chce, byle na siebie uważała. Tak nasi są w tym sezonie wywyższeni nad Anglików, Ajriszów i Cyganów, których pełne sąsiednie pola, i nawet parobcy od liczenia jakby wygrzecznieli. Pela co dzień którąś zaprasza w obiad na herbatę i niech zobaczy jak tu sobie mieszka. Mało kto ma jej za złe, widać że to po przyjaźni, ale nie bardzo się kwapią, do dworu kawałek drogi i szkoda akordu. Dopiero pod koniec sezonu zgadzają się zejść z pola pół godziny wcześniej, bo sprawa jest poważna i na przyszłość może mieć nieobliczalne skutki. Tego popołudnia Pela donosi, że mechanicy akurat skończyli montować nowomodną amerykańską maszynę do darcia chmielu, która sama jedna ogoli całe pole. Właśnie ją wypróbują i warto zobaczyć. Pewno, wszystkich to dotyczy. Zgarniają toboły, dzieci i wózki i pod przewodem dziedziczki ruszają na odległe stodoły. Po drodze mija ich traktor z przyczepą, wloką się za nią warkocze chmielu. Wjeżdża do hangaru, w którym jakiś motor kaszle i ryczy, panie tłoczą się za nim i gdy oczy przyzwyczajają się do mroku, widać wysoką maszynę z otwartą paszczą, w którą parobcy pchają widłami kupy chmielu, a ona żuje i bokiem wypluwa obszarpane gałęzie. Szyszki sypią się z wysoka na mknący pas z siatki, który odsiewa liście i z jego zakrętu sypią się do podstawionego wora, a śmiecie na taśmie jadą do góry i gdzieś znikają. Bożeczku, czego to człowiek nie wymyśli! Ale pani Macioszkowa już ogłasza, że to bujda — ile w tych workach śmieci i szyszki poszarpane, kto takie świństwo kupi? Ile dobrej szyszki poleciało górą na śmietnik, skonać ze śmiechu na te amerykańskie mądrości! Ech, bez nas się nie obejdzie, szybko im się odechce nowomodnych figlów!

Teraz już wszystkie kpinkują a wydziwiają, nawet Pela pomaga, choć to jej dobro, a jednak jej przykro, że maszyna ma zastąpić rodaków, cóż to za sprawiedliwość? Ale maszyna nie zwraca uwagi, tylko ryczy i pluje, co chwila wjeżdża nowa przyczepa i parobcy tkają jej do pyska — w pół dnia ogoli pole,

które ludziom weźmie kilka dni. Straszno się robi od tego parzenia i śmiech ogarnia: widział kto chmielniki bez kobiet i dzieci, koryt i parobków głośno liczących, bez Koziewiczowej, która gra na nerwach Ciupkowej z Bielasową, że choć niezwyčajna polnych robót, to wyrabia więcej niż one, gospodynie czy tam, przepraszam, ziemianki z dziada pradziada? Robi się coraz dziwniej, zgoła niesamowicie od przecucia, że tu oto, w tym hangarze, w majątku Peli dobiega końca epoka. I że jak to, strach pomyśleć, ciągle się coś na świecie zmienia, takie oto potwory zabierają miejsce ludziom, na nic nie możesz liczyć i do niczego się przyzwyczaić. Nawet do tego chmielu, który hodujesz od wiosny i myślisz, że jesienią odpłaci, a teraz trza go odpisać na straty, gdy już stał się częścią słowiańskiego życia.

SIC TRANSIT

Słowiański Crowley krząta się koło swych rozlicznych spraw, a rzadko ma czas i chętkę wyprostować kark, objąć szerokim wejrzeniem świat i rozeznąć szczegóły otoczenia, których na nic nie wykorzystasz. Tak jak zbieracze grzybów krążą ze wzrokiem wbitym w ziemię i nie widzą piękności lasu — wszystko im nieważne, czego nie da się wrzucić do garnka. Tak i nasi ludzie mają pole widzenia zwięzione jak dorożkarski koń i to ich obchodzi, co się może przydać. A żeby wodzić wzrokiem po tej falistej linii, gdzie wzgórze schodzą się z niebem, po lesie, polach i dolinie, to trzeba głupiego albo lenia. Albo Kasi Jankowskiej, która po to żyje żeby się gapić i Crowley ma ją za pomyloną nawet teraz, gdy na dniach rozpocznie naukę w gimnazjum Lady Watkins w Kingsbere. Zaś skutek tych końskich okularów taki, że jakby kto spytał Słowian o Crowley, to by ich zaskoczył: ano nic, baraki i murawa, można sadzić kapustę i hodować kury, jeżyny nosić kubłami dla siebie i na skup do Glorii Longfordu. A spytasz jak to wszystko wygląda, to nie wiedzą co rzec. Jest jak jest. Wspomną, że wzdłuż obozu jest las, taki sobie, można znaleźć grzyby, a z drugiej strony pastwisko, też takie sobie, pod drzewami rosną bedłki jesienną porą. I jeszcze sobie przypomną, że nad obozem stoi pałac. Jaki? Ruszą ramionami i odmrukną, że duży i stary, co ich to zresztą obchodzi? A pięk-

nie w tym Crowleyu? Wtedy robi im się śmiesznie, że ktoś używa takiego słowa. Jest jak jest.

Stoi ten pałac na boku i nikomu nie przeszkadza. Jak tu kwaterowało wojsko, to choć był z niego pożytek. Wreszcie poszli i zostawili pani Craven ruinę, więc kazała wszystko pozamykać, no i dotąd tak stoi. Jeszcze z początku, gdy Słowianie jęli tu się osiedlać, to im imponowało to sąsiedztwo. W niedzielę urządzali tam promenady, przyciskali twarze do przepalonych na tęczowo szyb, krążyli po zdziczałym ogrodzie, wyciągali z basenu różowe nenufary i dziwowali się wielkim libańskim cedrom. Ale szybko im się znudziło: w pokojach kurz i pustka, ogród zarośnięty zielskiem. Czego tam zresztą szukać? Szybko więc zapomnieli o pałacu i nawet już go nie dostrzegali, chyba by nawet nie umieli go opisać.

Nadal interesowały się nim tylko chłopaki, majstrowali przy drzwiach i oknach, ale na nic, mocne wszystko — wiadomo, stary dąb. Tylko im się udało od tyłu przepchać się do piwnic i przybudówek, oglądali brud i połamane graty i na czuprynach wynieśli festony pajęczyn. Włazili stamtąd na mur ogrodu państwa Osborne i karkołomnie na nim tańcowali, aż ogrodnikowej waliło serce że pokręcą karki, i na koniec tak się rozzuchwalili, że Heniutek z Antkiem Bielasem rozwalili z proc dach oranżerii i była z tego chryja. No i Kasia Jankowska była przy pałacu częstym gościem, wystawała z nosem na szybie zagapiona co się w środku dzieje: przechadzają się panie w krynolinach i panowie we frakach. Później nie potrafiła orzec czy naprawdę to widziała, czy się jej przyśniło.

Tak przez kilka lat Słowianie żyli obok pałacu, a chłopaki nie ważyły się gwałtem włamać do środka, choć im to nie dawało spokoju. Aż jak do Crowley spłynęli tubylcy i ich rozpasane bachory, to zaraz w jednych drzwiach wyważono zamek i na salony runęła lawina szkodników. Łap tu draństwo, dopilnuj! Pan Osborne, Harry i policjant darmo szarpali sobie nerwy, co nareperują jedne drzwi, już inne ledwo wiszą na zawiasach, i tak się pokazało, że pora ten pałac raz wreszcie załatwić. Wreszcie kiedyś z obramowania dachu spadła zwierzchnia kolumnienka i o mały bachorów na dole nie załukła. Działać należało szybko, ale jak? Ponoć stara pani już dawno chciała ofiarować zabytek angielskiemu narodowi, ale władze nie przyjęły daru — pewno, takie wielkie koszta!

Tak nadeszła jesień, z Crowleyu co żyje wyległo na chmielniki, a dziatwa miała na dniach ruszyć do szkoły. Ludzie dopiero na wieczór wracali do domu i mało kto dostrzegł, że przy pałacu

coś się zaczęło dziać. Gazony otoczono wysoką siatką i zamknięto dojście, tylko kręcili się tam robotnicy. Aż pewnego wieczora wracając z pracy Crowley raptem zauważył, że coś się zmieniło w krajobrazie. Bo jak jedziesz od Longfordu, to pałac widać z daleka, na zboczu stoi na tle lasu jak drogowskaz. Otóż stał po dawnemu, ale nagle oślepl, patrzył na świat rzędami pustych oczodołów. A znów rankiem, jak ludzie wstawali do pracy i kobiety niosły kurom żarcie i zza kopca wychodziło słońko, to nie sposób było nie dostrzec, że stary gmach, zawsze tak wspaniale oświetlony o tej porze, z oknami pełnymi ognia, teraz jest ciemny i martwy, cofnął się do tyłu i wsiąkł w pełnące od doliny opary, całkiem jakby się przytąiło chore zwierzę. Stawali ludzie i patrzyli, robiło się dziwnie, ale nic — świt wokół i pustka, a do roboty migiem się zbierać, niech się właścicielka martwi. Pewno się wreszcie wzięta do remontu, widać okna będzie nowoczesne wstawiać w miejsce tych harhar-gilotyn. Prawdę powiedziawszy to Słowianom od dawna było dziwnie, że tak się marnuje piękny dom, spojrzysz po gospodarstwu i serce boli. Zastanawiali się, kiedy to stara pani zadba o swe dobro, więc teraz było im nawet przyjemnie, że wreszcie coś się dzieje i będą mieć pod boki prawdziwą pańską rezydencję. W niedzielę poszli popatrzeć, ale przez zagrodzenie widzieli tylko kupy ciemnych desek, pewno zdarte podłogi i pan Antoszek orzekł fachowo, że to stare drewno i podpróchniałe, więc je musowo wymienić. Wszystko stało się jasne i już nikogo nie dziwiło, że tak patroszą pałac.

Tak nadszedł dzień pamiętny w tysiącletnich dziejach Crowleyu. Jak zwykle wszystko wyległo do roboty i po słowiańskich osiedlach tłucze się tylko sprawująca nadzór babka Gąsowska, a z młodych siedzi w domu Ciupkowa młodsza ze swą gromadą i znów przy nadziei. Babka Macioszkowa jak zawsze obserwuje z okna co się wyprawia, ksiądz Turkuć zajęty na swych grządkach na tyłach kaplicy a panna Maryla czeka w oknie na przejście do sklepu kolumny małych Ciupków, by za nią posyczeć. Na osiedlu u Żywopłotu Danka, ciągle jeszcze nie wierząca swemu szczęściu, urządza wielkie pranie i reperację garderoby, szykując się do odmarszu na nowy rok akademicki, a Kasia przyrzekła wyruszającej do pracy matce, że krokiem nie wyjdzie za obóz i akurat wykańcza śniadanie. Ranek jest piękny, zasnuty lekką mgiełką, ciepły i rosisty — niby jeszcze lato, ale już ociężałe. Zieleń jest przyćmiona, wysoka trawa schnie, malwy i nasturcje pospiesznie wiążą nasiona. W wyludnionym obozie po rannej krzątaniu zapadła cisza, koguty odśpiewały swoje i dzień za-

czyna się na dobre, gdy raptem senną ciszę rozdziera piekielny ryk. Potężnieje, przybiera wściekłe wysokie tony, wyje i toczy się jak kamienna lawina aż zaczyna wibrować powietrze. Na chwilę przycicha i znów wybucha z nową furją, niesie się od pałacu i wypełnia dolinę, odbija od wzgórz i znów powraca, przytłacza okolicę i harcuje po crowlejskich dachach. Małe Ciupki wybuchają płaczem, ksiądz rzuca pielenie i przysłania oczy jakby było co do zobaczenia. Kasia krztusi się wystygłą kawą, a w pralni Danką wyciąga z mydlin ręce i wypada na dwór. Tylko babka Gąsowska wcale się nie zdziwiła. Stoi pośrodku korytarza, chwilę nadśluchuje, spluwa i rusza rażno ku piekielnym dźwiękom, których źródłem jest pałac. Poznała go, już go ma — swego wiernego biesa, który jej oto znów rzuca wyzwanie. Od żywopłotu nadbiega Danką, obciera po drodze ręce w mokry fartuch i na zakręcie spotyka Kasię, która też ciągnie w tę stronę, wystraszona ale jeszcze niezdecydowana czy aby na wszelki wypadek nie popłakać. Danką łapie ją za rękę, wybiegają na główną drogę i skręcają pod górę. Dobiegają do miejsca, gdzie u wielkiego plantu skręca się do pałacu, a teraz siatka zagradza drogę, i wtedy nagle rozlega się potężny huk. Na ich oczach pałac drgnął, przełamuje się jakoś dziwnie w sobie jak rozstrzelivany człowiek i cały zapada we własne wnętrze. Zadrżały drzewa, ziemia jęknęła jak od serii bomb i jęk potoczył się doliną trzęsąc liśćmi na drzewach i szybami baraków, ku Holme de Braose i dalej, a jednocześnie wycie i ryk cichną jak uciął i cisza robi się niesamowita. Dziewczęta stoją osłupiałe, a za nimi rozlega się dychawiczne pykanie starego samochodzika, z którego Wielbny Powell wypiera ostatni dech. Wrzask maszyny dopadł go przy wioskowym kościele i rzucił się tutaj co tchu, oczywiście za późno. Na widok Danki z Kasią hamuje zgrzytliwie, wyskakuje z wozu i już jest przy nich. Twarz ma bez wyrazu i oczy puste, wlepione w miejsce, gdzie przed chwilą stał pałac. Szepce ze zgrozą, że jak to tak niespodzianie, czemu pani Craven tak to załatwiła w tajemnicy? Od dawna twierdził, że taki zabytek winien być pod ochroną, przecież Sir Evelyn i ośrodek kulturalny, który tu stworzył, taki kawał dziejów Marchii, i jaka dla Marchii hańba, że tak dbają o swe skarby.

Tymczasem pył zaczyna opadać, rozwiewa go powiew nadciągający doliną od rzeki, a oni stoją i wpatrują się w tę nową pustkę, w świeżo odsłoniętą ścianę ogromnych choin, która dotąd stanowiła godne tło pałacu. Z boku drzewa się rozstępują dając miejsce zarośniętej bujnym zieleńmi drodze, która pograża się w las, przeskakuje mostek i grzbietem wzgórz prowadzi do Ska-

czącej Damy, a wszystko daremnie: już nigdy nie zadudnią po niej końskie kopyta wytwornych pań i panów spragnionych pięknych widoków. Wkrótce wszystko pochłonie las, nowy las, bo dni tych choin też policzone. Jakby nagle porwana pasją niszczenia, pani Craven już wzięła za nie różowiułki czek od handlarzy drewna. Będzie materiał na tandentne drzwi i ramy, które pan Antoszek wprawi w magistrackie domki i które zimą nie dadzą się zatrzasnąć, a wiosną otworzyć.

Tak kończy się stary Crowley, znika nieodwołalnie i uprzytamnia widzom nietrwałość rzeczy ludzkich. Wieczorem wrócą do domu Słowianie i staną zaskoczeni, ze zdumieniem przetrą oczy, że coś im się przywidziało: był pałac — nie ma pałacu. Czary jakie, czy co? Polecą oglądać gruzy i będą stali, kiwali głowami pogadując ze zgorzeniem, że jak tak tyle dobra? Po latach wojennej tułaczki, życia na tobołach i pod wozem, a nigdy na wozie, marzą o prawdziwych domach z dachem na prostych ścianach i z płaskim sufitem, z oknami o przezroczystych szybach bez drucianej siatki, przez które widać świat i nie żal ich przystroić w szykowne firany a potem wzdychać radośnie na widok dorobku: to moje. A tymczasem tu — mieć taki pański pałac i jak kiwnięciem palca obrócić go w śmietnik i zgorzenie, jak nam szwyrnąć w krzaki pustą butelkę. Nie do wiary i kary Bożej na to nie ma!

Stoją i patrzą, opada ich swędzące uczucie przemijania, jakby wlażło za kołnierz i gryzło, a zmacać nie zdołasz. Bo i ich dni tutaj policzone jak tego pałacu, długo to jeszcze Crowleyu? Baraki rozwalą łatwiej niż ten piękny budynek, wiatr rozwieje i zielsko porośnie, nie zostanie śladu że przeszli tą doliną. Wszystko w ręku przyszłości, a jakiej, to chyba nawet karty babki Macioszkowej nie zdradzą: na dobre czy na złe? Kto zdobędzie własną kamienicę, a kto magistracką, komu pociecha z dzieci, a komu przeciwnie? Komu śmierć pisana przedwcześnie — a pisana wielu, nie darmo ich wojna stargała. A życie pójdzie dalej jakby nigdy nic. Jedni na dobre zapuszczą w Marchiach korzenie, niby miejscowi, ale nie swoi, ledwo dukający tubylczym językiem. Młodszy znów ledwo będą dukać mową ojców, jak ojcowie tutejszą, i roztopią się bez śladu wśród ludów Pogranicza, potracą słowiańskie nazwiska łatwiej niż właściwe swej rasie sterzące kości policzkowe, szerokie bary i masywne słowiańskie nogi. Innych znów poniesie we światy, do wielkich miast Wyspy, a to będą ci, co za byle co żyjąc w Crowleyu uciułali na własne domostwa, które lokatorzy do reszty splecą, albo młodzi, którzy tu pokończą szkołę. Co było — nie wróci, tak właśnie jak

pałac, na nic nikomu nie potrzebny, a jednak przywykli tak do niego, że teraz niesamowicie. Stoisz, patrzysz na gruzowisko i odwrócić się nijako. A oglądniesz się za siebie i widzisz: wszystko jak było, ludny obóz, baraki szczipione korytarzami, wielkie drzewa tu i tam, drogą jedzie zielony autobus i trzeszczy, zaraz sypną się z niego ludzie. Koguty śpiewają wzdłuż lasu, łany kapusty dojrzewają do kwaszenia, a jednak już nie to. Zmieniło się na zawsze, wszystko zżera czas i ich też pochłonie, daleko od domu aż strach, myślą tylko przeleć.

I TU SIĘ ZAMYKAJĄ CROWLEYU
KSIĘGI LETNIE,
CZWARTE I OSTATNIE.

PO LATACH

Jest przedwiośnie, wilgotno i mroczno, z niskiego nieba polatuje śnieg i topnieje na zaoranych polach z okami rozlanej wody, w której odbijają się przelatujące chmury. Brama Crowleyu szeroko otwarta i ozdobiona tablicą, która grozi intruzom sądem i karą. Gotycką stróżówkę zamknięto na cztery spusty, jak to w niedzielę, gdy jej mieszkańcy zwykli szukać rozrywki w Longfordzie. Darmo kołatać do drzwi o pozwolenie zwiedzenia Crowleyu, w którym — wie pan, panie Matthews — mieszkaliśmy 12 lat, kiedy tu był polski obóz. Zresztą może to już nie Matthews, ojciec rudzielców Willy'ego i Johna, z którymi nasze młode pokolenie wiodło niegdyś boje w drodze ze szkoły. Przeszło tyle lat, zmieniło się nie tylko miejsce, ale i ludzie. Za drzwiami dudni pustka i trzeba zawrócić do Holme de Braose, skręcić przy poczcie z gołębim wykuszem, przy cmentarzu zaludnionym przez pokolenia Evansów, i objechać szosą po tamtej stronie crowlejskich wzgórz, która mimo Skaczącej Damy gna w głąb Walii. Na trzeciej mili, przy neogotyckim kościele Sir Evelyny leży przysiółek Yarnnton. Niżej drogi w polu sterczą zarośnięte bluszczem ruiny kaplicy, gdzie od wieków grzebano tutejszych dziedziców i jego też — ostatniego i największego pana na Crowleyu.

Przy kościele odstrzela droga w poprzek wzgórza, przeskakuje pod mostkiem i spada ku pastwiskom Yatton. Tu na prawo zaczyna się grunta Crowleyu, których środkiem przechodzi wąska szosa, mijają pałac i wychodzi na świat przy stróżówce. Po pałacu zostały tylko murowane stajnie w kształcie romantycznego kasztela z festonami pnączy, ongiś rezydencja anglików i arabów Sir Evelyny, a obecnie mieszkania robotników pani Craven. Łomotanie w bramę zwabia — kogóż jeśli nie Harry'ego! Przytył, wyłysiał, ale przecież można go poznać, choć on nas nie pamięta, bo i jak? Tyle roіło się tu luda, kradli choinki, samo

utrapienie. Chcecie oglądać Crowley? Proszę, nie pierwsi i nie ostatni, co rusz ktoś wpada. Tylko nie niszczyć szkótek!

Otóż i szkółki. Ze zbocza pod pałacem nie poznasz swej dawnej siedziby, tak się skurczyła i zapadła. Przytulną dolinę, wypełnioną niegdyś przez szeregi baraków z osiedlami na peryferiach, zaludniają kolumny młodych topoli. Maszerują w poprzek górnego Crowleyu, wzdłuż drogi zstępują w dół, od krańca do krańca. Pochłonęły nawet majestatyczne cedry — świątynie na pałacowych tarasach, oraz wspaniałe dęby, platany i jawory przemyślnie wkomponowane w pejzaż przez Sir Evelyną. Ba, nawet żałobne cisy pamiętające czasy Williama Zdobywcy ustąpiły miejsca pozbawionym charakteru lecz za to szybko rosnącym i dającym profit topolom, których ciała przerabia się na odpadki handlowej cywilizacji. Trudno nawet ustalić, gdzie rosły te drzewa wieczności opętane przez złe duchy i słowiańskie koguty, chyba że natrafisz na pień świecący w niebo czerwonym mięsem. Ale cis, jak oliwka, rośnie na wieczność i byle topola go stąd nie wypłeni. Z boku pnia puściły się młode pędy przybrane w wiecznozielone igły-listeczki. Były tu zawsze i będą zawsze, chyba że walijski kopiec zasypie dolinę.

Przez zetlałe trawy i burzany, wśród topoli betonowe ścieżki biegną do nikąd, znikają w kołtunach jeżyn i znów lecą dalej: to były korytarze. Jak zebra od kręgosłupa odchodzą od nich wąskie dróżki, które szły wśród „kołchożnych” baraków. Po wyprowadzeniu mieszkańców do Longfordu i przed zwróceniem terenu właścicielce magistrat urządził wielką licytację. Zjechali farmerzy i handlarze złomu i rozkupili wszystko, co nie było tu ziemią, drzewami i rzeczką. Zostały betonowe podłogi, niegdyś pucowane przez Słowian pastą do butów by lśniły jak w salonie. Teraz są szare i potrzaskane, szparami puścił się mech i stoją na nich kałuże po ostatnim deszczu. W równych odstępach otwierają paszcze ceramiczne rury — wspomnienie po komfortowych wygodkach, według których fachowe oko odtworzy kształt mieszkań. Ale agresywne jeżyny i paprocie, latami tępione przez Słowian, są wreszcie górą. Zbite węzowiska zalały wypieszczone grządki i rozwalają się nawet na podłogach minionego wroga, podważają je, pełzną spodem i strzelają ze szpar. Tak, tak: skończyło się *wasze*, ziemia z przyrodą pochłania ostatnie ślady Słowian. Może przyszedł archeolog zaduma się nad tymi resztkami dziwnej podkultury.

Zostały jednak żywe stworzenia, by świadczyć naszemu przejściu tą doliną. Z zakamieniałym uporem nie dają się naporowi burzanów dawne ozdoby ogródków. Zwąchały wiosnę i wyru-

szą w coroczną przygodę zabiedzone byliny i samosiejki: rumiany, floksy i malwy, lwie paszcze i złote kule. Sterczą z zielska młode kępy narcyzów, wśród gruzu pięknie rozkwitł bukiet śnieżyczek. Co roku robią swoje, coraz bujniej i piękniej, kicz albo symbol — co kto woli.

Wielki plac autobusowy zmienił się w pobojuwisko. Zalegają go trupy drzew Sir Evelyn. Porżnięte i ułożone w pryzmy oczekują wywózki do fabryk współczesnej tandety. Ale wierzby za placem, co roku masakrowane na słowiańskie palmy, doczekały swego i wspinał się kwitną nad tym obrazem zniszczenia. A koło bramy ocalały wielkie drzewa i gawrony po dawnemu odprawiają w nich wrzaskliwe korowody. To jedno jest jak było, bo huragan, który przeleciał doliną poraził również las na szczycie wzgórz między kopcem i Skaczącą Damą, a nawet pastwiska. Od kopca chmurne niebo prześwieca przez niedobitki lasu i wszystko tu świadczy o podłej chęci zysku, o pazerności na szybki zarobek. Wszystko na sprzedaż — demon opętał starą panią Craven i jak smoka poraził manią zgarniania pod siebie coraz większej kupy złota. Gdzie się wśród tego podział *genius loci* — Sir Evelyn, czy nadal tu błądzi i wszystko widzi jak było, czy umarł po raz drugi i teraz na zawsze — kogo to obchodzi? Tylko zgrzybiałą panią Evansową z poczty, bo nawet pani Osborne owdowiawszy wywędrowała we światy kończąc dynastię dziedzicznych pałacowych ogrodników. No i Wielebnego Powella, bardzo już wiekowego i przygwożdżonego reumatyzmem do plebanii. Parafię przekazał synowi i teraz już bez reszty cieszy się wnukami oraz wykańcza arturiańską mapę Marchii, która ma się okazać rewelacją. Ten ród zawsze pozostanie na Pograniczu, na pradiadowskich polach u Przejścia Artura, trwały jak walijski kopic i odradzające się cisy w Crowleyu.



A co się stało z tutejszymi Słowianami, jakie ich wichry rozwiały po świecie? Po latach można opowiedzieć do końca, gdy główni aktorzy gdzieś się zapodzielili albo odeszli do wieczności i tylko z rzadka dobiegają echa z Longfordu albo w londyńskiej gazecie ukazują się tamtejsze korespondencje Redaktora Rokito, od dawna członka Związku Dziennikarzy RP na Wygnanii. Otóż pod koniec lat 50-tych magistrat zbudował (z pomocą pana Antoszka) osiedla na przedmieściach i rozproszył po nich naszych ludzi, dotąd tkwiących wśród tubylczej hołotki. Tylko kilka rodzin, w tym gołębiarz Felo Pawlak, zdobyło własne ka-

mienice w wielkich miastach oraz ci z młodzieży, którzy tu ukończyli nauki, urządzili się we świecie; słuch by o nich zaginął gdyby nie to, że ciągnie ich do Crowleyu. Wpadają tu czasem, swoimi naturalnie samochodami, i odwiedzają tę kolebkę, gdzie stawiali pierwsze kroki. Przewija się tędy dr Sewer Świstalski, prosperujący lekarz w północnych Midlandach, architekt Jurek Kozicki, niedojda Kasia Jankowska, teraz biolog — pewnie z tego pacholeńcego zagapienia na stworzenia i rośliny, oraz Danka Górecka, uprawiająca swą archeologię w jakimś muzeum.

Ci co osiedli w Longfordzie spanieli do niepoznania, a była to druga faza spanienia. Pierwszej dała okazję przeprowadzka do nowych mieszkań w „kołchoźnych” barakach, co było wielką poprawą bytu w stosunku do zgniłych i dziurawych bud na osiedlach Pod Dębem, U Żywopłotu, Pod Pałacem i gdzie indziej; tej fazie towarzyszyło wyrzucanie wojskowych mebli oraz zakupywanie łóż jak korabie, szaf na wysoki połysk i dywaników z kotkiem lub sceną biblijną. Drugiej fazie — zamieszkaniu w *prawdziwych domach* — odpowiadało masowe nabywanie dywanów do *sittingrumu*, kanap wielkich jak fortepiany i ogromnych foteli, które dokładnie zatkały ten paradny pokój do pokazywania, a szczytem wykwintu, na który nieliczni tylko mogli sobie pozwolić, był zakup telewizora. Od tamtej pory jeszcze znoblili, ale lubią nawiedzać Crowley po to głównie, by oglądać go z rozkoszną zgrozą, a czym większe państwo, tym srożej wydziwia.

Pozostaje jeszcze rzecz to i owo o wybitniejszych postaciach Crowleyu. Przede wszystkim pan Sitak, aktualnie prezes-pluralista Komitetu Kościelnego, lokalnych oddziałów SPK i Skarbu Narodowego, Koła Towarzystwo-Kulturalnego i innych że nie spa miętać. Wszedłszy na emeryturę, zanurzył się bez reszty w działalność społeczną i czytelnicy pana Rokito znają go jako wybitną osobistość wśród naszych prowincjonalnych mężów opatrnościowych. Dla zaznaczenia swej godności rozjeżdża po mieście własną limuzyną, na której motorze powiewa białoczerwona chorągiewka z Orłem w Koronie. Na starość nie stracił trunkowych zainteresowań i przez tę limuzynę miewa przykrości, co rusz dmucha do balonika i traci prawo jazdy. Drugi tabun koni mechanicznych wodzi młody Sitak, Heniutek, którego sprawy nie ułożyły się najlepiej jak na jedynaka wieloletniego prezesa Koła Rodzicielskiego Szkoły im. Trzech Wieszców. Niczego nie skończył i ponoć czytać dotąd nie umie, za złodziejstwa wędrował po poprawczakach, a osiągnąwszy pełnoletniość zwiedził również więzienie JKM i wreszcie się ustatkował. Podczas tych ku-

racji nauczo go naprawiać samochody, więc pracę ma niezgorszą w tym samym garażu u walijskiej szosy, gdzie życie przeprowaduje pan Ciupka, ojciec szesnaściorga dzieci. Rok temu ksiądz proboszcz pobłogosławił Heniutkowy związek z milutką dziewczynką z longfordzkiego proletariatu. Błogosławieństwo szczęścia jednak nie zapewnia, młoda żona okazała się kluchą i leniem jak tyle innych przed nią, o czym sporo mogą powiedzieć nasi rodacy w różnym wieku.

Ksiądz Turkuć opuścił nas jeszcze w Crowleyu. Czytamy o nim w naszej prasie jak dokonuje poświęceń, wygłasza „podniosłe” i błogosławi związki oraz jest duszą lokalnych akademii na przeróżne okazje. Zmienił już kilka parafii, przenosząc się na coraz tłustiejsze w dużych miastach północy i został prałatem Jego Świątobliwości, tak że teraz już nie musi uprawiać kartofli za kaplicą. Na jego jubileuszowym zdjęciu w gazecie dostrzegliśmy z radością, że wcale się nie postarzał, tylko utył i powierzchowność ma zgola kardynalską. Należy mu się po chudych latach w Crowleyu, toteż z głębi serca polecamy wiernego sługę dalszej opiece Opatrzności — oby nam został biskupem!

Co do pana Antoszka, to pieskie życie tak mu zdarło serce, że zmarł niezauważony tak jak żył, a wkrótce po nim zesłała trącona apopleksją po awanturze z osiadłą naprzeciwko (co za pech!) Szydlichą-Uzbekką sama Królowa Crowleyu. W tym wszystkim najdziwniejsze, że Stasjuczek dbał o nią w ostatniej chorobie jak najczulsza pielęgniarzka, choć swym pacholęcym zwyczajem rugał ją do końca. Zostawszy sam, Stasjuczek, któremu matczyzna czułość nie dała niczego się nauczyć, dostał pracę w firmie swego ojca i przy budowniczych przyuczył się do dziedzicznego fachu Antoszków. Schudł do rozsądnych rozmiarów i wśród zdziwionych tą metamorfozą Słowian zażywa opinii przyzwoitego chłopca. Jęzor ma paskudny po matce, ale temperament po ojcu, więc to nikomu nie przeszkadza. Tylko lichy wie czemu się nie żeni — czyżby jak ojciec bał się złapać cholere?

Pan Kozicki również zmarł nagle. W młodości życie wiódł junackie, unikał szkół jak choroby, toteż gryzł się potem, żeby dzieci nie poszły w jego ślady i za własne grzechy lał pasem. Czy przez ten pas czy przez matczyne łajanie z dzieci wyszli ludzie: Jurek jest architektem, a Basia nauczycielką. Nie wyszedł natomiast szczególnie Michał Pocałujkowej Zuzy, który na crowlejskie panny dał nosa i jak kocur szukał przygód po całej Marchii. Gdy wreszcie ksiądz proboszcz pobłogosławił jego związek z irlandzką anielicą, to okazało się, że popadł tak straszliwie jak później Heniutek, ma więc Zuza na starość pełno

roboty: hoduje wnuki i gdyby nie ona, to by zarosły brudem i zginęły z głodu przy matce-latawicy, której dom jest cuchnącym śmietniskiem. Ambroż zaś Pocałujko całkiem wyłysiał, siedzi przy swej pani na emeryturze, teraz jako ślubny małżonek, bo żona w Polsce wreszcie wyniosła się w zaświaty. Podczas balów parafialnych i akademii Ambroż po dawnemu pięknie gra na akordeonie, a co wieczór młóci w karty z panem Świstalskim starszym i braćmi Macioszkami, bo u państwa Wiewór (którzy teraz mają na hali targowej sklep z delikatesami i kwaśną kapustą) powstała regularna szulernia. Ksiądz proboszcz raz na miesiąc zrzuca ich za to z ambony, ale na próżno, albowiem zawiązka ich uszu jest zawiązana i sumienie śpi.

Beno Zawisza-Kwiczoł dawno przestał być Ofiarą Wojny, wbrew siostrzynym awanturom ożenił się ze swą angielską latawicą, która zresztą przykładnie naszą wiarę przyjęła i do ołtarza szła w welonie. Wyzwolony spod opieki panny Maryli nabrał pewności siebie, otworzył sklepik z antykami i wraz z żoną ładnie go rozwinęli. Teraz mają kwitnący *biznes*, bo po zapadłych kątach i strychach Marchii pełno się dotąd uchowało wszelakiej starzyny i Beno niestrudzenie objeżdża różne dziury i nawet wypada do Walii, skąd wraca z łupami. Wbrew powszechnym oczekiwaniom małżeństwo jest udane, choć oczywiście zhańbiło ród Czarnego Rycerza. Dlatego panna Marylka wyrzekła się brata na wieki, ogłosiła, że brzydzi się rozpustnika i odebrała mu sygnet wraz z genealogicznym ryngrafem, by te relikwie nie przeszły — jak powiada — na angielskie bękarty, których Beno dochował się trojga. Zdziwaczała do reszty i roztyła się obrzydliwie, całe dni spędza w oknie swego magistrackiego mieszkanka spluwając demonstracyjnie na widok mężczyzn, a szczególnie dzieci, i rozmawia tylko z sąsiadką, panią Pomykałową, która przyrzekła, że jej włoży do trumny sygnet i ryngraf, na znak, że ród Zawiszy po pięciu stuleciach nieodwołalnie się kończy.

Druga Ofiara Wojny, Ludwik Jabłkowski, pod rodzicielską kuretelą zgromadził do spółki dość gotówki by wreszcie nabyć w Bradfordzie kamienicę i zaludnić ją lokatorami. Ale pani Jabłkowskiej niedługo było się cieszyć spełnionym marzeniem. Zmarła dość szybko, wdowiec wkrótce potem, i pan Ludwik musiał wreszcie sam pomyśleć o sobie, zwłaszcza że Tosia w międzyczasie wyszła za mąż aż do Londynu. Wynik myślenia był taki, że pojął panią z Polski na krótkim urlopie, i to z oferty w gazecie. Wyszło ponoć nieszczególnie, bo szybko jej przeszła fascynacja własnym domem i zaczęła się buntować, że tyle w nim roboty i nie wychodziła po to, by zostać służącą. Z Ofiary Wojny

przedzierzgnął się więc Ludwik w ofiarę żony i niech go Bóg ma w swej opiece.

Za to państwu Dyderkom dobrze się życie ułożyło. Z pożyczką zięcia nabyli ładną kamienicę koło Glorii Longfordu i prowadzą w niej prosperujący pensjonat, bo przez miasto dość się przewija podróżnych różnego rodzaju i urlopowiczów. W interesie pomagają im Leon z żoną (również na krótkim urlopie, ale całkiem do rzeczy). Nie poszła mu irlandzka dentystyka, zarył egzamina i poprawki, ale mała szkoda, bo dzięki temu ujawniła się w nim żyłka kucharska i biznesowa. Zamiast niego dumą rodziny jest Mrs Pela Lacy z Dunwell. Ze ślicznej Miss Crowley zrobiła się okazała matrona i głowę do interesów też ma nie byle jaką. Odkąd pan William zrobił się bardzo wiekowy, Pela przejęła zarząd majątkiem i doskonale jej to idzie, na chmielu zna się jak mało kto i na longfordziej giełdzie chmielowej liczą się z nią. Tylko z jedynakiem ma sporo kłopotu. Młody dziedzic odebrał wykształcenie w jednej z ekskluzywniejszych szkół Wyspy, gdzie pozawierał snobistyczne znajomości i przewróciło mu się w łepetynie. Teraz obija się po Londynie, pozuje na artystę nieokreślonej specjalności i podobno narkotyki mu nieobce, a o zamieszkanu w pradziadowskim gnieździe nie chce słyszeć. No nic, może się wyszumi i usatkuje — pani Dyderkowa twierdzi po naszymu, że jak się ożeni, to się odmieni. Bo jeśli nie, to należy się obawiać, że słowiański dziedzic dokaże tego, czego nie zdołały stulecia: roztrwoni ojcowskie dobro i zlikwiduje w Marchiach ród Lacych, którzy tu przyszli z Williamem Zdobywcą. Gdyby nie on, pani Dyderkowa miałyby anielską starość jako szanowana posesjonatka i dożywotnia prezeska Drugiej Żywej Róży Pań. Bo należy zaznaczyć, że obie Róże (Pierwsza dotąd pod dowództwem pani Pomykałowej) nadal działają na pełnych obrotach, choć w nieco zmienionym składzie, bo czas robi jednak swoje, i chlubnie pełnią swą misję centrali plotek i cenzora publicznej moralności na miasto Longford i okolice, gdzie też siedzi trochę rozproszonych rodaków. Oprócz Róż z crowlejskich organizacji działają też kombatanci połączeni ze szczytkami Szkoły Studiów Wojskowych, i wyrwy w swych szeregach uzupełniają rekrutacją z drugiego, a nawet trzeciego pokolenia, byle przechować Tradycję.

Rotmistrz Wolniak opuścił nas jeszcze w Crowleyu i teraz używa swych talentów przy zarządzaniu ludnym POKiem (z wyszynkiem) w którymś z przemysłowych miast północy. Nie wiemy czy Sprawę Artura rozgryźł do końca — w każdym razie chyba ją pamięta, skoro z Wielebnym jest w kontakcie i nawiedza

go podczas urlopów. Nadal jest zaklętym rojalistą i jeden chyba z ostatnich tkwi wiernie przy królu Feliksie. Dziś niestety można już być pewnym, że królewska para zejdzie ze świata bezpotomnie i tak skończy się nasza dziedziczna monarchia ustanowiona przez Konstytucję Majową. Strach pomyśleć jakie, przy tak smętnym stanie Sprawy Polskiej, będziemy mieli interregnum.

Na panią Bezdroźną przyszła kryska, z czego wiele osób ma godziwą satysfakcję. Adzio ukończył jednak studia telewizyjne, dłuższy czas reperował odbiorniki i ustawiał anteny na dachach, aż dorobił się własnego biznesu w Londynie. Nabył dom i państwo Bezdroźni wyprowadzili się do stolicy. Zdawać się mogło, że nastąpi idylla, przed odjazdem pani Bezdroźna puszyła się, opowiadała cuda o tej willi i Adziowych dyplomach ze złotymi medalami. Ale ledwo ją objęła w posiadanie, Adzio się znarowił. Wbrew seryjnym atakom serca o drugiej w nocy ożenił się z praktyczną osóbką emigracyjnego chowu i trzyma z żoną przeciwko mamusi, kupił drugi dom i odseparował się tak dalece, że pani Bezdroźna ma doń prawo wstępu tylko co drugie niedzielne popołudnie na oficjalną herbatkę. Warto dodać, że pan Bezdroźny ma tam wstęp kiedy zechce i ten rozłam w rodzinie jakby mu odpowiadał — czyżby w synu widział mściciela ojcowskich krzywd? Nie kryje się z przekonaniem, że mu się udało synowa i że za jej sprawą ten cymbał Adzio jest wreszcie podobny do ludzi. Trudno uwierzyć, ale żona wytępiła w nim karciane instynkta! Co zaś do osamotnionej i wzgardzonej matki, to w *weekend*'y i niektóre wieczory można ją spotkać w najwytworniejszych polskich lokalach stolicy. Poznać ją trudno, bo jest ognistą brunetką i twarz też przemalowała do niepoznaki, a kryje ją w cieniu rembrantowskiego kapelusza i do tego suknie ma aksamitne albo lureksowe, mocno wydekoltowane, które opinają jak skóra jej rubensowskie kształty. Choć suknie miewa różne, to zawsze zdobi je ta sama „szyjka” złożona z pary drobnych czworonogów, które trzymają się jedno drugiego zębami wbitymi na wieczność, a łapy i ogony dyndają flakowato na rozległy biust i tył właścicielki. Postarajcie się do niej przysiąść, a zaraz wam opowie o swej wspaniałej, bujnej młodości: że w oficerach i inżynierach mogła przebierać jak w ulegalkach, z czerwoną różą w zębach śpiewała w kasynie oficerskim i sam pułkownik całował jej rączki, jakie wspaniałe majątki miał papo i jak wreszcie wyszła za człowieka, który najpierw chciał się strzelać z miłości, a potem złamał jej życie.

Pan Dekier zażywa zasłużonego odpoczynku i poświęca go, wreszcie bez przeszkód, swemu *hobby*: inwigilacji rodaków, pod-

słuchiwaniu i wywlekaniu na światło dzienne ich kłopotów i tajemnic — nie darmo pani Dekierowa lubi publicznie podkreślać, że no-no, my wszystko wiemy. Największą ich zgrzyotą jest, że Janek, syn ich zaklętych wrogów „Lwów i Wilno”, niczem w staromodnej farsie zabijał się w Dzidziuni Dekier, a ta, niepomna co zawdzięcza rodzicom, po ich nieomal trupach poszła z nim do ołtarza. Tak państwo Dekierowie nie doczekali się z córek pociechy, bo Lalunia dla odmiany zażywa opinii „takiej lepszej”, że to na każde gwizdnięcie. Państwo Orawcowie też nie są zachwyceni tym ożenkiem, choć jedyne złe co o Dzidziuni można powiedzieć, to że jest córką swych rodziców. Ach, gdyby to był Crowley to pan Orawiec by im urządził koncert pod salonikiem, ale w mieście jednak nie wypada.

Takie mają Słowianie kłopoty z dziećmi, z tym crowlejskim drobiazgiem, który najpodnioslejsze egzorty Księdza Magistra bezcześcił wołaniem siusiu. Stwierdzamy z przyjemnością, że młody narybek w większości góruje o niebo nad tubylczymi rówieśnikami z klasy pracującej. Mało kto nie zdobył fachu lub wykształcenia. Jedni, jak Śmidowiczaki i inni, poszli na studia, drudzy na kursa rzemieślnicze i inne, albo zdobyli zawód wprost przy robocie, tak że w drugim słowiańskim pokoleniu na Pograniczu nie ma już czarnoroboczych. Dotyczy to również dziewcząt, które nie czekają beczynnie na męża, tylko w miejskich szpitalach ćwiczą się na siostry, zdobywają dyplomy sekretarek, buchalterek, specjalistek od handlu czy hotelarstwa i idą na dobre posady, bo Longford nie jest już taką przeklętą dziurą, jak był po wojnie, i ściągnął różne przemysły. Gorzej jest z mową ojców, bo tak jak starszy Crowley nadal ledwo duka po angielsku, tak młodszy po polsku, zwłaszcza że małżeństwa między sobą zawiera rzadko i na potęgę wsiąka w świat tubylczy, roztopia się wśród ludów Pogranicza i w czwartym pokoleniu chyba i śladu nie zostanie, zwłaszcza że zmiana nazwisk wchodzi w modę.

Z młodych większy procent niż u tubylców trafia na uniwersytety, w czym celują Śmidowicze. Pod czujną opieką ojca uczyli się na schwał, zdawali do gimnazjów i jedno po drugim szli na studia, w tym również dziewczęta, co już przestaje gorszyć Żywe Róże. Tylko jedna Zośka odrodziła się od rodzeństwa, ale i tak ma dobrą pracę w banku. Pan Śmidowicz ma na starość wyjątkową pociechę z dzieci i przez nie wypełnił swe własne marzenia ubogiej młodości. O emeryturze nie chce słyszeć, węgiel rozwozi po dawnemu (ale już nie w niedzielę — należy mu się odpoczynek) i nie zamierza spocząć, aż najmłodszy zostanie doktorem. Trzeba dodać, że koniec końców Śmidowicze

przeegrali z Ciupkami, którzy mnożą się dalej, choć w nieco wolniejszym tempie, i nikt już na pewno nie wie ile ich jest, bo starsze rozeszły się po przemysłowych miastach Midlandów, a drobiazgu przybywa, istna powódź. Czyżby ich miał na myśli bezbożny poseł z Longfordu, gdy wygłosił w parlamencie rozrabianą przez brukowce mowę o szkodnikach społecznych? Bo magistrat miał krzyż Pański by ich uzurduić w Longfordzie, magistrackie domki nie przewidują takich kataklizmów populacyjnych, i wreszcie znalazł dla nich jakąś wielką ruderę z czasów królowej Wiktorii, gdy ludzie kochali dzieci.

Podsumowując sprawy crowlejskiego drobiazgu należy zaznaczyć, że prawdziwych nieudaczników jest tylko dwoje: Lalunia Dekier o zaszarganej opinii i Dzijdziunio państwa Lechowiczów, który z bardzo poważnego dziecka, zapowiadającego się na kapłana czy uczonego, wyrósł na obwiesia, uciekł ze szkoły i domu i wsiąkł między znarkotyzowane męty Londynu.

Pozostaje jeszcze wspomnieć o ostatniej kategorii crowleyan, tych co się przenieśli do wieczności. Nie ma już obu babek, Macioszkowej i Gąsowskiej. Pierwszą wracająca z pracy synowa zastała jak zwykle przy stoliku w oknie, z talią kart w martwej ręce, co wywołało ogólne zgorzenie — mogła choć wziąć na taką okazję krzyż albo gromnicę. Podobno przeprowadzka do miasta przyspieszyła zgon, tyle z niej babka miała zgryzoty: rozproszono naszych ludzi lichu wie gdzie i straciła nad nimi kontrolę, nawet przez karty nie potrafiła do nich dotrzeć, a osiadłymi wokół poganami nie było sensu się interesować. Babka Gąsowska pogrzeb miała gospodarski i ze stypą, tak jak sobie wymarzyła. Leżała w trumnie w swym starodawnym stroju, ledwo wieko dało się zamknąć na warstwach kiecek, i jeśli oglądała to z nieba, to niewątpliwie musiała być z siebie dumna. Wkrótce po niej zmarł syn, stary pan Gąsowski, i płocho młoda synowa ku ogólnemu zgorzeniu pospiesznie poślubiła pana w sile wieku, a stało się to przy pomocy londyńskiej gazety, i wyjechała z nim do Szkocji wcale nie kryjąc zadowolenia z tak cudownej odmiany losu.

Wachmistrz Miller też odmaszerował na wieczną wartę w swym najlepszym *battledress*'ie z pełnymi dystynkcjami i naszywką „Poland”. Nawet po śmierci pozostał żołnierzem w służbie swego rządu na wygnaniu (Zamek). Zmarł też sędzia Hildebrand, niby katolik, a według pana Dekiera Żydomason. Po śmierci przyjaciela profesor Koziewicz zdziczał i wyszedł na emeryturę, ale gazownią przestał cuchnąć dopiero po roku, tak gaz mu się

wzrął w skórę i kości. Jak na swój wiek cieszy się dobrym zdrowiem i nadal jest jadowitym jeżorem longfordzkiej polonii i jej postrachem.

Zmarło też wielu innych, jedni jeszcze w Crowleyu i ci leżą przy kościele w Holme de Braose, w sąsiedztwie Evansów i innych starodawnych wioskowych rodów. W Zaduszki ksiądz proboszcz, obie Żywe Róże i rodziny zjeżdżają tam na modły, porządkują groby, także i te zapomniane z czasów wojska, zdobią je i zapalają świeczki, który to egzotyczny zwyczaj dawno przestał dziwić miejscowych. Na, bidoto, choć cię nasze oczy nigdy nie widziały.



Tak przepływa czas. W bibliotece naprzeciw katedry żółkną roczniki *Longfordzkiego Biuletynu i Obywatela*, a z nimi odchodzą w niebyt zanotowane tam sprawy Crowleyu: przejęcie go przez magistrat, przebudowa baraków, napełnienie ich tubylcami i zale tychże na barbarzyńskie warunki (które jednak — jak zaznacza list do redakcji, bo praw antyfasistowskich wtedy jeszcze nie było — są dostatecznie dobre dla tamtejszych cudzoziemców), i wreszcie likwidacja obozu. A także brzydkie sprawy: afera Fela Pawłaka na pieskowych wyścigach, pobicia i pyskówki, proces o Uzbeczkę i ohydne wypadki na balu koronacyjnym. Że pamięć nasza jest zawodna, trudu nie żałując wyciągnęliśmy z *Biuletynu i Obywatela* te źródłowe dane do dziejów Crowleyu wraz z podobiznami bohaterów opisywanych wypadków. A ceniąc sobie nade wszystko dokładność, przewertowaliśmy też roczniki londyńskiej gazety z korespondencjami Redaktora Rokito o wypadkach wywierających na Crowleyu niezatarte wrażenie: podniosłe egzorty na wszelkie okazje i akademie, procesje, opłatki i święcone jajka, huczne bale z wyborami Miss Polonii, kronikę szkoły im. Trzech Wieszców, ruchliwego Koła Sportowego, obu Stowarzyszeń Żywego Różańca, Koła Studiów Wojskowych i SPK, Skarbu Narodowego dwu obediencji, historyczne już dziś darcie chmielu i wreszcie kontrowersyjny wybór Królowej Nówek. Za co niniejszym składamy Redaktorowi Rokito gorące dzięki. Oby został prezesem Dziennikarzy RP na Wygnaniu!

Dodatkowym źródłem jest nasz prywatny zbiór fotografii archiwalnych z różnych uroczystości, które wspomagają zawodną pamięć przy odtwarzaniu realiów wizualnych jak wystrój scen dla podniosłych akademii i na tych scenach działwy w strojach narodowych, wojennych lub anielskich; prezes Sitak zastygły w

krasomówczej pozie na tle flagi, Orła i ogromnego *Virtuti*; tłumne procesje Bożego Ciała, z wszystkim co żyje ubranym w najlepsze stroje; kaplica z rzędami krzesel, o które toczyły się vendetty; ksiądz Turkuć w stroju liturgicznym, rozsiadły wśród dziatwy przemienionej w anioły w dzień pierwszej komunii; wystawa robótek Naszych Pań z okazji 3 Maja; Felo Pawlak jako św. Mikołaj wśród młodego narybku; zdobna w tradycyjne bibułki i baloniki sala balowa z tłumem tańczących i Ambrożem Pocałujko z harmonią na podium; jakiś opłatek czy inne agape w świetlicy przy smacznie zastawionym stole; ceremonialne powitanie na placu autobusowym przybyłego z Londynu przedstawiciela jednej z naszych Władz Legalnych na Wagnaniu, uwiecznionego w momencie, gdy w podzięce za bukiet całuje w główki nasze krakowianki; koronacyjny pokaz Tańców Narodowych przed magistratem; wymarsz czołówki kombatanckiej z wieńcem i szarfą na pogrzeb pana Evansa, i wreszcie zdjęcia baraków w różnych porach roku, a wśród nich i naszych siedzib na osiedlu u Żywopłotu oraz w kołchozie za dębem. Gromadziliśmy tę ikonografię gdy się to wszystko działo, nie przypuszczając, że po latach miłe pamiątki nabiorą wartości źródłowej, gdy dzieje Crowleyu objawią się nam jako raj utracony i marzenie o niewinnym dzieciństwie, oraz jako wycinek procesu historycznego, wielowarstwowego i pełnego znaczących szczegółów: osvajanie się Słowian z obcym światem, zapuszczanie korzeni i pierwsze wysuwanie macek ku ludom Pogranicza. Oraz towarzyszące powyższym, a w socjologii emigracyjnej ignorowane (czyżbyśmy zgadli dlaczego?) zjawisko: spanienie i porastanie w piórka, o jakich w Ojczyźnie szkoda było marzyć (choć lubili masowo podkreślać, jakie to z nich w Polsce było państwo) tychże Słowian, w przeważającej części osadników, policjantów, małomiasteczkowych funkcjonariuszy i pracowników Lasów Państwowych niskich szczebli, w zetknięciu z owocami cywilizacji przemysłowej, tak choćby kulawej jak w Crowleyu, i na tym tle zmiana ich stosunku do coraz bardziej legendarnej Ojczyzny. Proces ten nasi uczeni w piśmie pomijają milczeniem — czyżby dlatego, by nie zauważyć rzeczy, o której nie wypada głośno mówić: że wbrew akademickim deklamacjom i opętaniu Tańcami Narodowymi nikt chyba nie marzy o powrocie do Wolnej i Niepodległej, do rodzinnej chatki, wierzby i boćka, i między nimi rozlanej gnojówki. A jeżeli, to tylko jako dewizowy emeryt.

Te są więc nasze potrójne źródła: pisane, ikonograficzne i własna zawodna pamięć. Czwarty rodzaj uleciał bezpowrotnie: dźwięk. Na zawsze dla badaczy mowy polskiej została

stracona ta bogata mieszanka intonacji, zaśpiewów, dialektów i neologizmów, z przewagą Kresów Wschodnich i z domieszką wyrazów oraz pojęć importowanych do Crowleyu z szerokiego świata: z Sybirokazachstanu, Indii, Afryki, Bliskiego Wschodu, Niemiec i Włoch, i z coraz silniej wypierającym tamte elementem anglosaskim. Innym charakterystycznym dźwiękiem Crowleyu był przeraźliwie ostry śpiew pani Ciupkowej starszej: chyba już zanikłe na emigracji jarmarczne ballady o miłości i kryminalnie wykonywane w pralni, ogródku i przy darciu chmielu, oraz pobożne zawodzenie w kaplicy, które zagłuszało i wywodziło na manowce trzy setki wiernych. Ale tym, nad utratą czego bolejemy szczególnie, jest wspaniały, staroświecki i chyba już doszczętnie wymarły wileński styl kabalarski babki Macioszkowej, której najwierniejszą klientelą byliśmy przez wiele lat. Siadaliśmy u jej stóp, zafascynowani i przemienieni w jedno wielkie ucho, które chciało jak najwięcej wchłonąć i przyswoić. Prowokowaliśmy ją do nowych wysiłków, do rzucenia po raz dwudziesty, lewą ręką od serca, na prawdziwych i urojonych brunetów i blondynów, na fałszywe czarne baby i serca podeptane *pod nogi* — byleby nie zamilkła. Jakże dziś gorzko żałujemy, że nie zapisywaliśmy tych seansów na gorąco!

Rośnie w Marchii trzecie pokolenie Słowian — prawie doszczętnie wyzwolone od polskiej mowy, a wkrótce chyba i niewymawialnych nazwisk. Pokutują resztki tradycji i obyczajów, póki żyje pokolenie pionierów. Jak dawniejsze rasy, tak i ci ulegają Pograniczu, które wszystko przetapia w jednym tyglu. Nie jest odległy czas, gdy nasi ludzie roztopią się w nim bez śladu, jak znikł stary i bogaty w tradycje Crowley, którego nazwa jest dziś pustym dźwiękiem. Można ją jeszcze oglądać na pochylonym drogowskazie u rozstajnych dróg przy świńskiej hodowli Mr Bishopa, ale drogowskaz dziś nikomu niepotrzebny i wiedzie do nikąd. Wrósł w żywopłot i nie pada, a jak upadnie, to już nie będzie go po co podnosić.

Listopad 1970 - luty 1979.

SPIS TREŚCI

<i>A propos</i>	7
<i>Wędrowki ludów</i>	11
<i>Pogranicze</i>	14
<i>Crowley</i>	19

JESIEŃ

<i>Jak Crowley świętuje</i>	31
<i>Królowa Crowleyu</i>	46
<i>Jak Crowley pracuje</i>	54
<i>O Marchii po raz wtóry</i>	68
<i>Jak Crowley studiuje</i>	76

ZIMA

<i>Jak Crowley zapada w gnuśny sen zimowy</i>	97
<i>Zgromadzić je jak kokosz kurczęta</i>	104
<i>Słowiańskie gody</i>	116
<i>Jak śnieg potrafi skołować ludzkie sprawy</i>	130
<i>Crowleyskie choroby i inne żałoby</i>	141
<i>Hazard i wojenka</i>	153

WIOSNA

<i>Takie były zabawy, spory w one lata</i>	163
<i>Kopciuszka przemienił w królową</i>	171
<i>Martwe serce katedry</i>	180
<i>Jak Crowley spożywa chleb w pocie czoła</i>	187
<i>Sprawy świeckie</i>	195
<i>Sprawy wiary i moralności</i>	205

LATO

<i>Vivat Regina!</i>	217
<i>Bodajbyś cudze dzieci uczył</i>	233
<i>Sprawy przynoszące ujmę narodowi polskiemu</i>	237
<i>Przewala się lato</i>	244
<i>Wesołe bóstwo Marchii</i>	251
<i>Sic transit...</i>	256
<i>Po latach</i>	263

KATALOG KSIĄŻEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

Październik 1980

	Stron	F.
Allilujewa, S.: <i>Dwadzieścia listów do Przyjaciela</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	256	20,00
Arżak, M. (Ju. Daniel): <i>Odkupienie i inne opowiadania</i> ..	128	9,00
Barańczak, St.: <i>Etyka i poetyka — Szkice 1970-1978</i> (Seria „Bez Cenzury”)	272	65,00
Bartecki, J.: <i>Gospodarka na manowcach</i> (z uwagami Pawła Tenczyńskiego)	80	20,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Drogi wyjścia</i> (Seria „Dokumenty”)	88	10,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Motory i hamulce socjalizmu</i> (Seria „Dokumenty”)	128	12,00
Bierezin, J.: <i>Wam</i> (Poezje)	76	12,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro</i> . Szkice i opowiadania	272	20,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Checiuk, A.: <i>Wizyta w Izraelu</i>	160	20,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i>	160	35,00
Czapski, J.: <i>Oko</i>	228	12,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia (Kultura 1958-1973), Zeszyty Historyczne (1962-1973), Działalność wydawnicza (1959-1973)</i>	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Szkice o literaturze emigracyjnej</i>	416	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie</i>	76	15,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Gnomacki Wł.: <i>Towarzysz Szmaciak</i>	72	20,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik (1953-1956)</i>	304	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik (1957-1961)</i>	256	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik (1961-1966)</i>	224	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. IX „ <i>Opowiadania</i> ” ..	208	24,00

	Stron	F.
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. V „Teatr”	224	18,50
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. X „Varia”	544	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. XI <i>Wspomnienia Polskie</i> <i>Głós</i> („Dokumenty” Nr 47)	272	75,00
Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i>	96	9,00
Grzędziński, J.: <i>Maj 1926</i> (Seria „Dokumenty”)	112	9,00
Gulley-Chmielowska, H.: <i>Spotkania na galerii</i>	192	9,00
Guzy, P.: <i>Stan wyjątkowy</i>	144	12,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Drugie przyjście</i>	250	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą (1973-1979)</i> , t. II	368	75,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Inny świat</i> (Seria „Archiwum Rewo- lucji”)	256	45,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Skrzydła ołtarza</i>	120	10,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Hertz, Al.: <i>Szkice o ideologiach</i>	160	12,00
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas</i> (Poezje)	80	8,00
Iwaniuk, W.: <i>Wybór wierszy</i>	108	7,50
Iwanow, I.: <i>Czy istnieje życie na Marsie?</i>	112	7,00
Iwanow, I.: <i>Jest' li życie na Marsie?</i>	102	7,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
<i>Jak z tego wyjść?</i> (Seria „Dokumenty”)	80	25,00
Jedlicki, W.: <i>Klub Krzywego Koła</i> (Seria „Dokumenty”) ..	176	10,00
Kalinowski, Fr.: <i>Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii</i> <i>(1940-1945)</i>	372	36,00
Katelbach, T.: <i>Rok złych wróżb (1943)</i>	223	8,00
Koestler, A.: <i>Fragmety wspomnień</i> (Seria „Archiwum Re- wolucji”)	240	13,50
Kołakowski, L.: <i>Główne nurty marksizmu</i> , t. II	544	110,00
Kołakowski, L.: <i>Główne nurty marksizmu</i> , t. III	536	110,00
Koszeliwec, I.: <i>Ukraina 1956-1968</i> (Seria „Dokumenty”) ..	272	18,50
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: „Kultura” 1947-1957. Bibliografia Kultury ..	392	15,00
Kowalik, J.: <i>Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie</i> <i>(1939-1962)</i>	80	9,00
Kowalska, J.: <i>Pogranicze</i>	280	80,00
Krynicki, R.: <i>Nasze życie rośnie</i> (Wiersze). (Seria „Bez Cen- zury”)	104	25,00
Krzyżanowski, Br.: <i>Wileński matecznik 1939-1944</i> (Seria „Bez Cenzury”)	264	65,00
Kulski, J.: <i>Stefan Starzyński w mojej pamięci</i> (Seria „Do- kumenty”)	144	12,00

	Stron	F.
<i>Kultura masowa</i> — opr. Cz. Miłosz (Seria „Dokumenty”)	145	6,00
Lipski, L.: <i>Piotruś</i>	80	7,00
Łobodowski, J.: <i>Złota Hramota</i>	190	9,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Madej, B.: <i>Maść na szczury</i> (Seria „Bez Cenzury”)	208	30,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Mieroszewski, J.: <i>Modele i praktyka</i>	224	20,00
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i>	196	50,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk</i>	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i>	176	22,00
Mostwin, D.: <i>Ameryko! Ameryko!</i>	491	15,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mostwin, D.: <i>Olivia</i>	288	15,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Odojewski, Wł.: <i>Zasypie wszystko, zawieje...</i>	484	45,00
Orłoś, K.: <i>Cudowna melina</i>	180	20,00
Orłoś, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00
Orwell, G.: <i>1984</i> (przedmowa M. Brońskiego)	304	75,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
PPN — <i>Polskie Porozumienie Niepodległościowe</i>	160	35,00
<i>Program Związku Komunistów Jugostawii</i> (Seria „Doku- menty”)	276	8,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL</i> (Seria „Dokumenty”)	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> (Seria „Dokumenty”)	288	18,50
Rekucki, A. T.: <i>Czy drugi Katyń?</i>	46	20,00
Rembek, St.: <i>W polu</i>	309	8,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Skrytki</i>	200	55,00
De Roux, D.: <i>Rozmowy z Gombrowiczem</i>	160	15,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Singer, B.: <i>Od Witosa do Stawka</i>	400	18,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00
Sołżenicyn, A.: <i>Archipelag GULag, T. II</i> (Cz. III i IV) z przesyłką	606	72,50

	Stron	F.
Sołżenicyn, A.: <i>Archipelag GUŁag</i> , T. III (Cz. V, VI i VII)	544	110,00
Staliński, T.: <i>Ludzie w akwarium</i>	148	25,00
Staliński, T.: <i>Śledztwo</i>	224	25,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Eseje dla Kassandry</i>	300	20,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Dokumenty”)	128	9,00
Sułkowski, W.: <i>Szkola zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	55,00
Swinarski, A. M.: <i>Sasza i bogowie</i>	280	15,00
Tarniewski, M.: <i>Porcja wolności</i> (Seria „Dokumenty”)	144	35,00
Toporska, B.: <i>Siostry</i>	216	13,50
Vincenz, St.: <i>Po stronie pamięci</i>	256	13,50
<i>We własnych oczach</i> (Antologia współczesnej literatury sowieckiej)	524	24,00
Weil, S.: <i>Wybór pism</i> , opr. i przekład Cz. Miłosz	384	15,00
<i>Węgrzy</i> , opr. Cz. Miłosz (Seria „Dokumenty”)	126	9,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Izrael w poezji polskiej</i> (Antologia)	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia</i> , t. I/III	1324	99,00
Wittlin, J.: <i>Orfeusz w piekle XX wieku</i>	654	34,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Woroszyński, W.: <i>Literatura</i> (Seria „Bez Cenzury”)	180	45,00
Wygodzki, St.: <i>Zatrzymany do wyjaśnienia</i>	208	16,50
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 włącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie. Każdy Zeszyt liczy 240 (lub 256) stron. Zeszyty Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 20, 40, 41, 46, 47 i 49 są wyczerpane. Ukazał się Zeszyt 53 (sierpień 1980) Cena pojedynczego Zeszytu		45,00
<i>(Zeszyt 50-ty ze względu na objętość kosztuje F. 50,00)</i>		

Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %.

**A C H E V E D'IMPRIMER
LE 15 SEPTEMBRE 1980
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)
Dépôt légal : 3^e trim. 1980
Imprimé en France.**

